

Monika
Odrobińska

DZIECI WOJNY

MALI POLACY, KTÓRZY OCALELI

PRAWDZIWE
HISTORIE

HORYZONT.
znak

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Monika Odrobińska

DZIECI WOJNY

MALI POLACY,
KTÓRZY OCALELI

PRAWDZIWE
HISTORIE

Znak Horyzont
Kraków 2022

Wstęp

Pedagodzy wieszczili, że XX wiek będzie stuleciem dziecka. Według historyków okazał się dziecięcą hekatombą. Stało się tak w dużej mierze na skutek niemieckiego Generalnego Planu Wschodniego (Generalplan Ost). „Rasa panów” miała władać od Portugalii po Ural, w tym celu zamierzała poddać eksterminacji wszystkich Żydów, a większość Słowian – wyniszczyć lub przesiedlić, ewentualnie zgermanizować.

Mały Plan zakładał fizyczną likwidację przywódczych warstw narodu polskiego i bliżej nieokreślonych niebezpiecznych Polaków. Wielu z nich nie miało nawet trzech lat, gdy znalazło się za drutami – jak Jurek czy Staś, którzy na kartach tej książki opowiadają o swoim pobycie w obozach w Łodzi i Potulicach. Dla wielu życie zaczęło się w obozie, jak dla Stefci. Niebezpieczna dla Niemców okazała się także szesnastoletnia Haneczka, która paroma słowami listu chciała jedynie pokrzepić brata przebywającego na robotach w III Rzeszy. Trafiła za to do KL Auschwitz, a potem do Ravensbrück.

Duży Plan obejmował wysiedlanie Polaków, by na ich miejscu mogli się osiedlić Niemcy. Jego realizację zaczęto od Zamojszczyzny. Mimo zbrojnego oporu Polaków pochłonął dziesiątki tysięcy ofiar – nazywa się je Dziećmi Zamojszczyzny. Anielka, wygnana podczas akcji ze swojego domu, po kilku latach tułaczki wróciła pod gołe niebo i niemal do zamążpójścia mieszkała w obórcie. Częścią Dużego Planu była też operacja „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Za pomoc

Żydowi Niemcy karali śmiercią. Zabijali nie tylko samego Żyda i tego, kto mu pomagał, lecz także całą okolicę: rodzinę, kamienicę, wioskę. Mimo to polska niania dwuletniej Maszy podjęła ryzyko i wydosłała ją z getta.

Niemcy reglamentowali żywność, odzież, środki czystości i opał. Ludzie, którzy nie umarli z głodu i w wyniku chorób, żyli w ciągłym strachu. Ci, których Niemcy nie zabili, stawali się tanią siłą roboczą. Polacy mieli stać się niewolnikami, w czym miało pomóc specyficzne szkolnictwo. Zamknięcie szkół służyło temu samemu, co zamknięcie instytucji kultury i drukarni wydających polską prasę. Nie ma kultury, nie naucza się o niej, to i nie ma narodu – są niewolnicy. Formowanie niewyedykowanego pokolenia Polaków było zamierzone – chodziło przecież nie o przekazanie mu wiedzy, ale o zamknięcie go w placówkach, by mieć nad nim kontrolę. Nieco inaczej sytuacja wyglądała na Pomorzu wcielonym do Rzeszy – tam do gdańskiej szkoły hitlerowskiej razem z niemieckimi dziećmi musieli uczęszczać Janek oraz jego polscy koledzy. Ich „hodowano” na Niemców.

Osobnym rozdziałem są losy małych powstańców – opowieści o tych, których miało nie być. Chodzi nie tylko o te dzieci, które służyły w poczcie powstańczej czy rzucały granatami w czołgi, lecz także o te, które wydosłały się spod stosów trupów po rzezi Woli, i o te, które przeszły przez obóz na Zieleniaku w czasie rzezi Ochoty, jak Boguś.

Nie sposób w jednym zbiorze reportaży przedstawić wszystkich aspektów dzieciństwa pod niemiecką okupacją w Polsce. Coraz trudniej też dotrzeć do żyjących świadków tamtych wydarzeń; niełatwo również nakłonić rozmówców do przeżywania tego wszystkiego po raz kolejny. Przedstawione historie ośmiu osób – tak bardzo tragiczne, naznaczające na resztę życia – to ledwie namiastka przeróżnych okrucieństw wymierzonych w najmłodszych, których zamykano w więzieniach,

wynaradawiano i oddawano na wychowanie niemieckim rodzinom lub... rozstrzeliwano.

W dniu, w którym składałam maszynopis książki w wydawnictwie – 24 lutego 2022 roku – Rosja zaatakowała zbrojnie Ukrainę. Trudno przewidzieć, jak wygląda rzeczywistość w chwili, gdy Czytelnik trzyma swój egzemplarz w rękach. Pozostaje nadzieja, że świata nie owładnęło szaleństwo wojny, od której wolni byliśmy przez ponad siedemdziesiąt lat.

W powszechnej świadomości wojna ogranicza się do bitew, strategii, bohaterów, wyzwolenia, zniewolenia, zbrodni. Drugą wojnę światową wypowiedziano także cywilom, w tym dzieciom. Generałowie Wehrmachtu, Luftwaffe, Kriegsmarine, policji i Waffen SS mieli powiedzieć jasno: celem wojny jest nie tylko zdobycie terytorium Polski, lecz także likwidacja państwa i narodu polskiego, narodu „podludzi”. Dlatego po wtargnięciu na nasze ziemie mordowali cywili i jeńców wojennych, a potem kontynuowali politykę biologicznego i tożsamościowego wyniszczenia Polaków. Jak mówił feldmarszałek Wehrmachtu Gerd von Rundstedt: „systematyczne niedożywienie daje lepsze wyniki niż karabiny maszynowe. Wyniszczenie działa efektywniej zwłaszcza wśród młodzieży”. Nie ma pośród opowieści moich bohaterów takiej, przez którą nie przewinałby się głód, szczególnie dotkliwy dla rozwijających się młodych organizmów.

Zbrodnia dokonana na polskich dzieciach nie ograniczała się do zadania śmierci fizycznej przez mordowanie, wyniszczenie w więzieniach, obozach przejściowych i zagłady, aborcje czy eksperymenty pseudomedyczne na polskich robotnicach przymusowych. Chodziło również o zadanie śmierci tożsamościowej przez rabunek, pozbawienie więzi z rodziną i narodem oraz zniemczenie, a także śmierci moralnej przez demoralizację osób zmuszonych do twardej walki o byt oraz osvajanie ich z zabijaniem i stosami trupów. Wiele dzieci po

wojnie dziwiło się śmierci z przyczyn naturalnych. Jak mówi prof. Marek Rembierz z Instytutu Pedagogiki Uniwersytetu Śląskiego, była to „nazistowska zbrodnia totalna”, w której środkiem i narzędziem do zdobywania niemieckiej dominacji na świecie były polskie dzieci.

Dla dzieci, które przeżyły, wojna nie skończyła się wraz z ogłoszeniem pokoju. Sieroctwo wojenne i syndrom stresu pourazowego towarzyszą im przez całe życie i nie wpływają wyłącznie na nich. Osamotnienie, brak oparcia w rodzinie, walka o podstawowe środki do życia, zdarzenia wywołujące zmiany osobowości czy kalectwo fizyczne oddziałują na całe społeczeństwo. Takie osoby wymagają szczególnego wsparcia: medycznego, wychowawczego, socjalnego, by mogły rozpocząć samodzielne życie.

Niektórych strat nigdy nie da się jednak odrobić – wskutek planowej eksterminacji niemieckiej życie straciło ponad dwa miliony dzieci z polskim obywatelstwem, narodowości polskiej, żydowskiej i romskiej; dwieście tysięcy zostało wywiezionych do Niemiec, wróciło raptem piętnaście procent z nich; siedemset tysięcy straciło zdrowie w wyniku robót przymusowych; dziesiątki tysięcy zostały sierotami, półsierotami lub dziećmi opuszczonymi. Jak to ujął demograf z Uniwersytetu Łódzkiego Edward Rosset, w samej tylko Łodzi w 1945 roku „co szóste dziecko w kołysce, co czwarte dziecko w wieku przedszkolnym i co trzecie dziecko w wieku szkolnym pozostawało bez ojca lub bez matki, jeżeli nie bez obojga rodziców”.

Unicestwienie polskiego narodu na szczęście nie doszło do skutku, jednak dzieci, które uniknęły eksterminacji, zostały boleśnie ograbione: z rodziców, domu, rodzinnego majątku, zdrowia, szkoły, tożsamości – z dzieciństwa. Zofia Kossak swój pobyt w KL Auschwitz podsumowała słowami: „Bóg na to pozwolił niektórym ludziom oglądać piekło na ziemi i wrócić, by dali świadectwo prawdzie”. I tak też czynią bohaterowie tej książki, a częścią prawdy są również dobrzy ludzie,

którzy ocalili moich rozmówców. To dzięki takiej pomocy dzieci ocalałe
zdołały powołać do życia kolejne pokolenia Polaków.

Haneczka (ur. 1926)

ANIOLY Z AUSCHWITZ



*Anna w towarzystwie ukochanych psów.
Fot. Ośrodek KARTA*

Z obozowego głośnika poszedł komunikat, że młode i zdrowe, które chcą zmienić miejsce pobytu, mogą się zgłosić. Pewnie, że chciałam – pobyt w Auschwitz bez nogi wciąż był równoznaczny z krematorium. Jednak gdy niemiecki lekarz przeprowadzający selekcję „młodych i zdrowych” mnie zobaczył, zaczął wrzeszczeć w moim kierunku. Czmychnęłam na koniec kolejki i obmyślałam plan działania.

Urodziłam się zdrowa, z obiema nogami. W szczęśliwej rodzinie powitali mnie: ojciec Stanisław, matka Florentyna oraz bracia – Romek i Adam. Wczesne dzieciństwo spędziłam w Chryplinie koło Stanisławowa, a potem przenieśliśmy się do samego Stanisławowa – cóż to było za miasto! Kultura i rekreacja na najwyższym poziomie. Rodzice przybyli w te okolice sześć lat wcześniej, bo po odzyskaniu niepodległości trzeba było zaludnić Kresy Polakami. Oboje pochodzili z okolic Tarnowa – gdy je opuszczali, nie wiedzieli, w jak tragicznych okolicznościach wrócą tam dwie dekady później.

Tata w 1919 roku – po powrocie z frontu bośniackiego – ożenił się z moją mamą i wszedł tym samym do rodziny o korzeniach hrabiowskich – mój pradziadek pochodzący z Wiednia posiadał browar pod Pilznem i ożenił się z hrabianką. Jako oficer rezerwy ojciec był naczelnikiem Biura Wojskowego w Dyrekcji Okręgowych Kolei Państwowych, a prywatnie udzielał się w PSL „Piast”. Kiedy się urodziłam, dziadek tak się ucieszył z dziewczynki, że został moim ojcem chrzestnym. Chrzczona byłam w tarnowskiej katedrze, gdzie wcześniej ślub brali moi rodzice. Na pierwsze mam Anna, po babci, a na drugie Janina – po ojcu chrzestnym, czyli dziadku.



*Kilkuletnia Ania pozuje z pieszkiem przed domem
rodzinnym w Stanisławowie ok. 1930 roku.*

Fot. Ośrodek KARTA

Rodzice byli przecudownymi ludźmi, niestety władze Polski Ludowej nie poznały się na ojcu – zgarnęli nam go z domu w Wigilię w 1949 roku. Mama została wtedy sama, bez pieniędzy, mimo to nie narzekała – podobnie jak dzielnie trzymała się „za Niemca”. Pochodziłam z wrogiej ludowi klasy, więc w czasie studiów nie miałam co liczyć na akademik czy stypendium. Dożywiałam się obiadekami u uczniów, którym udzielałam lekcji gry na fortepianie. Ojca wielokrotnie potem jeszcze szykanowano, bo uparcie odmawiał wstąpienia do partii. Nie przejmował się tym zbytnio, tak jak niegdyś jego ojciec – prześladowany za przynależność do mikołajczykowców.



*Rodzice Anny Szalańskiej: Florentyna i Stanisław
w Stanisławowie w 1935 roku.*

Fot. Ośrodek KARTA



*Anna z matką Florentyną i w szkolnym mundurku
wystającym spod płaszczyka, lata trzydzieste.*

Fot. Ośrodek KARTA

Po zmianach administracyjnych w Stanisławowie przez różne instytucje, w tym mojego ojca, przeszła fala likwidacji. Na tej fali przeniesiono nas do Lwowa. Mieszkaliśmy tam krótko, ale – jak na to miasto o bogatej kulturze przystało – intensywnie. Wkrótce podwładni ojca dopuścili się przekrętów, pod którymi tata nie chciał się podpisać, i nakłamali jego przełożonym, czym doprowadzili do przesunięcia go do Poznania i zdegradowania ze stopnia dyrektora.

Lwów to Lwów: stolica województwa, teatr, muzyka, najlepsze szkoły i konserwatoria, uśmiech na ulicach. A Poznań to były Prusy: cisza i porządek, w dodatku antysemityzm. Kiedy szłam do Pierwszej Komunii Świętej, rodzice kupili mi sukienkę w eleganckim domu towarowym Kałamajski i S-ka, którego neon informował: „Tu sklep katolicki”, a za ladą stały ekspedientki z Matką Bożą w klapach garsonek. Jesienią szukaliśmy płaszczyka, a że tam go nie znaleźliśmy, poszliśmy na Starówkę. Na wystawie skromnego sklepiku zobaczyłam *ten jedyny* płaszczyk. Ojciec chwycił za kłamkę, nagle złapał go za rękę jakiś mężczyzna i powiedział:

– Proszę tu nie wchodzić, to sklep żydowski.

Weszliśmy i kupiliśmy ten płaszczyk, ale sprzedawca nie zapakował go, tylko obiecał przysłać do domu. Okazało się, że klientów wychodzących z zakupami z żydowskich sklepików fotografowano, a zdjęcia zamieszczano w tygodniku „Pręgierz” pod nagłówkiem: „To są ci, co kupują u Żyda”. I tak co tydzień. To był magazyn satyryczno-humorystyczny, poświęcony obronie handlu i przemysłu chrześcijańskiego w Wielkopolsce. Żydom nie wolno było handlować w centrum miasta. Jakież było zdziwienie mojego ojca, gdy podczas

podróży służbowej do Kalisza przed żydowskim sklepikiem na tamtejszej Starówce zobaczył samochód dostawczy Kałamajski i S-ka. Ekskluzywny dom towarowy „tylko dla chrześcijan” zaopatrywał się oto w żydowskiej hurtowni futer, które zresztą skupował za grosze! Jeszcze z Chryplina pamiętałam zabawy z Żanusią – córką żydowskich gospodarzy prowadzących zajazd. W głowie mi się nie mieściło, że można ludzi gorzej traktować tylko z powodu ich pochodzenia.

Tak samo nie zgadzałam się na to, by wykluczać mnie z zabaw dlatego, że jestem dziewczyną. Biegałam za moimi braćmi i ich kolegami i bawiłam się z nimi w strażaków, łaziliśmy po drzewach, z wiecznie obtartymi kolanami. Aż tu nagle zaczynają bawić się w wojsko i mi mówią, że ja nie mogę. Co nie mogę? Sanitariuszką będę! Owszem, przenieśli mnie na tyły, ale służyłam! Nie wiedziałam jeszcze, jak realistyczne były te nasze zabawy w wojnę. Tatę poprosiłam wtedy o torbę sanitariuszki – ale nie żadną zabawkową, tylko prawdziwą. Jakże mi się trzęsły ręce, kiedy wyjmowałam z niej bandaże, by opatrzyć kolegę, który w gonitwie za „wrogiem” naprawdę skaleczył się o kamień. Nie miałam wtedy nawet siedmiu lat!

Lubiłam towarzyszyć braciom także w odrabianiu zadań domowych. Kiedy kaligrafowali, pytałam o konkretne litery i sama nauczyłam się czytać, zanim jeszcze poszłam do szkoły. Raz wpadła mi w ręce broszurka z patriotycznym wierszykiem. Nauczyłam się go na pamięć, po czym oświadczyłam tacie, że zadeklamuję go w swoim stroju krakowskim w chryplińskim domu kultury. Tata udzielał się w tamtejszym teatrze i obiecał, że po skończonym przedstawieniu będę miała swoje pięć minut. Jeszcze zza kulis zobaczyłam, że na mój występ ktoś przystroił scenę stojakiem, na którym rozłożono broszurkę z moim wierszykiem – na wypadek, gdybym zapomniała tekstu. Oburzona kazałam uprzątnąć te suflerskie rekwizyty i powiedziałam, że nigdy nie

wystawiłabym się na taką śmieszność! Wyrecytowałam płynnie wiersz z pamięci i zebrałam gromkie oklaski.



*Od najmłodszych lat Ani wróźono karierę sceniczną.
Przed swoim pierwszym występem ze sceny kazała usunąć
pulpit z tekstem wiersza, który miała wyrecytować.*

Fot. Ośrodek KARTA

Potem we Lwowie brat uczył się gry na skrzypcach. Podpatrywałam go, tak jak przy literkach, i rodzice zapytali, czy też bym chciała. Więc powiedziałam, że tak, ale na fortepianie – żeby bratu akompaniować. Zapisali mnie więc do Konserwatorium im. Karola Szymanowskiego. Tam pręźnie działała orkiestra dziecięca, z którą daliśmy koncert niepodległościowy w samym Teatrze Skarbkowskim.

Niedługo po tym, jak osiedliśmy w Poznaniu, gazety zaczęły donosić o przekrętach byłych podwładnych ojca ze Lwowa. Minister kolejnictwa kajał się przed tatą, przeproszał za jego degradację i przeniesienie do Poznania oraz zapraszał go do Warszawy na jakikolwiek wybrany przez siebie fotel. Na Warszawę ojciec kręcił nosem, dał się za to uprosić na jedno ze stanowisk w Toruniu.

Toruń to była klasa! Nowoczesne mieszkania, świetne szkoły i konserwatorium w Dworze Artusa – poziomem kilkakrotnie przewyższające konserwatorium poznańskie, do którego też uczęszczałam. Na świadectwie ukończenia go miałam celujące od góry do dołu. Dyrektor wręczający je uroczyście, spojrzął na małą, niepozorną dziewczynkę, cofnął rękę ze świadectwem i usiadł do fortepianu. Powtarzałam za nim coraz wymyślniejsze fragmenty melodii, aż udowodniłam, że te celujące to nie pomyłka.

Tym samym zakończyła się także moja sześcioletnia nauka w szkole powszechnej i szykowałam się do pójścia do gimnazjum. Cieszyłyśmy się z koleżanką z sąsiadującej z nim szkoły dla lotników. Mama kupiła mi granatowy płaszczyk z błękitnymi wypustkami – potem będzie on naszym jedynym wierzchnim okryciem, noszonym przez nas na zmianę.

Na razie jednak cieszyłam się wakacjami. Zazwyczaj całe dwa letnie miesiące spędzałam w górach z mamą, na miesiąc dojeżdżał do nas tata. W 1939 roku jednak sytuacja była wyjątkowa. Tata całe dni spędzał w biurze wojskowym Dyrekcji Kolei Państwowych. Ledwo przychodził do domu, już dzwoniono, że wraca po niego samochód służbowy. O wspólnych wakacjach nie było mowy, dlatego zaproponował mi pobyt w nowo otwartym zakładzie leczniczo-wychowawczym dla dzieci w Rabce. Obruszyłam się, że żadnym dzieckiem już nie jestem i że życzę sobie jechać na dorosłe wakacje. W końcu jednak do wyjazdu przekonała mnie koleżanka i pojechałyśmy razem.



Ostatnie, skrócone wakacje w 1939 roku Anna spędziła w zakładzie leczniczo-wychowawczym dla dzieci w Rabce,

gdzie odwiedził ją tata.

Fot. Ośrodek KARTA

Jak na tamte czasy ośrodek rzeczywiście robił wrażenie: doskonałe warunki mieszkaniowe, kąpiele i zabiegi lecznicze na najwyższym poziomie. Nie było mi jednak dane korzystać z nich do końca wakacji, bo mama odebrała mnie długo przed zakończeniem turnusu. Przyzwyczajona do podróżowania w luksusie, byłam oszołomiona przepelnionym pociągiem, do którego na każdej stacji dosiadały się tłumy. Na jednej z nich obserwowałam przez okno kolejarzy budujących kryjówki dla żołnierzy. Ja, smarkata, czułam, że to śmieszne. Przypomniało mi się, jak rok wcześniej minister Beck zaprosił Ribbentropa na polowanie do Białowieży. Ludzie rwali włosy z głów, bo ten się chciał Niemcom przypodobać. A teraz te kryjówki.

W końcówce sierpnia głośno się już mówiło o wojnie. Pewnego dnia ojciec wpadł rozgorączkowany do domu i zamknął się z mamą w pokoju. Zwietrzyłam sensację, więc zgłębiałam ją przez dziurkę od klucza. Tata mówił, jak o szóstej rano przyszli do jego biura kolejarze jadący od granicy niemieckiej i opowiadali o niemieckich czołgach tłoczących się za szlabanem. Zdumiewające, że na granicznej stacji kolejowej nie było żadnej ochrony! Ojciec natychmiast zatelefonował do dyżurnego oficera sztabowego, a ten: że co on sobie wyobraża, czy wie, która jest godzina, i że on ojca do dyscyplinarki pozwie. Dwa dni później na Toruń spadły niemieckie bomby.

Od wybuchu wojny ojca nie było w domu, wpadał jak po ogień. I 3 września wieczorem tak samo wpadł, i zawołał od progu:

– Mam rozkaz natychmiastowego wyjazdu do Warszawy. Pociąg już czeka. Zostajecie czy jedziecie ze mną?

Starszy brat był już w wojsku, mama spojrzała na mnie, na Adama i powiedziała:

– A co tu będziemy sami robić?

Mieliśmy dosłownie kilka minut na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy: mama zabrała szal z lisa i konfitury, których wcześniej nasmażyła, tata – zabytkowy zegar po dziadku, brat – wiedeńskie skrzypce, a ja swój płaszcz gimnazjalny.

Na dworcu tłoczyły się rodziny kolejarskie, na nas czekała salonka. Ruszyliśmy w ciemności. Kiedy pociąg po jakimś czasie się zatrzymał, otworzyłam oczy i zobaczyłam doszczętnie spalone miasto. Jeszcze dymiące, z kikutami budynków. To było Kutno. Podróż ciągnęła się w nieskończoność, bo trwały naloty. Jak ruszyliśmy 3 września, tak dopiero pięć dni później zbliżaliśmy się do Warszawy. Była piękna pogoda, oparłam się łokciami o okno i obserwowałam pędzące nerwowo w stronę stolicy bryczki wojskowe z pasażerami i bagażami. Bryczka za bryczką, i pędzą jak szalone. Gdzie się tak śpieszą? Nie zdążyłam zapytać taty, gdy ktoś krzyknął: „Pali się!”.

„Pif-paf!”, świst kul, jęk rannych, wybiegliśmy z pociągu. W ostatniej chwili chwyciłam płaszcz i wyskoczyłam. Biegliśmy za innymi w dół nasypu, w kartoflisko, nagle poczułam, że dalej nie mogę. Gdy przewracałam się na plecy z nogami do góry, zobaczyłam coś dziwnego na jednej z nich. Mięso? Skąd tu mięso? Nie czułam bólu, ale tuż nad lewą kostką miałam porwaną nogę. Rozejrzałam się, a tam między ludźmi krążyli na kolanach to pielęgniarz, to ksiądz. Tata znalazł lekarza, który zabandażował moją ranę i kazał leżeć z nogami w górze.

Strzelanina tymczasem trwała w najlepsze, nagle podbiegł do ojca urzędnik i powiedział, że nie możemy tu dłużej zostać, trzeba iść.

– Ale jak? – spytał ojciec i wskazał na mnie ruchem głowy. Nie dałby rady nieść mnie całą drogę, więc wróciliśmy do wagonu, a podjęcie decyzji odłożyliśmy do świtu. Ja tymczasem dostałam gorączki. Jak tylko zaczęło szarzeć, tata wyszedł. Wokół żywej duszy.

Nagle dostrzegł konie, zaprzął je do porzuconej bryczki i ruszyliśmy. W tym, co mieliśmy na sobie, bez żadnych bagaży.

Szosa wolska zasłana była zwłokami ludzi i koni. To byli ci, którzy tak gnali bryczkami. Mieli dojechać do Warszawy, gdzie ich wysłano, tak jak nas, i dosięgło ich bombardowanie. No ale skąd polskie władze miały wiedzieć, że Niemcy są już pod Warszawą, skoro same wyniosły się do Rumunii? Na bryczce leżałam ja, obok siedziała mama, a tata i brat prowadzili pojazd i odgarniali na bok trupy.

O szóstej rano znów bombardowanie. Nie było gdzie się skryć, mama tylko nakryła się lisem. Przeczekaliśmy. Udało się. Kiedy dotarliśmy do Krakowskiego Przedmieścia, z deklaracją pomocy podszedł do nas mężczyzna z biało-czerwoną opaską i napisem SO, jak Służba Obywatelska. Powiedział, że tutejszy szpital jest już pełen żołnierzy, i polecił spróbować dostać się do szpitala dziecięcego przy Kopernika. Rodzicom i bratu zaproponował lokum u siebie, na Dobrej.

W szpitalu mnóstwo poparzonych i rannych dzieci. A naloty trwały nadal. Ojciec co parę godzin przybiegał z Dobrej sprawdzić, czy szpital jeszcze stoi, a ja w nim jestem. Po paru dniach bombardowanie dosięgło i szpitala. Okna wylatywały, światło gasło, dzieci wyskakiwały z łóżek i wybiegały na korytarz. Tylko ja byłam unieruchomiona, bo miałam na nodze ciężką szynę. Wreszcie ktoś pomógł mi zejść, sunęłam po podłodze, a tu siostra Helena:

– Haneczko, nie wolno ci wstawać, przecież twoja noga!

Nie uśmiechało mi się leżeć, gdy inni uciekali. Wreszcie udało się ulokować pacjentów w bezpiecznym miejscu, ja znalazłam się w korytarzyku. Tym razem się udało.

Którejś nocy, gdy leżałam nieruchomo na wznak, usłyszałam nagle niski głos:

– Obróć się na lewą stronę.

Otworzyłam oczy, ale nikogo nie zobaczyłam. Próbowałam się obrócić, ale jak, skoro noga w ciężkiej szynie? Prawą ręką podparłam się na materacu, nagle poczułam coś mokrego i zimnego. Zawołałam salową i zaczęłam się sumitować:

– Pani Jasiu, tak mocno przysnęłam, że chyba się zsiusiałam.

Kiedy przystawiła świeczkę, zobaczyła, że materac cały był czerwony od skrzepniętej krwi. Krwotok trwał od dłuższego czasu i gdybym się wtedy nie ocknęła, nie obudziłabym się już nigdy.

Przybiegło dwóch lekarzy, podali zastrzyki z kamfory. Ojcu rano powiedzieli, że noga może być już na zawsze sztywna. Tata powtórzył mi to, obawiał się mojej reakcji, ale ja prychnęłam tylko: „No to co?”. Mimo najlepszej pomocy lekarskiej i pielęgniarskiej mój stan się nie poprawiał – ból, krwotoki. Potrzebna była transfuzja. Krew oddał mi ojciec. Słabłam, półprzytomna z bólu krzyczałam, żeby mi tę nogę ucięli.

– Ależ co ty mówisz, Aniu, wyleczymy ci nóżkę – zapewniali lekarze.

W dzisiejszych czasach pewnie by wyleczyli, ale była wojna. W dodatku lekarze opiekujący się mną musieli zniknąć na trzy dni, bo szukali ich Niemcy. Zajęła się mną lekarka, która poleciła otoczyć moje łóżko parawanem. „Żeby mnie światełko nie raziło”, jak przekonywano. Wiedzieli, że nocy nie przeżyję, dlatego na wieczór wezwali rodziców, by się ze mną pożegnali – zdążyli przed godziną policyjną. Mama przyniosła obrazek ze św. Anną, a tata gonił za lekarką i przekonywał, że jeśli i tak mam umrzeć, to niech najpierw spróbują mi odciąć tę nogę. Na kolanie podpisał oświadczenie, że amputacja odbędzie się na jego odpowiedzialność.

Kilka minut później przyłożyli mi maskę z eterem, odliczyłam, do ilu kazali, po czym dokładnie usłyszałam chrzęst narzędzi i komendy lekarki. Dałam znać, że wcale nie śpię, i dopiero po drugiej dawce straciłam przytomność. Kiedy ocknęłam się w nocy, zobaczyłam przy łóżku pielęgniarkę z zastrzykami, po czym znów zasnęłam. Jak dotychczas nie mogłam nawet myśleć o jedzeniu, tak rano, zaraz po przebudzeniu, zawołałam:

– Głodna jestem!

Do sali wpadła z płaczem siostra Helena.

– Aniu, ty żyjesz! A ja się bałam do ciebie wejść, bo myślałam, że umarłaś.

Z każdym dniem odzyskiwałam siły. Poruszałam się na wózekczku, który odpychałam zdrową nogą. Jeździłam do małego Wiesia, któremu opowiadałam bajki, wreszcie powiedziałam tacie, że chcę do domu.

Rodzice z bratem mieszkali już wtedy przy Elektoralnej – u kolegi ojca ze Stanisławowa. Tata nie mógł pracować legalnie, bo jeszcze od Torunia był poszukiwany przez Niemców – mimo że przed opuszczeniem miasta kazał spalić wszystkie biurowe dokumenty, namierzyli go. Jeździł więc z tym swoim kolegą pod Warszawę po skórę, którą sprzedawali potem warszawskim szewcom. Aż raz Niemcy złapali takich jak oni pod Wawrem¹ i rozstrzelali, i skończyła się turystyka zarobkowa.

Rana po amputacji goiła się opornie, wreszcie dało się wyciąć bliznę i zaczęłam chodzić o kulach. Z czasem dostałam swoją pierwszą protezę – młodzieżową, bo miałam jeszcze urosnąć i trzeba by było ją wymienić. Stopa była zrobiona z filcu, by umożliwić zginanie, a wyżej był lej protezowy z tworzywa, w który wkładało się nogę aż po kolano. Błyskawicznie nauczyłam się w niej poruszać – jeździłam w niej nawet

na łyżwach. Jak to często z prowizorkami bywa, miała mi służyć przez kolejnych parę lat.

Na podwórku spotykaliśmy się z koleżeństwem, chodziliśmy do kościoła św. Antoniego. Przyszedł październik i powiało chłodem. Tata miał tylko garnitur, który cały czas nosił, tak samo brat, a ja z mamą – mój gimnazjalny płaszczyk na spółkę. Ojciec zdecydował o przeprowadzce do Radgoszczy pod Tarnowem – w rodzinne strony. Płakałyśmy z mamą, bo dobrze nam tu było, a brat, który sprzedawał papierosy w parku, powiedział, że ojciec jego kolegi zatrudni ich w Krakowie i da karty pracy. Mojemu tacie ten pomysł się nie podobał, ale nie zatrzymywał syna. Adam wpadł z kolegą w tym Krakowie i zostali wywiezieni do niemieckiej fabryki samolotów. My tymczasem zamieszkaliśmy w chałupce w Radgoszczy. Przyjaźniłam się z Zosią, siostrzenicą tamtejszego księdza dziekana. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, ile będę zawdzięczać jej siostrze Marylce, wywiezionej do Auschwitz.

Mieszkało nas tam kilkadziesiąt rodzin wysiedlonych z Poznania. Szkoły nie było, dlatego na własną rękę spotykaliśmy się, czytaliśmy, deklamowaliśmy wiersze, rozmawialiśmy, by całkiem rozumu nie stracić. Tata udzielał się przy wójcie, głównie tłumaczył pisma z niemieckiego, bo doskonale znał ten język. Po jakimś czasie jego samego na wójta chcieli wybrać. Mama błagała, żeby się nie zgodził, a on, że ludziom trzeba pomagać. Został więc tym wójtem, a jednocześnie działał w konspiracji. Dzięki państwowemu zajęciu znał z wyprzedzeniem listy osób przeznaczonych do wywózek i mógł je ostrzec. Jednemu z ukrywających się wyrobił fałszywą kenkartę, ale któryś z wysiedlonych poznaniaków na niego doniósł i ojciec wylądował w areszcie w Dąbrowie Tarnowskiej. Zostałam sama z mamą i pieskiem, którego wcześniej przygarnęliśmy.

Poszłam do inspektora niemieckiej policji. Znałam go jeszcze z Poznania, Szymański się nazywał, tyle że teraz wdział niemiecki mundur. Zapytałam, z jakiej racji ojciec jest przetrzymywany. Tyle mu marudziłam, że tata jest chory i musi brać leki, że zmiękł i zabrał mnie do Dąbrowy. Odwiedzałam ojca na tyle często, że klucznik mnie już rozpoznawał. Tacie donosiłam wieści z konspiracji, w którą byłam wtajemniczona. Przekazywałam mu też to, co Adam pisał w listach z Niemiec. Kiedy jeszcze tata był z nami, odpisywaliśmy bratu we troje.

Ostatni list był jednak nieco przygnębiający – Adam bardzo tęsknił, jednak bezskutecznie pisał pisma o urlop. Nie chciałam martwić tym taty i postanowiłam sama odpisać: co w domu, co u pieska, co piszą w gazetach i – na pocieszenie – że „na szczęście zbliża się już chwila wyzwolenia”. List wysłałam i na długo o nim zapomniałam. Jak się potem okazało, po drodze zmienił adresata. Diametralnie też zmieniło się przez to moje życie.



Nastoletnia Anna miała niezmiennie dobrą relację z rodzicami, tu z ojcem prawdopodobnie w czasie

okupacji.

Fot. Ośrodek KARTA

To był 1943 rok. Od jakiegoś czasu w naszej wiosce mieszkał Ukrainiec. Nosił brązowy garnitur, czarną koszulę i współpracował z Gestapo. Na plebanię przyszedł z pismem, że ma tu dostać pokój. Pewno został przysłany na przesłpiegi. Przyjaźniłam się z Zosią z plebanii i gdy raz po nią przyszłam, wyskoczył ten Ukrainiec.

– Wy dokąd? – zapytał, a my nic, bo co go to obchodzi.

Próbowaliśmy obejść go z lewej, z prawej, a ten ciągle zastępował nam drogę. Rozzłoszczony stanął przede mną i wrzasnął:

– No, mów, który to ksiądz jest twoim kochankiem!

Przed wojną kochanek to był zbrodniarz, ktoś wykluczony z życia towarzyskiego. Jak dotąd byłam opanowana, tak po tym oszczerstwie myślałam, że wylecę w powietrze. Coś mu odszczeknęłam, a ten na to:

– Czekaj, jeszcze popamiętasz!

Prychnęłam, obróciłam się na pięcie i poszłyśmy z Zosią do mnie na herbatę z jabłecznikiem.

W maju przyszedł list z Niemiec. Zastał mnie w gminie, gdzie zastępowałam ojca przy dokumentach. Kolega brata pisał, że Adam jest ciężko chory – miał grypę, wdało się zapalenie opon mózgowych i należy być przygotowanym na najgorsze. Ojciec w areszcie, co robić? Nie zdążyłam pomyśleć, gdy nagle przed moim biurkiem wyrosło kilku policjantów, w tym inspektor Szymański, i poprosili za sobą. Ucieszyłam się, bo myślałam, że wreszcie ruszyła sprawa ojca. Wypuszczą go i on już wymyśli, co z Adamem.

Adam ostatecznie z tego wyszedł, ale stracił słuch. A tak pięknie grał na skrzypcach! Nie urządzaliśmy już więcej domowych koncertów, na które mama przychodziła w fartuszkach i po otrzymaniu reprimendy

musiała się stosownie ubrać. Tata jeździł z bratem do laryngologa w Krakowie, ale uszkodzonego nerwu słuchowego nie dało się wyleczyć. Mimo to Adam zdał maturę, zatrudnił się u ojca, ożenił się, doczekał się dwóch synów, był też wziętym przewodnikiem górskim.

Nie mogłam o tym wszystkim wiedzieć, gdy policjanci prowadzili mnie z gminy do domu, prosto do mojej sypialni. Tam kazali wyciągać zeszyty i książki. Podawałam im je i wciąż myślałam, że chodzi o ojca. Nagle kazali mi się ubrać. Mimo że było ciepło, mama dała mi grube ubrania. Wyprowadzili mnie z domu, Szymański wziął mnie na bok i spytał szeptem, co nawywijałam. Ja mu na to, że nic.

– Coś musiałaś, skoro się tobą interesują.

– Mną? – zapytałam zaskoczona.

Ukradkiem pokazał mi nakaz aresztowania wydany przez Gestapo. Wzruszyłam ramionami, bo przecież nie miałam nic na sumieniu. Spytał, czy mam coś cennego, i zaproponował, że może przekazać to mojej mamie. Dałam mu medalik i rzeczywiście go przekazał.

Mnie tymczasem powieźli do aresztu w Dąbrowie Tarnowskiej. Znajomy klucznik ucieszył się na mój widok i już chciał ojca wołać, ale policjanci kazali mu zamknąć... mnie. Klucznik aż zbladł.

Były tam tylko dwie celki. W mojej siedziały już dwie kobiety. Po chwili usłyszałam szept ojca z sąsiedniej celi:

– Hanka, coś ty narobiła?

– Nic nie powiedziałam, nie zdradziłam – odrzekłam.

– Boże, co ta matka teraz sama robi – westchnął tata.

Wymieniliśmy jeszcze parę słów i na tym koniec.

W nocy śniło mi się, że ojciec gdzieś wychodzi, a ja wchodzę. O świcie – ohydny chrobot klucza w zamku. Kiedy drzwi się otworzyły,

zobaczyłam tatę rozmawiającego z mężczyzną w niemieckim mundurze. To był chyba Czech. Tata przekonywał go, że w moim przypadku zaszła pomyłka. Nie pomogło, zdołaliśmy tylko się uścisnąć, po czym ojciec wrócił do celi, a mnie wsadzono do samochodu. Siedziało w nim już trzech gestapowców. W milczeniu wieźli mnie nie wiadomo dokąd. Wreszcie rozpoznałam Tarnów. Przed kościołem mężczyźni wyszli z samochodu, a ja obmyślałam plan ucieczki i ukrycia się w klasztorze, ale zaraz wybiłam to sobie z głowy. Mnie by w końcu znaleźli, a tylko naraziłabym mamę albo ojca, których niechybnie ukarano by za mój wybryk.

Dotarliśmy w końcu do siedziby Gestapo, która mieściła się w budynku przedwojennego więzienia. Wtrącili mnie do kilkunastoosobowej celi – tłok, warunki okropne. Trzeba było uważać, z kim się rozmawia, bo zdarzali się szpicle. Wciąż zastanawiałam się, dlaczego tu jestem. „Mogę siedzieć – myślałam – tylko powiedzcie mi za co”. Po kilku dniach zostałam wezwana na przesłuchanie. Zaprowadzono mnie do pomieszczenia o zakratowanych oknach i kazano czekać. Na biurku spostrzegłam coś znajomego: to były moje zeszyty i... list, którego brat najwyraźniej nie dostał.

Drzwi się otworzyły i do pokoju przesłuchań wszedł ukraiński gestapowiec, którego znałam z naszej plebanii. Za nim dreptał urzędniczyna z maszyną do pisania pod pachą. Szybko dodałam dwa do dwóch: Ukraińiec był w tarnowskim Gestapo wielką figurą, a po tym, jak mu napyskowałam, kazał kontrolować moją korespondencję. Głupia nie byłam i uważałam, co piszę, ale okazało się, że podejrzenie wzbudziły słowa: „na szczęście zbliża się już chwila wyzwolenia”.

- Czy to twoje pismo? – zapytał, przywoławszy mnie ruchem palca.
- Moje – odpowiedziałam po spojrzeniu na list.
- Więc co to znaczy?

– Przecież pan mówi po polsku, to co tu tłumaczyć? – odparłam.

A ten w kółko: „co to znaczy?” i „co to znaczy?”. Wściekły usiadł za biurkiem i dalej wypytywał o stowarzyszenia w Radgoszczy, to mu zaczęłam wymieniać: kółko różańcowe, Sodalicja Mariańska...

– Prawdę mów – wrzeszczał – bo cię do Oświęcimia wyślę!

– Przecież tam są już ludzie, to nie będę sama – powiedziałam spokojnie.

Dalej mi groził, ale mnie to naprawdę nie poruszało. Wreszcie kazał mi się nachylić. Nachyliłam się więc i nagle poczułam cios. Od uderzenia w twarz straciłam przytomność i głowa opadła mi na biurko. Ogarnęła mnie ciemność. Gdy odzyskałam świadomość, nic nie widziałam, a policzek piekł jak od rozżarzonych igieł. Stopniowo obraz się rozjaśniał, ale nadal nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie jestem. Spojrzałam na kraty w oknach i pamięć wróciła. Przeniosłam wzrok na Ukraińca. Patrzyłam mu w oczy i myślałam: „Tyle razy w domu nabroiłam i nawet klapsa nie dostałam, a ty mnie w twarz? Słowa więcej nie powiem”. Podpisałam jeszcze protokół z przesłuchania, po czym mężczyźni wyszli, a mnie strażniczki zaprowadziły do celi.

Po kilku dniach przeniesiono mnie do innej izby więziennej. To była jedna z dwóch czteroosobowych cel sąsiadujących ze sobą. Spało się po dwie na jednej pryczy – mnie przydzielono do dwudziestopięcioletniej Jaśki z Jasła, cudownej siostry zakonnej. W celi obok siedziała Zofia Jarecka, dentystka z Rzeszowa, której mąż oficer był na froncie w Anglii. U nich w domu był punkt kontaktowy z Londynem i któryś z sąsiadów doniósł. „Ciotka” na nią mówiłyśmy. Pod pryczami była dziura w ścianie, która służyła nam do porozumiewania się. Ciotka opowiadała nam przez tę dziurę żydowskie dowcipy. A raz nawet przekazała nam przez nią jajecznicę. Jak zdołała ją usmażyć? Nie mam pojęcia.

Całodobowa beczynność była nieznośna. Śpiewaliśmy godzinki, ale ileż można się modlić? Po wojnie latami nie mogłam śpiewać godzinek. Człowiek nie wiedział, jaki jest dzień, która godzina. Podskakiwałam do zakratowanego okienka. Było przez nie widać domek na narzędzia z wąskim kominem, który w pogodne dni służył nam za zegar słoneczny.

Okazało się, że przez polską strażniczkę możemy otrzymywać bieliznę, jedzenie, a może coś jeszcze. „Kartki i ołówek!” – pomyślałam od razu. Zrobiłyśmy sobie karty do gry i wypełniałyśmy dni graniem, rysowaniem, pisaniem. Nadal jednak nie miałyśmy kontaktu ze światem zewnętrznym. Krążyły wieści, że skoro dawno nie było nowego transportu, to pewnie lada dzień partyzanci nas odbiją. Szykowałyśmy się na tych partyzantów – kręciłyśmy sobie loki na papilotach z papierków.

Nadszedł ostatni dzień czerwca 1943 roku. Po tym, jak usłyszałyśmy chrzęst zamka, zaczęły padać nazwiska, nasze też. Zebrano grupę szesnastu kobiet. Ja z Jaśką i Ciotką trzymałyśmy się razem. Mówili, że idziemy na dworzec, że po drodze mamy się nie rozglądać, do nikogo nie podchodzić i nie zagadywać. Maszerowałyśmy więc przez Tarnów, ludzie przystawali na nasz widok, ocierali łzy chusteczkami, a my się dziwiłyśmy, czemu nam współczują, skoro jesteśmy szczęśliwe – bo wreszcie na zewnątrz, na upragnionym słońcu, otoczone zielenią i oddychamy świeżym powietrzem.

Na dworcu stała już grupa mężczyzn. Wtłoczono nas do wagonu – ich po lewej, nas po prawej stronie – i przedzielono linką. Pilnowali nas niemieccy żołnierze. Dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Krakowa, gdzie przesiądziemy się do transportu do Oświęcimia. Pociąg zatrzymywał się na każdej stacji, a tam wystawiali członkowie rodzin z paczkami. Przychodzili codziennie w nadziei, że w transporcie znajdą bliskich i przekażą im dary. Czasem się doczekiwali, najczęściej jednak

nie, i wtedy przekazywali paczki komukolwiek z transportu. Tak i do nas trafiły paczki z prowiantem, którym zaraz się podzieliliśmy.

W Krakowie pociąg stanął na bocznym torze. Drzwi się otworzyły i niemiecki żołnierz powiedział, że jeśli ktoś ma tu rodzinę, to przez młodzież kręcącą się po dworcu może ją powiadomić o swoim pobycie, bo postoiemy jeszcze godzinę. Wiedziałam, że z KL Auschwitz będę mogła wysłać list dopiero po trzech miesiącach, a moi rodzice wciąż przecież nie wiedzą, co się ze mną dzieje. W Krakowie miałam ciotkę i kuzynkę, posłałam więc po nie na Topolową, pierwsze piętro, lewe drzwi. Kuzynka przybiegła błyskawicznie. Poprosiłam, by uspokoiła moich rodziców, że mam się dobrze i w obozie dam sobie radę. Uścisnęłyśmy się, po czym wagon podłączono do pośpiesznego jadącego do Oświęcimia.

Na miejscu mężczyzn skierowano do baraków, a kobiety czekały na transport do Birkenau. Nagle podszedł do nas jeden z żołnierzy, którzy nas pilnowali, i poprosił – tak! poprosił – byśmy nikomu nie mówiły, jak nas traktowali. A traktowali nas jak ludzi. Groziły im za to surowe kary.

Późnym popołudniem w końcu przyjechała buda i powiozła nas do kobiecego obozu. A tam kobiety chodziły, rozmawiały, niektóre nawet się śmiały.

„E, nie tak źle w tym Auschwitz” – pomyślałyśmy z Jaśką i Ciotką.

Ciężarówka wywiozła nas na puste pole z jednym barakiem, tak zwaną przejściówką, a tam: gliniane klepisko, jedna prycza pośrodku i deski pod ścianami, by przysiąść. I nic poza tym. Pod okiem Niemki miałyśmy tam doczekać rana. Nosiła na pasiaku zielony winkiel – znaczy, że złodziejka. Czerwony nosiły polityczne, a czarny – prostytutki. Nie chciało nam się z dziewczynami rozmawiać, siedziałyśmy więc i czekałyśmy. Aż podeszła do nas ta Niemka i pokazała na nasze pakunki z prowiantem.

– Jutro wam to wszystko zabiorą – powiedziała. – Dajcie mi to, a ja przechowam i jak tylko się dowiem, w którym jesteście bloku, to wam przyniosę.



*„E, nie tak źle w tym Auschwitz” – pomyślała Anna
Szałaśna, przekroczywszy bramę obozu.*

*Fot. Zbiory Muzeum KL Auschwitz (kadr z Kroniki
wyzwolenia KL Auschwitz)*

Pomyślałam, że skoro i tak mi zabiorą, to jej oddam. Inne kobiety się zawzięły – nie oddadzą jedzenia Niemce i koniec. W takiej sytuacji co to za różnica, komu się odda?

Rano wpadły niemieckie auzjerki, jak od niemieckiego *Aufseherin* mówiło się na dozorczynię².

– *Nach links!* – wrzasnęła jedna.

Gdyby ręką nie machnęła w lewo, nie wiedziałabym, o co jej chodzi. Ojciec przed wojną chciał mnie uczyć niemieckiego, ale ja wolałam już mandaryński. Teraz trochę pożałowałam. Stanęłyśmy w kolejce przed dwiema auzjerkami, z których jedna notowała w zeszytach kolejne numery, a druga to samo tatuowała nam na przedramionach. Do końca pobytu w obozie nie byłam już Anną Szałaśną, tylko numerem 47628. *Siebenundvierzigtausendsechshundertachtundzwanzig* – to była moja nowa tożsamość.

Tak oznakowane zostałyśmy poprowadzone przez cały obóz do murowanego budyneczku. Trupie czaszki na czapkach esesmanów rzucały się w oczy.

– *Ausziehen!* – wrzeszczeli, a my nic nie rozumiałyśmy.

Robiłyśmy to, co inne – te, co miały, zdejmowały pierścionki, łańcuszki, bransoletki; wszystko zabrali. I dalej krzyczą: „*Ausziehen!*”, to my zdejmujemy kurtki. A oni swoje: „*Alles ausziehen!*”. Zrozumiałyśmy, że mamy rozebrać się do naga. Przed tymi wszystkimi mężczyznami! Nie było czasu na myślenie o niewinności, czystości czy wstydzie. Krzyki i kolby karabinów odbierały jakąkolwiek skłonność do refleksji. Kiedy już stałyśmy jak nas Pan Bóg stworzył, kazali kolejno siadać na taboretach, przy których uwijały się trzy Żydówki – także więźniarki – z golarkami. Goliły wszędzie: na głowie, pod pachami, na dole. Ostrzyżone szły dalej, i tak znikły mi z oczu moje Jaśka i Ciotka. Usiadłam na taborecie i popędzałam Żydówkę, żeby strzygła, bo mi towarzyszki całkiem przepadną.

– Nie mogę – odrzekła Żydówka. – Masz takie piękne włosy.

– Tnij! – syknęłam, mocno już zniecierpliwiona.

– To ja zawołam koleżankę – rzuciła i odbiegła.

Ale i koleżanka zaczęła się użalać nad pięknymi włosami. Wreszcie podeszła Niemka i bez żadnych skrępowań ogoliła mi głowę. Tak byłam zajęta myślą o moich towarzyszkach, że podłoga pływająca we włosach, lokach i warkoczach chyba nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Weszłam do pomieszczenia i zaczęłam rozglądać się po tych nagusach, ale żadnej znajomej twarzy. Gula stanęła mi w gardle, bo co ja zrobię tu sama, aż słyszę:

– Haneczko, czemu do nas nie idziesz?

Golizna i brak włosów tak człowieka zmieniają, że nie poznałam swoich dziewczyn.



Choć Anna miała 17 lat, była przetrzymywana w części dla dorosłych obozu.

Fot. Zbiory Muzeum KL Auschwitz (kadr z Kroniki wyzwolenia KL Auschwitz)

Stałyśmy na kamiennej posadzce, z sufitu poleciała lodowata woda. To była kąpiel. Dostałyśmy jakiś papier do wytarcia się, a do ubrania: majtki i koszule z szarego płótna, na to pasiak, kurtkę i fartuch jak do stajni. A na głowy – trójkątne, płócienne chusteczki. Tylko ja nie otrzymałam drewnianych chodaków, bo ze względu na protezę musiałam mieć swoje buty. Niemcy znów rzucili jakąś komendę, z której wyłowiłam słowo „blok”. Wprowadzili nas do pomieszczenia, w którym panowały nieziemski harmider jakiegoś tysiąca osób, przepychanki i kłótnie w przeróżnych językach. Blokowe rozdzieliły mnie i Jaśkę, bo koje były pięcioosobowe i każda z nas miała dołączyć do już zajętych. Ciotka jako dentystka już wcześniej została przydzielona do innej grupy. Koje, w odróżnieniu od prycz, były to trzy „szuflady” jedna nad drugą o wymiarach dwa na dwa metry i wysokości jednego metra. Żeby na nich usiąść, trzeba było pochylić głowę i zgiąć grzbiet.

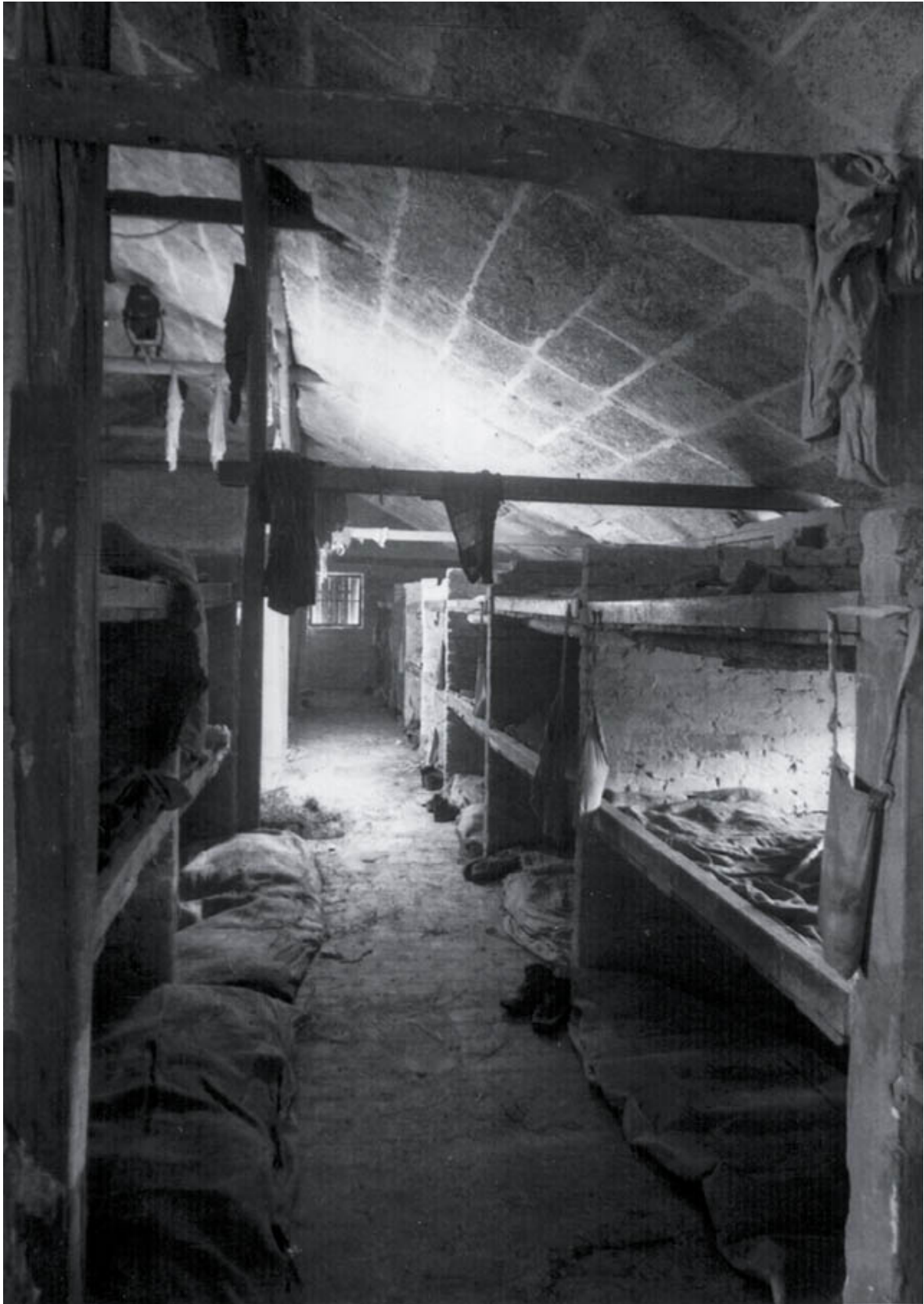
– My musimy być razem. – Patrzyłyśmy z Jaśką na blokową, chyba Słowaczkę, błagalnym wzrokiem.

– Ale ja już nie mam pustej koi – tłumaczyła się kobieta.

Rozejrzałam się i zawołałam:

– Tam! – I wskazałam miejsce na ziemi pod kojami.

W pięć osób spało się na sienniku wypchanym grochowiłą, czyli patykami z grochu, i jednej poduszce, przykrywało się jednym kocem. W tej ciasnocie przewracałyśmy się na drugi bok na trzy cztery. Nocnej bielizny, rzecz jasna, nie było, podobnie jak ręczników. Nawet miskę trzeba było sobie samemu skombinować, inaczej nie dostało się jedzenia.



*Wnętrze baraku na odcinku BI w KL Auschwitz II-
Birkenau.*

Fot. Zbiory Muzeum KL Auschwitz (fot. Stanisław Mucha)

Wszystkie te zabiegi trwały cały dzień – nie dostałyśmy wody i języki miałyśmy suche jak wiór. Nagle wjechał kocioł, na szczęście jakaś kobieta pożyczyła nam miskę. Gdy z niej piłyśmy, pilnowałyśmy, by nie uрониć ani kropelki.

– A gdzie tu się chodzi do pracy? – zapytałam starszych stażem więźniarek.

Okazało się, że pracuje się głównie w polu, a dociera się tam piechotą. „W ten sposób protezę zużyję w tydzień, a bez niej raz-dwa wyląduję w krematorium” – pomyślałam. „Kanada”, jak się mówiło na magazyn rzeczy po zagazowanych więźniach, pełna była protez takich jak moja. Zgłosiłam się więc do machania łopata na terenie obozu – ziemię z jednego miejsca przrzucano na taczki i przewoziło do innego, a kolejnego dnia na odwrót. Ta robota nikomu do niczego nie była potrzebna, chodziło o zamęczenie ludzi i o to, by hasło *Arbeit macht frei* stało się zadość.

Pracowało się cały dzień z jedną króciutką przerwą. Zjadłam wtedy przydzielony chleb i gdy wieczorem rozdawano zupę, znów nie miałam miski ani kubka. Nagle spostrzegłam Niemkę z zielonym winklem idącą w moim kierunku. Lekko się uśmiechnęła i wyciągnęła spod pasiaka mój prowiant, który dwa dni wcześniej dałam jej na przechowanie: chleb, cukier. Chciałam się z nią podzielić, ale ona kategorycznie odmówiła i znikła. Potem dopiero przyjdzie mi się przekonać, że niemieckie więźniarki, które z założenia miały w obozie lepiej, najczęściej rekrutowały się spośród kryminalistek i prostytutek. Kradły innym więźniarkom paczki, bo swoich nie dostawały, a dla przywilejów gotowe były okazać wszelką brutalność. Ale ta była inna.



Niemcy wysyłali do Rzeszy nie tylko odzież, obuwie i rzeczy osobiste zrabowane więźniom, ale także protezy pomordowanych. Annie udało się uniknąć podobnego losu.

Fot. Zbiory Muzeum KL Auschwitz (fot. Paweł Sawicki)

Kiedy się otrząsnęłam, zaczęłam kombinować, gdzie przechować nagle odzyskany prowiant, bo przy sobie nie wolno było nic mieć. Blokowa włożyła zawiniątko do jakiejś kryjówki i powiedziała:

– Jak będziesz chciała, Aniczka, to sobie weźmiesz.

Dobra to była kobieta, a trafić w obozie na blokową, która nie wyzywała, nie biła, nie okradała, było niełatwo.

Rozkazom i nakazom podlegać miały także procesy fizjologiczne. Po pierwszym porannym gwizdku więźniarki wbiegały do hali z dziurami w podłodze, służącymi za WC. Która zdążyła usiąść nad dziurą, miała i szczęście, i pecha, bo te, co nie zdążyły, sikały nad nimi. Wrzaski,

kłótnie, upodlenie. I tylko *Schneller, schneller*. Zgodnie z założeniem Niemców musiałyśmy się ograniczyć do trzech pośpiesznych wizyt w latrynie dziennie. Biologia omijała jednak zakazy i zwłaszcza chorym na *Durchfall* zdarzało się popuścić w nieustawowym terminie. Stał człowiek, dajmy na to, na apelu, i nawet nie czuł, że leje się z niego zielona, cuchnąca ciecz.

Durchfall to rodzaj choroby głodowej, jednej z wielu toczących więźniarki. Poza tym wiele kobiet nie miało miesiączki zarówno podczas pobytu w obozie, jak i długo po wyjściu. To pewnie kwestia niedożywienia i wycieńczenia, ale także dosypywanych do jedzenia saletry i salicylu na obniżenie popędu płciowego. Znajomi, którzy przeszli przez obóz, a po wojnie się pobrali, byli nieuleczalnie bezpłodni. Lekarz powiedział, że gdyby choć jedno z nich nie doświadczyło warunków obozowych, byłaby szansa na dziecko. To była polityka niemiecka – wybić Polaków, którzy żyją, i nie dopuścić do urodzenia się kolejnych pokoleń.

Ja mam jednak zupełnie inne wspomnienie związane z „łazienką” w Auschwitz. Któregoś dnia koło baraku podeszła do mnie więźniarka i wyciągnęła do mnie rękę.

- Chcesz? – zapytała i pokazała różaniec leżący w otwartej garści.
- Chciałabym, ale nie mam ci czym zapłacić – odpowiedziałam.
- Ja nie chcę zapłaty – odparła i odeszła.

Różaniec szybko założyłam na szyję i schowałam pod pasiak – za posiadanie czegokolwiek, a tym bardziej dewocjonaliów, można było ponieść surową karę. Byłam szczęśliwa, że mam coś swojego, a nie tylko numer na przedramieniu, i że jest to właśnie różaniec. Kilka dni później przechodziłam koło budynku sanitarnego i zobaczyłam otwarte drzwi. W czasie, gdy korzystali z niego więźniowie, w kranach nie było wody, dlatego przyszło mi do głowy, że może w ciągu dnia będzie. Weszłam,

odkręciłam kurek i... poleciała woda. Błyskawicznie się rozebrałam, a różaniec odwiesiłam na sąsiedni kran. Cóż to była za rozkosz, co za szczęście, jak dobrze się było ochlapać!

Nagle usłyszałam zbliżające się kroki. Podniosłam głowę i zobaczyłam Niemkę zdążającą w moim kierunku z drągiem w ręce. Chwyciłam tylko ubranie i wyleciałam goluteńka. A różaniec został. Wieczorem siedziałam na koi i rozmyślałam, co też mi strzeliło do głowy z tą kąpielą. Po co mi to było? Tylko różaniec straciłam. Sąsiadka – pani Paszkowa – przyglądała mi się i w końcu spytała:

– Haneczko, czemuś taka smutna? Boli cię co? Chora jesteś? Powiedz, będziemy szukać ratunku. – Opowiedziałam jej więc historię z różańcem, okraszoną wyrzutami sumienia, a ona położyła mi rękę na kolanie. – Haneczko, a ty bez różańca nie będziesz się modlić?

– No co też, pani Paszkowa, pewnie, że będę – odpowiedziałam.

– No widzisz, a może ktoś, kto był już u kresu sił, znalazł ten twój różaniec i on tego kogoś pokrzepił? Przecież on mu uratował życie.

Na zawsze zapamiętałam te słowa. Kiedy zdarzyło mi się zgubić medalik czy obrazek, przypominałam sobie tę sytuację.

W Auschwitz była pewna więźniarka – chodziła i rozdawała różańce, które robiła z głodowych porcji swojego czarnego chleba. Nie wiem, skąd miała nitkę. Potem się dowiedziałam, że to była Helena Dylewska, rzeźbiarka.

A z religijnością w obozie było różnie. Bywało, że pobożni mówili: „Gdyby Bóg istniał, nie dopuściłby do tego”, i odchodzili od wiary. Bywało też, że niewierzący dochodzili do wniosku, że wszystko to nie dzieje się ot tak sobie, ale musi mieć jakiś cel. Że Ktoś musi być ponad tym. I się nawracali.

A może było inaczej: piekło zaistniało na ziemi, bo usunięto z niej Boga i podeptano Jego prawa?

We wspomnieniach z pobytu w Birkenau Zofia Kossak cytowała bł. Annę Katarzynę Emmerich, która przepowiedziała, że w połowie XX wieku Szatan zerwie się z łańcucha i na jakiś czas zapanuje nad światem. Kobiety, które walczyły o życie, wiedziały, że mierzą się z samym władcą piekieł. Zofia Kossak tak spuentowała swoje przeżycia obozowe: „Bóg na to pozwolił niektórym ludziom oglądać piekło na ziemi i wrócić, by dali świadectwo prawdzie”.

Niektóre kobiety wierzyły, że żyją dzięki modlitwie bliskich na wolności. Inne ofiarowały cierpienie na odkupienie swoich i cudzych win, nadały temu cierpieniu sens. Mnie pytają czasem, czy modliłam się, by przetrwać. W końcu tylu zdrowych umarło, a ja bez nogi przeszłam przez dwa obozy. Owszem, modliłam się, ale nie za siebie. Prosiłam: „Boże, jeśli umrę, to świat się nie zawali. Ale co wtedy zrobią moi rodzice? Panie Boże, jeśli taka Twoja wola, dla nich mnie ocal. Jeśli mnie stąd wyciągniesz, to Ci kościół wybuduję”.

Wiary raczej nie wyniosłam z domu. Owszem, w centralnym miejscu wisiał obraz Matki Bożej, z mamą chodziłyśmy do kościoła, ale tata już od niego stronił. Nie znaczy, że nie wierzył. Mierziło go, że prosty chłop nie może usiąść przed ołtarzem, bo to miejsce zarezerwowane dla inteligentów. Praktykował więc po swojemu, to on zresztą nauczył mnie pacierza. Jeszcze w Stanisławowie zaciągnęłam rodziców na majowe, chciałam być jak inne dziewczynki siedzące wzdłuż ołtarza z liliami. Ale rodzice nie podzielali mojego entuzjazmu, może się bali, że jak się mocniej zaangażuję, to jeszcze zakonnica zostanę.

W obozie wiary dodawali często współwięźniowie. Taka Ciotka, z którą przyjechałam do Auschwitz z Tarnowa, wszystkich podnosiła na duchu. Aż któregoś dnia usłyszałam, że wylądowała na rewirze. „Rewir”

mówiło się na szpital, ale nie leczono tam pacjentów. To była umieralnia, przedsionek krematorium. Pobiegłam więc do Ciotki, bo musiało być z nią naprawdę źle, skoro się tam znalazła. Nagle się potknęłam. Spojrzałam, a tam zamrożony trup. Za chwilę kolejny. Nie nadawali wynosić zwłok, i tak zamarzały w zimie. Doszłam wreszcie do bloku szpitalnego i zaczęłam wyglądać Ciotki.

– Kochana Ciotko! – Podbiegłam do niej, gdy ją spostrzegłam. – Przecież ty nie możesz być chora!

Próbowałam ją rozweselić, jak ona nas w więzieniu Gestapo żydowskimi dowcipami, ale na jej twarzy był tylko mrok.

– Dziękuję, żeś przyszła. – Słowa były ledwie słyszalne, suche.

Większość ludzi w Auschwitz nie umierała na tyfusy i *Durchfalle*, tylko z przygnębienia i beznadziei. I tak też było z Ciotką, która dowiedziała się o śmierci męża na angielskim froncie. Nie miała już siły walczyć o przeżycie i organizm się poddał.

Któregoś dnia po przebudzeniu poczułam, że moja głowa zaraz rozpadnie się na kawałki. Nie było mowy o kopaniu ziemi, ból był potworny, a w baraku przecież zostać nie mogłam. Blokowa odesłała mnie do ambulatorium. Służbę pełniła tam cudowna pani Monika z Poznania, która uratowała dziesiątki osób. Powiedziałam jej o głowie, a ona podała mi termometr, żebym zmierzyła temperaturę, zanim przyjdzie niemiecka lekarka. Desperatów zgłaszających się na rewir niemiecki personel traktował jak symulantów uchylających się od pracy. Dowodem choroby miała być jedynie gorączka powyżej trzydziestu dziewięciu i pół stopnia Celsjusza.

Ja zwykle chorowałam bezgorączkowo, więc temperaturę nabiłam sobie sama, przez pocieranie materiałem końcówki termometru z rtęcią. Okazała się wystarczająca do wysłania na rewir. Wylądowałam na nim bez badania, bez wywiadu. O leczeniu tym bardziej nie było mowy: na

trzystu chorych w rewirze przypadał jeden lekarz, a na sześciuset chorych w bloku – dziesięć pastylek aspiryny, dziesięć porcji proszku na przeczyszczenie i kilka papierowych bandaży. Przychodziło się z jednym bakcylem, a chwilę później łąpało się pakiet innych, bo chore zakaźnie leżały razem z chorymi na zapalenie płuc, a nawet położnicami. Pożytek z tego tylko taki, że nie musiałam wystawać na apelu. A jakby przyszło umierać, to przynajmniej na leżąco, nie na stojąco na placu apelowym lub przy robocie.

Bloków rewirowych było osiem, może dziewięć. Od „normalnych” odróżniało je to, że tam więzień dysponował przestrzenią półtora metra, a tu miał dla siebie sześćdziesiąt centymetrów. Także piec służący za suszarnię, ciągnący się przez środek baraku, stół dla pielęgniarek oraz miejsce operacji czy przyjmowania porodów był opalany.

Którejś nocy ból stał się nie do wytrzymania. Krzyczałam. A to „leczono” w jeden sposób: wchodził Niemiec, rąbnął kolbą karabinu w głowę i po krzyku. Współwięźniarka pobiegła po polską lekarkę, która dała mi zastrzyk. Nie wiem, co w nim było ani skąd go wzięła. Po wojnie dowiedziałam się, że polskie lekarki wymieniały dary z własnych paczek na lekarstwa dla chorych. Wtedy najważniejsze było dla mnie to, że ból minął. Nigdy nie dowiedziałam się, co mi było.

Po powrocie z rewiru nie spotkałam już na bloku mojej Jaśki. Na pryczę pod żarówką przygarnęły mnie Gienia i Bronia z Łodzi, z którymi odtąd byłyśmy jak siostry. Zbliżała się Wigilia. Codziennie odkładałyśmy po troszku chleba, którym miałyśmy się podzielić. Ale podczas wigilii wypadałoby przekąsić coś ciepłego. Pobiegłam do kuchni, w której pracowała Marylka – siostra Zosi z plebanii w Radgoszczy. Powiedziała, żebym wpadła wieczorem, bo będzie miała kapustę. Napchała mi tej gorącej kapusty do kieszeni, bo w rękach nie wolno było nic nosić. Przeszczęśliwa szłam z tą kapustą do baraku, kiedy nagle wyrósł przede mną Taube. Był zastępcą komendanta obozu

i psychopatą. Przechwalał się, że tylko pięścią i butem zabił kilka tysięcy kobiet, a pozostałe kilkadziesiąt tysięcy „swoją mocą” wysłał na śmierć. Gdybym tylko dała po sobie poznać, że się boję, dołączyłabym do tego grona. Natychmiast więc przyoblekłam się w świąteczny uśmiech i minęłam go pewnym krokiem. Powieka mi nawet nie drgnęła. Udało się!

W baraku przy chlebkę zamiast opłatka wspominałyśmy rodziców i domy, posiliłyśmy się kapustą, aż tu nagle ryk z głośników: *Stile Nacht, heilige Nacht*. Zamarłyśmy. Ludzie tysiącami umierali z głodu, ogień z krematoriów buchał bez przerwy, a ci o „świętej nocy” ... Jeszcze przez kilka lat po wojnie natychmiast wychodziłam, gdy tylko słyszałam w kościele *Cichą noc*.



*Podczas gdy ludzie ginęli tysiącami, Niemcy w czasie świąt Bożego Narodzenia wystawiali choinkę i śpiewali *Stile Nacht*. Na zdjęciu: choinka ustawiona przed blokiem 15 obozu macierzystego, obok więźniowie z komanda*

transportowego (Rollwagenkommando).

Fot. Zbiory Muzeum KL Auschwitz (fot. Stanisław Mucha)

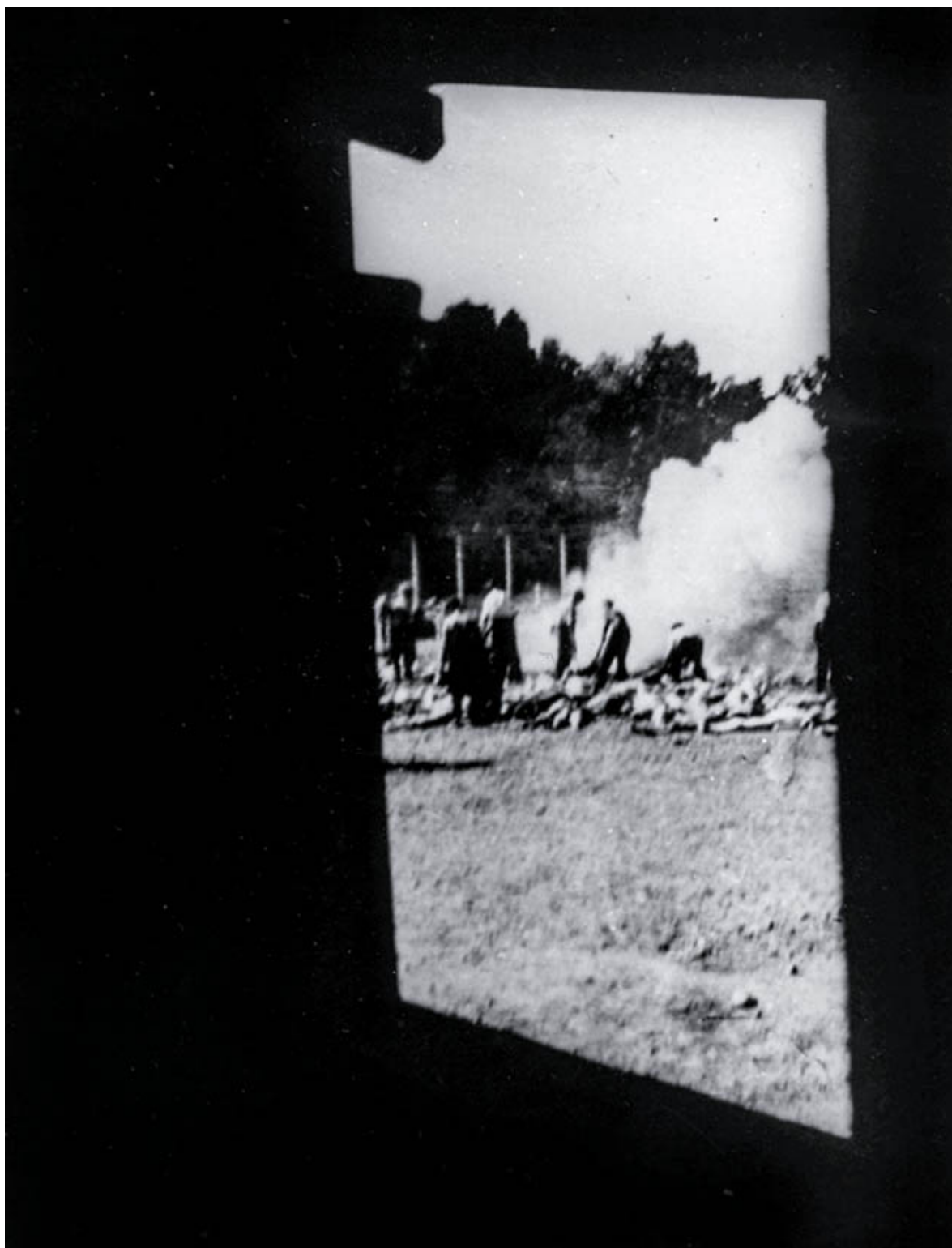
Było zimno. Pod pasyaki wkładałyśmy papiery z paczek, żeby choć trochę chroniły przed chłodem, i poruszałyśmy się ostrożnie, by nie szeleściły. Udało mi się zamienić pracę przy łopacie na cerowanie pasiaków – praca dobra, bo pod dachem, na siedząco, w ciepłe. Pasiaki śmierdziały nieziemsko, bo nie były prane, ale płukane w jakimś roztworze. Odór łączył się ze świadomością, że te ubrania nosili ci, których nie ma już wśród żywych. Ta świadomość była nie do zniesienia, wolałam już machać łopata. Nadal jednak wykańczały mnie apele – nie tylko z powodu zimna. Prowizoryczna proteza już się zużyła, była przymała i niestabilna.

Pani Monika z ambulatorium kazała mi przyjść na rewir. Leżałam na środkowej pryczy z jedną, czasem dwiema chorymi „po królewsku” – czyli z głową w nogach drugiej. Każdej nocy budził mnie stukot, jakby deszcz padał na blaszany dach. W dzień wyglądałam na zewnątrz, ale po deszczu ani śladu. Przyszedł marzec. Pewnego dnia ogłosili blocksperrę, czyli zakaz opuszczania bloku. Która mogła, rzuciła się do szpar w drewnianych ścianach, by podglądać. I nagle świst pociągu. Skąd pociąg, skoro tory tu nie dochodziły? Tak nam się przynajmniej zdawało. Okazało się, że to nocne stukanie dobiegało z budowy torów, które pociągnięto od Oświęcimia po same baraki.

Wzdłuż pociągów chodzili gestapowcy z psami i pejczami. Otwierali drzwi wagonów towarowych, wyciągali ludzi. Kobietom od razu wyrywali dzieci i wrzucali je do wora. Chyba że były bliźniaki, to szły na eksperymenty. Kobiety na lewo, mężczyźni na prawo. Krzyk, płacz. Kolejnego dnia znów zakaz opuszczania bloku i kolejny pociąg. Transporty przychodziły odtąd co dwa, trzy dni, więc już nawet nie zakazywano nam wychodzenia. To były transporty bogatych węgierskich Żydów. Zabrali ze sobą towar i kosztowności, bo mieli być wywiezieni

w miejsce oddalone od wojennej zawieruchy, gdzie mogliby spokojnie handlować. Z taką świadomością sami, bez zachęty wsiadali do pociągów.

Jednej nocy zrobiło mi się na tyle duszno, że postanowiłam zaryzykować i choć wystawić głowę na zewnątrz, bo wychodzenie nocą było zabronione. Cichutko uchyliłam drzwi i stanęłam przy ścianie bloku, by nie oświetlił mnie reflektor z wieżyczki strażniczej. Oddychałam głęboko, ale wcale nie było mi lepiej, przeciwnie – ta sama duchota, co w baraku. Spojrzałam przed siebie, a tam płonął wielki ogień. Jakby miasto się paliło, a przecież w okolicy nie miało się co palić. Poczułam odór palonych kości. Potem dowiedziałam się, że młodych i zdrowych mężczyzn z żydowskiego transportu odsyłano do pracy, a starych i niedołężnych pędzono w mgłę. To była sztuczna mgła, którą Niemcy rozpylali nad potężnym rowem. Mężczyźni nie wiedzieli, że pali się w nim ogień i że do niego wpadną. Tak Niemcy radzili sobie, gdy krematoria nie nadążały z pracą. Gdy to usłyszałam, przed oczami stanął mi widok ciężarówek z więźniarkami dźwigającymi naręcza świerkowych gałązek. Dotąd zastanawiałam się, do czego w obozie miały służyć gałęzie z lasu. Teraz już wiedziałam.



Gdy krematoria nie nadążały z paleniem zwłok, Niemcy palili je na placu. Anna Szałaśna widziała także, jak palili ludzi żywcem w dołach. Fotografie przedstawiającą spalanie zwłok ofiar masowej zagłady w KL Auschwitz II-

Birkenau wykonali nielegalnie członkowie

Sonderkommando w 1944 roku.

Fot. Zbiory Muzeum KL Auschwitz (fot. Stanisław Mucha)

Na rewirze nie mogłam leżeć w nieskończoność, bo tam na wolne miejsce dosłownie czyhały kolejne potrzebujące. Pani Monika przysłała do mnie na blok i powiedziała, że da mi Schonung Karte, czyli kartę wypoczynkową. Nikt wcześniej o tym nie słyszał. Pani Monika wprowadziła takie rozwiązanie z myślą o mnie i mnie jako pierwszej tę kartę wręczyła. Po mnie podobny dokument o przebytej chorobie, która nie pozwalała jeszcze wrócić do pracy, otrzymało wielu starych, chorych, niemogących ustać więźniów. Do swojego wynalazku przekonała Niemców tym, że w baraku więzień szybciej wróci do sprawności, a jeśli podczas apelu zostawi się otwarte drzwi, będzie można go policzyć. Uratowało mnie to przed staniem na apelach, zabójczym z powodu protezy.

Raz jednak poszłam na apel. Było to na przedwiośniu. Wcześniej do naszej pryczy dołączyła Czesia, która już przed wojną cierpiała na sztywność nogi. Kasłała i ciepło biło od niej jak od piecyka, zaproponowałam jej więc, że zastąpię ją na apelu. Przecież dowodów nikt tam nie sprawdzał, liczyła się sztuka. Stałam więc w jednym z pięciu rzędów – nieruchomo, bo nie wolno się odwracać, nie mówiąc o rozmawianiu – i myślałam, jak to długo już udawało mi się unikać tej udręki. Niemcy nas już policzyli, a my stałyśmy i stałyśmy. Nagle pod blok zajechał dżip, do którego blokowa prowadziła Janeczkę. Janeczkę wywieziono do Auschwitz razem z mężem jako politycznych. Jako polscy patrioci byli dla Niemców szczególnie „groźni”, strzeżono ich więc jak oka w głowie i nie wypuszczano do pracy, by nie uciekli. Wszystko tylko po to, by wsadzić ich teraz do tego dżipa, zawieźć do bunkra i rozstrzelać. A mnie widać dane było ten jeden raz przyjść na apel, by to zobaczyć.

Janeczkę znałam dobrze, bo pomagała mi pisać listy. Należało pisać po niemiecku, bo listy przechodziły przez cenzurę, i wyłącznie dobre rzeczy: że tu dobrze, jeść dają, praca nie męczy, ciepło jest i nie choruję. Szwargotanie z auzjerką to co innego, pisanie mi nie szło. Siedziała Janeczka i pisała ludziom te listy – choć na tyle mogła się przydać w obozie. Listy można było wysyłać wyłącznie na specjalnych blankietach, które zdobywało się za chleb. Jako pierwsza sprawdzała je blokowa, jako druga – postcenzura. Wiele listów odpadało, a pisać można było raz na miesiąc. Podobnie było z otrzymywaną korespondencją.

Z równie wielką nadzieją, co na listy, czekało się na paczki. Nasłuchiwało się swojego numeru przez megafon, a gdy trzymało się upragniony dar, człowiek przypominał sobie, że jest nie tylko numerem. Latem 1944 roku zamiast paczek przyszedł komunikat, że ci, którzy mają rodzinę na wschód od Krakowa, nie mogą więcej ani pisać, ani otrzymywać korespondencji. Niemcy przemilczeli, rzecz jasna, powód, a było nim zbliżanie się tam frontu. Straciłam kontakt z rodziną, odzyskam go dopiero pod koniec 1945 roku. Kilka dni potem ogłosili, że młode i zdrowe, które chcą zmienić miejsce pobytu, mogą się zgłosić. Zbiórka przy saunie, znaczy obozowej łaźni. Naradzałyśmy się z Bronią i Gienią: zwozili kolejne transporty z powstania warszawskiego, Armia Czerwona się zbliżała, przecież Niemcy nie otworzą nagle bram obozu i nie wypuszczą nas po dobroci, tylko zagazują. Może więc lepiej jechać?

W saunie kłębiło się już od „młodych i zdrowych”. Jak zawsze w takich sytuacjach trzeba się było rozebrać do naga, ubranie przewiesić przez prawą rękę, a lewą z numerem mieć odsłoniętą. Tępienie uczucia wstydu było przez Niemców uznawane za pierwszy stopień do odczłowieczenia więźniarek. Zaczynało się od pierwszej „sauny”. Potem bez ubrania szło się nie tylko pod prysznic, lecz także z bloku do łaźni i z

powrotem. Nago oczekiwano się na lekarza, nago leżało się przez cały pobyt na rewirze. Apogeum „odwstydzania” Niemcy osiągnęli latem 1943 roku, podczas akcji odwszawiania – gdy dezynfekowano nasze pasiaki w wielkich kadziach, my przez całą dobę chodziłyśmy nago i nie mogłyśmy wchodzić do bloku. Potem porozkładali nam te kilka tysięcy sztuk odzieży na placu i szukaj tu swojej!

Z innymi „młodymi i zdrowymi” stałam na golasa w kolejce do być może lepszego świata, a kwalifikował do niego lekarz. Jak ognia unikałam niemieckich znachorów, którzy raz-dwa wysłaliby mnie do gazu, gdyby tylko dostrzegli moją ułomność. Kiedy tylko mnie zobaczył, wściekł się, bo czymś mu kiedyś podpadłam i mnie zapamiętał. Zaczął krzyczeć, że co ja tu robię, co ja sobie wyobrażam i że on mnie zaraz... Czmychnęłam na koniec kolejki, zostawiłam moje Gienię i Bronię. Zaraz wciągnął mnie tłumek kobiet, które mnie osłoniły.

– Podejźmy do niego z lewej strony – zaproponowały mi – zagadamy go, odwrócimy jego uwagę, a ty przeleczisz z prawej i wsiądziesz do ciężarówki.

Udało się. Znów mi się upiekło. Jechałyśmy. Po kilkudziesięciu godzinach byłyśmy w Ravensbrück.

Niemcy założyli obóz w Ravensbrück w 1938 roku dla swoich kobiet: politycznych, kryminalistek, świadków Jehowy, lesbijek i prostytutek. Przewidziany na piętnaście tysięcy osób, był rozbudowywany, a w okolicy postawiono hale produkcyjne, w których więźniarki pracowały jak niewolnice. Gdy tam jechałyśmy, nie wiedziałyśmy jeszcze o pseudomedycznych eksperymentach, którym niemieccy lekarze poddawali głównie Polki, o sterylizowaniu kobiet romskich i Sinti czy o wstrzykiwaniu więźniarkom bakterii. Nie wiedziałyśmy, że z uwięzionych tam czterdziestu tysięcy Polek, głównie działających w Armii Krajowej, przeżyje ledwie osiem tysięcy. Nie wiedziałyśmy też,

że mimo takiej ofiary Polki doczekają się tablicy upamiętniającej ich martyrologię dopiero w 1996 roku.

Po Auschwitz Ravensbrück jawił nam się jako luksusowy hotel – bloki miały okna, na pryczach leżała pościel i spało się na nich pojedynczo, obok stała szafka na rzeczy osobiste. W bloku z umywalnią była woda, a jedzenie okazało się zjadliwe. Było po ludzku. Ale nie zapominajmy, że to jednak obóz, a „młode i zdrowe” z Auschwitz przyjechały tu, by swą pracą budować potęgę niemieckiego przemysłu.

Którejś nocy w bloku zapaliło się światło, a w drzwiach stanęła auzjerka i zaczęła wyczytywać numery. Wyczytała numer Gieni, wyczytała numer Broni, dziewczyny podeszły więc do niej i z całą resztą wyczytanych szykowały się do wyjścia.

– Zaraz, a ja? – krzyknęłam i podbiegłam do auzjerki. – My jesteśmy siostry, na tej liście na pewno jest i mój numer.

Sprawdziła nawet, ale mojego numeru rzeczywiście tam nie było. Wściekła zgasiła światło, zatrzasnęła drzwi, a ja wróciłam na pryczę jak ta sierota i szykowałam się na śmierć. Po dwóch dniach wywołano wreszcie i mój numer – poszłam do fabryki Siemens, gdzie robiłyśmy części do niemieckich samolotów. Tych, które spuszczały bomby na polskie i europejskie miasta. Ale czy miałam wybór? Bronia i Gienia wystarały się dla mnie o pracę pod dachem, a nie w polu czy w lesie, i byłam im za to bardzo wdzięczna. Siadałam co dzień na wysokim krzeselku i łączyłam oraz rozłączałam druciki grubości włosa. Trwale zepsułam sobie wzrok, ale przeżyłam.

Dotarcie z obozu do fabryki zabierało tyle czasu, który można było poświęcić na pracę, że władze obozu zdecydowały się przenieść pracownice bliżej hali produkcyjnej. Dziesięć kilkudziesięcioosobowych domków dostały między innymi Czeszki, Francuzki, Holenderki i Polki. Mieszkałyśmy we trzydzieści, a więc kameralnie. Z okien było widać

drzewa i polany. I co najważniejsze – rano nie wystawaliśmy na apelu, tylko od razu szliśmy ścieżką do fabryki.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Tradycyjnie odpowiednio wcześniej gromadziłyśmy chleb, który miał zastąpić opłatek, i tylko choineczki nam brakowało. Jakieś dziewczyny zorganizowały drzewko, inne przyniosły z fabryki srebrne folijki, a dwie rzeźbiarki obecne wśród nas zrobiły z tych folijek gwiazdy. Po zjedzeniu wieczornego posiłku zebrałyśmy się w półkolu: modliłyśmy się, dzieliłyśmy chlebkiem. Wreszcie jak nie gruchnęłyśmy: „Gdy się Chrystus rodzi!”. Nagle drzwi gwałtownie się otworzyły i stanęło w nich dwóch niemieckich żołnierzy.

Zapadła grobowa cisza. Struchlałyśmy, a oni wodzili po nas wzrokiem. Stałam najbliżej jednego z nich, przyglądałam mu się i myślałam: „Przecież twoja rodzina też się teraz dzieli opłatkiem gdzieś daleko stąd, myśli o tobie. Co nam chcecie zrobić? I za co?”. A ci stali i dalej patrzyli. Wydawało się, że trwa to wieczność. W pewnym momencie dostrzegłam, że temu obok mnie oko się zaszklilo. Żołnierze spojrzeli tylko po sobie i jak gwałtownie wtargnęli, tak szybko się stąd zabrali. Rzucili tylko *weitermachen*, czyli „kontynuujcie”. Myśleli pewnie, że ten gromki okrzyk to jakaś kłótnia, i przyszli interweniować. Tak czy siak, nerwy były takie, że odechciało nam się świętowania, opadłyśmy na prycze i zasnęłyśmy.

Nazajutrz – pierwszego dnia świąt – młody kierownik podobozu, kształcony ponoć pod Warszawą, kazał wyprowadzić wszystkie Polki. Nie Czeszki, Francuzki czy Holenderki, ale Polki. Wyszłyśmy więc. Zimno, deszcz, błoto, a my stoimy. Stoimy i stoimy. Bo tak sobie komendant wymyślił. Przebieramy nogami, tupiemy, wreszcie któraś mówi, że musi do toalety. Poszła i nie wraca. To kolejna zgłasza się za potrzebą. Ściemniało się, gdy już prawie żadna na placu nie została. Przecież auzjerce też się nie uśmiechało stać w tej brei. I jakoś się rozeszło.

O ile cel tego „apelu” pozostał dla nas niejasny – ale w końcu kto Niemcowi zabroni? – o tyle cel kolejnego zgromadzenia nie pozostawiał złudzeń. Na plac apelowy w obozie głównym zwołano wszystkie więźniarki, w tym króliczki – jak mówiło się na człapiące kobiety z dziurami w nogach, poddawane pseudoeksperymentom medycznym. Ogłoszono, że kalekim jako rekompensatę za uszczerbek na zdrowiu oferuje się wyjazd do sanatorium. Chętne miały się stawić tu i tu, tego a tego dnia. Nie przyszła żadna. Było jasne, że zbliża się front, Niemcom pali się grunt pod nogami i będą zacierać ślady swej zbrodniczej działalności. Zaczęli od polowania na króliczki, których w obozie żyło jeszcze kilkadziesiąt. Chcieli je wyłapywać, ale one się chowały: w szafie, pod materacem, codziennie gdzie indziej. Raz nawet ukryły się w kotłach na posiłki, które rozwoziły rosyjskie oficerki z obozu jenieckiego. Zaproponowały króliczkom kryjówkę, a potem woziły je po obozie niby jedzenie, aż Niemcy zaprzestali poszukiwań. Ale nie zaprzestali na długo.

Któregoś dnia wymyślili apel gęsiego. W czasie takiej „parady” kulawe nie miały szans umknąć uwadze esesmanów. Wśród tych, którzy ją odbierali, była zastępczyni kierownika obozu. Kiedy tylko ją zobaczyłam, przypomniałam sobie, jak mnie kiedyś zaczepiła. Wskazała wówczas na moją sukienkę z pasem wymalowanym farbą olejną – bo w Ravensbrück chodziło się w cywilnych ubraniach po zmarłych więźniach – i powiedziała, żebym się do niej zgłosiła po ciepły płaszcz. Okazało się potem, że nie tylko mnie pomogła. Podczas obławy na króliczki zagadywała żołnierzy z tego osobliwego „jury”, gdy tylko z daleka dostrzegała inwalidkę, dopóki ta nie przeszła. Dzięki temu i mnie udało się uniknąć wyjazdu do sanatorium, w którym leczyli cyklonem B.

Pewnego dnia kobiety pracujące w lesie przy stacji kolejowej przyniosły sensacyjną wiadomość o rzekomo widzianych tam

szwedzkich oficerach, którzy przyjechali zabrać Polki do Szwecji. Na tę wieść wszystkie wybuchłyśmy śmiechem. Jakiś czas później jednak informacja o Szwedach do nas wróciła i śmiałyśmy się już mniej. W styczniu 1945 roku z powrotem przenieśli nas do obozu. Pracy już nie było, w oczy zaglądał coraz większy głód. Nawet Niemki płakały, bo i dla nich brakowało chleba. Polki zaczęły zrywać winkle i je deptać. Niedobrze. Pachniało bezkrólewem. Atmosfera napięta, coraz groźniejsza. Gdy wydawało się, że to impas nie do przełamania, z megafonów padło ogłoszenie: organizowany jest transport do Szwecji, można się na niego zapisywać. Kobiety zaraz podzieliły się na te, które podeszły do sprawy z entuzjazmem, i na te, które były sceptyczne.

– Wy naprawdę wierzycie w tę Szwecję? – pytały te drugie. – Przecież to podstęp, oni was nie do Szwecji zapraszają, ale do gazu.

– E – odpowiedziałam – gdyby chcieli nas zagazować, zrobiliby to bez ceregieli. Ja jadę! – postanowiłam.

W czasie wojny Szwecja zachowała neutralność. Owszem, wysyłała Niemcom rudy żelaza na zbrojenie, zgadzała się na tranzyt Wehrmachtu przez swoje terytorium, wcielała do Waffen SS swoich ochotników, a dzienniki cenzurowała pod kątem antyniemieckich treści, ale z drugiej strony dała schronienie siedmiu tysiącom duńskich Żydów i działaczom duńskiego ruchu oporu. A w lutym 1945 roku szwedzki rząd wysłał do Berlina wiceprzewodniczącego Szwedzkiego Czerwonego Krzyża hrabiego Folkego Bernadottego. Miał rozmawiać z Himmlerem o uwolnieniu z niemieckich obozów koncentracyjnych więźniów ze Skandynawii. Himmler, który przeczuwał już upadek III Rzeszy, a jednocześnie wiedział, że figuruje na alianckiej liście zbrodniarzy wojennych, zaczął negocjować.

Początkowo nie godził się na wywiezienie skandynawskich więźniów do Szwecji, ale na zebranie ich wszystkich w jednym obozie

niedaleko duńskiej granicy. Bernadotte na to przystał, by za jakiś czas wrócić po więcej. Małymi kroczkami wymógł na Himmlerze kolejne ustępstwa, aż wreszcie dostał pozwolenie na przetransportowanie do Danii skandynawskich więźniów, potem więźniarek z Ravensbrück, a ostatecznie wszystkich więźniów obozów koncentracyjnych.

Pewnego wieczoru – nie pamiętam, czy to był 24, czy 25 kwietnia 1945 roku – kazano nam się stawić przy tylnej bramie obozu. Nikt wcześniej o takiej nie słyszał. Gdy ją za nami zamknięto, naszym oczom ukazały się sterta śmieci i... baraki. Dobiegały z nich jęki. Weszliśmy do środka, a tam jeden mężczyzna konał, drugi płakał, trzeci na widok jednej z nas krzyknął: „O, moja córeczka do mnie przyszła!”. Więźniarka pochyliła się nad nim i trzymała go za rękę; innego koleżanka karmiła łyżeczką. I tak całą noc. Okazało się, że za bramą, o której nie wiedziałyśmy, był podobóz męski, o którym tym bardziej nie miałyśmy pojęcia. Zdrowych więźniów wywieziono, a tych paru dogorywających zostawiono na pastwę losu.

Rano obudził nas świst pociągu. Wsiadałyśmy po sześćdziesiąt do wagonu. Za lokomotywą łopotała biała flaga, by pociągu nie bombardowano. Mijałyśmy gospodarstwa, widziałyśmy bawiące się dzieci, lasy, pola. Nagle – dwóch rannych żołnierzy. Niemcy. Zaprosiłyśmy ich na stopień pociągu i podwiozłyśmy do cywilizacji. Co chwila stawaliśmy, bo przed nami ostrzał. Na stacji w Lubece usłyszałyśmy: „Polki! Niemcy skończone, wojna się kończy!”. W nocy zmarzłyśmy na kość. Rankiem ktoś otworzył drzwi od zewnątrz – ksiądz. Machał kropidłem, a za nim stały pielęgniarki i pytały, czy potrzebujemy pomocy. To był Padborg, stacja graniczna między Niemcami a Danią. Koniec trasy.

Marzyło nam się coś ciepłego. Podeszła do nas dziewczyna z mlekiem – zimnym, ale dobre i to. Podstawili dla nas pociąg. Nie do wiary – osobowy, dla ludzi! Usiadłam przy oknie i patrzyłam

w ciemność, nagle szast! Coś wpadło do środka. Bukiet. Za nim kolejne. Dunki, gdy dowiedziały się o naszym przyjeździe, przygotowały z dziećmi program artystyczny. Niemcy nie pozwolili go wystawić, podbiegały więc z kwiatami. Jak do ludzi... Najdziwniej czułyśmy się z tym, że nikt nas nie pilnował. Nikt nam nie rozkazywał, nie mówił, co robić, tylko pytał i proponował. Jak ludziom... Po miesiącach bycia numerem, upodleń, walki o byt wracałyśmy więc do człowieczeństwa.

Po kilku dniach podróży, przerywanej nalotami, przesiadłyśmy się na statek. Na drogę dostałyśmy kanapki z szynką i ananasem oraz ciepłe kakao. Nigdy nie zapomnę ich smaku! Rozsiadłyśmy się na pokładzie, wygrzewałyśmy się w słońcu, spomiędzy drzew wyłaniały się zarysy domów... Boże, jak normalnie. Wszyscy umilkli, bo jak tu rozmawiać? Nagle, gdy podpływałyśmy już do brzegu, coś zmąciło ciszę. Coś płynęło w naszą stronę. Nasłuchiwałyśmy, wypatrywałyśmy, a tu jak nie gruchnie – *Mazurek Dąbrowskiego!* Tu, w tej szwedzkiej cieśninie, którą od Polski dzieli setki kilometrów, usłyszałyśmy polski hymn narodowy! Zatkąło nas. To orkiestra dęta szwedzkiej marynarki wojennej wypłynęła nam na powitanie.

Mer Malmö przywitał nas na plaży, gdy wciąż jeszcze tkwiłyśmy na statku, słowami:

– Dziś dziewiąty maja. Wczoraj skończyła się wojna, nad Berlinem zawisły alianckie flagi!

Odebrało nam mowę. Gdy opuszczaliśmy obóz, trwała wojna. O jej przebiegu i zakończeniu nie miałyśmy jak się dowiedzieć. Nie wiedziałyśmy zresztą, jak na taką wiadomość zareagować. Każda reakcja wydawała się za słaba. Raczej dominowało niedowierzenie.

Wzdłuż plaży rozstawiono namioty dla kilku tysięcy byłych więźniarek, posługiwali w nich wojskowi sanitariusze. Spalili nasze ubrania, wysłali nas pod prysznic, dali nam świeżą bieliznę i odzież,

wojskowy kombinezon: spodnie, bluzkę i marynarkę. Wreszcie poczęstunek. Potem podzielono nas na małe grupy i wysłano na kwarantannę. Nasza dwudziestka trafiła do szkoły w Ystad. Czekwały na nas materace rozłożone na sali gimnastycznej, śpiwory, sanitariaty. Czuwali nad nami lekarz i kierownik placówki. Trzy razy dziennie panie ze Szwedzkiego Czerwonego Krzyża przywoziły białym busikiem posiłki.

Szybko zauważyłyśmy, że Szwedzi wszystko jedzą na słodko. Kanapka z szynką i ananasem wydawała się nam intrygująca, ale po jakimś czasie kubki smakowe domagały się zmiany. Co się ucieszyłyśmy na śledzia – bach! Na słodko. Parówki? A jakże, na słodko. Taka słodka ta Szwecja. Na zakończenie kwarantanny w Ystad zrobiliśmy przedstawienie – ktoś coś zaśpiewał, ktoś zadeklamował wiersz, były wspomnienia obozowe. Przed przewiezieniem nas na dalszą część kwarantanny – już o zmniejszonym rygorze – zabrano nas do domu konfekcyjnego. Wybrałyśmy sobie sukienki, spódnice, kostiumy, bluzki, płaszcze.

W Kristianstad odwiedziła nas pracownica urzędu pracy i na początek zapytała, w jaki sposób władze miasta mogłyby nam sprawić przyjemność. Jako że stanowiłyśmy byt demokratyczny, nasza wysłanniczka Włada przeszła się po salach i przeprowadziła sondę. Choć były wśród nas bardzo różne kobiety – inteligencja, polityczne, ale też złodziejki i prostytutki – miałyśmy jedno wspólne pragnienie: wypowiadać się i pójść na mszę świętą.

Na szkolnych korytarzach ustawiono więc konfesjonały i sprowadzono polskich księży. W nocy nie mogłam spać z wrażenia. A rano zgromadziłyśmy się na schodach po obu stronach korytarza, na którym urządzono przepiękny ołtarz. Mszę w koncelebrze odprawiało kilku kapłanów. Jeśli miałabym wskazać najbardziej wzruszający moment naszego pobytu w Szwecji, bez wątpienia byłaby to ta msza.

Szwedzi potrzebowali rąk do pracy, ale nie zmuszali do niej Polek. Która chciała, to szła. Dwie poszły do domów na służbę – miały swój pokój, radio, wolne niedziele i popołudnia oraz dodatkowe wynagrodzenie za nadgodziny. Plus pensja. I po jakimś czasie pojawił się wstyd, bo Polki kradły. Mogłyśmy też pracować w pensjonatach – z gwarancją dachu nad głową, rzecz jasna. Część z nas się na to zdecydowała. Ja chciałam się uczyć, ale przecież nie w szwedzkiej szkole. Choć szwedzki opanowałam w mig, to nauka widziała mi się tylko po polsku. Na razie jednak się na to nie zapowiadało, trzeba więc było jakoś się urządzać. Gdy tylko usłyszałam, że biorą do pracy w fabryce Tretorn, przed oczami stanęły mi eleganckie śniegowce mamy i wytworne kalosze taty. Zgłosiłam się, a ze mną kilkanaście kobiet.

To nie była fabryka, to były salony – przestronnie, czyściutko, wszystko poukładane, czas pracy wyraźnie oddzielony od przerw. Muzyczka grała, a my doklejałyśmy przy taśmie kolejne z czternastu części męskich kaloszy – ja byłam odpowiedzialna za noski i piętki. Lunch wszyscy jedli razem: robotnicy, inżynierzy, kierownicy. W takim samym gronie bawiliśmy się na balu. Kiedy zobaczyłam, jak dyrektor prosi do tańca żonę robotnika, zdębiałam.

Był w Helsingborgu kościół rzymsko-katolicki, do którego uczęszczałyśmy, ale szwedzkie pieśni to jedna wielka nuda. Założyłyśmy więc polski chór i zapewniałyśmy oprawę liturgiczną na jednej z dwóch mszy świętych. Po jakimś czasie na tej drugiej nie było już żywego ducha, bo nawet Szwedzi przychodzili na „naszą” – dla tych śpiewów.

Pewnego jesienno-go dnia podszedł do mnie szwedzki ksiądz i powiedział, że jest Niemcem. Zdażył wyemigrować do Szwecji przed nastaniem rządów Hitlera. Kiedy zobaczył mój numer na przedramieniu, spytał delikatnie, czy mogłabym mu opowiedzieć o obozie. Opowiadałam mu przez kilka niedziel. Kiedy wyjeżdżałam, wyjął

karnecik z obrazkiem Dobrego Pasterza, modlitwą św. Franciszka z Asyżu o pokój oraz napisem w języku polskim:

My, chrześcijanie szwedzcy biorący udział w akcji Misji Europejskiej wyciągającej dłoń pomocy poza granice naszego kraju, nauczyliśmy się kochać tę modlitwę. Pragniemy przekazać Ci ją, Nasz Polski Przyjacielu, zanosząc zarazem prośbę do Pana Naszego Chrystusa, aby napełnił dusze nas wszystkich darem dobrej woli. Powołał on każdego człowieka do czynów miłości. Bóg tylko daje do nich siłę. Weźmy się, obrazowo mówiąc, za ręce i stańmy na straży jedności rodziny człowieczej mocniejszej niż przestrzeń dzieląca nasze kraje. Miłość jest silniejsza niż wszystko (Britta Holmström). A jeśli nawet zdążam w dolinę cieni, nie lękam się niczego, albowiem Tyś jest ze mną (Ps 23)³.

Zanim mi go wręczył, zapytał, jak po naszymu będzie *Durch das Kreuz in den Himmel*, po czym naskrobał w karneciku: „Przez Krzyż do Nieba. Dla Anna ks. H.[enry] Growel”. Spotkałam w życiu paru dobrych Niemców...

Ale spotkałam też paru złych, przez których w wieku dwudziestu lat zatrzymałam się na szóstej klasie szkoły powszechnej. W Szwecji odżyłam, stanęłam na nogi, ale swoją przyszłość wiązałam z Polską, a tę najbliższą – z polską szkołą. No i tęskniłam za rodzicami. Jak na ironię, dopóki pisałam z Auschwitz, mogłam tylko kłamać, jak mi tam dobrze. Teraz, gdy mogłam napisać prawdę, nie wiedziałam dokąd. Pisałam do ciotek w Tarnowie i znajomych w Krakowie, ale moich listów nikt nie otrzymywał. Nie wiedziałam, co się dzieje z rodzicami.

Aż pewnego listopadowego dnia 1945 roku wróciłam z pracy, a na stole leżała koperta. Rozpoznałam na niej pismo ojca. Czyli żył! A ja

uznałam już rodziców za zmarłych. Ale skąd tata wiedział, gdzie jestem? Okazało się, że stryj Karol, dawny legionista z Wołynia, osiadł po wojnie u brata w Bielsku-Białej i usłyszał w radiu moje nazwisko wśród nazwisk wielu innych Polek, które z Ravensbrück trafiły do Szwecji. Ojciec pisał: „Żyjemy: mama, Romek, Adam. Wracaj!”.

Ale jak tu wrócić? W Polsce głód. Rodzice, których wywiało za pracą do Szczecina, sami nie mieli co jeść. W kraju chodziłabym do szkoły i żyłabym na ich koszt. Postanowiłam zostać jeszcze i zarobić trochę, aż w styczniu 1946 roku spakowałam walizki.

Do Szczecina z Ystadt prowadziła prosta droga przez Świnoujście, ale ja wracałam naokoło – przez Gdańsk – bo na tamtej trasie morze było zaminowane. Płynęłyśmy w kilkanaście Polek. Z Kazią szeptałyśmy sobie o krakowskich kawiarenkach i uliczkach, podsycaliśmy tęsknotę za krajem. Wreszcie polski port. Podbiegłam do barierki promu i szukałam wzrokiem mamy. Rozglądałam się za roslą, elegancką panią, ale takiej tam nie było. Dopiero w zmizerniałej kobiecie z chuścina na głowie rozpoznałam jej rysy. Koło niej stał Adam – toż to był już dorosły mężczyzna! Chciałam przeskoczyć barierkę, podbiec do nich, uściskać. Nagle:

– Stać! – Zamarłam. – Otwierać walizki! Co tam wieziecie?

Nie rozumiałam, co też kogoś obchodzi moje walizki. W Szwecji to nie do pomyślenia. Szybko okazało się, że tu nie Szwecja. Ledwo podeszłam do bliskich, wszystkie „szwedzkie Polki” z tymi, którzy je odbierali, zapakowali do budy, wywieźli pod miasto w pole i kazali czekać. Sienniki nawet nam rozłożyli, ale nam nie w głowie było spanie. Przegadaliśmy całą noc. Nie pamiętam już, czy więcej ja mówiłam o swoich doświadczeniach, czy raczej wypytywałam mamę o to, kto z rodziny przeżył. Rano wrócili ci, którzy nas tu przywieźli.

– Czemuście nas tak zostawili? – spytała ich z wyrzutem Włada. – To myśmy Szwecję zostawiły, żeby do Polski wrócić, a wy nas tak witacie?

– Nikt was tu nie zapraszał – syknął służbista.



W Szwecji Anna Szałańska odżyła i zarobiła na powrót do Polski, bo nie wyobrażała sobie życia poza nią. Do kraju zawitała w 1946 roku.

Fot. Ośrodek KARTA

Tak nas powitała Polska Ludowa. Na widok Szczecina chciało się płakać. W połowie zburzony, w połowie zawałony niemieckimi sztyldami. Ja do Polski chciałam, a gdzie tu Polska? Dopiero kiedy pojechaliśmy do rodziny w Poznaniu, przypomniałam sobie, co to Polska. W tym Poznaniu, którego przed wojną tak nie znosiłam za jego ordnung.

Po wojnie ruszyły przyśpieszone gimnazja, w których dwa lata nadrabiało się w rok. Ja w wieku dwudziestu lat miałam iść do liceum. Tata wysłał mnie do szkoły dla dorosłych i załatwił, bym zaczęła ją nie od pierwszej, ale od trzeciej klasy. Nie wiem, jakim cudem, ale zachowało się moje świadectwo z Torunia i dobre stopnie przekonały dyrektora placówki. Poza tym poduczyłam się sama i zdałam egzamin do trzeciej klasy. Dwa lata później zdałam maturę – jako przedmiot dodatkowy wybrałam religię. Nie było wówczas podręczników, na szczęście byli przedwojenni profesorowie – ci, których nie dobili Niemcy ani Sowoci.

W liceum szczególnie dobrze radziłam sobie z angielskim, dlatego zaczęłam myśleć o anglistyce. Jednak przyjaciele, pamiętający moje zdolności muzyczne, wybili mi to z głowy i wysłali na muzykologię do Poznania. I znów – jak w obozach – miałam przy sobie dobre anioły, które trafnie pokierowały moim życiem. Po studiach zaczęłam się w archiwum fonograficznym, prowadzonym przy uniwersytecie poznańskim przez małżeństwo Sobieskich. Przegrywało się tam nagrania z taśm radiowych na płyty i robiło się transkrypcje nutowe. Sprawdziłam się w tym, więc gdy archiwum przeniesiono do Instytutu Sztuki PAN

w Warszawie, zaproponowano mi tam etat. Pracę podjęłam w 1965 roku, dwa lata później dostałam służbowe mieszkanie.

Wzór Nr. 4
(wydaje się kobietom, dzieciom
i mężczyznom powyżej lat 50)

Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo Administracji
Państwowy Urząd Repatriacyjny
Punkt Przyjęcia
w Gdańsk - Port

Przepustka № 131057

Wydana ob. *Skalska Anna*
(nazwisko, imię, imię ojca)
31. 10. 1926 *Chryplim*
(data i miesiąc urodzenia)
przybywającemu (ej) z terytorium *Szwecja*

Ob. *Skalska Anna* przeszedł przez Punkt Odbiorczy
w *Gdańsk - Port* dnia *13* *VII* 1945
i udaje się do swojego miejsca zamieszkania w *Szwecji*

(dokładny adres)

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia *5. 5. 45* wyżej
wymieniony (a) ma pierwszeństwo i prawo jednorazowego bezpłatnego prze-
jazdu wszelkimi środkami lokomocji do *Szwecji*

Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej
idącej pomocy okazującej się (ce) niniejszego.

M. P.

Kierownik Punktu Odbiorczego

Wydano dnia *13* *VII* 45 r. w *Gdańsk - Port*

Ważne do dnia *10. VIII 46*

230000/45. - Druk. Min. Bezp. Publ. w Łodzi

*Przepustka na powrót ze Szwecji do Polski, w której
czekało Annę niemiłe powitanie.*

Fot. Ośrodek KARTA

W Warszawie trafiłam do wspólnoty akademickiej przy parafii św. Anny. Gdy ruszaliśmy na pielgrzymkę na Jasną Górę, zapowiedziano nam, że kto chce, ten w drodze powrotnej może jechać do Zawozu w Bieszczadach. Trwała tam akcja odbudowywania kościoła po tym, jak decyzją władz komunistycznych miał być zniszczony. Chłopi ruszyli na burzycieli z widłami, ale spustoszenia, których tamci dokonali, nie pozwoliły świątyni przetrwać. Przypomniała mi się moja obietnica, złożona Bogu w KL Auschwitz – że jeśli mnie z niego wyciągnie, postawię Mu kościół – i uznałam, że właśnie nadarzyła się ku temu sposobność.



*Ocalona z KL Auschwitz i Ravensbrück Anna Szalańska
została muzykologiem, szczególnie ukochała folklor*

bieszczadzki.

Fot. Ośrodek KARTA

Po akcji „Wisła” tubylcy byli nieufni wobec obcych, ale gdy tylko zobaczyli, że w zbrojnym celu kopujemy doły na wapno pod nową świątynię, że codziennie odprawiamy mszę świętą, zaczęli nam podrzucać a to pierogi, a to mleko. W końcu zaprosiliśmy ich na ognisko, a wówczas – jak to przy ognisku – zaczęły odchodzić śpiewy: my swoje, oni swoje. Zamurowało mnie. Wmawiano nam, że to dzicz, nasiedleńcy, ani jednego Polaka. A tu piękne polskie ludowe piosenki! Wróciliśmy do Zawozu w kolejnym roku sypać do tych samych dołów piasek. Kościół nigdy z tego nie powstał, ale ja w Bieszczadach utknęłam na parę ładnych lat, zachwycona tamtejszym folklorem. W efekcie tych moich odwiedzin powstało wiele publikacji i audycji radiowych, bo z czasem związałam się też z radiem.



Anna Szałaśna w powojennej Polsce.

Fot. Ośrodek KARTA

Pytają mnie często, czy chowam urazę do Niemców. Na początku lat siedemdziesiątych zaprosiły mnie do siebie, do Gutenzell, dwie Niemki, siostry, poznane na kursie językowym. Podzieliłam się z tatą obawą, że ich ojciec mógł przecież brać czynny udział w wojnie. A tata odpowiedział tylko:

– Nie patrz na to.

Pojechałam. Okazało się, że ten mężczyzna był inwalidą od urodzenia, a całą moją drogę do Niemiec spędził nad mapą i śledził w podeksycytowaniu moją trasę. Latami przyjaźniłam się też z Kurtem Remingertem ze Stuttgartu. Od dawna nie rozmawiał ze swoim ojcem, którego pokolenie obciążała odpowiedzialność za wojnę i obozy. Wciąż zastanawiał się, jak mogło do nich dojść. Tłumaczyłam mu, że tak nie wolno, że nie żył w czasach, gdy Hitler obejmował władzę, i nie doświadczył okrucieństw wojny, która stawiała ludzi przed dramatycznymi wyborami. Po latach przysłał mi list z wiadomością o pojednaniu z ojcem. Nie umiem nienawidzić, zresztą co by mi ta nienawiść dała?



Anna Szałańska w swoim warszawskim domu wiosną 2021 roku.

Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej

Ale nie mogę pogodzić się ze świętowaniem tak zwanego wyzwolenia obozu, bo ono uwłacza prawdzie. To nie było żadne wyzwolenie – Niemcy wyganiali z obozu tych, których jeszcze mogli wykorzystać do pracy. Wśród okrzyków *raus* i ujadania psów, pod świstem pejczy i na potwornym mrozie zmarło zbyt wiele osób, by mówić o jakimkolwiek wyzwoleniu. Rosjanie przyszli na gotowe – gdy weszli na teren obozu, zastali trupy i ciężko chorych, nie musieli oddać ani jednego strzału, by ich wyzwolić, bo Niemców już tam nie było. Rosjanie nie przybyli tam, by wyzwalać, oni szli na Berlin, a po drodze gwałcili, rabowali i zabijali. To nie było wyzwolenie, dlatego nigdy nie uczestniczyłam w obchodach rocznicy 27 stycznia 1945 roku.

Tak jak nie kryję urazy do Niemców, tak też nie użalałam się nad straconą końcówką dzieciństwa i młodością. Kiedy przypadek sprawił, że w 1948 roku spotkałam się z Gienią i Bronią, ścisaliśmy się i dziękowaliśmy Bogu za to, że przeżyliśmy. Na życiu się skupialiśmy. W domu nie wracało się do wojny, dość trosk dostarczała codzienność. Po rodzicach tak mam, że w trudnej sytuacji zamiast narzekać, to działałam. Ktoś inny na moim miejscu być może zastanawiałby się, dlaczego Bóg dopuścił do tego, że straciłam nogę, trafiłam do więzienia, a potem do obozów. Ale nie ja. Moja wiara jest ponad to.

Anna Szalaśna

¹ W odwecie za śmierć 2 niemieckich podoficerów 27 grudnia 1939 roku Niemcy rozstrzelali w Wawrze 107 polskich cywili – m.in. rzemieślników, kupców i robotników, pracowników umysłowych, wobec których zastosowano odpowiedzialność zbiorową. Była to jedna z pierwszych masowych egzekucji na ziemiach polskich w czasie II wojny światowej. Wszystkie przypisy pochodzą od autorki.

² Niemieckie słowo *Aufseherin*, oznaczające w obozie koncentracyjnym nadzorczynię, dozorczynię, strażniczkę, spolszczano m.in. do formy „auzjerka”, co wynikało z niezrozumienia niemieckojęzycznego wyrazu.

³ Fragment Psalmu 23 podaję za brzmieniem napisu w karnecie pani Anny. Różni się on od polskich oficjalnych przekładów Biblii – prawdopodobnie został zacytowany bezpośrednio za wersją szwedzką.

Maszeńska (ur. 1939)

RODZINNE ARBORETUM



Tak Marysia Butkiewicz wyglądała w wieku ośmiu lat.

Węgorzewo, 4 lipca 1947 roku.

Fot. Archiwum prywatne Marii Kowalskiej

Mam trzy lata. Leżymy z nianią w leśnej ziemiance. Wiadomo, że nieopodal kręcą się Niemcy. Przez warkot silników ich motorów jawią mi się jako olbrzymie, niebezpieczne smoki. Boję się, że wszyscy słyszą, jak wali mi serce, i przeze mnie wyda się nasza kryjówka. Kiedy po wojnie niania zabierze mnie do kina, mimo swoich nastu lat ucieknę z niego z wrzaskiem, gdy na ekranie pojawią się ciężarówki z wojskowymi. Latami jeszcze będę bać się ludzi, zwłaszcza tych w mundurach – będę mówić wyłącznie pytana, by nie usłyszeć: „milcz, Żydówko”, a na widok strażaka czy milicjanta będę trząść się ze strachu.

Po wojnie niania pokazała mi zdjęcie młodej pary idącej aleją. Mężczyzna i kobieta trzymają się na nim za ręce. Potem, gdy patrzyłam na tę fotografię, zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, że do nich podbiegam. Gdy tylko chciałam się do nich przytulić, natychmiast znikali. Otwierałam wtedy oczy i płakałam, bo nie miałam do kogo powiedzieć: „mamo”, „tato”. Ani „wujku”, „ciociu”, „babciu”, „dziadku”. Tylko takim marzeniem na jawie wyrażałam tęsknotę za rodzicami, których nigdy nie poznałam. Po ich śmierci została mi polska niania, ale nie chciałam jej wypytywać, by nie sprawić jej przykrości – tak się starała dać mi dom. Ona czasem może chciała mi o nich opowiedzieć, ale wtedy ja nie chciałam słuchać – po co, skoro nikt z mojej rodziny już nie żył. To byłoby jedynie rozdrapywanie z trudem gojących się ran.

Tylko kiedy koledzy i koleżanki opowiadali o wakacjach spędzonych u dziadków, o tacie, o mamie, o „wstrętnym młodszym bracie”,

myślałam: „Niechby i był wstręty, byle był, byle mieć kogoś”. Nie rozumiałam, czemu zostałam tego wszystkiego pozbawiona, i odchodziłam od tych, którzy rozmawiali o bliskich.



Rodzice Maszy Fajnsztajn: Chana i Jakub w Wilnie przed wojną. Oglądając to zdjęcie, Marysia wyobrażała sobie,

że biegnie do swoich rodziców.

Fot. Archiwum prywatne Marii Kowalskiej

W trzeciej klasie podstawówki pojechałam na kolonię do Bierutowic. Pierwszy raz bez niani. Wciąż się bałam, czy po powrocie jeszcze ją zastanę, czy pod moją nieobecność nic się jej nie stanie. Wtedy obiecałam sobie nigdy więcej nie jechać na kolonie ani nigdzie indziej, jeśli wymagałoby to rozstania z nianią. Co bym zrobiła, gdyby jej zabrakło, tak jak zabrakło rodziców?

Z czasem dowiedziałam się, że rodzice byli Żydami.

– Czyli bandytami? – dopytywałam nianię, pewna, że skoro kogoś się zabija, to za najcięższe przewiny.

– Nie – prostowała niania. – Byli wykształconymi, majątymi ludźmi. Ale Żydami.

Nadal nie rozumiałam, na czym ta ich „żydowska wina” polegała.



*Rodzice Maszy Fajnsztajn – Jakub Abramowicz
Fajnsztajn i Chana Nasilewna Fajnsztajn z domu
Zusmanowicz – prawdopodobnie na tle uniwersytetu
wileńskiego w 1938 roku.*

Fot. Archiwum prywatne Marii Kowalskiej

Tego nie mogę pamiętać. Miałam dwa tygodnie, gdy niania – trzydziestosześcioletnia Stanisława Butkiewicz – pojawiła się w moim życiu. Tym bardziej nie mogłam wiedzieć, że będziemy razem do końca jej życia, a jej będzie dane bawić jeszcze moje dzieci i wnuki. Urodziłam się 26 grudnia 1939 roku jako Masza Fajnsztajn – pierwsze i jedyne dziecko Jakuba Abramowicza Fajnsztajna i Chany Nasilewny Fajnsztajn z domu Zusmanowicz. Tyle o sobie zawsze wiedziałam.



*Niania Stanisława Butkiewicz w wieku 36 lat, gdy
podejmowała się opieki nad dwutygodniową Maszą*

Fajnsztajn.

Fot. Archiwum prywatne Marii Kowalskiej

Nie wiem, czy mama mnie tuliła, karmiła piersią, przewijała. Nie wiem, czy tata brał mnie na kolana, łaskotał. Czy mieli do tego głowę w czasie wojny? W czerwcu 1941 roku Wehrmacht wkroczył do Wilna, gdzie mieszkaliśmy. Od razu wymordował kilkanaście tysięcy Żydów, w tym mojego ojca. We wrześniu utworzono getto. Rozciągało się na zachód od ratusza, między ulicami Wielką, Niemiecką i Dominikańską. Brama do dużego getta stała niedaleko kościoła Wszystkich Świętych. To właśnie w dużym getcie umieszczono mamę i dalszą rodzinę, bo byli zdolni do pracy. Do małego getta trafiali ci, którzy się do niej nie nadawali, co automatycznie przekładało się na wyrok śmierci.

Kiedy Niemcy wybili już małe getto, wzięli się za mieszkańców dużego. Nie zdążyli oni wzniecić powstania zaplanowanego na początek 1942 roku. Mama pewnie i tak nie zaprzętała sobie tym głowy, bo martwiła się o mnie, wówczas dwulatkę. Nie minęły trzy miesiące naszego pobytu w getcie, jak stałam się schorowana i słaba, byłam cała we wrzodach i strupach. Mama bała się, że umrę, dlatego zdecydowała się na desperacki krok: oddała mnie na aryjską stronę.

Wiele lat później uda mi się nawiązać kontakt z mężczyzną, który pracował w magazynie zbożowym getta z „piękną Chaną, której teść miał w Wilnie przy Zawalnej kancelarię i która płakała za oddaną na aryjską stronę córeczką”. Prosiłam, by wszystko dokładnie mi opisał, ale – jak się potem okazało – moje listy do niego nie dochodziły, a mieszkał w USA. Nie dane mi więc było dowiedzieć się więcej o losach mamy w getcie. Na razie.

Pewnego grudniowego ranka 1941 roku, gdy Niemcy pakowali Żydów do ciężarówek wywożących do pracy poza teren getta, mama przekupiła niemieckiego żandarma, by przymknął oko na to, co się miało

wydarzyć. W bramie czekała już moja polska niania. Mama podeszła do niej, przekazała jej mnie i powiedziała:

– Stasiu, jeśli przeżyję, oddasz mi ją. Jeśli zginę, możesz ją ochrzcić i wychować, jak uważasz.



*Chana Fajnsztajn – mama Maszy Fajnsztajn.
Fot. Archiwum prywatne Marii Kowalskiej*

Nie musiała dodawać, że powierza jej swój największy skarb. Niania wychodziła z getta „na gumowych nogach”. Przecież za przemyt i ukrywanie żydowskiego dziecka groziła kulka w łeb. A ona była panną, odtąd panną z dzieckiem, które pojawiło się znikąd. W dodatku z czarnymi, kręconymi włosami – zewnętrzne cechy jednoznacznie wskazywały na moje pochodzenie. Wyjechała więc ze mną do jednego ze swoich siedmiu braci. Udostępnił nam komórkę swojego pokoju przy kolei. Ale sąsiedzi zaczęli się nami interesować – dotąd siostra odwiedzała go zawsze sama, a tu jakieś dziecko. Tylko w Polsce za pomaganie Żydom groziła śmierć – nie tylko temu, komu pomagano, i temu, kto pomagał, ale także jego otoczeniu. Sąsiedzi zaczęli pisać donosy – niestety mniej z obawy, a bardziej z chęci zysku. To byli szmalcownicy.

Niania była zmuszona przenieść się ze mną do drugiego brata, ale i tam historia ze szmalcownikami się powtórzyła. Ostatecznie schronienie znalazłyśmy u jej kuzyna w Niemenczynie koło Wilna. Do domu, w którym mieszkał z rodziną, przychodziliśmy tylko na noc. Całe dnie spędzałyśmy w leśnej ziemiance. Do dziś pamiętam, jak w niej leżymy. Wiadomo było, że nieopodal kręcili się Niemcy. Przez warkot silników ich motorów jawili mi się jako olbrzymie, niebezpieczne smoki. Byłyśmy cichuteńko, nie ruszałyśmy się. Nie wyobrażam sobie, by moja trzyletnia prawnuczka tak dziś potrafiła. Bałam się, że wszyscy słyszą, jak wali mi serce, i przeze mnie wyda się nasza kryjówka.

Niania czasem chodziła do zaufanych domów prząść na kołowrotku. Jeśli wiedziała, że nikt nas tam nie znajdzie, zabierała mnie ze sobą i sadzała w kąciuku. Przez cały ten czas nasłuchiwałyśmy, czy jednak nie nadchodzi ktoś obcy. W razie czego miałam szybko wskoczyć pod klapę w kuchennej podłodze. Raz rzeczywiście wpadł ktoś bez uprzedzenia, a mnie naprędce wtrącono do tej piwniczki. Wiedziałam, że muszę być cichutko, ale gdy tylko mnie wypuszczono, płakałam, bo się potłukłam.

Niania mnie przytuliła, a gospodyni dała mi chleb z masłem. Do dziś śni mi się, że wpadam w jakiś dół. Budzę się wtedy przerażona i wspominam pomieszczenie pod klapą, w którym się ukrywałam.

Innym razem gospodarze dostrzegli przez okno idącego do nich żandarma. Byli pewni, że w mojej sprawie. Nie zdążyli ukryć mnie pod klapą, więc schowali mnie pod pierzyną. Znów miałam być cichuteńko, ledwie oddychałam. Musiałam zemdleć, bo gdy mnie odkryli po wyjściu żandarma, byłam nieprzytomna. Przez dziesięć dni nic nie mówiłam. Do dziś, gdy położyć mi na oczach choćby najcieńszy tiul, czuję, że się duszę.

Kiedy indziej bawiłam się z kuzynami – dziećmi kuzyna niani – samymi blondynami. Moje czarne loki nie pozostawiały złudzeń, dlatego gdy nagle znikąd zjawił się niemiecki żandarm, sprawa wydawała się przesądzona.

– Czyje to dziecko? – zapytał.

– Moje – powiedział kuzyn niani.

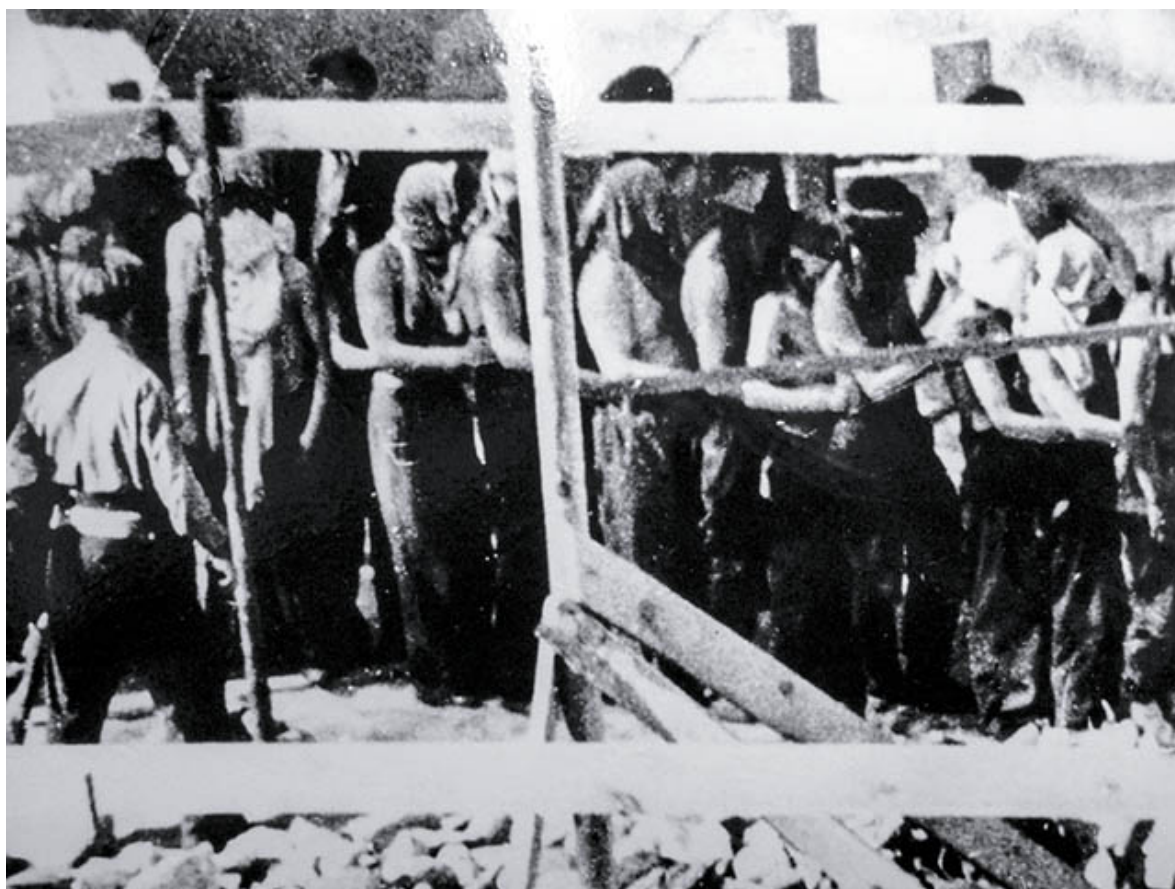
– A gdzie matka? – Niemiec nie dawał za wygraną.

Kuzyn osłupiał. Ja tymczasem podeszłam do jego żony i chwyciłam ją za spódnicę. Niemiec odpuścił, wszyscy odetchnęli.

Byłam dzieckiem zastraszonego i nieufnego, ale niania zdążyła mnie wcześniej wyedukować, by na pytanie, czy jestem Żydówką, odpowiadać śmiało: „nie”, i robić wszystko, by odwrócić uwagę od czarnych, kręconych włosów. Musiałam umieć się przeżegnać, zmówić pacierz. Znałam *Litanię loretańską*, *Kto się w opiekę* – więcej niż przeciętne dziecko katolickie.

Ponieważ nikt z mojej rodziny nie dawał znaku życia, niania była pewna, że wszystkich rozstrzelano w podwileńskim lesie w Ponarach. Rzeczywiście, prócz ojca do dołów śmierci trafiło jeszcze dziewięć osób:

dziadkowie Abram i Ida, żona wujka Daniela Rachela z trójką dzieci, brat dziadka Mordechaj z żoną Miriam i ich szesnastoletnią córką Ryfką. Niania założyła, że wśród nich jest także moja matka, spełniła więc wariant drugi jej prośby: jeśli zginie, niania może mnie ochrzcić i wychować, jak uważa. Ponieważ była bardzo wierząca, w tym duchu mnie wychowywała. Nie czuję jednak, by mi to było narzucone, swojej żydowskiej tradycji wiary nie miałam przecież jak poznać.



Ludobójstwo w Ponarach.

Fot. Domena publiczna

W wieku trzech lat zostałam ochrzczona jako Maria Butkiewicz – otrzymałam panięskie nazwisko mojej niani. W metryce miałam zaznaczone: „ojciec nieznany”. W 1955 roku wyszło zarządzenie, by takim nieznanym ojcom nadawać jakieś imię, mój zmyślony ojciec dostał więc imię Jan. Niania zmieniła moją datę urodzenia na pół roku wcześniejszą – 12 maja 1939 roku. Niechcący uniemożliwiła tym samym

mojej dalszej rodzinie odnalezienie mnie po wojnie, ale – co ważniejsze – ocaliła mi życie. Podobnie jak mama, która zapłaciła za to ocalenie najwyższą cenę: rozstała się ze mną. A rodzina z czasem „sama” się znajdzie, ale o tym przekonam się dopiero po sześćdziesięciu latach.

Do niani nigdy nie powiedziałam „mamo”, choć pewnie na to czekała. Wiedziałam, że moja mama nie żyje, a moja opiekunka to była po prostu „niania”. Tak ją nazywałam do dwunastego roku życia. Wtedy dzieci zaczęły się ze mnie śmiać, że taka duża i ma niańkę. Zaczęłam więc zwracać się do niej bezosobowo, a potem było już łatwiej, bo wraz z narodzinami moich dzieci została „babcią Stasią”. Ona zawsze mówiła do mnie „Marysiu”, a ja nigdy nie wróciłam do imienia Masza.

To była niezwykle praktyczna kobieta. Gdy jako dorosła osoba uświadomiłam sobie, co tak naprawdę dla mnie zrobiła i że mogę jej to jakoś wynagrodzić, w 1988 roku wystąpiłam do Instytutu Jad Waszem z wnioskiem o przyznanie jej medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Gdy ją o tym poinformowałam, zapytała tylko:

- Pieniądze jakies z tego będą?
- Nie.
- E, to zawracanie głowy – ucięła.

Procedura trwała cztery lata i niania została uhonorowana medalem pośmiertnie, dwa lata po tym, jak odeszła.



Niani nie zależało na honorach, ale Maria Kowalska wystarała się dla niej o medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Instytut Pamięci Narodowej Jad Waszem przyznał go Stanisławie Butkiewicz w 1992 roku – dwa

lata po jej śmierci.

Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej

W czasie wojny i po wojnie żyłyśmy z nianią z tego, co udało jej się sprzedać po moich rodzicach: pierzyn, poduch, kap, obrazów, talerzy, sztucców z naszymi inicjałami, które udało jej się ocalić z naszego wileńskiego mieszkania. Jako pamiątka po mamie i tacie został mi tylko jeden talerz. Niania niespecjalnie rozeznawała się w ich wartości. Srebrne lichtarze i haftowane prześcieradła wrzuciła po wojnie na strych, skąd zostały ukradzione. Moi rodzice należeli przed wojną do najbogatszych mieszkańców Wilna. Po wojnie ich córka była najbiedniejsza w okolicy.



*Jedyna materialna pamiątka po rodzicach Maszy
Fajnsztajn. Resztę zastawy stołowej, podobnie jak
pozostałe ocalone z domu przedmioty, niania sprzedała,
by utrzymać siebie i przybraną córkę.*

Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej

Niania była prostą kobietą, miała siedmiu braci i liczyła, że na starość któryś zawsze jej pomoże. Imiała się prostych zajęć, o wykształceniu zresztą nie miała co w tamtych czasach myśleć. Ale nie przewidziała, że będzie kiedyś samotnie wychowywać dziecko. Pieniądze ze sprzedaży futra mojej mamy i dwóch kuponów materiału zainwestowała w krowę, która przez dłuższy czas była naszym głównym źródłem dochodu. Niania ją oporządzała, aż błyszcziała! Była wypasiona, karmiona wysłodami, więc po ocieleniu się dawała nawet trzydzieści litrów mleka dziennie – trzy wiadra! Ale w innych okresach, przez przeważającą część roku, mleko było chudziutkie, ledwo dawało się dzięki niemu wyżyć. Jadłyśmy ziemniaki w różnej postaci: gotowane, podsmażane talarki, placki ziemniaczane, a o słoninie do nich można było pomarzyć, jadłyśmy ją tylko od święta. Kiedy po podstawówce bawiłam dzieci sąsiadki, za zarobione w ten sposób pieniądze kupiłam siano dla krowy. Nigdy o nic nie prosiłam, dlatego gdy bratowa niani dawała mi buty czy sukienki i musiałam za nie dziękować, bardzo cierpiałam, bo nie znoszę litości. Dzieciom i wnukom do znudzenia powtarzałam i powtarzam, by się uczyły, bo tylko wiedza daje niezależność. Ja ją osiągnęłam pracą. Za pierwszą pensję kupiłam kreton i opłaciłam krawcową, by uszyła niani sukienkę – choć tyle mogłam wtedy dla niej zrobić.

W Niemenczynie po wojnie mogli zostać ci, którzy przyjęli radzieckie obywatelstwo. Kuzyn niani z rodziną postanowili wyjechać do Polski, to i my pojechałyśmy. Jechaliśmy towarowymi wagonami z krowami, koźmi, kurami, psami i śpiewaliśmy:

Żegnaj, Wilno ukochane,
żegnaj ponad cały świat,
tum się rodził, tum wychował,
tu wspomnienia młodych lat.
Żegnaj, Matko Ostrobramska,

w drodze otul płaszczem swym,
byśmy cali powrócili
do rodzinnych swoich ziem.

O powrocie nie było mowy – ani do dawnej Polski, ani tym bardziej do dawnego życia. Rzucono nas na Ziemię Odzyskaną, do Węgorzewa. Miasto było całkowicie zburzone, ocalało parę domków na jego obrzeżach. Choroby wyniesione z getta długo nie chciały mnie opuścić. Wrzody wciąż się odnawiały, byłam anemiczna, wiecznie przeziębiona, kaszłąca, krew ciągle ciekła mi z nosa, a z oczu – ropa. Niania poila mnie syropami, a że ja nie znosiłam słodkiego, oddawałam je dzieciom jej kuzyna. Niepocieszona niania gderiała:

– Już druga butelka syropu, a kaszel rżęzi i rżęzi.



*Niania ciężko pracowała w domu, ale nigdy nie narzekała.
Mieszkały z Marysią w komunalnym bliźniaku obok wujka,
do którego ciągle kogoś dokwaterowywano, aż w końcu*

został im tylko pokoik z kuchnią. Węgorzewo, 1957 rok.

Fot. Archiwum prywatne Marii Kowalskiej

Ale gdy skończyłam trzynaście lat, wszystko minęło, jak ręką odjął.



Niania z krową o imieniu Biała Gwiazdka – od białej gwiazdki na czole – żywicielką rodziny. Węgorzewo, 1950 rok.

Fot. Archiwum prywatne Marii Kowalskiej

W 1947 roku poszłam do szkoły, podobnie jak miejscowe dzieci ukraińskie z Białostoczczyzny, niemieckie, łotewskie; prawosławne, protestanckie, katolickie. Nikt nikomu nie mówił o sobie, każdy miał jakieś wojenne rany. Wśród przerośniętych dzieci, którym wojna przerwała edukację, byłam najmłodsza i najmniejsza. Ale za to tak zdolna, że po pierwszej klasie od razu posłano mnie do trzeciej. Jest w tym zasługa niani, która na ile sama umiała, na tyle nauczyła mnie wcześniej pisać i czytać. Potem to ja czytałam jej baśnie wypożyczone z biblioteki. Na zebraniach słyszała:

– Ależ pani Butkiewiczowej się ta Marysia udała.



Marysia Butkiewicz z nianią w Węgorzewie w 1957 roku.

Fot. Archiwum prywatne Marii Kowalskiej

Każdą klasę, aż do matury, kończyłam z wyróżnieniem. Rwałam się na studia, ale nie było nas na nie stać. Dyrektor liceum doradził, bym poszła do buchalterii, bo to daje szansę szybkiego awansu. Rzeczywiście, od najniższego szczebla doszłam z czasem do pozycji głównej księgowej. Ale zanim to się stało, wyszłam za mąż w wieku dziewiętnastu lat.

Do koleżanki przyjechał raz z Żagania młodszy przyrodni brat. Zobaczył mnie z okna, jak szłam ulicą, i zapytał:

– Co to za dziewczyna?

– Uważaj, to Żydówka – powiedziała koleżanka, świadoma mojej semickiej urody.

– I bardzo dobrze, będą z tego mądre dzieci.

Poznaliśmy się, a po kilku miesiącach spotkań i relacji na odległość Franek powiedział:

– E, nie chce mi się już do ciebie przez całą Polskę jeździć. A co, jeśli jeszcze mi cię ktoś w międzyczasie podkradnie? Wyjdź za mnie!



Ślubna fotografia Marii i Franciszka Kowalskich.

Węgorzewo, 1958 rok.

Fot. Archiwum prywatne Marii Kowalskiej

A ja nie miałam nic. Zupełnie nic. Franek kupił u siebie w Żaganiu, co trzeba: buty, sukienkę. Tamtejsza modystka, którą potem poznałam, powtórzyła mi słowa mojego ówczesnego narzeczonego. Wpadł do sklepu i powiedział:

– Poproszę welon, ale najlepszy, bo żenię się z najpiękniejszą dziewczyną na świecie!

Już w Żaganiu urodziło się troje naszych dzieci: Jarosław, Barbara i Radosław. Od początku towarzyszyła im moja niania, którą zabraliśmy ze sobą z Węgorzewa. W 1976 roku przenieśliśmy się wszyscy do Zielonej Góry, gdzie osiedliśmy na stałe.



Maria Kowalska (pierwsza z prawej) z nianią, córką Basią i najmłodszym synem Radosławem w Żaganiu w 1977 roku.

Fot. Archiwum prywatne Marii Kowalskiej

Gdy w 1968 roku zaczęło się szykanowanie Żydów, jedna z koleżanek w POM w Żaganiu, gdzie pracowałam, rozpytywała o mnie, aż oznajmiła innym pracownikom:

- A wiecie, że my tu Żydówkę ukrywamy?
- No co ty, Halina! – zareagowało koleżeństwo.
- A ja wam mówię – odpowiada koleżanka.

Poczułam się wywołana do tablicy, więc odpowiedziałam:

– Pani Halinka ma rację, jestem pochodzenia żydowskiego, ale nie mam powodu, by się ukrywać. Moi rodzice zginęli w wileńskim getcie,

kiedy skończyłam dwa lata, i odtąd wychowywała mnie polska niania.

Ludzie byli oburzeni.

– Jak ci nie wstyd, Halina! – mówili.

Innym razem, także w Żaganiu, młoda pijaczka z mojej ulicy wykrzykiwała za mną:

– Ty Żydówo! Ze śmieci cię wyciągnęli, obyś zdechła!

Choć z biegiem lat powinnam się uodpornić na tego typu słowa, one nadal boją. Jak ostatnio poprosiłam sąsiadkę o przeparkowanie samochodów jej pracowników spod mojej bramy, usłyszałam:

– E, pani Kowalska, niech sobie pani lepiej całą ulicę kupi.

Niektórzy wciąż hołdują stereotypowi bogatego, wręcz pazernego Żyda.

Niania nigdy nie ukrywała moich żydowskich korzeni, ale wydarzenia wojenne sprawiły, że moje pochodzenie stało się dla mnie obciążeniem. Na myśl, że zdradzają mnie przede wszystkim usta, wpadłam w Węgorzewie, gdy z rówieśnikami wskakiwaliśmy dla zabawy na wóz drabiniasty. Wtedy woźnica obejrzał się na nas, wskazał mnie batem i powiedział:

– A ty to jesteś Żydówka.

Pewnie nie miał nic złego na myśli, ot po prostu podzielił się swoim spostrzeżeniem. Mnie jednak nie dawało to spokoju i zastanawiałam się, co też mogę zrobić, by tę część mojej tożsamości ukryć. I tak jeszcze wiele lat po wojnie, gdy pozowałam do zdjęć, zaciskałam usta, by nie były takie wydatne i nie zdradziły mojego pochodzenia. Podobnie niepewnie poczułam się, gdy jechałam z nianią do okulisty w Olsztynie, a kobieta, która wsiadła do przedziału, zauważyła:

– To chyba jest żydowskie dziecko.

Zawsze czułam, że to coś niedobrego. A to przecież w tych ustach i czarnych lokach zakochał się mój przyszły mąż. Tak, chyba dopiero dzięki niemu przekonałam się, że cechy, które w czasie wojny ściągały na mnie śmiertelne niebezpieczeństwo, są tak naprawdę moimi zaletami.

Kiedy w 2003 roku zmarł mój mąż, dzieci zdążyły już wyfrunąć z gniazda, a niania od trzynastu lat nie żyła, wróciła tęsknota za rodziną – ale nie tą, którą sama stworzyłam, bo z nią mam od zawsze silną więź. Potrzebowałam rodziny w szerszym sensie – tożsamościowym. Zapisalam się do Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu. Na pierwsze spotkanie szłam bez przekonania. Nie wiedziałam, czego po nim oczekiwać. Sądziłam, że będę tam odosobnionym przypadkiem. Bałam się, jak też ja sobie z tymi Żydami poradzę – ja, Polka z żydowskimi korzeniami. Jakież było moje zdumienie, gdy członkowie stowarzyszenia zaczęli się przedstawiać, a wśród nich same Zosie, Jadzie, Krysie, Tomki i Wojtki, choć przecież Żydzi. Wtedy po raz pierwszy poczułam, że z moją historią nie jestem jedyna, że jest nas wielu. Cała rodzina!

Do stowarzyszenia należą osoby, które w momencie wybuchu wojny miały nie więcej niż trzynaście lat i urodziły się najpóźniej w 1945 roku. Swoje imiona zawdzięczają polskim opiekunom, którzy ich ochrzcili i w ten sposób ocalili, tak jak mnie ochrzciła i ocaliła niania. Każdy ma traumę, stowarzyszenie oferuje więc psychoterapię. Wiele osób, początkowo zamkniętych, zaczęło się otwierać i opowiadać o sobie, swoich poszukiwaniach: rodziny i tożsamości.

Tusia, jak żydowscy rodzice mówili na Esterę Goldynsztajn, miała dwa lata, gdy widziała ich po raz ostatni w getcie w Brodach. Matka wiedziała, co ich czeka, oddała więc córeczkę na aryjską stronę, a sama ukrywała się w ziemiance, gdzie urodziła koleje dziecko. Z obawy przed jego płaczem, który mógłby wydać wszystkich ukrywających się, udusiła je poduszką. Ślad po Tusi urwał się po tym, jak Niemcy zastrzelili

mężczyznę, który wyprowadził ją z getta i umieścił w polskiej rodzinie. Matka bezskutecznie szukała Tusi na Wołyniu, podczas gdy ona – już jako Roma – mieszkała na Ziemiach Odzyskanych z rodziną Titarenków. Zmarła w Izraelu, nigdy nie dowiedziawszy się, że jej Tusia – dziś Romualda Mansfeld-Booth – przeżyła wojnę.

„Żydówka ze złobka wyjęta” – w takich słowach, które padły na podwórku, ośmioletnia Dorota Szałajka dowiedziała się o swojej przeszłości: że nie jest córką swoich rodziców Leokadii i Jana Zalewskich, którzy przygarnęli ją z lubelskiego sierocińca, i że nie wie nawet, jak nazywała się naprawdę. Bietka z kolei jest pewna swojego imienia i daty urodzenia, bo były one wygrawerowane na srebrnej łyżeczce, z którą razem się uratowały z warszawskiego getta. Bietkę wyniosła stamtąd Stanisława Bussoldowa, położna współpracująca z „Żegotą” i Ireną Sendlerową. Nie tylko pomagała żydowskim dzieciom przyjść na świat, lecz także dawała im schronienie w swoim domu i szukała dla nich nowych rodzin. Sześciomiesięczną Elżbietę – dziś Ficowską – zostawiła u siebie na zawsze i obdarzyła ją ciepłym domowym ogniskiem.

Tereska Lisiewska naprawdę nazywała się Sara. Do warszawskiego sierocińca im. Baudouina trafiła w lipcu 1942 roku jako kilkutygodniowe dziecko, a opuściła go w styczniu 1945 roku. Był z nią tam jej brat, ale nic o nim nie wie poza tym, że miał na imię Mojżesz – ani ile miał lat, ani co się z nim działo po wojnie, ani czy w ogóle ją przeżył. Tereskę wzięła do siebie Katarzyna Janecka. Swojej rodzinie przedstawiła ją jako córkę. Nigdy nie powiedziała dziecku prawdy o żydowskim pochodzeniu, ale puściła je do żydowskiego przedszkola. Na pytanie Teresy o ojca mówiła, że zginął w Gross-Rosen, ale Teresa podejrzewa, że zmyśliła tę historię. Jej polska matka nigdy więcej nie wyszła za mąż, całe życie żyła skromnie i poświęcała się żydowskiej córce.

Dwuletnią Polę – potem Teresę Ciarkowską, a po mężu Wieczorek – ojciec przemycił z warszawskiego getta w walizce i dał na przechowanie żonie robotnika z zajezdni. Miał wrócić nazajutrz, ale nigdy więcej się nie zjawił. Dziewczynka wędrowała od rodziny do rodziny. Po wybuchu powstania w getcie stało się jasne, że nikt się już po nią nie zgłosił. Salezianie z warszawskiej Pragi wystawili jej metrykę – prawdziwej daty urodzenia dotąd nie poznała. Przybrana matka Kazimiera Ciarkowska dała jej dom, ale miłości już nie, dlatego Teresie trudno było potem okazywać czułość swojej córce.

Inka, w polskiej rodzinie wychowywana pod imieniem Joanna, jako czterolatka straciła rodzinę w getcie warszawskim w 1943 roku. Uratował ją granatowy policjant, który zaniósł ją – brudną i zawszoną – do nauczycielki jej matki, Wandy Niczowej. Ta ukrywała już córeczkę swoich kuzynów, znalazła więc Ince nowych rodziców: Anastazję i Waleriana Sobolewskich. Tego wszystkiego nie pamiętała. Ojciec w czasie wojny siedział na Pawiaku, po wojnie – w więzieniu stalinowskim, a gdy wrócił do domu po śmierci żony, byli sobie z Joanną obcy. Kiedyś w złości wykrzyczał jej, że nie jest ich dzieckiem. I tak Joanna Sobolewska jako osiemnastolatka dowiedziała się, że urodziła się jako Inka w żydowskiej rodzinie, która zginęła w czasie likwidacji getta. O żydowskiej mamie – Halinie Grynszpan z domu Zylberbart – wie tylko, że miała poczucie humoru i słaby wzrok.

Początkowe zainteresowanie żydowskimi korzeniami i Holocaustem przeobraziło się w życiowe zainteresowanie Joanny Sobolewskiej, dziś Sobolewskiej-Pyz. W Stowarzyszeniu Dzieci Holocaustu jest od jego zebrania założycielskiego, a w ramach współpracy z amerykańską Fundacją Zapisu Historii Ocalałych z Shoah, założoną przez Stevena Spielberga, przeprowadziła sto czterdzieści wywiadów z ocalałymi z Zagłady. Kilka lat temu wpadła na pomysł zorganizowania wystawy *Moi żydowscy rodzice, moi polscy rodzice*. Razem ze wspomnianymi

osobami jestem jedną z jej bohaterek, uczyniono mnie nawet jej twarzą. Wystawę, która od 2015 roku krąży po świecie, przez pięć lat obejrzało pięćdziesiąt tysięcy Polaków, Niemców, Austriaków, Hiszpanów i Żydów.

Podczas mojego drugiego zebrania w Stowarzyszeniu Dzieci Holocaustu w 2003 roku śp. Katarzyna Meloch, dziennikarka, zachęcała mnie do spisania świadectwa, które miało zostać opublikowane w wydawanym wtedy trzecim tomie *Dzieci Holocaustu*.

– Ale co ja napiszę, skoro nic o sobie nie wiem?

– Masz przecież metryki bliskich, wiesz, co się z nimi działo – przekonywała.

– Wiem tylko, jak się nazywali, czym mniej więcej się zajmowali i gdzie mieszkaliśmy. Nie mam nawet kogo dopytać, bo wszyscy moi krewni zginęli.

– Co wiesz, to napisz – skwitowała, a ja usiadłam nad kartką.

„Urodziłam się...”, „ojciec mój ukończył uniwersytet im. Stefana Batorego – wydział prawa – w Wilnie...”, „mieszkaliśmy w ekskluzywnej dzielnicy przy ul. Zawalnej 15 (tel. 12 73)...”, a potem to, co zapamiętałam z wojny, czyli niewiele. I na koniec: „Marzę o tym, by odezwał się ktoś, kto może znał moich rodziców. Napiszcie! Zadzwońcie! Bardzo, bardzo proszę. Może ktoś z nimi studiował przed wojną, zetknął się z nimi w czasie wojny. Prawdopodobnie ktoś z rodziny mojej mamy wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Tak bym chciała coś więcej o nich wiedzieć”. Moje świadectwo razem z apelem zawisło na stronie internetowej Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu w 2003 roku.

Jesienią 2006 roku szykowałam się ze Stowarzyszeniem na wycieczkę do Izraela. Byłam już spakowana, bo nazajutrz ruszaliśmy do

Warszawy na samolot do Tel Awiwu, gdy w moim zielonogórskim mieszkaniu zadzwonił telefon.

– Pani Maria Kowalska? – usłyszałam w słuchawce młody głos.

– Tak.

– Pani Masza Fajnsztajn?

– Tak – powiedziałam niepewnie, bo mało kto zwracał się do mnie w ten sposób.

– Mówi Marianna Hoszowska z Warszawy, studentka kulturoznawstwa. Na stronie Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu znalazłam pani apel. Pani szuka rodziny?

– Nie, nie szukam.

– Jak to? Przecież pani napisała...

– Napisałam, że chciałabym się czegokolwiek o moich krewnych dowiedzieć, ale ich nie szukam, bo wiem, że wszyscy zginęli w Ponarach.

– A gdybym pani powiedziała, że ma pani ciocię?

Na słowo „ciocia” nogi się pode mną ugięły. Czy to mogło dotyczyć mnie? Czyżbym ja też miała jakąś ciocię? Taką prawdziwą, nie przyszywaną?

– W Polsce? W Wilnie? Gdzie? – pytałam gorączkowo.

– W Hajfie. To Dina Fajnsztajn, krewna ze strony taty. Uratowała się z wileńskiego getta. Jeśli będzie pani kiedyś w Warszawie, możemy się spotkać, a do tego czasu postaram się dowiedzieć więcej.

– Ależ ja jutro będę w Warszawie!

Rozmowę miałyśmy dokończyć nazajutrz rano w stolicy, przy kasie numer jeden na Dworcu Centralnym. Po odłożeniu słuchawki byłam cała

zlana potem. Próbowałam zadzwonić do dzieci, żeby im powiedzieć, że ciocia się znalazła, mam ciocię, mam wreszcie do kogo powiedzieć: „ciociu”, ale nie mogłam. Wciskałam kolejne cyfry, jednak bezskutecznie. Nic dziwnego, skoro w tej ekscytacji próbowałam zadzwonić z... pilota do telewizora. Gdy udało mi się porozumieć z dziećmi, ucieszyły się tak samo jak ja i niecierpliwie czekały na rozwój wypadków.

Jak mi potem opowiadała pani Marianna, na moje ogłoszenie na stronie stowarzyszenia natrafiła przypadkiem, ale zafrapowało ją. Postanowiła poszukać jakichś informacji, liczyła, że być może trafi na ślad, którego inni nie zauważyli. Szperała w żydowskich genealogiach i materiałach o Holocauście w Instytucie Jad Waszem. W katalogu liczącym sześć milionów nazwisk nie znalazła ani jednego Fajnsztajna. Wydało jej się to nieprawdopodobne, więc wpisała: „Fajnsztejn” i... od razu mnóstwo wyników! Gdy ograniczyła je do tych związanych z Wilnem, na ekranie komputera pojawiło się świadectwo prawdy dotyczące Chany Fajnsztejn spisane przez Dinę Fajnsztajn z Hajfy, z domu Srulowicz. Chana mieszkała przy ulicy Zawalnej, tak samo jak Chana z mojego apelu. Na podstawie pozyskanych dokumentów pani Marianna zaczęła tworzyć drzewo genealogiczne mojej rodziny i wyszło jej, że Dina jest moją ciocią. Poszukiwania kontynuowała na forach internetowych służących do odnajdywania żydowskich krewnych. Odpowiedział jej znajomy z Izraela, który obiecał poszukać cioci Diny w spisach ludności Hajfy.

– Mam niestety smutną wiadomość. – Od tego pani Marianna zaczęła nasze spotkanie przy dworcowej kasie. – Pani ciocia od czterech lat nie żyje. Podobnie jej mąż.

„No tak, to byłoby zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Jak zwykle rodzinna bańka mydlana prysła” – pomyślałam. Pani Marianna zaczęła mi jednak tłumaczyć, że na forum zgłosiła się do niej osoba,

która w czasie wojny znała męża cioci Diny. Ów mąż lubił mówić o swej „zwariowanej” córce jedynaczce.

– A skoro mieli jedną córkę, to właśnie ona musiała zgłaszać pochówek – kontynuowała pani Marianna. – Spróbuję nawiązać z nią kontakt. Proszę powiedzieć, jak mogę panią łąpać.

Podalam numer telefonu komórkowego kolegi uczestniczącego w naszej wycieczce, bo wtedy mało kto miał taką zabawkę, i postanowiłam o sprawie zapomnieć, a przynajmniej nie robić sobie nadziei. Nie wierzyłam, że po tylu latach, na taką odległość cokolwiek się uda. Nie doceniłam jednak determinacji ani pani Marianny, ani pozostałych osób zaangażowanych w poszukiwania i kojarzenie rodzin rozdzielonych przez wojnę.

Któregoś dnia w czasie wycieczki po Izraelu kolega podał mi swój telefon i powiedział:

– To do ciebie.

– Tu Marianna Hoszowska. – Gdy usłyszałam głos młodziutkiej studentki, chcąc nie chcąc, wstąpiła we mnie nadzieja. – Odnaleźliśmy córkę pani cioci. Mój znajomy z Izraela uzyskał jej dane na cmentarzu w Hajfie. Nazywa się Elana Israeli. Pani z biura kojarzącego żydowskie rodziny trzykrotnie próbowała się z nią skontaktować... Nie było łatwo.

Córka cioci była nieufna. Dopytywała, skąd mają jej telefon, więc powiedziano jej, że z biura cmentarza, na którym pochowano jej matkę. A gdy dowiedziała się, że dzwonią w związku z Holocaustem, trzasnęła słuchawką. Dopiero później pani Marianna wyznała mi, że na tę wiadomość się rozplakała. Czuła, że była tak blisko. Nie poddała się jednak. Znajomego z Izraela poprosiła o sprawdzenie, czy w mieszkaniu Elany zameldowany jest ktoś jeszcze. Był to Ohad Israeli, jej syn. To imię i nazwisko jest w Izraelu bardzo popularne, pani Marianna zawęziła więc poszukiwania do noszących je osób urodzonych w latach

siedemdziesiątych XX wieku. Napisała do jednego z nich i od razu strzał w dziesiątkę!

– Mieszka w Tel Awiwie – kontynuowała Marianna Hoszowska przez telefon. – Może on zechce z nami rozmawiać...

Nie zauważyłam, że w czasie rozmowy wokół mnie zebrał się wianuszek wycieczkowiczów ze stowarzyszenia. Czterdzieści osób wpatrywało się we mnie wyczekująco; wielu do tej pory bezskutecznie poszukuje swoich krewnych. Każdy znaleziony przez kogoś trop wlewa w pozostałych nową nadzieję. Ale u mnie tropy się rwą.

– Nic z tego nie będzie – odpowiedziałam pilotce wycieczki, która zaproponowała, że sama zadzwoni do córki cioci. – Skoro nie chce rozmawiać, to nie.

Kiedy nasza grupa jechała nad Morze Martwe, moja warszawska znajoma otrzymała mail z Izraela. Ohad Israeli potwierdził, że jest synem Diny Fajnsztajn, a w jego rodzinie w czasie wojny zaginęła Masza o tym samym nazwisku.

Ledwo weszliśmy do hotelu, a recepcjonistka powiedziała:

– Pani Kowalska, proszę iść do pokoju, telefony się urywają.

Najpierw zadzwoniła córka, by powiedzieć, że szukano mnie pod zielonogórskim telefonem, więc podała mój aktualny adres. I tak porozumiała się ze mną kobieta z biura łączącego rodziny w Izraelu.

– Ma pani ciocię i wujka – mówiła. – Mówią po polsku i próbują się z panią skontaktować.

A potem telefon, po którym tyle się zmieniło...

– Pani Maria? (cisza) Masza? (cisza) Maszeńko, całe życie cię szukaliśmy! – I szloch.

To był wujek Daniel Avidar Fajnsztajn, brat zmarłej pięć lat wcześniej cioci Diny i wujek Ohada, który po korespondencji z Marianną Hoszowską najwyraźniej pociągnął za rodzinne sznurki. Wujek w jednym zdaniu chciał opowiedzieć sześćdziesiąt pięć lat życia, a ja chciałam to wszystko wiedzieć i wciąż pytałam. Nic z tej rozmowy nie pamiętam, choć była bardzo, bardzo długa. Tylko ogromne wzruszenie, łyzy radości. Mieszanka ulgi i podniecenia, bo wieloletnia pustka po stracie rodziny w czasie wojny właśnie miała zacząć się wypełniać.

Kolejny głos, który rozbrzmiał w słuchawce, należał do siostry wujka, Lei.

– Maszeńko, witaj! – A po chwili ciszy po drugiej stronie: – No, powiedz coś!

– Nie wiem co. Jestem tak wzruszona, że wszystko mi się miesza... – Tyle byłam w stanie z siebie wydusić.

– A brałaś coś na uspokojenie?

– Nie.

– To weź szybko! Ja już dwa razy brałam – przekonywała i śmiała się głośno, wesoło.

Wujek miał mnie odwiedzić nazajutrz w hotelu. Pamiętam, że kąpałam się w Morzu Martwym, gdy na plaży dostrzegłam poruszenie. Biegł nią jakiś mężczyzna i rozpytywał o wycieczkę z Polski oraz o... Marię Kowalską.

– Marysiu! Pan do ciebie! – wołali przyjaciele z wycieczki.

Wyszłam z wody i jakby mało było, że cała nią ociekałam, z oczu leciały mi jeszcze łzy. Przecież to wujek! Rodzina! Stanął mi przed oczami śniony latami sen: idę pod wskazany adres i błędzę. Kiedy wydaje się, że dochodzę, ulice się rozwidlają i nagle wylewa się na nie

morze. A teraz, na jawie, ja z tego morza wychodzę i widzę wujka. Docieram wreszcie pod właściwy adres.



Odzyskana przez Marię Kowalską rodzina z Izraela na zdjęciu w domu Tamar, córki cioci Lei, w Cezarei. Maria Kowalska (w drugim rzędzie od dołu, w białej bluzce) siedzi między Tamar a cicią Leą.

Fot. Archiwum prywatne Marii Kowalskiej

– W 1938 roku, jak miałem siedem lat, bawiłem się na weselu twoich rodziców. Twoja mama to była wysoka i wesoła kobieta! Później bujałem cię w kołysce, a potem getto... – opowiadał wujek, gdy tylko udało nam się ochłonąć po pierwszych wrażeniach. – Patrz, to są twoi dziadkowie. Twój dziadek i mój ojciec to rodzeni bracia. A tu czworo mojego rodzeństwa. – Pokazywał na zdjęciach i rysowanym naprędce drzewie genealogicznym kolejne osoby, a mnie przelatowały one przed

oczami niczym w kalejdoskopie. – Twój prapradziadek był pierwszym rabinem w Hamburgu, pradiadek rabinem w Królewcu, dziadek też mógł być rabinem, ale nie chciał...

Po powrocie do domu ponoć długo siedział z głową w dłoniach i nic nie mówił. Ciocia Lea na próżno go wypytywała, więc przyjechała do Tel Awiwu, by osobiście się ze mną spotkać przed moim odlotem do Warszawy. Ciocia i wujek przekonywali mnie, bym została, ale ja miałam wykupiony zbiorowy bilet. Obiecałam jednak, że wrócę. Tak, wrócę na pewno! Na lotnisku zegnała mnie trzydziestka osób z mojej nowo odzyskanej rodziny. To wujek zorganizował to huczne pożegnanie, a jednocześnie przecież powitanie. W jednej chwili stałam się bogata w rodzinę. Tęsknota za nią należała już do przeszłości. Otworzyła się przede mną nowa droga.

Do Izraela wróciłam w marcu kolejnego roku – od razu z polską ekipą telewizyjną. Na lotnisku stała grupa kilkudziesięciu osób z transparentami, fotografowie prasowi błyskali fleszami. Myślałam, że tym samym samolotem wylądowała jakaś ważna osobistość, gdy na transparentach zobaczyłam słowa: „Witamy Maszę w Izraelu”, po angielsku i hebrajsku. Wszyscy zebrani byli moją rodziną. Poczułam, jak ogarnia mnie euforia.

W swoim filmie dokumentalnym *Narodzona po raz drugi* Michał Nekanda-Trepka utrwalił moje pierwsze spotkania z rodziną, moje pierwsze reakcje na opowieści o moich dziadkach i rodzicach, o wojennych losach wszystkich moich krewnych, o śmierci mojej mamy. Wreszcie mogłam zacząć uzupełniać luki w moim życiorysie.

Tata skończył prawo na wileńskim Uniwersytecie Stefana Batorego i był prawnikiem. Razem z dziadkiem, który miał kancelarię adwokacką, prowadził biuro pisania próśb i podań. Dziadkowie mieszkali razem

z nami. Nie wiem, czy mama i babcia pracowały. Niania zajmowała się wyłącznie mną, bo w domu była służba.

Wilno było w międzywojniu najważniejszym ośrodkiem gospodarczym, naukowym i kulturalnym Kresów północno-wschodnich, a ze względu na liczną mniejszość żydowską, ważną dla kultury i gospodarki, nazywane było Jerozolimą Północy. Ja tamtego Wilna nie pamiętam. Gdy odwiedziłam je wiele lat po wojnie, nie rozpoznałam nawet kamienicy, w której mieszkaliśmy. Na dole znajdowała się restauracja, a na górze – biura. Niczego mi to miejsce nie przypominało.



Takiego Wilna Maria Kowalska nie może pamiętać.

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

Nie mogłam pamiętać również, jak od 1939 roku przechodziło spod okupacji sowieckiej pod litewską, a potem znów pod sowiecką, by ostatecznie trafić pod niemiecką. Hitlerowcy niemal natychmiast po wkroczeniu do miasta zatrzymali sześćdziesięciu Żydów i dwudziestu

Polaków. Wkrótce do miasta przybyło komando mające z miejsca mordować Żydów, komunistów i wszelkich innych domniemanych wrogów III Rzeszy. W pierwszych dniach liczba aresztowanych sięgnęła ośmiu tysięcy, byli to głównie Żydzi. Wszystkim Żydom kazano nosić opaski z gwiazdą Dawida, zaczęto masowo zwalniać ich z pracy, wielu zmuszano do pracy na rzecz Niemców, skonfiskowano żydowskie pojazdy i radiodbiorniki. Żydzi mogli się zaopatrywać jedynie w oznaczonych sklepach między godziną szesnastą a osiemnastą. Nie wolno im było wychodzić na ulice między osiemnastą a szóstą rano, korzystać z transportu miejskiego, spacerować głównymi ulicami, poruszać się chodnikami, korzystać z parków, kin, teatrów, restauracji, a także publicznego szpitala i usług nieżydowskich lekarzy.

W Ponarach – podwileńskich lasach – jeszcze za pierwszej okupacji sowieckiej wykopano sześć ogromnych dołów do podziemnego składowania paliwa lotniczego. W większości miały średnicę ośmiu metrów i pięć metrów głębokości, a średnica największego liczyła czterdzieści metrów. Rosjanie ogrodzili ten obszar drutem kolczastym wysokim na dwa metry, wcześniej wysiedliwszy mieszkańców najbliższych domów. Postawili parę drewnianych szop. Tereny te w niczym nie przypominały już osiedla wypoczynkowego, za które Ponary służyły przed wojną pracownikom Polskich Kolei Państwowych.

Gdy te tereny, podobnie jak cała Wileńszczyzna, przeszły w czerwcu 1941 roku w ręce Niemców, wykorzystali je oni jako miejsce egzekucji. Bliskość Wilna, drogi kolejowej i szosy ułatwiała transporty, a lasy dookoła – utrzymanie zbrodniczej działalności w tajemnicy. Oprawcy ogrodzili doły mające stać się masowymi grobami czterometrową siatką zakończoną drutem kolczastym, a ziemię wokół niej zaminowali. Na drzewach rozwiesili ostrzeżenia: za zbliżenie się do tego miejsca grozi rozstrzelanie. Litewscy wartownicy zabili co najmniej kilka osób, które ten zakaz złamały.

Do miejsca straceń prowadziły dwie bramy: duża od strony grodzieńki, szosy prowadzącej do Grodna, i mała od wsi Nowosiołki, którą wjeżdżały ciężarówki. Ofiary zwożono pociągami albo samochodami lub gnano pieszo grodzieńką. Czterdziestoma wagonami Niemcy byli w stanie przewieźć na raz blisko trzy tysiące Żydów z Wilna i okolicznych miejscowości. Zdarzały się też mniejsze transporty Żydów z Europy Zachodniej. Ciężarówkami zwożono zwykle więźniów z więzień na wileńskich Łukiszkach i w Trokach – przeważali wśród nich Polacy, ale bywali także Żydzi z wileńskiego getta. O ile Polacy odbywali transport w pozycji siedzącej, o tyle Żydom kazano przez cały ten czas klęczeć na pace samochodu, czasem z rękami na plecach, skrępowanymi drutem kolczastym. Najczęściej jednak Żydów z wileńskiego getta pędzono do Ponar pieszo. Ich kolumny ciągnęły się czasem kilometrami. Wielu ginęło z wycieńczenia w drodze lub zostało zastrzelonych podczas ucieczki. Bywało, że Niemcy pozorowali możliwość ucieczki, by dla rozrywki sobie na Żydów „zapolować”.

Żydów, polską inteligencję, działaczy podziemia, radzieckich jeńców wojennych, komunistów, Romów – mężczyzn, kobiety, dzieci, starców – Niemcy rozstrzeliwali etapami. Ofiar było tak wiele, że na swoją kolej ludzie czekali czasem kilkanaście godzin, a nawet kilka dni. Wysłuchiwali kanonady z karabinów maszynowych oraz znosili razy od litewskich żandarmów. Kolejnym etapem w tej morderczej poczekalni było przejście bliżej dołów, rozebranie się do bielizny i oddanie wartościowych rzeczy. Złoto, biżuterię i pieniądze zabierali Niemcy; ubrania, obuwie i mniej wartościowe przedmioty – Litwini, którzy potem wymieniali je na alkohol. Wreszcie skazańców umieszczano w dołach.

Stamtąd wybierano po dziesięć osób, prowadzono nad masowe groby, ustawiano plecami do plutonu egzekucyjnego i rozstrzeliwano. Jeśli skazańców było bardzo dużo lub oprawcy nie mieli czasu, do egzekucji używano granatów. Zdarzało się, że – by zaoszczędzić

amunicję – małe dzieci wrzucano do grobu żywcem lub roztrzaskiwano im głowy kolbami karabinów. Kaci najczęściej byli pod wpływem alkoholu. Zwłoki zasypywali ziemią lub chlorowanym wapnem wytypowani spośród więźniów mężczyźni, którzy ostatecznie także byli mordowani.

W zatrzymaniach i egzekucjach czynnie uczestniczyli litewscy kolaboranci, głównie z formacji Ypatingasis būrys, dobrze zorientowani w lokalnych układach i znajomościach. To oni przygotowywali imienne listy żydowskich działaczy politycznych, intelektualistów, osób zamożnych. Wkrótce listy nie były potrzebne, bo zatrzymano wszystkich żydowskich mężczyzn – początkowo bowiem do Ponar wywożono jedynie mężczyzn. W lipcu 1941 roku mordowano ich za powyższe „przewinienia”, w sierpniu pretekstem był zamach na niemieckich żołnierzy, upozorowany zresztą przez samych Niemców, którzy potrzebowali usprawiedliwienia dla masowych egzekucji Żydów.





Ekshumacja ofiar zbrodni w lasach ponarskich.

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

Nie znamy ostatecznej liczby ofiar zbrodni w Ponarach – największej na Kresach północno-wschodnich, dlatego nazywanej wileńskim Katyniem lub wileńską Golgotą. Od końca 1943 roku do połowy 1944 roku Niemcy – oczywiście rękami polskich i żydowskich więźniów – ekshumowali bowiem ciała i spalili większość z nich. Mówi się o stu tysiącach osób, z których blisko trzy czwarte stanowić mieli Żydzi. Gdy już w 1941 roku do warszawskich przywódców ruchu syjonistycznego docierały wieści o tym, że Ponary są tylko preludium do masowej eksterminacji Żydów, działacze początkowo im nie dowierzali. Nawet osobom dobrze zorientowanym w wydarzeniach nie mieściło się to w głowach.

Po wspomnianej prowokacji w sierpniu 1941 roku Niemcy utworzyli w Wilnie zamkniętą dzielnicę dla Żydów. Na początku września 1941 roku do małego getta trafili pacjenci ze szpitali, dzieci z sierocińca, osoby w podeszłym wieku, a do dużego – zdolni do pracy na rzecz niemieckiego wojska i administracji, zwłaszcza wykwalifikowani robotnicy. Małe getto w większości rozstrzelano w Ponarach. Pod koniec października w dużym zaczęto wyłapywać Żydów niepracujących lub niemających zaświadczenia o zatrudnieniu. Uwierzyli oni, że zostaną osadzeni w rzekomo odtworzonym małym getcie, w rzeczywistości jednak skończyli w ponarskich dołach śmierci. Do grudnia odbywały się jeszcze łapanki i eksterminacje, ale potem wygrał niemiecki pragmatyzm – Wehrmacht i administracja III Rzeszy zaczęły bowiem naciskać, by Żydów „kwalifikujących się” do rozstrzelania wysłać na roboty przymusowe. W getcie ginęli już „tylko” parający się nielegalnym handlem, posługujący się fałszywymi dokumentami, ukrywający kosztowności.

Do wileńskiego getta trafiłam, gdy miałam dwa lata, razem z rodzicami, dziadkami oraz bratem dziadka, który prowadził sklep kolonialny i interes związany z nieruchomościami. Za mur trafiła też piątka jego dzieci, w tym Daniel Avidar Fajnsztajn, którego poznałam sześćdziesiąt lat później. Niemcy nie oszczędzili Daniela Fajnsztajna – brata taty – jego żony nauczycielki oraz trójki ich dzieci. Niania opowiadała mi po wojnie, że był doktorem, ale w Żydowskim Instytucie Historycznym nie odnalazłam lekarza o tym nazwisku. Nic dziwnego – był bowiem doktorem, ale etnografii na Uniwersytecie Stefana Batorego. Jako pierwszy zresztą zrobił na tej uczelni doktorat. Jak powiedział mi wujek Daniel Avidar, Niemcy powierzyli Danielowi miejską bibliotekę, z której część księgozbioru miał dać na przemiał, a część – oddać okupantowi. Udało mu się ocalić i przechować część dzieł, których wiele znajduje się teraz w USA. Był w getcie do końca, wszystkich

podtrzymywał na duchu. Namawiał do czytania książek i utożsamiania się z ich bohaterami, by łatwiej było przejść przez trudny czas. Miał świadomość, że Niemcy sukcesywnie wywożą Żydów z likwidowanego getta do Ponar i ich tam mordują, wbrew zapewnieniom, że wiozą ich na przymusowe roboty. Odmówił dołączenia do transportu, więc rozstrzelano go na miejscu. W Ponarach czekało go to samo.

Jak wspominałam, Niemcy wywieźli mojego tatę do Ponar i tam rozstrzelali zaraz po tym, jak trafiliśmy do getta. Podobny los spotkał dziadków z jego strony. W muzeum w Ponarach figuruje dziewięć osób z mojej rodziny, ale to z pewnością nie wszyscy, którzy tam zginęli.

Po tym, jak mama oddała mnie niani, dalej pracowała – aż do września 1943 roku, gdy Niemcy zlikwidowali wileńskie getto. Z mojej rodziny pozostawali w nim jeszcze: mama, ciocia Dina, ciocia Lea i wujek Daniel oraz ich siostrzenica Fruma. Niemcy przeprowadzili wtedy selekcję: poddani jej nie wiedzieli jeszcze, że część z nich trafi do obozów zagłady w Majdanku i Sobiborze lub do ponarskich dołów, a część do obozów pracy w Estonii i na Łotwie, a stamtąd – do obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Można było tylko się domyślać, że przydzielenie do starszych, najsłabszych i kobiet z dziećmi oznacza wyrok śmierci, a do młodych i silniejszych zwiększa szanse na przeżycie. Ponieważ trzynastoletni wówczas wujek Daniel, traktowany przez Niemców jak mężczyzna, z pewnością znalazłby się w innym transporcie niż kobiety z jego rodziny, został przebrany za dziewczynę. Ze spódnicy ciocie zrobiły mu chustę na głowę, dały mu buty na obcasie, a usta pomalowały. Szedł ze swoją siostrą Diną pod rękę. Wszystkie kobiety z naszej rodziny – te prawdziwe i ta w przebraniu – trafiły do tego samego transportu tysiąca dwustu kobiet w wieku od osiemnastu do dwudziestu czterech lat. Wsadzili je do wagonów po osiemdziesiąt osób w jednym.

– Na Ponary nas wiozą – mówiła któraś.

– E, do życia jedziemy, do pracy – mówiła inna.

Mama przychyliła się do wersji z Ponarami i powiedziała:

– Ja nie mogę umrzeć, muszę się uratować dla Maszeńki. Ucieknę do lasu.



*Gdy osiemnastoletnia Marysia tuliła się do
węgorzewskich drzew, nie była jeszcze świadoma, jak*

rozrośnięte jest jej drzewo genealogiczne.

Fot. Archiwum prywatne Marii Kowalskiej

Chyba nikt nie dał wiary jej słowom, bo jak uciec z zaryglowanego wagonu? W nocy jednak rozległy się strzały, a rano mamy już w wagonie nie było. Był 23 września 1943 roku – wujek mówi, żebym tego dnia wspominała śmierć mamy. Niestety nie ma miejsca, w którym mogłabym położyć kamień, jak czynią Żydzi na grobach bliskich, lub zapalić znicz, zgodnie z tradycją katolicką. Ale przynajmniej mam pewność, że nie zginęła w Ponarach, jak sądziłam przez większość życia. I wiem, że próbowała ocaleć dla mnie.

Lea, Dina, Daniel i Fruma trafili do Stutthofu. Wujek – jako dziewczyna – unikał łaźni i dopiero po paru dniach, gdy przyszedł transport mężczyzn, dołączył do nich. Wszyscy przeszli tam tyfus, a w 1945 roku szli w marszu śmierci, gnani na zachód. Z wujka tyfus wciąż się wylewał, a on słał się na nogach. Zatrzymanie się za potrzebą mogło skończyć się dla niego rozstrzelaniem, dlatego podtrzymywany przez kobiety z rodziny, doczołgał się do przydrożnej stodoły. Zatrzymali się w niej na dłużej, niż wymagała tego potrzeba, a w nocy usłyszeli strzały. Nazajutrz okazało się, że stodołę razem z otaczającymi ją terenami odbili z rąk niemieckich Rosjanie. I tak moi bliscy zostali oswobodzeni. Wujek słabował i w większości przespał ten czas. Dina zdobyła dla niego zastrzyki i powoli wracał do zdrowia. Zajęli jeden z domów opuszczonych przez Niemców. Ci uciekali w popłochu i zostawiali zapasy jedzenia. Wielu takich jak Lea, Dina, Daniel i Fruma rzuciło się na to jedzenie i zmarło – ich wygłodzone organizmy nie poradziły sobie z tak nagłą i obfitą dawką pożywienia. Moją rodzinę szczęśliwie to ominęło.

Z czasem najęli się przy wypasaniu krów i dopiero po pół roku dowiedzieli się, że mogą wracać do Wilna. Tam postanowili odwiedzić swój rodzinny dom, zajmowany obecnie przez przedwojennego stróża.

Lea przypomniała sobie wówczas, że przed wypędzeniem do getta ich ojciec Mordechaj rozdzielił po całej rodzinie kosztowności. Wszyscy zabrali je ze sobą – wszyscy z wyjątkiem Lei, która otrzymane precjoza zakopała w piwnicy. Teraz pobiegli do tej piwnicy i znaleźli je tam! Mieli za co żyć przez jakiś czas, starczyło nawet na złoty ząb dla Diny.

W 1947 roku, gdy tylko stało się to możliwe, postanowili wyemigrować do Palestyny. Urzędniczka w Warszawie, gdzie wyrabiali papiery potrzebne do wyjazdu, spojrzała na nich i powiedziała:

– To was tyle jeszcze zostało?

Leę tak to zabolalo, że postanowiła nigdy więcej do Polski nie wracać. W nowym miejscu nie było im jednak lżej – mieszkali w kibucach, gdzie tylko szkoła, praca, wojsko. Kazano im mówić wyłącznie po hebrajsku, a o Holocauście zakazano opowiadać, bo to tylko rozjątrzało świeże rany.

Po wojnie wciąż mnie szukali, ciocia Dina przed śmiercią powiedziała nawet:



Maria Kowalska w swoim domu w Zielonej Górze w 2021 roku.

Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej

– Wszystko w życiu załatwiłam, z wyjątkiem jednej sprawy: nie znalazłam Maszeńki. Wiem, że ona żyje, ale nie wiem gdzie.

W Polsce tymczasem nie było już Maszy Fajnsztajn, urodzonej 26 grudnia 1939 roku. Była Marysia Butkiewicz, która przyszła na świat 12 maja 1939 roku. Mój mąż zenił się z „majową” Marią Butkiewicz, a dzieci pochowają mnie jako „grudniową” Marię Kowalską. Chcę mieć na nagrobku prawdziwą datę urodzenia, dlatego już kilka lat temu zmieniłam PESEL, co wymagało zmian w akcie urodzenia, akcie ślubu, dokumentach bankowych, przychodniach i wielu innych instytucjach. Moje panięńskie nazwisko Fajnsztajn przyjęło z kolei troje moich wnuków. Do wybuchu pandemii w 2020 roku u mojej rodziny w Izraelu bywałam co roku, podobnie jak moje dzieci i wnuki.

Życia, które mi uratowano, nie zmarnowałam. Zawsze wiedziałam, że najważniejsza jest rodzina, choć z początku stanowiłyśmy ją tylko ja i niania. Gdy założyłam swoją, a potem moje dzieci założyły własne, udowodniłam losowi, że naprawdę na tę rodzinę zasługuję. I odzyskałam wreszcie tę, z której wyrastają moje korzenie. W ten sposób dopełniło się moje rodzinne arboretum.

Maria Kowalska

Hänschen (ur. 1936)

*DANZIGER, CO NIE ZOSTAŁ
NIEMCEM*



*Janek Małgorzewicz z tatą Franciszkiem w przededniu
wojny.*

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

A niechże pan zaśpiewa coś po niemiecku!

– Ależ proszę:

Więc wolny szlak brunatnym batalionom.

Więc wolny szlak przed tym, co niesie grom!

Na hakenkreuz z nadzieją patrzą już miliony

I dzień wolności wstaje nad nasz dom!

Już trąbka gra, to apel nasz ostatni!

Do boju gotów jest już każdy z nas!

Hitlera flagi wkrótce wioną ulicami.

Dawnej niewoli już się kończy czas!

– Ćśś, przestań pan! – Moi niemieccy rozmówcy zatykają uszy i opędzają się od moich śpiewów jak od stada much. – Przecież to *Pieśń Horsta Wessela*, marsz brunatnych z SA.

– A tak! – odpowiadam. – A posłuchajcie tego:

Niemcy, Niemcy ponad wszystko,

Ponad wszystko na świecie,

Jeśli zawsze dla obrony

Po bratersku są złączone

Od Mozy aż po Niemen

Od Adygi aż po Bełt...

– Przecież od Mozy po Niemen i od Adygi po Bełt nas, Niemców, już nie ma, a tej zwrotki hymnu

od dawna nie śpiewamy – bronią się Niemcy.

– A ja musiałem – odpowiadam im wtedy. –
W pozycji na baczność i ze wzrokiem utkwionym
w portrecie Hitlera, pod łopoczącą flagą III Rzeszy.
Trzeci palec u każdej ręki musiał pokrywać się ze
szwem na spodniach. Inaczej trzcinką po łapach!



*Ciaćia Helena Zielińska, babćia Bolesława Borowska,
dziadek Jan Borowski i Janek, Boże Narodzenie 1936
roku.*

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

Ja jestem człowiek gdański, osobiście od dziewiątego dnia życia, ale ogólnie od trzech pokoleń. O moich przodkach – działaczach polonijnych – w książkach piszą. Mieszkałem z dziadkami Bolesławą i Janem Borowskimi na Nowym Mieście, przy ulicy Nowomiejskiej. Kiedy wypuszczałem się z nimi do centrum miasta, zawsze opowiadali mi o wszystkich ważnych miejscach, które mijaliśmy. Tak zaszczepili mi miłość do Gdańska. Dziadek prowadził zakładzik stolarski, w którym

zatrudniał kilkoro pracowników. To dzięki niemu udało nam się potem przetrwać okupację. Babcia zajmowała się prowadzeniem domu. Mieszkała z nami także jej siostra Helena Zielińska, do której zwracałem się „ciociu”. Nigdy nie wyszła za mąż po tym, jak jej narzeczony poległ na froncie pierwszej wojny światowej.



E. Stutterheim
Preuss. Stargard

Dziadek Jan Borowski w armii cesarskiej.

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

Ciocia była świetną krawcową, co z kolei zapewni nam chleb w głodowych miesiącach powojennych. Przed wojną zatrudniała ją sama hrabina Helena Sierakowska z domu Lubomirska. Ciocia jechała do niej w okolice Brodnicy i w miesiąc obszywała ich dziewięcioosobową rodzinę oraz personel. A hrabina to nie byle kto: starannie wykształcona, wyszła za polskiego działacza narodowego w Republice Weimarskiej i III Rzeszy i sama udzielała się społecznie. Mimo że po 1920 roku Powiśle nie weszło do Polski, wywalczyła, by w czterdziestu tamtejszych szkołach polskie dzieci mogły się uczyć języka polskiego, a dla sześciuset pięćdziesięciu polskich maluchów zorganizowała piętnaście przedszkoli. Zapłaciła za to najwyższą cenę: Niemcy rozstrzelali ją jeszcze w październiku 1939 roku, podobnie jak jej męża i córkę z zięciem.



*Franciszek Zieliński – brat cioci i babci, właściciel
gdańskiej fabryki parkietów.*

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

Brat babci i cioci Franciszek Zieliński prowadził przy ulicy Łagiewniki w Gdańsku fabrykę parkietów. Dziś stoi tam hotel Mercure Heweliusz. Franciszkowi szło tak dobrze, że sprowadził ze Szwecji nowy park maszynowy. Niestety, wkrótce wybuchła wojna i Niemcy zarekwirowali fabrykę, która odtąd aż do 1945 roku produkowała skrzynki na amunicję. Wujka zmuszono do nadzorowania produkcji, w końcu najlepiej znał swoje maszyny. Dzięki temu uniknął zesłania do obozu. Fabryka szczęśliwie przetrwała wojnę, ale tuż po niej nowa władza ją znacjonalizowała. Zamiast parkietów szwedzkie maszyny wyrabiały odtąd zapałki. Wujek fabryki nigdy nie odzyskał, nie dożył nawet wypłaty odszkodowania w wysokości dwóch milionów złotych. Zresztą odmówił przyjęcia tych pieniędzy. Zmarł ze zgrzyoty trzy lata później. Wszystkie budynki, które należały do rodziny Zielińskich, uległy zniszczeniu w czasie działań wojennych. Z wyjątkiem jednego, stojącego dziś naprzeciw staromiejskiego ratusza. Tyle pozostało z dobytku moich przodków gdańszczan.

Brat mamy Jan Borowski jako pracownik Polskiej Dyrekcji Kolei był rewizorem pociągów na trasie Gdańsk–Berlin. Niemcy jeszcze przed wybuchem wojny przerzucali pociągami do Gdańska swoich żołnierzy po cywilnemu, bez dokumentów, bez biletów. Wujek wyłapywał ich, zatrzymywał pociąg na granicy Wolnego Miasta Gdańska i bezpardonowo ich wysadzał na najbliższej stacyjce. Z pewnością został z tego zapamiętany, bo mocno się tym naraził. W dodatku udzielał się w środowiskach polonijnych, więc od razu 1 września 1939 roku, po pierwszych wystrzałach na Westerplatte, został pojmany i resztę wojny spędził w obozach Stutthof, Oranienburg i Sachsenhausen, skąd wyzwolili go Amerykanie. Szwedzki Czerwony Krzyż wywiózł go na

rekonwalescencję do Szwecji, gdzie zaproponowano mu pracę. Miał dobre wykształcenie – skończył Polską Wyższą Szkołę Handlową Macierzy Szkolnej w Gdańsku – znał niemiecki i angielski, o chętnie przystał więc na propozycję i próbował ściągnąć do siebie dziadków oraz narzeczoną. Odpowiedzieli mu słowami gdańskiego harcmistrza Alfa Liczmańskiego: „Gdybyśmy wszyscy opuścili Gdańsk, kto by świadczył o jego polskości?”. Wujek więc wrócił, dostał nawet intratne stanowisko naczelnika kontroli stacji benzynowych Centrali Produktów Naftowych oraz mieszkanie w Sopocie, w którym zamieszkał z żoną.

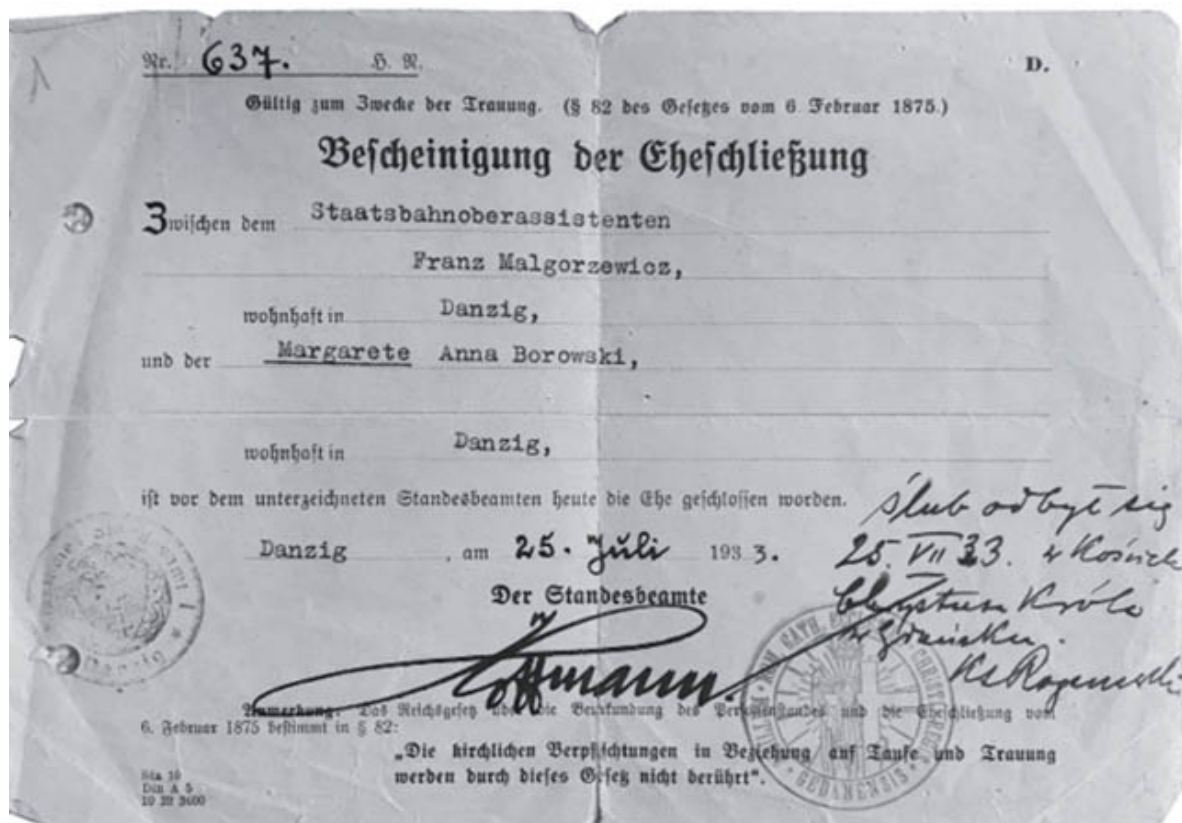
O mamie Małgorzacie Małgorzewicz z domu Borowskiej wiem niewiele. Moją tatę poznała w polonijnym klubie sportowym Gedania, pobrali się w 1933 roku. Ślubu w kościele Chrystusa Króla – świątyni dla Polaków katolików mieszkających w Gdańsku – udzielał ksiądz Franciszek Rogaczewski, dziś błogosławiony. Był doskonałym organizatorem życia polonijnego: powołał Ligę Katolicką, był kapelanem kolejarzy i pracowników Poczty Polskiej w Gdańsku, wiceprezesem Macierzy Szkolnej, czynił starania o powołanie w Gdańsku polskich parafii. Pierwszego dnia wojny został aresztowany i osadzony w przejściowym więzieniu dla gdańskich Polaków Victoriaschule. Stamtąd wysłano go do obozu w Stutthofie, gdzie był maltretowany i gdzie – w grupie wybitnych przedstawicieli gdańskiej Polonii – został rozstrzelany w styczniu 1940 roku. W 1999 roku papież Jan Paweł II beatyfikował go razem z pozostałymi stu ośmioma męczennikami drugiej wojny światowej.



*Świątynia Chrystusa Króla – kościół gdańskiej Polonii,
w którym ślub brali rodzice Jana.*

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

Jednak jeszcze 25 lipca 1933 roku udzielał ślubu Janowi i Małgorzacie w dopiero co konsekrowanym kościele, którego był budowniczym i proboszczem. Każda młoda para po ślubie cywilnym otrzymywała *Familienstmbuch*, w którym wpisywała: datę zawarcia małżeństwa (także ślubu kościelnego), narodzin pierwszego dziecka, jego chrztu, a także wszystkich ważnych rodzinnych wydarzeń. Tę książeczkę mam do dziś. Zachowałem też książeczkę oszczędnościową, którą tata założył mi w PKO na pierwsze urodziny. Zdobę ją pieczęć Polskiego Urzędu Pocztowego w Gdańsku. To był mój pierwszy dokument. Po osiemdziesięciu latach oddałem ją do Muzeum Poczty Polskiej – i tak wróciła „do domu”.



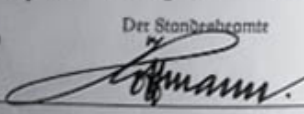
Oficjalne świadectwo ślubu cywilnego i kościelnego
rodziców Jana – Franciszka i Małgorzaty
Małgorzewiczów – z odręcną adnotacją ks. Franciszka
Rogaczewskiego, dziś błogosławionego.
Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

Heiratsregister Nr. 637, des Jahres 1933. H

Heiratschein

Vornamen und Familienname des Mannes: Ernst Malgosewicz
 Stand: Handelsreisender
 aus Danzig, Kgl. Preuss.
 geboren am 10. Oktober 1912
 in Marzanneville, Lidenantisch

Vornamen der Frau: Margaretha Anna
 geboren Barowski, Kgl. Preuss.
 aus Danzig
 geboren am 16. September 1910
 in Danzig
 Ehrlichkeitsung am 25. Juli 1933
 in Danzig
Danzig, am 25. Juli 1933


Der Standesbeamte


Ehemann: Geburtsregister Nr. 143/12
 des Standesortes Kielce
 Ehefrau: Geburtsregister Nr. 3667/18
 des Standesortes Danzig

Unterschriften der Eheleute

Ehemann: Ernst Malgosewicz
 Ehefrau: Margaretha Malgosewicz geb. Barowski

Es wird hiermit bezeugt, daß die im vorstehenden Heiratschein Bezeichneten die obenstehenden Unterschriften eigenhändig mitzogen haben.

Danzig, den 25. Juli 1933

 (Unterschrift des Standesbeamten)

Bezeugung über die Staatsangehörigkeit

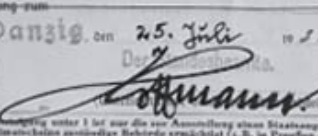
1. Der Ehemann besitzt die Staatsangehörigkeit

2. Der Ehemann besitzt einen Heiratschein — Staatsangehörigkeitsausweise — der eine Verpflichtung enthält sich beim Geburtsnachweis in Danzig, Kgl. Preuss. zu erklären.

3. Der Ehemann besitzt eine Urkunde des

am

über seine Einweisung zum

Danzig, den 25. Juli 1933


Anmerkung: Die bei Anlegung unter 1 ist nur die zur Annehmung eines Staatsangehörigkeitsausweises auf demselben Standesamt behörde zuständig (s. B. in Preußen die Kreisverwaltungsstellen, der Fallzuständigkeiten in Berlin sind die besonders vereinigten Polizeiverwaltungen, in den anderen deutschen Ländern die in einem besonderen Maßstab vom Reichsaussch. für den Ausländerwesen in Potsdam und die übrigen Polizeibehörden zuständig. Der Ausländerwesen in Potsdam sind die übrigen Polizeibehörden zuständig. Der nicht eingetragene Fall ist nur der kantonale Standesamt in Deutschland.

Pierwsza strona sztambucha rodzinnego.
 Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

Familienstammbuch
der
familie

Ernst Kalgozewicz
i.

Maryska Anna z. Rowicka



Verlag für Standesamtswesen G.m.b.H.
Berlin SW 61, Gitschiner Straße 109

Strona tytułowa sztambucha rodzinnego.

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

Właśnie, tata. Franciszek Małgorzewicz nie był rodowitym gdańszczaninem. Pochodził z okolic Chojnic, a do Gdańska przybył jako osiemnastolatek. Po skończonej nauce podjął pracę w dziale księgowości Polskiej Dyrekcji Kolei. Aktywnie działał w klubie sportowym Gedania (a właściwie w Sportklub „Gedania” e.V. in Danzig). Zasiadał w jego zarządzie, ale był też czynnym sportowcem w sekcji strzelectwa sportowego. W 1933 roku reprezentował Gedanię na mistrzostwach Polski, przede wszystkim jednak zajmował się piłkarzami juniorami – nie tylko od strony tężyzny fizycznej, bo duch sportowy musiał towarzyszyć duchowi patriotycznemu. Tata formował więc tych młodzików, bo młodzież polonijna w Gdańsku z domów wynosiła niewiele polskości.



*Franciszek Małgorzewicz – tata Jana, gdańszczanin
w pierwszym pokoleniu.*

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

W przeddzień wybuchu drugiej wojny światowej najpierw władze Wolnego Miasta Gdańska zmusiły klub do zawieszenia działalności, a potem Niemcy hitlerowscy rozstrzelali prezesa i dwóch wiceprezesów. Większość zawodników wysłali do obozów koncentracyjnych. Miejsce klubu w lidze zajęła reprezentacja oddziałów Luftwaffe z Gdańska. Tata uniknął losu kolegów, bo jako urzędnik Polskiej Dyrekcji Kolei w Gdańsku jeszcze przed 1 września 1939 roku wraz z częścią personelu został ewakuowany do Torunia. Przez całą wojnę ukrywał się w Borach Tucholskich, gdzie pracował w tartaku. Zobaczyliśmy się dopiero w 1945 roku.

Mamie nie było dane wypełnić kolejnych rubryk w „rodzinnym sztambuchu”. Bóle porodowe zaskoczyły ją 17 kwietnia 1936 roku, gdy przebywała z tatą w Solcu Kujawskim. Jak się tam znaleźli? Senat Gdańska od jakiegoś czasu naciskał, by dyrekcję kolei przenieść do Torunia. Jako jednego z pierwszych przeniesiono ojca – dostał mieszkanie służbowe właśnie w Solcu Kujawskim, co mu bardzo odpowiadało, bo mógł tam polować do woli. Raz na jakiś czas mama przyjeżdżała do niego z Gdańska na kilka dni. Podczas jednych z takich odwiedzin zaczęła rodzić. Tata błyskawicznie przewiózł ją do kliniki w Bydgoszczy, gdzie szczęśliwie przyszedłem na świat. Niestety, u mamy wdało się zakażenie i zmarła dziewięć dni po moich narodzinach.



*Anna Małgorzewicz z domu Borowska – mama Jana,
rodowita gdańszczanka.*

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

Po jej zwłoki i po mnie przyjechali z Gdańska dziadkowie. Zameldowali mnie u siebie – dlatego gdańszczaninem jestem od dziewiątego dnia życia – i opiekowali się mną przez kolejne dwanaście lat. Gdy już po wojnie tata ponownie się ożenił, zamieszkałem z nim i mamą, która mnie wychowała – tak ją lubię nazywać. Przed wojną jednak ze względu na pracę tata nie mógł się mną zająć. Dziadkowie zapisali mnie do ochronki – dziś byśmy powiedzieli: przedszkola – sióstr dominikanek w Oliwie. Stamtąd mam swoje najwcześniejsze wspomnienie, utrwalone zresztą na zdjęciu: siedzę koło górki z piasku, w którą wetknięta jest biało-czerwona chorągiewka. Nie wiem, przy jakiej to było okazji i czy były to już przejawy patriotyzmu, czy zwykła dziecinna zabawa. Ciekawe, że mój kolejny przebłysk z dzieciństwa także związany jest z polską flagą, którą jako brzdąc wymachiwałem na podwórzu domu dziadków. Trzecie wspomnienie jest już bardziej przyziemne – w kiosku ze słodyczami na placu przy Wałach Piastowskich dziadkowie kupowali mi banany. Ich smaku nie da się zapomnieć!



*Jedno z pierwszych wspomnień Jana Małgorzewicza
wiąże się z białą-czerwoną chorągiewką wbitą w piasek*

podczas zabaw w ochronce sióstr dominikanek.

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

W kamienicy przy Nowomiejskiej 3, a właściwie Jungstädtischegasse Strasse 3 – dziś w pobliżu jej lokalizacji stoi pomnik Trzech Krzyży, inaczej Poległych Stoczniowców 1970 roku – mieszkały same niemieckie rodziny. Wyjątek stanowili mieszkańcy parteru. Za chwilę o nich wszystkich opowiem, ale za pretekst do tego niechaj posłuży pewne zdarzenie. Kilka lat temu na stoisku Polaka z Niemiec podczas Jarmarku Dominikańskiego dostrzegłem *Księgę mieszkańców Gdańska w 1942 r.* Kosztowała kilkaset złotych, więc nie mogłem sobie na nią pozwolić, ale z handlarzem umówiłem się, że jeśli przywołam z pamięci mieszkańców mojej kamienicy, pozwoli mi zrobić zdjęcie interesującej mnie strony. I to mi się udało: na parterze, *vis-à-vis* naszych drzwi, mieszkał pan Eugen Jaeckel, żydowski złotnik. Nad nami, na pierwszym piętrze, mieszkało bezdzietne małżeństwo: robotnik portowy Herman Marks oraz Gertrude Marks. Naprzeciwko nich – Walt Müller z żoną fryzjerką oraz sublokatorką Margitte Kiesler, samotną nauczycielką. Drugie piętro zajmowały rodziny: Regendanzów z dwiema córkami (jedna miała szesnaście lat, a druga była moją rówieśnicą) oraz Wannacków. Artur Wannack był stolarzem i pracował w zakładzie mojego dziadka. Regendanz był malarzem pokojowym i co okazało się zaraz po wybuchu wojny, członkiem NSDAP. Odwrócił się wówczas od nas i zwykł nazywać nas *verfluchte Polacken*. Sąsiedzi musieli go tolerować, a my – pokornie znosić.



Trzyletni Janeczek, Hänschen, z sąsiadką Gertrude Marks, która w sześć pierwszych tygodni okupacji nauczyła go

niemieckiego.

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

Poza tym rodziny od zawsze żyły zgodnie, nikt nikomu nie wypominał, kto Polak, kto Żyd, a kto Niemiec. Wszyscy mówiliśmy po niemiecku, po 1 września 1939 roku – obowiązkowo. Po polsku rozmawialiśmy tylko szeptem. Kilka dni po wybuchu wojny do babci zeszła z góry pani Marksowa. Wskazała na mnie i powiedziała:

– *Frau* Borowski, ten mały Hänschen jeszcze niedobrze mówi po niemiecku. Jeśli wyda się z tym na podwórku, może być źle. Wezmę go do siebie i poduczę języka.

Hänschen na mnie mówili, czyli Janeczek. Mąż pani Marksowej prawie nie bywał w domu, bo służył w niemieckiej marynarce, mieszkałem więc u niej przez sześć tygodni. Tyle wystarczyło, bym jako trzylatek zaczął płynnie mówić w tym – bądź co bądź – obcym języku.

Dziadkowie, gdy wychodzili do miasta, zabierali mnie ze sobą. Jeździliśmy więc tramwajem na Długie Pobrzeże, gdzie wuj Konstanty sprzedawał ryby. Miał swój kuter i razem z synami łowił z niego w Bałtyku. Jedną z ulicznych atrakcji był teatr lalkowy – Niemcy wystawiali w nim bajeczki o Kasperku i Cepelku, takich naszych Bolku i Lolku. Nie mogłem koło niego przejść obojętnie, zawsze wsiąknę. Chodziliśmy też na ulicę Długą, a tam znajdowało się mnóstwo pięknych sklepów, w tym trzypiętrowy dom towarowy Nathana Sternfelda. Na samej górze mieścił się dział z zabawkami, a w nim była kolejka elektryczna, która jeździła w kółko. Jak już przywarłem do barierki, by poobserwować pociąg, to nie dało się mnie od niej oderwać.

Któregoś jesiennego dnia 1941 roku wróciliśmy właśnie z tego domu towarowego, a ja – nienasycony widokiem kolejki – postanowiłem jeszcze trochę na nią popatrzeć. Miałem pięć lat, a naszą ulicę od domu Sternfelda dzieliły dwa kilometry. Po obiedzie chyłkiem wypuściłem się

z domu i dotarłem wprost na trzecie piętro pawilonu. Podczas gdy ja napawałem się widokiem elektrycznych wagoników i lokomotywy, dziadkowie wszczęli alarm: zgłosili na policji moje zaginięcie, a sami z sąsiadami zaczęli mnie szukać. Gdy uznałem, że dość już mam oglądania kolejki, ruszyłem w drogę powrotną do domu. Zapadał już zmrok, a ja szedłem, jak gdyby nigdy nic, Wałami Piastowskimi. Nagle na drugim końcu placu ujrzałem dziadka z kijem, za który robił mój własny zabawkowy łuk. Widać był pewien, gdzie mnie znajdzie, i od razu zaopatrzył się w narzędzie do wymierzania sprawiedliwości. Jak mnie dorwał, jak chwycił za kołnierz i uniósł parę centymetrów nad ziemię, jak mi przygrzał tym kijem! Babcia i ciocia tymczasem płakały z radości – naturalnie nie z powodu zasłużonej kary, ale z powodu mojego odnalezienia.

Jesienią 1942 roku, po trzech latach okupacji, wszedłem w „wiek poborowy”. Jako sześciolatek obejmował mnie już obowiązek szkolny. Nie dane było mi skorzystać z dobrodziejstw słynnej polskiej szkoły międzywojnia, z przedwojennymi profesorami i programami nauczania, która zresztą dopiero co zdołała się odrodzić w bólach po latach rozbiorów. Po 1918 roku nauka w szkołach w tworzącej się Rzeczypospolitej miała być obowiązkowa i bezpłatna przez siedem pierwszych lat. W związku z tym państwo zobowiązało gminy do przeznaczenia budynków na cele edukacyjne, przygotowanie mieszkań dla nauczycieli oraz gruntów pod zabudowę – na boiska i ogrody szkolne. Pokrywało ono połowę kosztów. W 1925 roku w Okręgu Szkolnym Pomorskim było prawie trzy tysiące pomieszczeń lekcyjnych – na jedno przypadała czterdziestka dzieci. Wszystko szło w dobrym kierunku.

Gorzej z kadrami – na terenie byłego zaboru pruskiego nie było dostatecznej liczby polskich nauczycieli, sprowadzano ich więc z innych byłych zaborów: rosyjskiego i austriackiego. Pomagali emerytowani

nauczyciele, maturzyści, przedszkolanki i osoby po kursach szkolnych. Uruchomiono też Państwowe Wyższe Kursy Nauczycielskie oraz seminaria nauczycielskie, których miejsce po 1932 roku zajęły licea pedagogiczne.

Do 1923 roku uczono według programów pruskich, dopiero później wprowadzono programy nauczania poszczególnych przedmiotów opracowane przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Uczono: religii, języka polskiego i obcego, rachunków z geometrią, przyrody, geografii, historii, rysunków, prac ręcznych, śpiewu i gimnastyki. Dzieci rozwijały zainteresowania w kołach przedmiotowych: biologicznym, filologicznym, fizycznym, geograficznym, historycznym, krajoznawczym, literackim, matematycznym, muzycznym czy polonistycznym. Wychowanie społeczne odbywało się między innymi w organizacjach młodzieżowych – religijnych, sportowych (jak Gedania mojego taty) i harcerskich. Nauczanie w szkołach zawodowych dostosowano do idei zmiany kraju rolniczego w przemysłowy. To miało być państwo dobrze wykształconych patriotów.

Cel wychowawczy – inaczej niż programy nauczania dla poszczególnych typów szkół – był wspólny: placówki edukacyjne miały kształtować nowe postawy społeczne i mentalność oraz integrować wokół jednolitego systemu wartości. Zgodnie z postanowieniem traktatu wersalskiego o ochronie mniejszości narodowych ich interesy miały być reprezentowane także w szkolnictwie. Państwu się to zresztą opłacało: poszanowanie odrębności językowej, kulturowej i obyczajowej miało zagwarantować lojalność obywateli i pracowników. Dzieci niemieckiego pochodzenia mieszkające na Pomorzu mogły uczęszczać do szkół z językiem niemieckim wykładowym – na przełomie 1921 i 1922 roku działało trzysta sześćdziesiąt dziewięć takich placówek, ale już pod koniec dekady – ledwie sześćdziesiąt jeden. Był to wynik emigracji

mniejszości niemieckiej do Niemiec i Wolnego Miasta Gdańska. Jedynie w Gdańsku i w powiatach wschodniopruskich niemiecki system szkolnictwa funkcjonował jeszcze przed 1939 rokiem. Miałem nieszczęście odczuć go na własnej skórze.

Ponieważ niemieckie dążenia do uczynienia z Polski państwa satelickiego nie przyniosły rezultatu, Niemcy zaatakowały nas militarnie. W okupowanym kraju cel był jeden: germanizacja prowadząca do integracji z państwem niemieckim. Nie kijem go, to pałką. W praktyce oznaczało to eksterminację polskiej ludności, wysiedlanie Polaków, osadnictwo niemieckie, wprowadzenie niemieckiej listy narodowej, wreszcie zlikwidowanie polskiego szkolnictwa, kultury i przejawów życia narodowego. Z polskiego Pomorza miały powstać Prusy Zachodnie.

W każdym rejonie okupowanej Polski kwestia edukacji wyglądała nieco inaczej. W Kraju Warty funkcjonowały szkoły dla Niemców, a w specjalnie prowadzonych placówkach mogła się uczyć niewielka liczba polskich dzieci – około dziesięciu procent z miliona dwustu tysięcy. W rejencji ciechanowskiej i okręgu białostockim z kolei dzieci były zostawione na pastwę ulicy. Jedynie na ziemiach Generalnego Gubernatorstwa utrzymano szkoły zawodowe, mające przygotować przyszłych robotników do pracy w branżach przemysłowych, gospodarczych i rolniczych, oraz szkoły powszechne, w których zakazano jednak nauczania przedmiotów humanistycznych czy gimnastyki. Polskie szkoły na Pomorzu 1 września musiały zaprzestać działalności, Niemcy je bezwzględnie likwidowali, a w ich miejsce organizowali system szkół według zasad obowiązujących w III Rzeszy.

Jednak w pierwszej kolejności okupant likwidował – czyli zabijał – osoby społecznie ważne lub mogące stanowić oś oporu. Szczególnie stanowczo rozprawiał się z nauczycielami, a zwłaszcza nauczycielkami, jako „wybitnymi krzewicielami szowinizmu”. Niemiecka administracja

ucieła się do perfidnego fortelu: wezwała ich do rejestracji na konferencję, a jednocześnie rozpuściła plotkę o otwarciu polskich szkół, która sprawiła, że frekwencja na konferencji była wysoka, co ułatwiało masowe aresztowania. Nauczycieli z powiatu starogardzkiego katowano za to, że „razem z księżmi podburzali lud, a dzieciom wpajali nienawiść do Niemców”. Więźniowie mieli przy tym powtarzać za oprawcami: „Będziemy umierać dlatego, że jesteśmy Polakami”. Większość nauczycieli aresztowanych jesienią 1939 roku zginęła w masowych egzekucjach. Z sześciu tysięcy zatrzymanych pedagogów z Pomorza zginęła jedna szóstą, reszta trafiła do obozów koncentracyjnych. Ci, którym udało się zataić swój rzeczywisty zawód, imali się różnych prac. Niektórzy zdołali przedostać się do Generalnej Guberni. I tak polskie szkolnictwo, z trudem odradzające się po latach zaborów, runęło w gruzy. A to, że stało się to bezpowrotnie, zagwarantować miała owa likwidacja nauczycieli, od których najbardziej przecież zależy wykształcenie dzieci i młodzieży.

Osoby „niezdadne do zniemczenia” Niemcy wysiedlili, a w pozostawionych domach zamieszkali ich krajanie. Osadnicy niemieccy mieli stanowić zaczyn germanizacji, ale to nie wystarczało, dlatego do wzmacniania niemieckości pozyskiwano polską ludność. W zależności od jej statusu na niemieckiej liście narodowej miała ona różnorakie uprawnienia. Za niezgłoszenie się na listę po 1942 roku groził obóz. Niemcy skonfiskowali majątek państwa polskiego, komunalny, spółdzielczy i prywatny, oraz wprowadzili obowiązek pracy dla osób od czternastego do sześćdziesiątego piątego roku życia. Owe ograniczenia traktowali jednak umownie. Podobnie płace, które – i tak niższe od wynagrodzeń Niemców – były do tego stopnia obciążone daninami, że wystarczały na egzystencję na minimalnym poziomie. Niemcy reglamentowali żywność, odzież, środki czystości i opał. Polacy, którzy nie umarli z głodu lub w wyniku choroby, żyli w ciągłym strachu. Ci,

których Niemcy nie zabili, mieli być tanią siłą roboczą. Przypominam o tym, by uzmysłwić ludziom, że Polacy mieli być niewolnikami – czemu służyć miało także specyficznie rozumiane szkolnictwo.

Zamknięcie szkół miało służyć temu samemu, co zamknięcie instytucji kultury i drukarni wydających polską prasę. Z przestrzeni publicznej usunięto napisy w języku polskim i zabroniono prowadzenia rozmów po polsku, zakazane były także zgromadzenia. Od pierwszych dni okupacji Niemcy grabili lub niszczyli muzea, kościoły, biblioteki, archiwa. Według Hitlera bowiem „żaden naród nie żyje dłużej niż dokument jego kultury”. Nie ma kultury, nie naucza się o niej, to i nie ma narodu. Są niewolnicy.

I tak szkolnictwo niemieckie podporządkowane było tezie Hitlera, że „mniej wykształcony, ale zdrowy fizycznie człowiek o dobrym, silnym charakterze, pełen energii i siły woli, jest więcej wart aniżeli inteligentny cherlak”. Oprócz kształtowania tężyzny fizycznej przekazywano uczniom „wiedzę” z zakresu teorii rasy. Germanizacji ziem wcielonych miał służyć przede wszystkim szkolny program z „narodowosocjalistyczną nauką”. Polskie szkoły prywatne zamknięto, a niemieckim placówkom prywatnym nadano status państwowych. Do nich mieli obowiązek uczęszczać uczniowie byłych prywatnych instytucji. W ich przypadku miało dojść do wynarodowienia i germanizacji. Językiem nauczania, egzekwowanym także po lekcjach, był naturalnie niemiecki.

W Okręgu Rzeszy Gdańsk–Prusy Zachodnie obowiązek szkolny obejmował dzieci od szóstego do czternastego roku życia, niezależnie od narodowości. Gdyby do szkoły nie zaprowadzili mnie dziadkowie, zrobiłaby to policja, a dziadkom groziłaby grzywna w wysokości stu pięćdziesięciu marek niemieckich, aresztowanie lub obóz karny. Ja w takiej sytuacji mógłbym wylądować w zakładzie wychowawczym. Tworzenie odrębnych klas dla dzieci polskich i niemieckich było

w większości powiatów rzadkością i miało miejsce w przypadku, gdy te pierwsze nie mówiły po niemiecku i opóźniałyby zdobywanie wiedzy przez niemieckich kolegów. Z czasem te nieliczne polskie oddziały likwidowano, a ich uczniów przenoszono do niemieckich.

Wiele szklonych budynków uległo zniszczeniu od początku wojny, należało więc je wyremontować, przebudować i rozbudować. Najpierw jednak – usunąć polskie napisy i obrazy. Te pomoce dydaktyczne, które nawiązywały do polskości, a nie zostały dotąd zniszczone, Niemcy zlikwidowali. Dotyczyło to oczywiście także zbiorów bibliotecznych. Sale dekorowano portretami Hitlera i flagami ze swastyką. Do najlepszych budynków trafiały oczywiście dzieci niemieckie. Na budowę nowych nie było szans. Czasem jako klasy służyły budynki mieszkalne czy drewniane baraki, które stawiano w pobliżu szkoły. Tymczasem prawo do przejęcia budynków szkolnych rościły sobie wojsko oraz niemiecka administracja, i część placówek rzeczywiście do nich trafiła – inne wojsko rekwirowało samowolnie. Po lekcjach i w wakacje budynki służyły odpłatnie niemieckim organizacjom.

W Okręgu Rzeszy Gdańsk–Prusy Zachodnie, tak jak w całej III Rzeszy, nauczyciele musieli wykazywać się odpowiednią postawą polityczną i lojalnością wobec państwa oraz Führera. Pełnili funkcję „pedagogicznych oficerów”. Podstawę kadry stanowili pedagodzy przybyli z Rzeszy – ci, których nie objęły czystki, miejscowi nauczyciele niemieccy, osadnicy z krajów nadbałtyckich i pedagodzy z gdańskich szkół. Mieli uformować „bojowników przywódcy Adolfa Hitlera”. Była to jednak liczba niewystarczająca, wspierały ich więc siły pomocnicze (czytaj: bez kwalifikacji) – przedszkolanki, absolwenci szkół średnich, dziewczyny z hitlerowskiej organizacji Związek Niemieckich Dziewcząt, które sukcesywnie doksztalcano. Wobec braków kadrowych na przełomie 1939 i 1940 roku doraźnie zatrudniano polskich nauczycieli, których postawa nie budziła zastrzeżeń okupanta i którzy biegle władali

językiem niemieckim. Kandydaci na nauczycieli podczas egzaminów wieńczących seminarium musieli wykazać się wiedzą między innymi z teorii dziedziczności i „rasoznawstwa”, charakterologii i wiedzy o młodzieży. Niedoborom pedagogów próbowano zaradzić przez skracanie czasu ich kształcenia. Nie muszę dodawać, jak odbijało się to na jakości edukacji powierzonych im dzieci.

Zresztą formowanie pokolenia Polaków ograniczonych mentalnie było przez Niemców zamierzone. Chodziło przecież nie o przekazanie im wiedzy, ale zamknięcie w placówkach, by mieć nad nimi kontrolę. Na Pomorzu polskie dzieci mogły skończyć co najwyżej siedem klas szkoły powszechnej, a to i tak więcej niż we wschodniej Polsce. Na temat zamieszkującej ją młodzieży Himmler wyraził się jasno:

[...] dla polskiej ludności Wschodu nie mogą istnieć szkoły wyższe niż czteroklasowa szkoła ludowa. Celem takiej szkoły ma być wyłącznie proste liczenie, najwyżej do pięciuset, napisanie własnego nazwiska, wiedza, iż boskim przykazaniem jest być posłusznym Niemcom, uczciwym, pracowitym i rzetelnym. Czytania nie uważam za konieczne.

Szkoły średnie zarezerwowane były wyłącznie dla uczniów niemieckich. Niektórych dotychczasowych polskich uczniów kierowano do obozów pracy. Natomiast polska młodzież w wieku od czternastu do osiemnastu lat była objęta obowiązkiem nauki w szkołach zawodowych. Teoretycznie, bo wielu czternastolatków obejmował jednocześnie obowiązek pracy.

Polscy uczniowie szkół powszechnych mieli nauczyć się języka niemieckiego w stopniu komunikatywnym i matematyki: dodawania, odejmowania, mnożenia i dzielenia na liczbach do stu. Ważniejsze było jednak wpojenie dzieciom dyscypliny, punktualności i porządku. Równie

ważna była indoktrynacja, zaszczepiająca w nich podstawy ideologii narodowosocjalistycznej – przemycano ją na lekcjach języka niemieckiego, historii, geografii, przyrody i krajoznawstwa. Opierano się na tekstach zgodnych z duchem nazistowskim. Wszystko, co nam przekazywano, miało wmówić nam, że Niemcy są przez samego Boga powołani do roli panów, a Polacy – do roli ich poddanych. Musieliśmy znać życiorysy przywódców hitlerowskich. Na muzyce uczyliśmy się piosenek niemieckich, głównie marszowych, a na zajęciach praktycznych – cerowania skarpet dla wojska, zbierania polnych roślin leczniczych i złomu, czyszczenia ulic. Dziewczęta w ramach przygotowywania do roli żony i matki uczyły się podstawowych prac gospodarskich. Chłopcy zgłębiali arkaną wojskowości – budowali na przykład modele statków i samolotów, by się z nimi oswoić, zanim wstąpią do Wehrmachtu.

Niemieckie programy nauczania od 1933 roku nie pozostawiały złudzeń co do celu edukacji. Siódmoklasiści omawiali tematy: „Führer walczy o wolność i chleb”, „Adolf Hitler – polityk pokojowy” czy „Niemcy jako twórcy świata”. Już czwartoklasiści zgłębiali wiedzę na temat „Okręgu nadwiślańskiego i jego organizacji przez człowieka niemieckiego”. Pierwszy hitlerowski minister oświaty Bernhard Rust oświadczył bowiem: „Od teraz nie jest waszą rolą decydować, czy coś jest czy nie jest prawdą, ale czy leży to w interesie Rewolucji Narodowosocjalistycznej”. Nauka historii miała opierać się nie na faktach, ale na „pojęciu heroizmu w jego niemieckiej formie, połączonym z ideą przywództwa”. Na lekcjach tuszowano porażki, zbrodnie i kompromitacje Niemców, krzewiono za to niechęć do przeciwników hitleryzmu. Nawet kilkulkatki miały recytować z błogością frazy o „bagnetach z gracją zatapianych między żebrami Rosjan”.



Niemieckie podręczniki przepelnione były antysemitickimi treściami.

Fot. Domena publiczna

Od pierwszej klasy szkół podporządkowanych NSDAP wpajano uczniom nienawiść do nie-Aryjczyków. Okładkę elementarza zdobiła karykatura Żyda podpisana ostrzeżeniem: „Nie wierz żadnemu lisowi. Nie wierz żadnemu Żydowi”. Przedstawiano różnice w wyglądzie między Niemcami a Żydami i zachęcano dzieci, by donosiły o wszystkich napotkanych ludziach z „żydowskimi” wargami, nosami czy oczami. Podręczniki do geografii definiowały „przestrzeń życiową”, podawały znaczenie „krwi i znoju”, uzasadniały wyższość ludów germańskich. Jeden z podręczników głosił z kolei, że Polacy nie potrafią sobą rządzić, dlatego w ich kraju panuje wciąż „polski bałagan”, a oni sami są zacofani gospodarczo i otumanieni przez katolickie zabobony. Zadania z matematyki brzmiały na przykład: „Ile państwo musi łożyć na pacjentów zakładów psychiatrycznych?” czy „Ilu w Niemczech jest blondynów?”.

Podczas wojny pedagodzy posiłkowali się też audycjami radiowymi, na przykład tą, w której Göring wygłosił referat *Totalna walka o byt*, czy „filmami oświatowymi” gloryfikującymi wysiłek wojenny lub historię NSDAP. Programem nauki był więc nazizm, a jego adepci szerzyli go potem w okupowanej Polsce nie tylko w szkołach. Kolbami karabinów Niemcy wbijali go Polakom do głów lub od razu ich eliminowali jako odpornych na tego typu „wiedzę”. Uczniowie nazistowskich szkół byli spełnieniem marzeń Hitlera, który mówił: „Moja nauka jest twarda. Z młodych siłą usunąć trzeba wszelką słabość. Wyrosną młodzieńcy, na widok których świat się skurczy. Bezlitośni, dominujący, brutalni – takich właśnie pragnę”. Pragnął ich nie tylko wśród swojego ludu, lecz także ludu podbitego. Na takich mieliśmy wyrosnąć również my, uczniowie szkół hitlerowskich w Gdańsku.

Na wczesnym poziomie nauczania nie załapałem się, na szczęście, na aż tak silną propagandę, ale na pruski dryl – i owszem, choć pierwszy dzień szkoły zwiastował raczej słodką przygodę. Do trzynastowiecznego

budynku szkoły św. Katarzyny przy kościele pod tym samym wezwaniem dziadkowie zaprowadzili mnie dwa razy, potem już chodziłem sam: z Nowomiejskiej w Łagiewniki, potem w prawo, w lewo i w kwadrans byłem na miejscu. Jak nakazuje niemiecka tradycja, pierwszego dnia każdy pierwszoklasista dostawał półtorametrową tutkę pełną słodyczy, przewiazaną wstążkami i ozdobioną rysunkami. Aleśmy się ucieszyli! Pomyślałem, że może w tej całej szkole nie będzie tak źle.

Bez zbędnych ceregieli (czytaj: uroczystej inauguracji roku szkolnego) nauczyciele zaprowadzili nas do sal i zaczęli lekcje. Posadzili nas w ławkach, po czym wywoływali po nazwisku. Należało wówczas wstać i się uklonić. My, uczniowie, przywykli do funkcjonowania w tyglu narodowościowym, nie interesowaliśmy się, kto Polak, a kto Niemiec. Ale nauczyciele, naturalnie niemieccy, z pewnością doskonale orientowali się, kto z nas jest gdańszczaninem polskiego, a kto niemieckiego pochodzenia, kto jest wyznawcą katolicyzmu, a kto – luteranizmu. Nas, Polaków, była garstka, ledwie co dziesiąty – wszyscy przeznaczeni byliśmy do wynarodowienia i germanizacji.

Chodziliśmy w mundurkach. Latem były to krótkie porcięta na szelkach, koszula i białe podkolanówki z pomponami; zimą – spodnie pumpy, wełniane skarpety wykładane na wierzch, wysokie, sznurowane buty na haczyki, a do tego sweter, ciemna kurtka i czapka typu narciarskiego: z daszkiem, uszatkami i metalową szarotką przyszytą z boku, symbolizującą strzelców górskich. Wszystko to uszyła mi ciocia Helena, siostra babci. Codziennie przed lekcjami na szkolnym dziedzińcu odbywał się poranny apel. Formowaliśmy się w dwuszeregowym czworoboku i odczytywano nam wówczas zarządzenia na dany dzień. Po odśpiewaniu pieśni zagrzewającej do boju o narodowy socjalizm w karnych szykach rozchodziliśmy się do klas.

Na wyposażeniu ucznia pierwszej klasy był tornister, a w nim piórnik i grafitowa tabliczka w ramce formatu A4. Po jednej stronie tabliczki

były linie, po drugiej – kratka. Na sznureczku przymocowane były gąbki: sucha i mokra. Pisało się rysikiem oprawionym w drewno. Uczono oczywiście pisma gotyckiego. Alfabetu uczyłem się właśnie na tych literkach o łamanym kroju i ozdobnych konturach. Czytałem ulubione baśnie pisane gotykiem, a po wojnie, choć do znajomości niemieckiego się nie przyznawałem, wśród swoich znany byłem jako specjalista od tego pisma. Gdy na strychach ponemieckich domów gospodynie znajdowały stare książki kucharskie, a po szafkach proszki do pieczenia i budynie opisane gotykiem, ja potrafiłem je odszyfrować.

Gdy zapisało się już całą tabliczkę, należało wytrzeć ją mokrą, a następnie suchą gąbką. Raz nauczycielka kazała zapełnić tabliczkę gotycką jedyneką. Siedziało się po dwóch w ławce. Gdy zapuściłem żurawia do sąsiada i zobaczyłem, że on już kończy, a ja jestem dopiero w jednej czwartej, bez namysłu chwyciłem gąbkę i mu to wszystko starłem.

– Coś ty zrobił?! – wrzasnęła nauczycielka i nie czekając na moją odpowiedź, dodała: – Wyciągaj łapy!

A to oznaczało jedno: lanie. Metrowa trzcinka już uniosła się nad moimi obróconymi spodem do góry dłońmi, gdy zrobiłem unik. Rozwścieczona nauczycielka kazała odwrócić dłonie tak, by były wierzchem do góry, i uderzała raz za razem. Bolało strasznie. Dyscyplina była niebotyczna, bili za byle co. Siedzieliśmy jak trusie i drżeliśmy przed tymi belframi ze starej, pruskiej generacji. Nie było mowy, by ktoś się odwrócił do kolegi czy, nie daj Boże, powiedział coś niepytany.

W drugiej klasie pisało się już piórem – do dziś nie uznaję innego narzędzia – i w zeszytach. Była to oznaka pewnego uczniowskiego prestiżu, ale też kolejny powód do oberwania, tym razem za kleksy. Obsadkę chwytało się w palce, a stalówkę w kształcie krzyżyka maczało

w kałamarzu umieszczonym pośrodku ławki. Kleksy padały hojnie, podobnie jak nauczycielskie razy wymierzane trzcinką.

– *Was is das?* Znowu kleks? – Po tych słowach wiadomo było, że należy wyciągać łapy.

Szczęście miał ten, któremu udało się dostać cięgi po spodach wyciągniętych dłoni. Najbardziej bolało bicie po wierzchu. Czasem, gdy nauczycielka nie wzięła trzcinki na obchód klasy, chwyciła to, co akurat było pod ręką, i tłukła. Nie raz zdarzyło mi się oberwać moim własnym piórnikiem. A piórniki były wówczas z litego drewna, solidne. Tłukła na zmianę – raz po spodzie, raz po wierzchu dłoni. Schowane pióro puszczało w nim kolejne kleksy, dlatego mój piórnik był cały niebieski – od tego bicia.

Bywało jednak, że nauczycielka nie poprzestawała na trzcince czy piórniku i łapach. Siedzieliśmy w dwuosobowych ławkach ustawionych w trzech rzędach. Pewnego razu jeden z polskich uczniów, siedzący na skraju ławki, szepnął do kolegi siedzącego na drugim skraju po polsku. Nauczycielka, gdy to usłyszała, wpadła w szał. Błyskawicznie do niego podeszła, kazała wstać – i z liścia go. Wymierzała mu policzki jeden za drugim, a jemu tylko głowa latała. Wreszcie krew zaczęła się lać jak z zarzynanego prosiaka. Gdy się przewrócił, podniosła go za kołnierz i wciągnęła na ławkę. Ułożyła go na niej na plecach, z głową zwisającą swobodnie w dół, a nas wszystkich wygoniła. Nikt więcej nie odważył się już mówić po polsku.

Podręczniki w klasie trzeciej – formatu A3, a potem A4 – były bogato ilustrowane. Czytaliśmy w nich o Gdańsku, ale przede wszystkim o historii narodu niemieckiego, od ludów germańskich przez czasy średniowieczne po współczesność, z akcentem na formacje SA czy Hitlerjugend. Książki pełne były tekstów piosenek i wierszyków, nie tylko o młynarzu i młynie, którzy dają nam chleb, lecz także o dzielnych

niemieckich lotnikach bombardujących Anglię. Niemcy, którym wygłaszam pogadanki, proszą mnie czasem, żebym zaśpiewał coś, czego uczyli mnie w szkole hitlerowskiej. To ja śpiewam, bo i *Pieśń Horsta Wessela*, marsz brunatnych z SA, umiem zaśpiewać, i dwie pierwsze zwrotki niemieckiego hymnu – od dawna zakazane. Gorszą się wtedy, uszy zatykają. A mnie tym faszerowano od małego. Musiałem pisać peany na cześć tych, którzy moich krajan wybijali.

W ramach akcji społecznych mieliśmy przynosić z domów stare garnki, zużyta odzież, makulaturę i kości z obiadu – wszystko na przetwórstwo. Śpiewaliśmy przy tym, naturalnie po niemiecku: „Żelazo, kości, szmaty, papier przynosimy, choć żadną lumperią się nie mienimy!”. Na zajęciach plastycznych były niby tylko wycinanki, ale najczęściej o tematyce wojennej: pole bitwy się wycinało, armaty, czołgi i piechotę na tekturze ustawiało, okopy się wytyczało, płot z drutu kolczastego stawiało. Starsi chłopcy robili modele statków i samolotów. Ależ były piękne!

Przerwy spędzaliśmy na boisku, podczas gdy sale się wietrzyły. Biegaliśmy, bawiliśmy się w berka, jednak pod czujnym okiem dyżurnego z nieodłączną trzcinką, którą wyrażał swoją dezaprobatę – szczególnie chętnie na skórze polskich dzieci. Te karane były wyjątkowo perfidnie: bito je w twarz, w ręce, w plecy. Za cokolwiek.

Dyrektor szkoły był tęgim, roslym chłopem, zawsze w ciemnym garniturze ze znaczkiem NSDAP w klapie. Na szczególne święta zakładał na ramię opaskę ze swastyką. Po tym poznałem, że kroi się coś ważnego, gdy stanął przed nami na szkolnym dziedzińcu 20 kwietnia 1943 roku. Było to najważniejsze święto państwowe: urodziny Hitlera. Na maszt stojący pośrodku wciągano czerwoną flagę z okrągłym białym polem w środku i swastyką. Gdy padła komenda *Achtung!*, należało stanąć na baczność. Oznaczało to nie tylko bycie wyprostowanym jak struna, z głową lekko, acz dumnie uniesioną. Ręce

należało wyprostować wzdłuż ciała, tak by trzeci palec pokrywał się ze szwem spodni. Biada temu, kto tego nie dopilnował!

– *Stillgestanden! Bacznosc!* – padła komenda, po której dyrektor szkoły wzniósł okrzyk: – *Unser Führer Adolf Hitler. Jeden wódz. Sieg!*

Na co my:

– *Heil!*

– *Sieg...*

– *Heil!*

– *Sieg...*

– *Heil! Heil! Heil!*

Po czym z wyprostowanymi rękami wzniesionymi na wysokość brwi zaśpiewaliśmy gromko:

*Deutschland, Deutschland über alles,
Über alles in der Welt,
Wenn es stets zu Schutz und Trutze
Brüderlich zusammenhält
Von der Maas bis an die Memel,
Von der Etsch bis an den Belt.
Deutschland, Deutschland über alles,
Über alles in der Welt!*

*Deutsche Frauen, deutsche Treue,
Deutscher Wein und deutscher Sang
Sollen in der Welt behalten
Ihren alten schönen Klang,
Uns zu edler Tat begeistern
unser ganzes Leben lang.*

*Deutsche Frauen, deutsche Treue,
Deutscher Wein und deutscher Sang!*

*Niemcy, Niemcy ponad wszystko,
Ponad wszystko na świecie,
Jeśli zawsze dla obrony
Po bratersku są związane
Od Mozy aż po Niemen,
Od Adygi aż po Bełt.
Niemcy, Niemcy ponad wszystko,
Ponad wszystko na świecie!*

*Niemieckie kobiety, niemiecka wierność,
Niemieckie wino i niemiecka pieśń
Niech na świecie utrzymują
Swe dawne piękne brzmienie,
Niech nas natchną do szlachetnych czynów
Przez całe nasze życie.
Niemieckie kobiety, niemiecka wierność,
Niemieckie wino i niemiecka pieśń!*

Gdy flaga ze swastyką łopotała dumnie nad dziedzińcem szkoły, opuszczaliśmy go w szyku klasami i kierowaliśmy się karnie na świetlicę. A tam czekały już na nas babka marmurkowa i kakao, by nam się Adolf miło kojarzył.

Mnie się jednak miło nie kojarzył. Przez pryzmat pruskiego drylu szkoła jawiła mi się jako opresyjna. Zastanawiam się czasem, dlaczego dziadkowie nie puszczali mnie na tajne komplety. Mimo represji Polacy bowiem szybko rozwinęli nielegalne nauczanie. Korzystało z niego: milion uczniów na poziomie podstawowym, dziewięćdziesiąt tysięcy na poziomie szkoły średniej, dziesięć tysięcy na poziomie zawodowym oraz siedem tysięcy studentów. Już w 1939 roku powołano Tajną Organizację

Nauczycielską, która nie tylko organizowała tajne komplety, lecz także pomagała nauczycielom, również tym osadzonym w obozach. Młodzież nauczano przede wszystkim tego, czego zakazał okupant: języka polskiego, geografii i historii. Ryzykowali wszyscy – do 1945 roku Niemcy zabili osiem i pół tysiąca polskich nauczycieli, więzienie i obóz groziły zarówno uczniom, jak i właścicielom mieszkań, w których odbywały się lekcje. Mimo to tajne nauczanie na ziemiach polskich w okresie drugiej wojny światowej było jedyną tego typu formą oporu w całej okupowanej Europie. Moi dziadkowie woleli jednak nie ryzykować i nie prostowali wiedzy, którą chłonałem w szkole hitlerowskiej, a tym bardziej nie posyłali mnie na tajne komplety. Bali się, że wyklepię w szkole coś, za co wszyscy pójdziemy za druty.

Kończyłem pierwsze półrocze trzeciej klasy, gdy w Gdańsku zaczęło się robić niespokojnie. Był styczeń 1945 roku i rozpoczęły się alianckie bombardowania. Ich celem była głównie stocznia, w której budowano łodzie podwodne i remontowano okręty wojenne, a my mieszkaliśmy zaledwie pięćdziesiąt metrów od niej. W styczniu poszliśmy więc do szkoły raptem kilka razy i naukę przerwano. W lutym naloty odczuwaliśmy coraz intensywniej, a w marcu coraz głośniej mówiło się o zbliżającym się do Pomorza froncie.

Odkąd znieśliśmy prowiant i wodę do schronu w piwnicy naszego domu przy ulicy Nowowiejskiej 3, stał się on praktycznie naszym drugim domem. Było tam wszystko: sprzęt gaśniczy, ratowniczy, medyczny. Biegliśmy do niego na pierwszy dźwięk syren. Nieraz nasza kamienica chwiała się od spadających na stocznnię bomb. Zrzuty alianci poprzedzali wypuszczaniem „choinek” – ładunków rozświetlających okolicę. Mimo to nie zawsze udawało im się trafić w cele strategiczne i bomba lądowała na dachu domu. Mężczyźni biegli wtedy gasić pożar. Ściany klatki schodowej pomalowane były farbą odblaskową, co miało ułatwiać poruszanie się po nich, gdyby doszło do awarii elektryczności.

To, że front był już niedaleko, zwiastowali niemieccy uciekinierzy z Prus Wschodnich. Poruszali się na zachód wozami, na których ustawiali namioty z dywanów. Chroniły się pod nimi całe rodziny z dziećmi. Na przedzie takiej karawany szedł koń, a drugi koń ją zamykał, za wozem targano jeszcze siano. Na noc zatrzymywali się w mniej uczęszczanych uliczkach, między innymi w naszej. Mróz był nawet trzydziestostopniowy, pukali więc do mieszkań i prosili o wrzątek czy możliwość skorzystania z toalety. Niemcy brali do siebie głównie dzieci i kobiety, moja babcia także.

Dwudziestego trzeciego marca Rosjanie byli już w Gdyni, dzień później w Sopocie. Niemcy z naszej kamienicy zaczęli drzeć i coraz bardziej lgnęli do moich dziadków.

– *Frau* Borowski, a jak „Iwan” przyjdzie, to nas wybronicie?

– Spokojnie, wybronimy – mówiła babcia.

Dwudziestego piątego marca czerwonoarmiści dotarli do Gdańska-Wrzeszcza. Cały dzień trwała potworna strzelanina, więc siedzieliśmy w schronie. Nagle w nocy wpadł do niego zziębnięty żołnierz niemiecki. Twarz miał wykrzywioną strachem. Był to łącznik, który zmierzał do stanowiska armii na Górze Gradowej z rozkazem wysadzenia stalowego wiaduktu przy Bramie Oliwskiej.

– Gdzie będziesz szedł. – Nasi Niemcy zaczęli przekonywać go, by został. – Przecież Rosjanie już blisko, zginiesz.

I został. Pani Marksowa przyniosła mu z mieszkania cywilne ubrania męża, który był na froncie, a mundur żołnierza, maskę przeciwgazową i pistolet maszynowy zakopaliśmy na podwórzu. Ledwo zdążyliśmy...

Gdy nazajutrz zapanowała głucha cisza, pani Marksowa poszła na zwiady. Wyszła z piwnicy i skierowała się schodami ku drzwiom wejściowym, gdy nagle stanął w nich „Iwan” z pepeszą – jeden ze

skośnookich Azjatów, którzy wysyłani byli na pierwszy ogień jako mięso armatnie. Pchnął drzwi, przystawił pani Gertrude lufę do piersi i krzyknął:

– *Uhr, uhr!*

Po niemiecku *uhr* znaczy zegarek, ale i czas, więc sąsiadka zerknęła na swój zegarek, pewna, że przybysz pyta o godzinę.

– Dawaj czasy – wrzeszczał. Nie pozostawił złudzeń co do celu swojej wizyty.

Nie czekał, aż właścicielka zegarka go ściągnie, sam to zrobił, a po drodze „zahaczył” jeszcze o obrączkę. Nagle zakrzyknął:

– Giermaniec gdzie?

Po chwili był już u nas w piwnicy, a za nim wparowało jeszcze dwóch takich samych. Wszyscy w waciakach, lichych kufajkach.

– Tu giermańca niet – tłumaczy ciocia.

Tamten niemiecki żołnierz zdążył uciec, ale cała piwnica przecież pełna była niemieckich gdańszczan – zawsze to Niemcy. Jako jedyni byliśmy tam Polakami. Ale Ruscy kupili ten blef.

Skoro jednak nie znaleźli Niemca, musieli zadowolić się innymi łupami wojennymi. Zaczął się regularny rabunek. Było ciemno, gdzieś palila się świeczka, Niemcy siedzieli przerażeni. Gdy tylko jeden z „wyzwolicielei” przystawił babci lufę do piersi, ostrzegła dziadka, że kradną. Ten ukradkiem przełożył zegarek na dewizce z lewej kieszonki, w której zwyczajowo się go nosiło, do prawej, a obrączkę – grubą, siedmiogramową – schował do skarpety. Rusek, nieobeznany z *savoir-vivre*’em, pomacał na wszelki wypadek obie kieszenie dziadkowej marynarki i natychmiast znalazł czasomierz. Obrączka szczęśliwie ocalała. Po wojnie leżała na wystawie poświęconej słynnej

gdańskiej firmie jubilerskiej Moritz Stumpf & Sohn, czym trzykrotnie zwiększyła swoją wartość.

Po chwili wpadło kolejnych czterech „Iwanów”. Gdy tylko zauważyli trzydziestopięcioletnią panią Müllerową i dziewiętnastoletnią córkę Regendanzów, zaczęli wrzeszczeć: „Dałoj, dałoj!”, i zatargali je na górę, do mieszkań. Za jakiś czas wróciły potargane, w poszarpanych ubraniach, zapłakane. Dorośli od razu wiedzieli, co zaszło. Pozostałe Niemki zabrały je w głąb schronu. Jako dziewięciolatek nie miałem świadomości, że to był gwałt, nie znałem wówczas ani tego słowa, ani samego zjawiska – kilka lat później usłyszałem, jak opowiadały o tym babcia i ciocia. Odtąd kobiety malowały sobie twarze węglem, by się postarzyć i oszpecić. Mało która gdańszczanka uniknęła gwałtu, wiele z nich zmarło w wyniku zarażenia chorobami wenerycznymi czy tyfusem lub się wykrwawiło.

Kolejnego ranka, a był to pamiętny 27 marca, w schronie zjawili się następni Rosjanie – wciąż chodzili i rabowali. Koło południa nagle ktoś krzyknął:

– Palimy się od góry!

Wcześniej budynki zapalały się od bomb alianckich, teraz podpalali je sami „oswobodziciele”. Każdy chwycił, co miał pod ręką, i zaczęliśmy uciekać. Dużo wcześniej ciocia uszyła nam plecaki, do których schowaliśmy najpotrzebniejsze rzeczy – ja w swoim miałem trochę odzieży i jedzenia. Wylegliśmy więc z tymi tobołkami na ulicę, a tam stały już radzieckie ciężarówki załadowane meblami, sprzętami domowymi, obrazami, nawet pianinami zrabowanymi z kamienic.

Dokąd iść? W kościele św. Józefa, do którego chodziłem z dziadkami, księża uprzedzali o szykującym się szturmie na miasto. Wiedzieli, że wiele osób straci dach nad głową, i zachęcali do schronienia się w murach świątyni. Zmierzałyśmy więc do niej.

Normalnie z domu to kilkanaście minut piechotą, ale nam ta droga zajęła sporo czasu.

Wchodzimy na ulicę Jana z Kolna. Cała jej lewa strona w ogniu, żar jak w piecu, z góry – jak śnieg – sypią się iskry. Ogniamy się od nich, by się nie zapalić. Wchodzimy na Wały Piastowskie, ale tu pali się wszystko po prawej stronie, cofamy się więc i kierujemy się lewą stroną Wałów ku wylotowi Korzennej. A tam, kilkadziesiąt metrów od nas, artylerzyści ładują działa. Lufy skierowane na miasto, my z dziadkiem przystajemy i się gapimy.

– Chodźcie już, do diabła ciężkiego! – krzyczą babcia i ciocia.

Z góry lecą pociski, z budynków – odłamki. To, że żaden nas nie trafił, to prawdziwy cud. Wchodzimy na Podwale Grodzkie, dochodzimy do wylotu Elżbietańskiej, skąd widać już kościół św. Józefa... a on cały w ogniu.



*Ruiny kościoła św. Józefa w Gdańsku. Janek z dziadkami
zmierza do niego, by się w nim schronić; gdy do niego
dotarli, płonął razem z setką żywych osób w środku.*

Fot. Archiwum oo. oblatów w Gdańsku

Od kilkunastu godzin chroniły się w nim kobiety, dzieci i osoby starsze – ponad sto osób. Krasnoarmiejcy złamali zasadę azylu w kościele, wtoczyli do niego beczki z płynem zapalającym i je podpalili. Widok świątyni, którą ogień zajął od środka, oznaczał jedno: spłonęli wszyscy, którzy się w niej schronili. Żywcem. Po wojnie był to temat niewygodny, pożoga była przecież dziełem „wyzwolicielei”. Co ciekawe, niechętnie wracała do niego nawet gdańska Polonia. Latami temat przycichał, dopiero w 2000 roku zakonnicy opiekujący się kościołem, ojcowie oblaci, wyciągnęli sprawę z mroków pamięci i doprowadzili do utworzenia epitafium ku czci spalonych gdańszczan. Określili to miejsce jako „Sanktuarium ofiar nieludzkich systemów”. Tablica mówi o tym w dwóch językach – polskim i niemieckim, tak jak ofiary były narodowości polskiej i niemieckiej. Gdybyśmy dotarli tam dwie godziny wcześniej, bylibyśmy wśród nich. Wierzę, że ocaliła nas od tego Matka Boża Szkaplerzna, której ołtarz znajduje się w kościele św. Józefa i której medalik miało każde z nas. Ja swój miałem wszyty w ubranko.

Musieliśmy poszukać innej kryjówki. Naprzeciwko kościoła św. Elżbiety, do którego dochodziliśmy, był stary bastion. Przykucnęliśmy pod jego murami koło innych ludzi. W prześwicie ulicy widać było języki ognia trawiącego kościół św. Józefa i unoszący się nad nim smolisty dym. W górze latały samoloty – widać było, jak nad budynkami zniżały lot i zrzucały bomby lub je ostrzeliwały z karabinów maszynowych. Przesiedzieliśmy tam do wieczora, kiedy ciocia z babcią zadecydowały, by poszukać schronu publicznego. Najbliższy –

niemiecki, przeciwlotniczy – był w miejscu dzisiejszej siedziby Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”.

Oznaczało to powrót Wałami Piastowskimi w kierunku Jana z Kolna – tam, skąd przyszliśmy. Drogę rozświetlały nam płonące budynki. Z nieba sypały się iskry gęste jak śnieg. Gdy dotarliśmy do schronu i zeszliśmy w dół do wejścia, okazało się, że jest już zatłoczony. W dodatku był częściowo zalany – chyba pękła rura. Zaduch, fetor, jęk. Panowała w nim ciemność, nie tylko dlatego jednak nie przedzieraliśmy się do dalszych rzędów ławek. Usadowiliśmy się w jednym z pierwszych rzędów, by w razie czego ułatwić sobie ucieczkę. Moi opiekunowie znali już pewnie historię schronu koło Hali Targowej na Starym Mieście, w którym po zalaniu w wyniku bombardowania wszyscy utonęli. Ruskie patrole, a jakże, dotarły i tutaj – „Iwany” chodziły między ławkami, świeciły latarkami i rabowały, napychały kieszenie zegarkami, pierścionkami, biżuterią.

Nad ranem dziadek decyduje, że wychodzimy i cofamy się dalej do Jana z Kolna, bo tam ocalało jeszcze kilka budynków. Na razie zmierzamy w kierunku Nowego Portu, po lewej – pod numerami od dziewięć do jedenaście – stoją jeszcze trzy całe kamienice. Wchodzimy. W środku kłębią się niemieccy cywile, głównie kobiety i dzieci. Dołączamy do nich. Kierujemy się na pierwsze piętro, może tam będzie luźniej. Na ścianach klatki schodowej hebanowa boazeria, w oknach witraże. To były mieszkania dla wyższych sfer. Informowała o tym ceramiczna tabliczka umieszczona przy wejściu, spisana gotykiem: *Nur für herrschaften* – „Tylko dla panów”. Służba korzystała z wąskiej klatki schodowej z tyłu. Dochodzimy do mieszkań, a tam też masa ludzi. Krąży między nimi żołdateria i rabuje. Jeden skośnooki „wyzwoliciel” kieruje się do wyjścia, wyrywa babci torbę z rzeczami osobistymi, w tym paszportami gdańskimi i lekami, i ucieka. Ciocia rusza za nim i widzi,

jak ten rzuca łup na ciężarówkę pełną tego, co wraz z towarzyszami wytrzepali z mieszkań i od gdańszczan.

Nie odpuściła. Dorwała na ulicy rosyjskiego oficera i krzyczy rozemocjonowana:

– A jakże to nam, Polakom, zabierać nasze rzeczy?

– Kto zabiera? – pyta oficer.

– Ano żołdacy wasze. Zabrali nam torbę, wynieśli na podwórze i rzucili na ciężarówkę.

Oficer podchodzi z ciocią do ciężarówki, wskazuje na stertę zrabowanych przedmiotów i pyta:

– Które to wasze?

– To. – Ciocia pokazuje na torbę babci.

– Dawajcie! – komenderuje oficer do żołdaka i po chwili oddaje cioci „zgubę”.

To jeden z nielicznych przykładów przyzwoitego zachowania radzieckich „oswobodzicieli”.

W kamienicy dla panów nie dało się dłużej wytrzymać – ciocia z babcią zarządzają odwrót. Dalej kierujemy się w stronę Nowego Portu. Na razie idziemy Jana z Kolna, po prawej Nowomiejska – nasz dom spalony. Wchodzimy na dzisiejszą Robotniczą – cała prawa strona to pogorzeliśko, po lewej jest jeszcze parę ocalałych budynków. Mieściły się w nich mieszkania dla robotników stoczni. Niemcy zdążyli już stamtąd uciec.

Udało nam się zająć trzypokojowe mieszkanie pod numerem dziewiątym. Ciocia natychmiast zarygłowała drzwi, a babcia napisała na nich: „Jan Borowski, Bolesława Borowska, Helena Zielińska, Jan Małgorzewicz”. Już nasze.

Pierwsza burza „wyzwalająca” miasto już minęła. Zanim przyszła kolejna, instalująca w Gdańsku władzę ludową, trzeba było rozliczyć się z przeszłością. Każda ze stron miała coś do rozliczenia. Gdy można już było wychodzić na zewnątrz, ciocia z babcią wzięły mnie pewnego dnia do Bramy Oliwskiej. Na drzewach u wlotu dzisiejszej alei Zwycięstwa wymalowane były ciemnoczerwoną farbą duże krzyże. Siedem krzyży na siedmiu drzewach, jak siedmiu powieszonych niemieckich „dezertów”. Świadkowie tamtych wydarzeń – a było to na kilka tygodni przed wkroczeniem Armii Czerwonej – opowiadali, że wisielcy mieli na piersiach tabliczki z wypisanymi winami: „Nie chciałem walczyć za Vaterland”, „Byłem zdrajcą narodu”, „Zdradziłem Führera”, „Byłem zbyt tchórzliwy”, „Maruder”, „Bandyta”. Przywiozła ich tu ciężarówka, do której przywiązano liny obwiązane wokół szyi skazańców. Gdy ciężarówka ruszyła, mężczyźni zawisli na drzewach. Podjeżdżała kolejna ciężarówka, do której ładowano zwłoki, a sznury wiązano kolejnym „zdrajcom”. Ruszał następny morderczy „taśmociąg”. Ostatnich wisielców nie odcięto – zostali na drzewach ku przestrodze. Byli to ci, którzy już od tygodni wiedzieli, że III Rzesza wali się w gruzy, i cisnęli broń.



Część załogi obozu Stutthof została skazana za swą zbrodniczą działalność w publicznej egzekucji, na którą

przybyły tłumy, w tym Janek.

Fot. Zbiory Muzeum Stutthof w Sztutowie

Nieco innego rozliczenia dokonano 4 lipca 1946 roku na Wysokiej Górcie, po niemiecku Stolzenberg, przy ulicy Pohulanka. Tam, gdzie dziś stoi budynek Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków, odbyła się przedostatnia egzekucja publiczna w powojennej Polsce. Poprzedzając ją proces porównywany był do Norymbergi. Na ławie oskarżonych zasiedli oprawcy z niemieckiego obozu koncentracyjnego Stutthof: esesman Johann Pauls, nadzorczyne Jenny-Wanda Barkmann, Elisabeth Becker, Wanda Klaff, Ewa Paradies, Gerda Steinhoff, Erna Beilhardt oraz więźniowie funkcyjni, w tym kapo: Aleksy Duzdał, Tadeusz Kopczyński, Kazimierz Kowalski, Waław Kozłowski, Józef Reiter, Franciszek Szopiński, Jan Breit i Marian Zielkowski.

Może zastanawiać liczba polskich nazwisk, ale na tym polegała perfidia obozów koncentracyjnych urządzanych przez Niemców. Do utrzymywania wśród więźniów dyscypliny wybierali oni samych więzionych, a szczególnie premiowali tych najbardziej brutalnych i bezwzględnych. Jednak osądzenie ich nie było rzeczą łatwą. Sąd wielokrotnie pytał kapo Waław Kozłowskiego, dlaczego zabijał ludzi drągiem, chochlą lub topił w szambie. Odpowiadał zawsze tak samo: „dla chleba”. Na piętnaście aktów oskarżenia zapadło jedenaście wyroków śmierci i dwie kary więzienia, Bolesław Bierut uniewinnił dwie kolejne osoby.

Od rana 4 lipca na Pohulance zbierali się gapie – w sumie kilkadziesiąt tysięcy osób. Tego dnia zakłady pracy dawały wolne, miasto uruchomiło specjalne linie komunikacyjne, na miejsce egzekucji ludzie docierali zorganizowanymi grupami. Każdy chciał być jak najbliżej. Mnie też nikt by wtedy nie utrzymał w domu, byłem w tym tłumie. Kordony milicjantów osłaniały osądzonych przed linczem. Jedenastu skazańców ustawiono na platformach jedenastu ciężarówek.

Obok każdego stał egzekutor, który miał mu założyć na szyję stryczek – byli to dawni więźniowie, symbolicznie ubrani w pasiaki. Sznury zawieszane były na szubienicach. Między skazanymi do końca krążył katolicki ksiądz, sprowadzony pastor rozmył się w tłumie.

Zbliżała się siedemnasta. Gdy samochody ruszyły, oprawcy zawisli na szubienicach. Nie odpalił tylko jeden wóz. Nie czekając na naprawienie awarii, była więźniarka samodzielnie zepchnęła skazaną Wandę Klaff z platformy. Tłum ryczał, ludzie byli wzburzeni, nabuzowani. W powietrzu czuć było chęć zemsty i dziką satysfakcję, że chociaż tych tu udało się dorwać i ukarać. Runęli do wisielców, by zrywać z nich kawałki ubrań, odcinać fragmenty sznurów. Brali je jak relikwie. Pamiętam, jak komendant Milicji Obywatelskiej, który mieszkał przy naszej ulicy Robotniczej, dzierżył taki sznur wisielczy niczym trofeum, wymachiwał nim i mówił: „Patrzcie, ludzie, na tym sznurze wisiał zbrodniarz!”. Ciała zabitych przewieziono tymczasem do Akademii Medycznej w Gdańsku.

Osądzono piętnaścioro, podczas gdy przez cały czas funkcjonowania obozu Stutthof przewinęło się przezeń dwa tysiące esesmanów. Większość z nich, także wyższych stopniem, sądzonych potem w Niemczech, otrzymała łagodne wyroki pozbawienia wolności, maksymalnie do dwunastu lat. Jakże te wszystkie liczby mają się jednak do ponad stu tysięcy więźniów, z których życie straciło ponad sześćdziesiąt pięć tysięcy osób?

Mówi się, że nie ma sprawiedliwości. Ale też jak przykładać cywilizowane prawo do tak bestialskich czynów, jakich dopuścili się Niemcy? Pozostaje także kwestia rozliczenia Rosjan, których po wojnie nikt nie pociągnął do odpowiedzialności za żadne zbrodnie, od Katynia przez zsyłki na Sybir po takie akty zwyrodnialstwa, jak spalenie ludzi żywcem w gdańskim kościele św. Józefa. Cóż, wszak zwycięzców nikt nie sądzi.

Nam trzeba było żyć dalej. A nową rzeczywistość pisali owi zwycięzcy. Już od początku kwietnia w urzędach miasta i na posterunkach milicji instalowała się nowa władza ludowa. Tworzyły się zaczątki ORMO. Do Gdańska przybywała ludność napływowa z całej Polski, głównie z terenów wschodnich objętych wysiedleniami: Wileńszczyzny, okolic Lwowa, ale i z centralnej Polski, z Pomorza. Niemców, którzy sami nie wyjechali, ładowano do pociągów i deportowano do Niemiec.

– My Polacy – wołała babcia, gdy i za nas się zabierali.

– Nie ma tu żadnych Polaków – odpowiadali ci, którzy byli przedłużeniem nowej władzy. – Wszyscy Polacy zginęli po obozach. Wy Niemcy, hitlerowcy.

Po reakcjach przybyszów wnosiliśmy, że poza Gdańskiem mało kto wiedział o polskich gdańszczanach. Cóż z tego, że mówiliśmy po polsku? W urzędzie, w którym babcia przedstawiła się jako przedstawicielka gdańskiej Polonii, też usłyszała:

– Co za Polonia? Pierwsze słyszę. Pani Niemką była, i tyle.

Pierwsze dni były ciężkie, na szczęście pojawiło się polskie wojsko, rozdawało chleb, a nieraz i zupę. Jednak mimo że wystrzały ucichły, ludzie umierali dalej. Dziesiątkował ich głód. Żołnierze nie dla każdego mieli chleb, nie zostali też tu na zawsze, a pierwszy piekarz w Gdańsku pojawił się dopiero na początku 1946 roku. Żywiliśmy się głównie ziemniakami znalezionymi w piwnicach. Babcia gotowała je w mundurkach i podawała z sosem zrobionym z mąki rozbełtanej z wodą. Widywało się na ulicach ludzi zmarłych z głodu – byli to przeważnie starsi, samotni Niemcy. Śmiertelne żniwo zbierał także tyfus. Ludzie umierali na niego masowo – w domach, na ulicach. Chowano ich na podwórzach, kopano prowizoryczne doły tam, gdzie akurat było miejsce. Sytuacji, która zakrawała na epidemiczną, nie poprawiały

truchła koni zalegające na ulicach. Kwietniowe słońce sprawiało, że szybko się rozkładały, co powodowało niesamowity fetor. Później te konie gdzieś wywożono, nie wiem gdzie.

A Ruscy dalej chodzili po domach i szabrowali albo ordynarnie okradali zamieszkałe pomieszczenia. Po jakimś czasie jednak nie był to już nasz problem – zyskaliśmy domowego anioła stróża. Otóż jeden z pokoi naszego nowego mieszkania wynajęliśmy rosyjskiemu oficerowi. Wygodny to był lokator – zbierał się wcześniej rano i na cały dzień szedł do swojego oddziału. Któregoś dnia babcia zaczęła do niego narzekać:

– Przychodzą tu wasi i kradną...

Zdjął mapnik i futerał od pistoletu, po czym zawiesił je na haku garderobianym, widocznym zaraz od drzwi wejściowych.

– Kak pridut, skazitie, że eto kwartira lejtnanta – powiedział.

To rzeczywiście działało! Na widok oficerskich akcesoriów niedoszli złodzieje wiali, gdzie pieprz rośnie. Ale bywały i takie chojraki, jak dwóch z jednostki pomocniczej milicji, czyli zaczątków ORMÓ. Wtargnęli raz, więc babcia zaraz ich ostrzegła, że tu mieszka radziecki oficer.

– A niech mieszka – odpowiedzieli dziarscy panowie – nam się ten obraz podoba i go rekwirujemy.

Była na nim wymalowana aleja brzozowa, a osadzony był w szerokich, ciemnych ramach – myślę, że to raczej one były przedmiotem zainteresowania owych „miłośników sztuki”. Był ogromny, więc wzięli go we dwóch pod pachę i wyszli. Babcia i ciocia za nimi – dwie klatki dalej i schodami na górę.

Wiedziały już, gdzie ich szukać, więc kiedy nasz lejtnant wrócił, znów się skarżą:

– Wasi tu byli, obraz ukradli...

Jak nie wyciągnie nagana, jak nie wrzaśnie:

– Idiom!

I poszli. Ciocia z babcią wskazały nowe lokum obrazu, ale zaczęły na zewnątrz. Ze środka dobiegały hałasy. Po chwili drzwi się otworzyły. Wylatują złodziejzki, a za nimi lejtnant wymachuje naganem:

– Wio, odwiesić mi to, skądście to wzięli... bo ubiju jak sobaki!

Na tym kradzieże w naszym domu skończyły się definitywnie.

Szczęście sprzyjało nam dalej. Piętro niżej w naszej kamienicy mieszkał bosman Sosnowski służący w Polskiej Marynarce Wojennej. Od słowa do słowa wyciągnął od cioci, że jest krawcową.

– Z nieba mi pani spadła! Szukamy właśnie kogoś, kto naprawi stare mundury i uszyje nowe – zakrzyknął.

– Ale moja maszyna do szycia spłonęła razem z domem przy Nowomiejskiej – tłumaczyła ciocia.

– To żaden problem – odpowiedział bosman i już ciągnął ciocię do jakichś magazynów.

Ja oczywiście za nimi. Idziemy dwa budynki dalej, dochodzimy do ulicy Dyrekcyjnej, otwieramy drzwi hali, a tam... setka, jak nie więcej, maszyn do szycia. Pewnie wyszabrowane przez Sowietów i już przygotowane do transportu do Sojuza.

– Proszę sobie wybrać najlepszą – powiedział bosman.

Ciocie aż głowa rozboleła, wreszcie wskazała:

– Ta.

– Doskonale, a teraz jeszcze jedna, na zapas. I kolejna na części, gdyby tamte się zepsuły. – Hojność bosmana nie miała granic.

Ciocia wybrała najlepszy sprzęt, do tego nici i igły, a marynarze spakowali to wszystko na wózek i przywieźli nam do domu. Przez kilka kolejnych miesięcy obszywała Marynarkę Wojenną, za co rodzina dostawała z wojskowego deputatu puszki mięsne, smalec, olej. Na opaski potrzebowała białego i czerwonego płótna, więc marynarze naznosili jej mnóstwo prześcieradeł i polskich oraz radzieckich flag. W 1947 roku przeszła do spółdzielni krawieckiej „Ogniwo” i szyła dla gdańszczyzan aż do emerytury.



*Franciszek Małgorzewicz z drugą żoną Władysławą –
„mamą, która wychowała”.*

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

Krótko po wojnie dołączył do nas mój tata. Nie odnalazł nas przy Nowomiejskiej, bo wszystko tam już było spalone. Ciocia, jak wszyscy zresztą, przyczepiła do okolicznego drzewa kartkę z informacją, że żyjemy i gdzie mieszkamy. Odnalazł nas bez kłopotu.

Wrzesień 1945 roku – podobnie jak wrzesień 1942 roku – znów był dla mnie „poborowy”. W Gdańsku otwarto pierwszą szkołę: była to szkoła podstawowa nr 1. Ciocia poszła mnie do niej zapisać. Już nie Hänschena, ale Janeczka.

– A co on umie? – zapytała kierowniczką, warszawianką, a ci mieli do nas, gdańskiej Polonii, szczególny dystans.

– Przez trzy lata chodził do szkoły hitl... niemieckiej – powiedziała ciocia. Dodała mi pół roku edukacji, którą przerwało „wyzwalanie”.

– Pisać, czytać, liczyć umie? – dopytywała dyrektorka.

– Umie – powiedziała ciocia, ale już nie dodała, że pisać i czytać to wyłącznie po niemiecku.



*Jan Małgorzewicz w harcerskim mundurku uszytym przez
ciocię.*

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

– Damy go do czwartej klasy – zawyrokowała pani Michalewicz.

Każda klasa to była mieszanina z całej Polski: autochtoni, napływowci ze wschodu, wilniuchy, lwowianie, warszawianie, Pomorzanie i Kaszubi z gardłowym „r”, Wielkopolanie, krakowianie. Panował też istny miszmasz wiekowy – w mojej klasie koledzy mieli od dziewięciu do dwunastu lat. I znów, jak przed wojną, nikt nikomu nie wytykał, kto Polak, a kto „Rusek”.

Językiem niemieckim władałem biegle, do czego zresztą publicznie się nie przyznawałem, ale polski dopiero musiałem opanować. I tej polszczyzny to ja trochę liznałem od wilniuków i lwowian, z którymi najczęściej bawiłem się na podwórku, tyle że z niemieckim akcentem. Moje braki szybko wyszły na jaw.

– Janek, do tablicy! – zawołała mnie raz nauczycielka polskiego. – Ja dyktuję, a ty pisz: „Ja idę do szkoły”.

Sterczałem przed tą tablicą, spocony jak mysz, i kombinowałem: „Ja ide...”.

– Janku, ogonek – podpowiadała polonistka, a ja zachodziłem w głowę, co za ogonek.

Pokazała mi, że ogonek to taki zawijas pod literką „e” i stawia się go tam, gdzie tę głoskę wypowiada się nosowo. Poprawiłem więc: „Ja idę...”, i kombinowałem dalej: „do sch...”. Nauczycielka aż się za głowę złapała.

– Ty germaniec jesteś, marsz do ławki! – pogoniła mnie spod tej „ściany straceń”.

Jakoś tę czwartą klasę przepękałem. W piątej doszedł do nas Andrzej Mieszkowski, siostrzeniec kierowniczkii szkoły, też warszawianin. A przede wszystkim prymus. Jak się zawiąłem i Andrzeja chciałem dogonić, to na koniec roku szkolnego w jednostronicowym dyktandzie miałem już tylko trzy błędy ortograficzne. Dyrektor Michalewicz, jednocześnie nasza polonistka, nie mogła się nadziwić. Na koniec kolejnej klasy miałem już tylko dwa błędy, a rok później – ani jednego. Zastąpiłem Andrzeja na podium prymusa!

Od piątej klasy doszły nam języki obce – angielskiego uczyła nas pani Osowska, dawna pracownica polskiej ambasady w Londynie. Ponieważ znałem niemiecki, w mig przyswoiłem angielski. W gimnazjum kontynuowałem naukę, a dodatkowo doszedł nam kolejny język, do wyboru: francuski lub łacina. Klasy liczyły wówczas po pięćdziesiąt osób i na zajęciach językowych dzielono je na pół: połowa uczyła się jednego, połowa drugiego. Z powodu braków lokalowych – w jednym pomieszczeniu. I tak jednym uchem łapałem francuski, a drugim łacinę. Do języków miałem talent, gorzej było z matematyką, ale tu mogłem liczyć na pomoc kolegów.

W czerwcu 1948 roku dostałem świadectwo ukończenia gimnazjum i zastanawiałem się, co dalej. Był trend, by młodzież masowo posyłać do szkół zawodowych, bo na rynku brakowało specjalistów, ale tuż za płotem miałem liceum ogólnokształcące. Do niego jednak należało zdać egzamin ustny, podczas którego sondowano nie tylko poziom wiedzy, lecz także ogólny rozwój intelektualny oraz zainteresowania. Ja błysnąłem opowieścią o obrazie Jana Matejki *Hołd pruski*. Gdy perorowałem o jego detalach, o rycerstwie, królu Zygmuncie Starym i klęczącym przed nim Krzyżaku, profesorzy w komisji – fizyk i historyk – przecierali oczy ze zdziwienia.

– Powiedz nam, co czytujesz – zapytał wreszcie historyk.

– „Problemy” – odpowiedziałem.

– Niemożliwe! – wykrzyknął pedagog.

„Problemy” był to miesięcznik popularnonaukowy, który prenumerował mój wujek z Sopotu. Gdy jeździliśmy do niego na imieniny, z nudów podczytywałem czasopismo, a okazało się ciekawe, było bogato ilustrowane.

– Jesteś przyjęty! – brzmiał wyrok komisji.

I tak stałem się uczniem jedynej wówczas męskiej klasy licealnej w Gdańsku, a była z nas gromada czterdziestu dziewięciu nie lada gagatków. Nasze liceum było elitarne. O ile na początkowym etapie edukacji nie załapałem się na przedwojenną kadre pedagogiczną, o tyle w szkole średniej trafiłem na wybitnych nauczycieli.

Przy naborze na uczelnie wyższe po maturze obowiązywał kontyngent – każda szkoła średnia wystawiała go według aktualnego zapotrzebowania. Ponieważ byłem bardzo dobry z biologii, mogłem iść na medycynę lub do szkoły rolniczej. Do medycyny zrażały mnie niezliczone zastrzyki, którymi Czerwony Krzyż szprycował dzieci po wojnie; do dziś alergicznie reaguję na strzykawki. Poza tym nie dość, że nie czułem powołania, to jeszcze by się dostać na studia, należało zdać bardzo trudne egzaminy. Kolega się skusił, a że kulał nieco z biologii, poszedłem na egzamin z tego przedmiotu za niego. Zdaliśmy!

Sam wybrałem się z kolei do Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie. Na egzaminie miałem opisać funkcje życiowe komórki. Dwa dni później kandydatów zebrano w Auditorium Maximum.

– Zanim ogłoszę wyniki – zaczął rektor – poproszę do siebie pana Jana Małgorzewicza.

Niepewnie podniosłem się z ławki i do niego podszedłem.

– Przy wszystkich tu zebranych gratuluję najlepszego wyniku. Jest pan zwolniony z dalszej części egzaminu. Witamy na naszej uczelni!

Czym prędzej pojechałem z tą wiadomością do Gdańska, do rodziców – bo tata zdążył się już ponownie ożenić – i zapytałem, co robić.

– Pakuj się i jedź – poradził tata. – Ale musisz dostać stypendium.

Po pierwszym semestrze złożyłem więc o nie podanie. Odrzucono je, ponieważ tata był dyspozytorem w porcie i nie zarabiał najgorzej. Nikogo nie obchodziło, że pensja taty nie wystarczała na utrzymanie domu i opłacenie akademika. Zwiąłem więc z uczelni i znów myślałem, co dalej. Od młodości ciągnęło mnie do morza, ale żeby dostać się do Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, zabrakło mi... paru kilogramów. Tam liczyły się bowiem warunki fizyczne kandydata, a ja nie ważyłem pięćdziesięciu kilogramów.

W Gdańsku trafiłem na Przedsiębiorstwo Robót Czerpalnych i Podwodnych, prowadzące prace pogłębiarskie i hydrotechniczne. Akurat szukali kartografa – i tak zacząłem pracę w dziale hydrografii. W Lidze Przyjaciół Żołnierza zrobiłem kurs na radiotelegrafistę. Szło mi świetnie, aż przyszedł kolejny „pobór”. Oficerska Szkoła Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Legnicy przyjmowała na kursy łącznościowe, które ukończyłem w stopniu podoficera. W wojsku czułem się niezłe i nie narzekam na odbytą służbę. Być może ma w tym udział pruski dryl wyniesiony ze szkoły św. Katarzyny? Karność miałem po niej we krwi. W polskiej szkole nauczyciele nie mogli się nadziwić, że jak do mnie mówili, to ja stawałem na baczność.

Po szkole oficerskiej jako radiotelegrafista trafiłem do łączności w jednostce w Warszawie. Po trzech latach spędzonych w wojsku zaproponowali mi miejsce w Komendzie Wojewódzkiej MO w Białymstoku, ale mnie wciąż ciągnęło do Państwowej Szkoły

Morskiej. Napisałem podanie i tym razem się dostałem. Ukończyłem ją eksternistycznie – z morza – i byłem już oficerem radiotelegrafistą pełną gębą. Takich jak ja, ze znajomością języka angielskiego, potrzebowali na wszystkich statkach – i tak trafiłem na trzyletni kontrakt. Nie przysługiwał mi ani urlop, ani powrót do Polski, za to porty Morza Śródziemnego były moje, a przy okazji nauczyłem się trochę języka greckiego. Po powrocie mustrowałem na kolejnych statkach, będących często w czarterze, ale zawsze pod polską banderą.

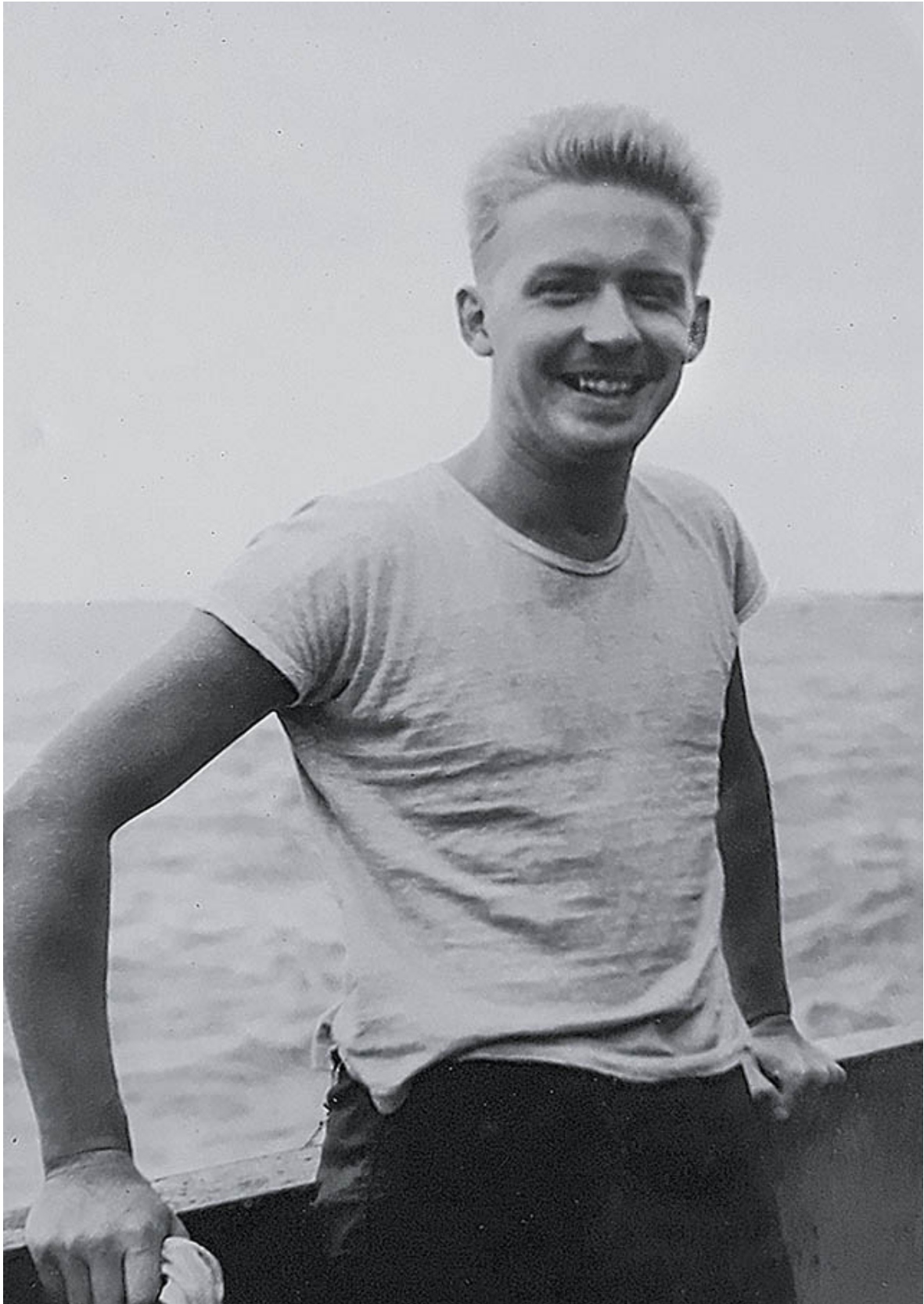


Jan Małgorzewicz na krótko przed pójściem do wojska.

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza

W przerwach między rejsami, gdy tylko byłem w kraju, wpłacałem zarobione pieniądze na książeczkę mieszkaniową. Miałem już uzbieraną wystarczającą kwotę, ale w pierwszej kolejności mieszkania przyznawano żonatym. To się ożeniłem. Marylę – śliczną panienkę zaraz po maturze – poznałem przypadkiem, była siostrą naszej sąsiadki z góry, do której przyjeżdżała z Poznańskiego. Oświadczyłem jej się, szczęśliwie oświadczyły przyjęła, i tak oto doczekaliśmy się dwóch synów i trzech wnuków. Do końca aktywności zawodowej pływałem – wszedłem na statek w wieku dziewiętnastu lat, a zszedłem z niego dopiero po pięćdziesięciu trzech latach.

Jednego nie mogę tylko odżalować. Kiedy na Wszystkich Świętych w 1972 roku poszedłem na grób matki, zastałem zdewastowany pomnik. Mama leżała na cmentarzu parafialnym św. Józefa i św. Brygidy – dziś biegnie tamtędy ulica Giełuda. Po wojnie został on zamknięty, a większość nagrobków zniszczona, miała bowiem inskrypcje w języku niemieckim. Jednak grób mojej matki – biały, kamienny obelisk zakończony krzyżem – zdobił napis po polsku: „Tu spoczywa Małgorzata Małgorzewicz...”. Przez dwadzieścia siedem lat po wojnie wandale go oszczędzali, aż i on został zniszczony. Całą nekropolię zrównano z ziemią. Gdy to się działo, nie było mnie w kraju, ale o zamiarach zlikwidowania cmentarza nie została poinformowana także moja żona. Mimo że już go nie ma, to przecież tam spoczywają szczątki mojej mamy – tej, która mnie urodziła. Zawsze więc w tym miejscu zapalam dla niej znicz i się modłę.



*Plutonowy Jan Małgorzewicz, 1958 rok.
Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza*



*Janek z rodziną przy grobie mamy, jeszcze przed jego
zniszczeniem.*

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza



*Dziadek Jan Borowski, tata Franciszek Małgorzewicz
i Janek przy Bramie Oliwskiej, Gdańsk, 1937 rok.
Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza*



*Janek z ciocią i babcią w oknie.
Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza*

Kiedy zastanawiam się, co najbardziej mnie ukształtowało – jeszcze zanim zrobiło to morze – na myśl przychodzą mi niemiecka szkoła i wielojęzyczne podwórko po wojnie. W tej pierwszej nasiąknęłam pruską dyscypliną, a w powojennym Gdańsku – różnymi gwarami. Gdy zaczynam mówić, ludzie czasem nie wiedzą, czy ja wilniuk, Kaszub czy Niemiec. A ja polski *Danziger* jestem, człowiek gdański.

Jan Małgorzewicz



*Janek Małgorzewicz w przeddzień wybuchu wojny,
Gdańsk 1939 rok.*

Fot. Archiwum prywatne Jana Małgorzewicza



*Jan Małgorzewicz w swoim gdańskim mieszkaniu latem
2021 roku.*

Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej

Anielka (ur. 1934)

DZIECKO NIC



Dzieci, których Niemcy nie uznali za zdatne do germanizacji lub pracy, skazane były na śmierć, głównie

*przez zagłodzenie, ale także z tęsknoty za rodzicami, od
których zostały oderwane.*

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

Bydlę by tego nie przeżyło, co myśmy przetrwali – a traktowani byliśmy właśnie jak bydło. Lekarze mówią, że mamy „syndrom” – jak tylko zaczynamy o tym mówić, to płaczemy. Bo to i tamte wojenne przeżycia, i ten powojenny wstyd, że strupy, świerzb, wszy, a my młode dziewczyny i chłopaki. Jeden fartuszek się miało z kołnierzykiem odpinanym, co się go codziennie prało, i jedne tenisówki, które proszkiem do zębów się czyściło. I jeszcze większy wstyd za to mieszkanie w obórcie, z której ojciec najpierw wyniósł gnój po świniach i do której po wstawieniu drzwi i szyb wprowadził rodzinę. Jak tu kogo zaprosić, jak się kolegować, za mąż wychodzić? Kilkadziesiąt lat z tych kompleksów wychodziłam. A zaczęło się od wywózki. Niemcy przyszli jak po swoje i nas wypędzili. Jak bydło.

Sady to była mała rolnicza wioska niedaleko Skierbieszowa, a Skierbieszów to miasteczko niedaleko Zamościa. Nasz dom leżał na samym końcu. W zasadzie to nie nasz, tylko dziadka, który głównym gospodarzem uczynił syna – brata mamy. Nie w smak mu było, że młodsza córka za pólsierotę się wydaje. W dzień ich ślubu chodził po wsi, a ludzie go zaczepiali:

- Tomaszu, podobno dziś ślub waszej córki?
- Podobno – odmrukiwał.

Wolał, by mama poszła za brata bratowej i wszystko zostało w rodzinie. Ale tak się nie stało i moi rodzice musieli pogodzić się z tym,

że z ojcowskiego stołu brać mogą tylko okruchy. Rodziny mamy i jej brata żyły jednak w zgodzie, nie było niesnasek. Utrzymywali się z rolnictwa, a ziemia tam była żyzna, pierwsza klasa. Były z nich mąka na chleb, jęczmień na paszę i dużo prosa; były ziemniaki i fasola. Trzymali też krowę, prosię, drób, w tym gęsi, to i pierze na pościel było. Jak kury naniósł jajek, to za okupacji na sól czy zapalki się wymieniało. Dziadek to był gospodarz pełną gębą. Babcia zmarła na krótko przed moimi narodzinami, a on – chwilę przed wysiedleniami. Na jego szczęście, bo nie wiem, jak by je przeżył. Wygodnie się mieszkało i szczęśliwie, choć dom zajmowały dwie rodziny i dziadek, a nasza czwórka miała tylko maleńki pokój.

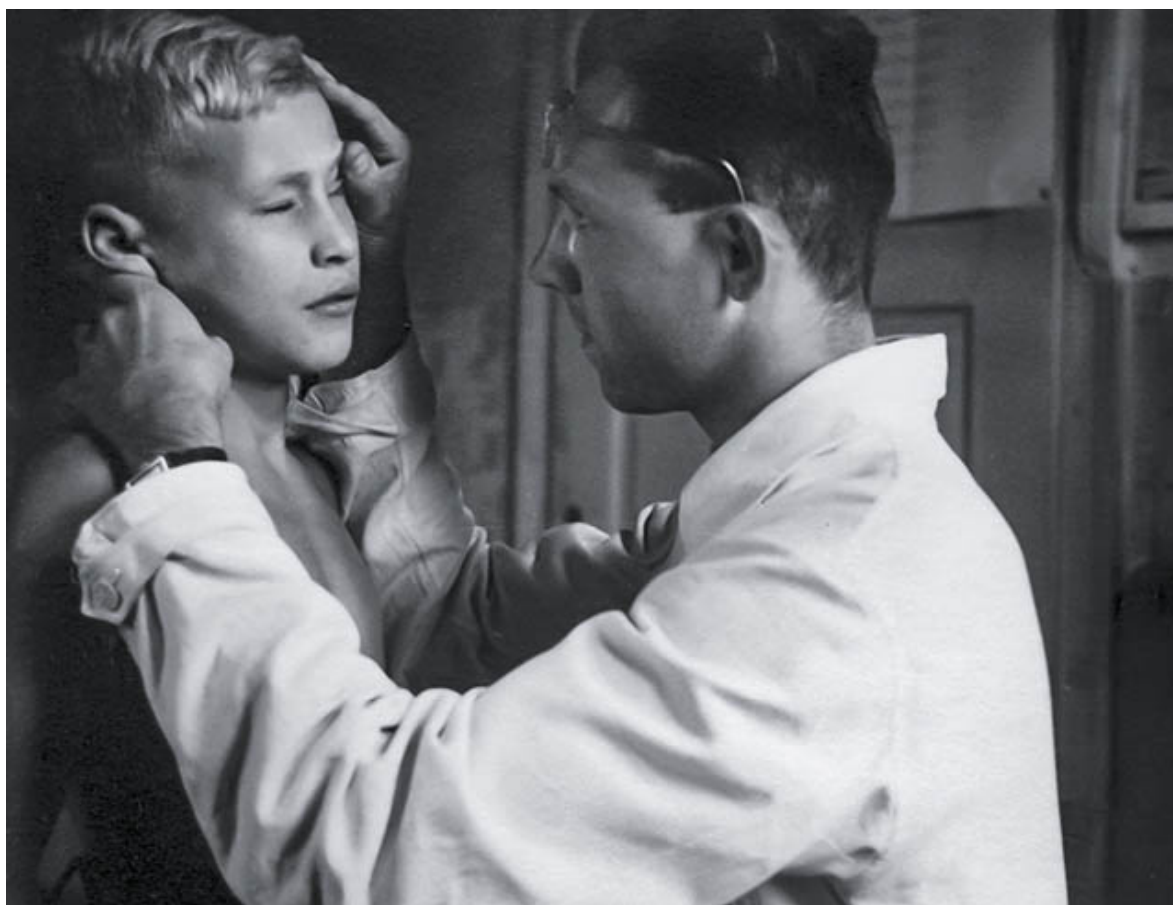
Ciocia Stefa i wujek Aleksander mieli troje małych dzieci, a czwartego oczekiwali. U nas byliśmy ja i mój starszy o cztery lata brat Marian. Kiedy tatę brali na front we wrześniu 1939 roku, mamę zostawił w stanie błogosławionym. Urodziła 10 września. Na pamiątkę po ojcu córeczkę nazwała Kazimiera, bo ojcu Kazimierz było. Kazimierz Pawelec. Mama – Zofia z domu Karpińska – chrzciała ją w popłochu. Kilkudniowe niemowlę niosła do kościoła na poduszce, a ja biegłam za nią. W drodze przez wioskę, ciągnącą się przez półtora kilometra, wstąpiła do dwóch cioć, od każdej wzięła synka i całą tę gromadkę ochrzciła. Aktów chrztu jednak nie sporządzono, ale zatroszczyła się o nie, gdy zaczęła się nagonka na Żydów. Wtedy pojechała do Wojsławic i załatwiła papiery, które – jak sądziła – mogły ocalić życie.



Kazimierz Pawelec, ojciec Anieli Petz.

Fot. Archiwum prywatne Anieli Petz

O tym, że zbliża się wojna, rodzice mieli informacje od sąsiada Józefa Śmiecha, potem partyzanckiego majora, znanego jako „Ciąg”. Samego jej wybuchu nie pamiętam, tylko tyle, że suszyliśmy chleb i ojca nagle zabrakło. Aż do wysiedlenia okupacja była uciążliwa o tyle, że trzeba było oddawać wrogowi kontyngent, a tak dało się wyżyć. Niemcy zabierali dosłownie wszystko, nie zostawiali jednej krowy czy konia, więc ludzie zakopywali, co się dało. Ale bieda i tak nas dopadła, do tego w 1940 roku zaczęły się łapaniki: Polaków wysyłali na roboty, Żydów – do wytępienia. W Skierbieszowie było sporo Żydów, prowadzili sklepy, warsztaty krawieckie czy szewskie, a gdy ich zabrakło, nic już nie można było zdobyć – ani soli, ani nafty. Widziałam raz, jak pędzili dwie zebrzące Żydóweczki. Nie wiem, co się z nimi stało. Wiem tylko, że Żydów tłukli odtąd tak, że nasze ogrody pełne były potem ich kości.



*W 1941 roku Niemcy urządzili mieszkańcom
Zamojszczyzny pierwszy spis ludności – patrzyli na włosy
i oczy. To był wstęp do mającej nastąpić później selekcji:
kto na roboty, a kto do gazu.*

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

Przez chwilę chodziłam do szkoły, do pierwszej klasy. Boso, bo buty zakładało się tylko do kościoła. Ale zaraz po wybuchu wojny szkołę zamknęli, Niemcy się tam zagnieździli, a na koniec ją spalili – i tyle z mojej nauki. Nie wiem nawet, czy zdążyłam się nauczyć czytać i pisać. Niemcy mówili o sobie, że są inteligentnym narodem, ale to były zwykłe zbóje. Działali według procedur, ale i te ich procedury były zbójeckie. Dzieciom zabronili się uczyć, mieliśmy co najwyżej umieć się podpisać i policzyć do stu, a młodych i zdrowych wywieźli do Reichu na roboty, by miał kto zastąpić Niemców wysłanych na front. Mieliśmy być tanią, jeśli nie darmową, siłą roboczą. I to się nazywa kultura?

Ojciec tymczasem wrócił. Nie wiem, gdzie do tego czasu przebywał – możliwe, że w Kowlu. Jeśli to prawda, to cud, że ocalał, bo Ukraińcy wybili tam prawie cztery tysiące Polaków. Pierwszym wydarzeniem po jego powrocie, które pamiętam, jest spis ludności urządzony przez Niemców w 1941 roku. Kazali się stawić całymi rodzinami w jednym gospodarstwie. Prawdopodobnie już wtedy zaczęli selekcję, bo patrzyli w oczy i na włosy, a potem rzeczywiście jasnowłosi poszli na roboty, a ciemnowłosi – do Auschwitz. Ojciec był blondynem, ale mama i my, dzieci, nie – byliśmy szatynami. W dodatku Marian miał taki tik, że się krzywił i mrużył oczy. Ojciec go upominał, mówił:

– Nie mruż oczu.

Niemcy strzelali go w ucho i wołali:

– *Scheiss!*

Po spisie ludności wieś Huszczkę objęły wysiedlenia sondażowe, typowa akcja propagandowa. Mieszkało tam wielu Niemców, których przesiedlono do wsi Teptiuków koło Hrubieszowa. Gdy niektórzy z nich wrócili, rozpowiadali, że w nowym miejscu dostali gospodarstwa i źle im nie było. To miało uśpić naszą czujność, bo wielu młodych już czekało w lasach na sygnał do zaatakowania Niemców, gdy sięgną po nasze. Czujności to do końca nie uśpiło, bo ludzie spodziewali się wysiedlenia, z tym że podobnego do tego, o jakim opowiadali Niemcy powracający z Teptiuków.

Jedni podejrzewali, że wszystkich przeniosą za Bug i tam dadzą gospodarstwa, inni, że dotyczyć to będzie tylko małorolnych – rzeczywiście, tych z folwarkami Niemcy trzymali, bo stamtąd mieli żywność. Ale ich gospodarze nie w ciemną baci, partyzantów też żywili, działali więc na dwa fronty.

Byli i tacy, co wysiedleniom zaprzeczali.

– Z dziada pradziada tu siedzimy – mówili – gnębił nas car, gnębili Austriacy, przetrwamy i Niemca. Zresztą kontyngenty z nas ciągną, nie opląca im się z tego rezygnować.

Byli i tacy, co twierdzili, że skończy się na łapanekach wśród młodzieży. Od miesięcy jednak wszyscy trzymani byliśmy w niepewności. Raz ludzie ostrzyli kosy na Szwabów, raz piekli chleby i szykowali węzełki. Niektórzy pomału wywozili sprzęty domowe albo uciekali do innych powiatów. My nie mieliśmy ani czego wywieźć, ani dokąd się wynieść.

– Gdzie nas rzucą, tam będziemy – mawiał ojciec, a matka suszyła chleb, którego było już coraz mniej.

Na początku listopada 1942 roku któryś z sąsiadów przyniósł wiadomość, że osiemnastego będą wysiedlać. Osiemnasty jednak minął

i nic się nie wydarzyło, więc ludzie odetchnęli. Niemcy specjalnie siali dezinformację, by w końcu zaatakować zniecka.

Była środa, 28 listopada. Jeszcze przed świtem rodzice wstali i ruszyli do obrządku, a ja jak zwykle dogrzewałam się w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą spał tata. Kochałam go nad życie, a on mnie. Ledwo wyszedł i zaraz wrócił. Krzyczał od progu:

– Matka, coś niedobrego się dzieje!

– Co? – pytała znad kuchni zdenerwowana mama.

Było jeszcze ciemno, Marian i Kazia spali, ja byłam ledwo przytomna.

– Ubieraj dzieci, jesteśmy okrążeni. Pod daszkiem szopy stoi Niemiec z bronią.

Rzeczywiście, siąpił listopadowy, mroźny deszcz i Niemiec się przed nim chronił. Wyszędłszy, ojciec spostrzegł też ruch od góry szparowej – wzniesienia na szosie przed Skierbieszowem. Gospodarz Szpara się nazywał, stąd ta nazwa. Ciągnął stamtąd sznur samochodów.



*Wieś Huszczkę objęły wysiedlenia sondazowe. Na zdjęciu:
cywile wyrzuceni z domów i przygotowani do drogi,
miejsce nieznane.*

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

– Pod naszą szopą? – dopytywała mama.

– Pod naszą. I koło sąsiadów też. Coś się kroi.

Ledwo zaświtało, gdy przed naszymi drzwiami stanął Niemiec i zaczął w nie walić długą kolbą karabinu. Za jego plecami widać było furmanki powożone przez chłopów z Udrycz.

– *Raus! Raus!* – wrzeszczał Niemiec.

Mama, niewiele myśląc, chwyciła pierzynę i obraz Matki Bożej Częstochowskiej. Mimo wielomiesięcznych przygotowań ludzie – w obliczu setek wrzaskliwych Niemców wysypujących się z ciężarówek i dających kwadrans na spakowanie dobytku – nie wiedzieli, co brać.

Ten obraz włóczył się potem z nami i przetrwał wojnę, ale z pierzyny mieliśmy większy pożytek. Różne rzeczy ludzie zabierali, niektórzy garść prosa w osmalonym rondelku. Ktoś by pomyślał, że głupcy, a to proso ich później od śmierci głodowej uratowało.

Wdrapaliśmy się na furmankę, a za nami: wuj i wujenka z trójką ich dzieci w wieku trzy, osiem i dziesięć lat oraz sąsiadka z dwiema córkami i trzema synami. Furmanki zatrzymywały się przy kolejnych domach w Sadach, zgarniały ich mieszkańców, aż dojechaliśmy do Skierbieszowa. Tam, na placu przed szkołą, stali już wypędzeni mieszkańcy miasteczka – z tobołami, okutymi niemowlakami i czym kto miał. Teraz dołączyliśmy do nich my. Szturchanie, popychanie, walenie kolbami, krzyki Niemców, matek i dzieci.

Zanim przyjechaliśmy, rozegrała się tam scena, o której mi potem opowiadano. Niemcy wyciągnęli z tłumu chorego psychicznie włóczęgę o długich włosach i brodzie, w butach ze słomy i łąkach przepasanych powrósem. Fotografowali go i przedstawiali potem pewnie jako przykład polskiej „antykultury” i dowód na konieczność zaprowadzania niemieckiej „kultury”. Bo Niemcy mieli się za *Kulturträger* – tych, co niosą kulturę.

Gdy wszyscy znaleźli się już na furmankach, tabor ruszył, jednak na końcu Skierbieszowa zamiast drogą w górę, pojechał polną ścieżką. Dlaczego okrążyliśmy trasę, wyjaśniło się później – otóż główną drogą jechali niemieccy osadnicy z Besarabii, Węgier, Rumunii i Jugosławii, mający zająć nasze jeszcze ciepłe domy. Okupant chciał im oszczędzić żalostnego widoku stłoczonych, ledwo ubranych i wlokących się wygnańców. Na miejsce siedemdziesięciu gospodarstw w Sadach przybyło – uwaga – dziewięć rodzin. W większych gospodarstwach Niemcy zostawili kilku gospodarzy, by było komu żywić przybyszów. Ci z naszej wioski, którzy po wojnie zastali własne domy, zaliczali się do grona szczęśliwców. Większość wróciła pod gołe niebo, bo osadnicy

spalili wszystko, co było do spalenia, by się ogrzać, i rozkradli wszystko, co było do zjedzenia. Myśmy się potem w kilka rodzin po stodołach gnieździli.



W listopadzie 1942 roku ruszyły planowe wysiedlenia ludności, której domy zajęli Niemcy z Besarabii.

Fot. Domena publiczna

Wśród jadących do Skierbieszowa była matka Horsta Köllera – przyszłego prezydenta Niemiec w latach 2006–2010 – wówczas będąca z nim w ciąży. Zapraszaliśmy go potem na różne uroczystości w duchu pojednania. Początkowo bał się naszych reakcji i odmawiał, ale w końcu przyjechał. Odwiedził skierbieszowską szkołę i dom, w którym się urodził 22 lutego 1943 roku. Był to zresztą pierwszy niemiecki prezydent, który swoją inauguracyjną podróż zagraniczną odbył do Warszawy.

My tymczasem jechaliśmy w nieznane. W pobliżu Zarębia ciągnęliśmy się przez las, gdy zobaczyliśmy grupę kilkudziesięciu

Żydów – zarośniętych, wynędzniałych i obojętnych. W milczeniu kopali rów, czy może raczej kuli go w zamrożonej ziemi. Po drugiej stronie stał wycelowany już w nich karabin maszynowy. Na niektórych ludzi z naszych wozów widok kopiących dla siebie grób zadziałał pobudzająco. Wykorzystali nieuwagę pijanych Niemców i dali nogę w las.

Kuzynka mamy przez całą dotychczasową drogę kombinowała, jak jej dwudziestoletnią Anielkę, moją imienniczkę, zrzucić z wozu i uratować przed wywózką. Gdy byliśmy na wysokości wsi, w której jej brat był gubernierem, zepchnęła ją i kazała biec do wujka. Jak tylko zaszeleściło w trawie, Niemiec zaczął strzelać, a ciocia w płacz:

– Matko Boska, własne dziecko zabiłam!

Kiedy potem trafiła do Auschwitz i później, gdy od tego zdarzenia minęło już parę lat, wciąż to sobie wyrzucała. Nie mogła wiedzieć, że Aniela, spadłszy z furmanki, ukryła się w krzakach, a potem ruszyła wzdłuż rzeki, dotarła do wuja i przeżyła. Ten ją nawet wykształcił, osiadła w Warszawie i po latach spotkała się z matką, której także było dane przetrwać obóz.

Prócz szczęśliwców, którym udało się zbiec z konwoju, były i ofiary. Pierwszą z nich był noworodek, który nie wytrzymał całodziennego pobytu na mrozie. Jego matka płakała przeraźliwie, a wszystkich wokół zdjęła trwoga.

Do Zamościa dojechaliśmy pod wieczór. Na ostatniej prostej dwóch młodych ludzi z naszego transportu uciekło do furmanek jadących w przeciwnym kierunku. Ułatwił im to ruch miejski, a także przechodnie, którzy zagadali esesmanów. Dla pozostałych zbliżało się nieuchronne: kolczasta brama, a za nią ponure baraki. Kiedy się za nami zatrzasnęła, nie było odwrotu.

Na noc ulokowano nas w baraku numer pięć – wielkim, pustym, z jedną pryczą – przeznaczonym do kilkugodzinnych pobytów. Było tam tak ciasno, że można było co najwyżej usiąść, ale o położeniu się nie było mowy. Rankiem zaczęła się selekcja. „Komisje” decydujące o przyszłych losach wysiedlonych odbywały się w kilku barakach: dwójce, trójce i czwórce. W dwójce maszynistki rejestrowały: spisywały personalia i przybijały pieczętąki z napisem „wysiedlony” na dokumentach. W trójce lekarz Riel „badał” rasę. W czwórce, po uprzednim rozdzieleniu rodzin, przydzielano baraki. Tam nasza sąsiadka Nowogrodzka trzymała przy piersi niemowlę i nie chciała go oddać. Szarpała się z esesmanem i jego sekretarką, po czym wpadła na rozżarzony piec. Poparzona upadła na podłogę, a dziecko wypadło jej z rąk. Już nie należało do niej, przejęli je Niemcy.

Odrywanie dzieci od matek przypominało rzeź niewiniątek. Oprawcy bili nahajami płaczące dzieci do krwi, to samo robili z błagającymi o litość matkami. Niektórzy rodzice sami odrywali od siebie dzieci – wbrew nim i wbrew sobie. Nie chcieli, by histeria maluchów skończyła się czymś gorszym niż rozdzielenie. Mój kuzyn, Tadzio Nowogrodzki, miał wtedy siedem miesięcy. Jego także oderwano od matki, wysłanej do baraku robotników, i rzucono babce. Ta nie miała nic do jedzenia – ktoś dał jej trochę mąki, od spódnicy oderwała kawałek materiału i przez taki gałganek dała mu ssać. Przeżył obóz, był potem prezesem Zarządu Okręgowego Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych w Zamościu.

Ojca pognali do czternastki, co oznaczało wywiezienie na roboty do Rzeszy. Gdy tylko go od nas odpędzili, rzuciłam się na ziemię i darłam darń. To wtedy skończyło się dla mnie dzieciństwo. Mówi się o płaczu dzieci odrywanych od matki, ja rozpaczałam za ojcem. Całą rodzinę mamy – jej brata i dwie siostry z mężami i córkami – wysłano do baraku numer dziesięć. Wystarczyło na niego spojrzeć, by się domyślić, że to

barak karny, bo od reszty zabudowań oddzielały go podwójne zasieki. Prawdopodobnie trafiłaby do niego, a potem do Auschwitz, także moja mama, ale przeznaczono ją do opieki nad nami, bo w naszym baraku brakowało dorosłych do zajmowania się maluchami.

Po tym, jak jej rodzeństwo znalazło się za drutami, a mąż w innym baraku, mama została sama z trójką małych dzieci: trzylatką, ośmiolatką i dwunastolatkiem. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co czuła. Trafiliśmy do baraku numer szesnaście. Przebywały tam dzieci i starcy – w sumie dwa tysiące osób upchniętych jak szproty w puszcze. Wcześniej była to stajnia – bez podłogi, sal, korytarza i prycz. Za okna służyły zakratowane otwory. Spało się na klepisku gdzieś wyściełanym słomą. Ruszała się jeszcze od wszy, pozostałych po wykończonych tu sowieckich jeńcach. Pewnie mieliśmy skończyć podobnie – co Niemcom po małych i starcach, którzy nie nadawali się do pracy? Jedyne drzwi były zepsute, a z dachu kapała woda. Ściekała także po ścianach, co sprawiało, że brodziliśmy w błocie po kostki. W naszym baraku było najzimniej – był tam kiedyś piec, ale gdy komendant „Ne” – nazywaliśmy tak komendanta obozu Artura Schütza, bo co drugie słowo wtrącał „ne” – przyłapał więźniarkę na pieczeniu na nim placków, wyrzucił je razem z piecykiem. Spaliśmy w tym, w czym chodziliśmy, biegały po nas wszy, cierpieliśmy na biegunkę, a dzieci były oblepione odchodami.

Kilkunastu tysiącom więźniów służył jeden wychodek umieszczony w centrum obozu. Kobiety, mężczyźni, dzieci – wszyscy razem – załatwiali się do kilkunastu otworów w cementowej posadzce, pod którą stał olbrzymi basen z odchodami. Otwory były obślizgłe, obmarznięte, a dla dzieci – ogromne. Dzieci z szesnastki przychodziły do niego same, bo rodzice przebywali w innych barakach. Już trzeciego dnia naszego pobytu w basenie kloacznym utopił się Józio Kozłowski. Kilka dni później komendant „Ne” utopił w nim chłopca, który próbował

przedrzyć się do baraku matki. Po prostu cisnął malucha do dziury jak szczura. Dlatego dorośli odradzali korzystanie z wychodka i dzieci załatwiały się na środku baraku lub pod siebie.

W ósemce mieszkali robotnicy. Rodzin umieszczonych tam nie rozdzielano, a i barak był najbardziej „komfortowy”: miał drewnianą podłogę, sale, korytarz, szyby w oknach, prycze i działające piece. W pakiecie były także pluskwy, ale czymże one były wobec warunków przewyższających te, które panowały w innych barakach? Główne wejście prowadziło od trupiarni. Początkowo przechodzący obok niej więźniowie liczyli i opłakiwali zmarłych, później było ich na to za dużo. Przydział do dwunastki oznaczał wywózkę do Auschwitz, a w szóstce mieszkali „aryjscy”, czyli „wybrańcy” przeznaczeni do zniemczenia. Wiele z tamtejszych dzieci trafiło do obozu przy ulicy Przemysłowej w Łodzi, gdzie zostały poddane wnikliwszym „badaniom” rasowym.

Kontakty między barakami były oczywiście surowo zabronione. Dotyczyło to także dzieci. Te jednak szybko sobie z tym poradziły – w siatce ogrodzenia tuż nad ziemią zrobiły otwór, przez który prześlizgiwały się niczym szczury. Ale „Ne” i jego pomagier „Kanarkowy” zwietrzyli nielegalny proceder. Wyrastali nagle niby spod ziemi – jak wówczas, gdy chłopiec i dziewczynka trzymający się za ręce zbliżali się do dziury. „Ne” doskoczył do rodzeństwa, chwycił dzieci za głowy i tłukł nimi o siebie tak długo, aż przestały dawać oznaki życia. Takie widoki skutecznie zniechęcały do łamania zakazu „odwiedzin”. Mimo to mama raz zaryzykowała i podeszła pod druty, za którymi znajdowały się jej siostry i brat. Wróciła z tej wyprawy cała zakrwawiona, ale nie chciała się przyznać, że to „Ne” tak ją wymłócił. Zrobiła to dopiero po wojnie.

Na samo wspomnienie „Ne” skóra mi cierpie do tej pory. Był folksdojczem z Poznańskiego albo z Łódzkiego, przedwojennym bokserem. Zanim trafił do SS, przegrywał walki, siedział w więzieniu,

a w obozie rekompensował sobie porażki. Tata opowiadał, że raz wziął go za kołnierz i postawił przy bramie. Ojciec zrozumiał, że chodzi o przytrzymanie drzwi, więc przywiązał je do przęsła paskiem do spodni i odszedł. Gdy „Ne” to zobaczył, wpadł w szal. Tata uciekł do baraku, w którym znalazł schronienie pod spódnicą tęgiej kobiety, ale zastanawiał się, co dalej. Jeśli „Ne” go rozpozna, to zakatuje. Ktoś pożyczył mu swój serdak i w tym „przebraniu” latał w grudniu, aż go wywieźli. Mama się ucieszyła, bo wywózka uchroniła go przed karą oprawcy, ale dane nam go było zobaczyć dopiero po wojnie.

Kiedy „Ne” walił gołą ręką, rozbijał nos czy usta. Czasem uderzonemu spuchła twarz, ale przeżył. Co innego, gdy bił uzbrojony w rękawicę – jednym ciosem miażdżył twarz i zwał z nóg najsilniejszego. Kiedyś kobieta z ósemki zapomniała o godzinie policyjnej, która obowiązywała po zapadnięciu zmierzchu, i wyszła do ustępu. Przywlókł ją za włosy – jej twarzy nie dało się rozpoznać, ciało też miała zmalretowane. Ludzie okładali ją lodem, ale do rana skonała. Przez cały kolejny dzień jej dzieci wyły. „Ne” znany był z tego, że wchodził wieczorem do baraku i pytał, kto chce posłuchać kołysanki, po czym bił nahajem każdego, kto się poruszył. Innym razem poszczuł psem siedmioletniego chłopca, który zbliżył się do drutów. Z zewnątrz ktoś przerzucił przez nie paczkę. Pies zagryzł dziecko, a „Ne” dobił je pistoletem. Matka malca musiała sama wykopać dół przy drutach i pochować w nim syna.

Zazwyczaj jednak zmarłych wywożono furmankami na tyły obozu i jak śmieci wrzucano ich ciała do ogromnego dołu. Niektóre jeszcze się ruszały. Z samego naszego baraku zabierano kilkanaście trupów dziennie. Ludzie marli z zimna, chorób, głodu, od obozowego jedzenia. Rano i wieczorem dostawaliśmy gorzką kawę i chleb. Raz dziennie wjeżdżała beczka, w której pływała woda z liśćmi brukwi. Szczęśliwcy trafili czasem na groch, soczewicę lub krupy. Dodatki te pochodziły

z zarekwirowanych więźniom zapasów. Co cenniejsze łądowały w kuchni niemieckiej: mięso, drób, tłuszcze. Nie pamiętam, czym i w czym jedliśmy tę „zupę”. Stało się po nią w długiej kolejce i czekało, aż kucharka nałoży. W dorosłych barakach więźniowie kłócili się o gęste ze spodu, u nas nikt nie miał na to siły. Zawartość kotłów starczała na kilka tysięcy osób, a w obozie przebywało kilka razy więcej. Głód był niemożliwy. Niektórzy dostawali paczki od rodzin, ale nie my. Zdarzało się, że ktoś z zewnątrz rzucił chleb – swoim lub jak popadło. Ale potem się już bali, bo groziła za to kulka w łeb. Niemcom szkoda było na nas amunicji, dlatego czekali, aż wymrzemy z głodu, a tych, którzy chcieli nam pomóc, tępili.

Całymi dniami nie robiło się nic. Z dziewczynkami próbowaliśmy bawić się sznureczkiem, który jedna z nich znalazła, ale bałyśmy się, że jeśli „Ne” nas na tym przyłapie, to nas zabije. Na brak zajęć jednak nie narzekaliśmy – robotę zapewniało drapanie, bo wszyscy byliśmy pokąsani przez wszy. Z czasem świerzb stał się normą, potem pojawiały się czyraki.

Niekiedy w obozie następowało poruszenie – miały przybyć kolejne transporty. Wcześniej Niemcy uprzedzali nas, że kto wtedy wyjdzie z baraku, to śmierć na miejscu. I obietnicy dotrzymywali. W trakcie miesiąca, gdy byłam w Zamościu, dołączyli do nas mieszkańcy hrubieszowskiego, tomaszowskiego i biłgorajskiego, codziennie po kilka wiosek. Ale kolejne grupy były coraz mniej liczne – powiat chełmski od wysiedleń uchroniły działania ruchu oporu. Polskie podziemie przeprowadziło blisko trzysta akcji zbrojnych, w których czynnie pomagali mieszkańcy wsi: palili gospodarstwa niemieckich osadników, doprowadzali do paraliżu komunikacyjnego na drogach. Sporo osób poniosło za to odpowiedzialność zbiorową, ale działania te osłabiły niemieckie zakusy na polskie ziemie.

Przez obóz przeszło w sumie kilkadziesiąt tysięcy osób. Składający się z kilkunastu baraków, był największym obozem przejściowym z tych, które Niemcy utworzyli dla wysiedlonych z Zamojszczyzny. Ale jaki on przejściowy? Od obozu koncentracyjnego różnił go tylko brak komór gazowych. Ludzie padali w nim jak muchy, a dzieci oddzielone od rodziców stawały się sierotami. Nazwano je potem Dziećmi Zamojszczyzny. Ich blade twarze wyrażały obojętność, a spojrzenia – nieufność. Oczy były zapadnięte, skóra owrzodzona i w bliznach po nieleczonej ospie czy szkarlatynie. Wiele z nich cierpiało na zanik mięśni, nie miały siły dźwignąć ręki czy nogi.

Warunki panujące w Zamościu, choć urągały godności człowieka, i tak były lepsze niż w obozie w pobliskim Zwierzyńcu. Tam nie było nawet stałego dostępu do wody, przywożono ją z zewnątrz. W barakach przeznaczonych na czterysta osób tłoczyło się od dwóch do czterech tysięcy więźniów, a czasem nawet siedem tysięcy. Tamtejsze warunki bytowania były szczególnie dotkliwe dla dzieci poniżej szóstego roku życia, zwłaszcza z powodu panującej wśród nich epidemii odry. Jednak ponad dwieście z nich udało się uratować dzięki akcji Róży i Jana Zamoyskich. Maluchy, które wydostali z obozu, umieścili w utworzonej przez siebie ochronce. Tam rysowały obóz z przeciętymi drutami i dzieci strzelające do Niemców z ogromnych karabinów, wyśpiewywały ułożone przez siebie piosenki: „W dzień Bożego Narodzenia radość wszelkiego stworzenia, rodzice z obozu wracają, Niemców za męczarnie rozstrzelają”.



Obóz przejściowy dla przesiedleńców. Widoczne wozy z dobytkiem.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Pod koniec grudnia 1942 roku tych, którzy nie zostali wywiezieni na roboty do Rzeszy ani do Auschwitz czy Majdanka – głównie dzieci i starców plus grupkę matek – Niemcy stłoczyli na placu, załadowali do ciężarówek i powieźli na bocznice towarową. Upakowani w wagonach zastanawialiśmy się, co z nami będzie. Wybuchła panika, bo ktoś rzucił, że urządzią nam kolejny Bełżec, gdzie niedawno pomordowano Żydów. Nam, dzieciom, nazwa ta kojarzyła się z Bełkiem – rzeką, w której rodzice zakazywali nam się kąpać, bo była niebezpieczna. Wyobrażałyśmy sobie więc, że wiozą nas gdzieś, gdzie nas potopią. Byłyśmy przerażone.

Wieźli nas dwa czy trzy dni – stłoczeni i zmarznięci, nie wiedzieliśmy, czy to noc, czy dzień. Koleżanki zapamiętały, że

dostaliśmy na tę podróż po kawałku chleba z marmoladą, ale ja pamiętam tylko głód. I strach. Co chwila nasze wagony odstawiane były na boczny tor, by przepuścić pociągi wojskowe. Wyszadzili nas na stacji w Sobolewie między Dęblinem a Garwolinem i... zostawili.

Z obozu w Zamościu można było bowiem trafić do wsi rentowej w dystrykcie warszawskim. I rzeczywiście – ci, którzy przetrwali warunki obozowe, nie zmarli na rampie czy w bydłym wagonie, dostąpili takiego „zaszczytu”. Takie *Rentendörfer* znajdowały się koło Siedlec i Garwolina. Wysiedleńcy sami musieli się tam o siebie zatroszczyć. Zakwaterowanie, opiekę medyczną i wychowawczą dla dzieci bez dorosłych zapewnić miały terenowe agendy polskiej Rady Głównej Opiekuńczej oraz lokalna społeczność, ale to dopiero później, o czym za chwilę. Tymczasem sobolewscy mężczyźni pomogli nam się wygruzić, a ich kobiety rozdawały nam kawę, chleb i ciasto – żaden chleb i żadne ciasto mi tak później nie smakowały jak te. Potem pomogli nam się zapakować na furmanki, które wkrótce powiozły nas do Żelechowa, odległego o dwadzieścia kilometrów.

Tam zakwaterowano nas tymczasowo w szkole, a potem wysiedleńcy zajmowali opuszczone pożydowskie domy – ciasne, wilgotne klitki. Mama z naszą trójką zamieszkała razem z panią Nowogrodzką i piątką jej dzieci – tą, co w obronie najmłodszego wpadła w obozie na rozgrzany piec – oraz staruszką opiekującą się wnukami Bolkiem i Julkiem, których imiona wciąż myliła. Chałupka pękała w szwach, a my nie mieliśmy nic. Żyliśmy z tego, co uzebraliśmy – czasem jedliśmy kartofel, a czasem budziliśmy się i zasypialiśmy głodni. Do dziś nie przejdę obojętnie wobec kogoś, kto prosi o pieniądze. Syn się denerwuje, że czasem daję na piwo darmozjadom, ale ja wiem, czym są żebry. Życzliwe zachowanie mieszkańców Sobolewa odbiegało od postawy żelechowian, którzy początkowo patrzyli na nas z ukosa i komentowali: „A czegoście kontyngentu nie dawali?”. Był to efekt niemieckiej

propagandy przedstawiającej nas jako dzieci bandytów, a takim ludzie bali się pomagać tak samo jak Żydom. Niemcy perfidnie więc rozesłali nas do wiosek rentowych, w których pomocy udzielić nam mieli ich mieszkańcy, jednak wcześniej źle ich do nas nastawili. Mieliśmy wymrzeć „śmiercią naturalną”.

Mama też chodziła żebrac. Raz wypuściła się na obrzeża wsi, gdzie ludzie zakopywali tytoń czy zboże. Całą noc jej nie było, a my modliliśmy się, by wróciła bezpiecznie. Marzyło nam się, że przyniesie coś, z czego ugotujemy zupę z okami. W innych domach zdarzała się zupa z okami, ale u nas co najwyżej woda gotowana na kartoflu. Naraz wchodzi mama i niesie zdechłego prosiaka. Będzie zupa z okami!

– Nie boisz się, że dzieci potrujesz? Toć to padlina – dziwiła się sąsiadka.

– A co innego mam im dać?! – odpowiedziała mama.

Zjedliśmy. Przeżyliśmy. A potem znów głodowaliśmy. Raz jak mama posłała brata do ochronki, w której rozdawano po pół litra kleiku dla małych dzieci, to go nie doniósł. Nie mógł się powstrzymać i zjadł po drodze. Ależ dostał wtedy lanie! A co on winien? Ja do dziś moje wnuki, a nawet sześćdziesięcioletniego syna wciąż dopytuję, czy nie są głodni. Bo głodować nie wolno. Czasem pytają mnie o Boże Narodzenie w Żelechowie. Owszem, do kościoła się chodziło, ale żeby świętować, to nikomu do głowy nie przyszło. Nie wiem, czy ktokolwiek wtedy zdawał sobie sprawę z tego, że są święta. My wtedy sami bytowaliśmy na słomie, jak ten nowonarodzony Jezus.

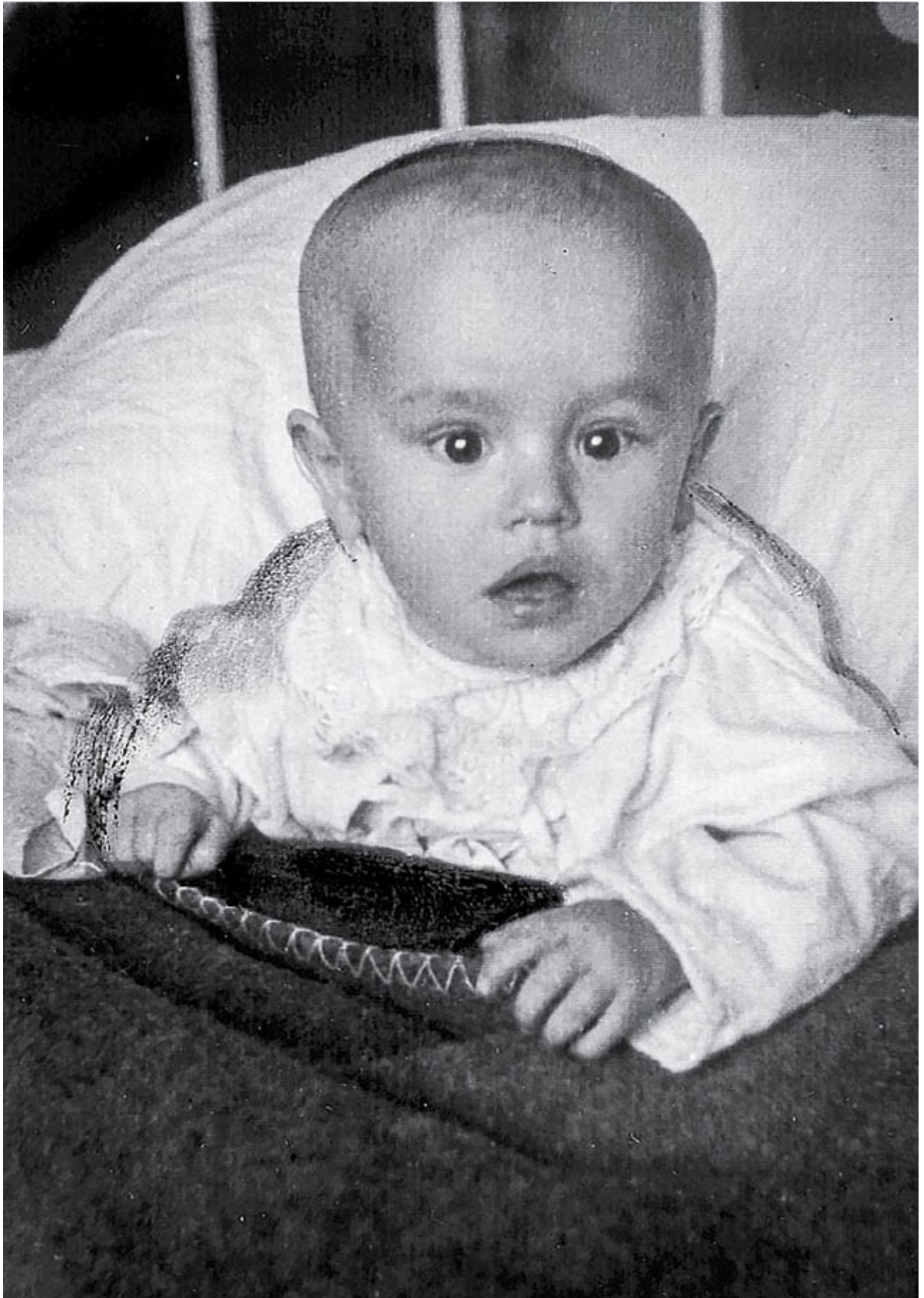
Z czasem mieszkańcy miasta zaczęli się do nas przekonywać i nam pomagać. Duża w tym zasługa księdza i kolejarzy, którzy najlepiej znali nasze położenie – wiedzieli, ilu dzieciom z transportu potrzebne są zakwaterowanie w rodzinach zastępczych lub ochronkach i opieka medyczna. Jeden z nich – młodziutki Henryk Wichetek – mieszkał

w Siedlcach. Gdy na jego stację przyjechał pociąg z Grabowca i Uchań, z północno-wschodniej części Zamojszczyzny, otworzył jeden z wagonów. Wówczas wysypały się z niego dzieci, twarde jak kamienie. Wszystkie zamrożone. Pakował je na furmanki i wywoził na cmentarz, gdzie wykopał dla nich jamę. Po wojnie wydebił od miasta teren, od darczyńcy z Austrii dostał darowiznę i stworzył dom samotnej matki – by dzieci urodzone w trudnych warunkach życiowych miały gdzie mieszkać i jak się rozwijać. Były tam i kino, i ośrodek zdrowia. Inna sprawa, że potem zaczęła się tam patologia, ale założeniem Wichetka było uczcić pamięć tamtych pomordowanych Dzieci Zamojszczyzny przez pomoc tym, które po nich przyszły na świat.

Wiść o wagonie zamrożonych dzieci szybko się rozeszła. Pracownica Warszawskiej Spółdzielni Spożywców „Społem” Maria Fandri zorganizowała z kolegami pomoc. Spakowali do auta czterdzieści koców i pojechali do Stoczka, gdzie także przybywały transporty z Zamojszczyzny. Zastali tam blisko dziewięćset osób: starcy i garstka matek płakali bez ustanku, a otepiałe kilkulatki nie umiały nawet powiedzieć, jak się nazywają. Niemcy pozwolili miejscowym zająć się nimi, ale zakazali udzielać informacji, skąd pochodzą. Na miejscu nie było pomocy medycznej, której większość z nich potrzebowała, dlatego blisko trzydziestkę dzieci znajdujących się w stanie krytycznym chciano zabrać do szpitala w Warszawie. I wtedy nieufność dorosłych przerodziła się we wrogość. Za żadne skarby nie chcieli oddać dzieci, choć „społemowcy” przekonywali ich, że są Polakami i działają w dobrej wierze.

Długo trwało, nim ostatecznie pozwolono im zabrać maluchy. Okutali je w koce, a wóz z nimi przykryli plandeką. W drodze do szpitala przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie mijali niemieckie „szczekaczki” ostrzegające przed karą śmierci za szerzenie „nieprawdziwych” informacji o dzieciach transportowanych bez opieki

w zamkniętych wagonach kolejowych. Wóz zaparkowano od podwórza, a mimo to obległ go tłum gapiów, złorzeczących niemieckim kulturträgerom i obsypujących dzieci jedzeniem, słodyczami i pieniędzmi. Trzyletniego chłopczyka ktoś ukradł na wychowanie. Warszawiacy oferujący pomoc w opiece nad dziećmi zostawiali pieniądze i adresy. Gdy nazajutrz Maria Fandri pojechała do Stoczka po kolejną grupę dzieci, do szpitala przyszło Gestapo, które dowiedziało się już o przywiezionych tu dzieciach. Kupili informację o panującym wśród maluchów tyfusie, w popłochu opuścili budynek i na jakiś czas zostawili szpital w spokoju.



*Jedno z Dzieci Zamojszczyzny.
Fot. Instytut Pamięci Narodowej*

Jednak kolejnego dnia na oddziale pojawił się niemiecki lekarz z ratusza i dociekał, skąd wzięła się blisko trzydziestka dzieci. Przestał pytać, gdy zobaczył, w jakim są stanie fizycznym i psychicznym, oraz usłyszał ich oskarżenia wobec Niemców. Musiał nie tylko przeżyć wstrząs, lecz także poczuć wstyd, bo zgodził się na wyjazd dwóch lekarzy ze szpitala do Stoczka po kolejne dzieci. Tamci zahaczyli także o Żelechów, skąd zabrali między innymi moją koleżankę. Lekarze prócz dzieci przywieźli niemieckiemu doktorowi z ramienia ratusza raport z wizji lokalnej, z którym ten udał się do wyższych władz – dopiero po wojnie okazało się, jak wyższych. Napisał do samego Hitlera i sprzeciwił się zbrodniczemu traktowaniu starców i dzieci. Po powrocie nie poruszał już tej sprawy, a wkrótce został przeniesiony z Warszawy do miasteczka powiatowego w Niemczech. Lekarze z Marszałkowskiej trafili do Auschwitz.

Wokół wysiedleńców robiło się głośno i Rada Główna Opiekuńcza zwróciła się do Niemców z prośbą o umożliwienie pomagania tym, którzy znaleźli się pod Warszawą. Wobec zgody okupanta RGO zwołała konferencję, na której stawili się nie tylko przedstawiciele „Społem”, inicjatorzy akcji ratunkowej, lecz także pracownicy Wedla, PKO oraz paru innych dużych instytucji. Każda z nich dostała pod opiekę przydział wysiedlonych, z których osiemdziesiąt procent stanowiły dzieci.

Maria Fandri jeździła po wsiach rentowych, w których ulokowani byli wysiedleńcy. Organizowała izby chorych, świeżą bieliznę i słomę na posłania, lizol oraz piecyki do dezynfekcji pomieszczeń i odzieży. U nas, w Żelechowie, uruchomiła kolumnę sanitarną oraz kuchnię. Pieniądze na ten cel pochodziły od pracowników wspomnianych instytucji, którzy dobrowolnie opodatkowali się na rzecz wysiedleńców. Maria Fandri podsyciała w nich chęć dokonywania kolejnych wpłat, a gdy ich zapał słabł, w dni wypłat jeździła po spółdzielniach i przypominała prezesom o ich deklaracjach finansowych. Wysiedleńcami zajmowała się do czasu,

gdy mogli wrócić na Zamojszczyznę. Ona z kolei poszła wtedy walczyć w powstaniu warszawskim.

Dzieci pozostawione same sobie, wysłane do wsi rentowych same czy z rodzeństwem, mogły więc liczyć na pomoc ludzi dobrej woli. A było ich naprawdę wielu – gdy w lutym 1943 roku Dzieci Zamojszczyzny zaczęły trafiać na Pomorze, stały się „towarem”. Niemcy sprzedawali je Polakom, pragnącym ratować je od zagłady i zniemczenia, za czterdzieści marek. Wiele jednak zmarło albo w drodze do obozu, albo w nim, albo po opuszczeniu go, na skutek nabytych tam chorób i wycieńczenia. My, którzy trafiliśmy do wsi rentowych, mimo tragicznych, a właściwie żadnych warunków bytowych, możemy mówić o szczęściu. W tym samym grudniu, gdy nas do nich wywożono, Hermann Krumej, szef Centrali Przesiedleńczej w Łodzi, napisał w swoim raporcie:

[...] ażeby osiągnąć wydzielenie niepożądaną krwi i osób społecznych, należałoby rozważyć, czy nie dostarczać do obozu pracy w Auschwitz wraz z rodzicami także dzieci. W dającym się przewidzieć czasie dostarczone do wsi rentowych dzieci grupy rasowej III uaktywnią się biologicznie i zaistnieją w niemiły sposób ponownie.

Wiedzieliśmy, że we wsi rentowej wiecznie żyć nie możemy, przeczuwaliśmy przy tym to, o czym pisał Krumej, więc nie mogliśmy czuć się bezpiecznie. Tymczasem ojciec pisał z Niemiec po całej naszej rodzinie, by nas odnaleźć. Gdy dowiedział się, gdzie jesteśmy i że jego brat mieszkający w Dębowcu koło Zamościa może nas przyjąć, polecił nam tam jechać. Żelechów opuściliśmy jesienią 1943 roku, po roku walki o przeżycie. Stryj umieścił nas w nędznej chałupinie.

– Jest tam trochę kartofli, to przeżyjecie – powiedział.

Szybko jednak zorientowaliśmy się, że nie ma tam ani kartofli, ani niczego, co mogłoby nas tu zatrzymać. Ruszyliśmy więc dalej. Nie wiem, jakim cudem mama trafiła na ślad swojej krewnej w powiecie chełmskim – jedynej zresztą, która przeżyła. Nie wiem też, skąd wzięła sianie, na których wiozła nas do niej kilkadziesiąt kilometrów. Na widok warunków, jakie tam zastaliśmy, w gardle stanęła nam gęła: jeden pokój, w którym gnieździł się dorośli z czwórka dzieci. I do tego nasza czwórka. Ciocia nas przygarnęła, a na koniec dołączyła do nas jeszcze babcia. Wszyscyśmy chodzili po żebranych. Ktoś dał mąkę, inny chleb, ale na dłuższą metę nie było z czego żyć, więc tata dalej szukał dla nas lokum.

Wreszcie w Zawodzie koło naszych Sadów znalazł kuzyna mamy. Był jednym z kilku majątnych gospodarzy, których Niemcy zostawili na miejscu, by ich żywili. Był więc u siebie, ale pracował dla Niemca. Obrabiał zresztą ziemię nie tylko swoje, lecz także w całej wsi. Jak osadnicy przyszli tu w 1942 roku, zastali zapasy, ale by mieć kolejne, latem trzeba było obsiać pola, a oni nie umieli. Polacy garnęli się do tej roboty, bo dzięki niej można było przeżyć.

Wuj umieścił nas u siebie jako robotników, choć mieszkali już u niego chora matka i paru uciekinierów. Do końca wojny pracowaliśmy przy żniwach, wykopkach i obrządki – karmiliśmy świnie, krowy. Brat, który był za parobka, dodatkowo woził gnój i zajmował się królikami. Nawet jak dostał czyraków i ledwo się ruszał, to do nich chodził. Inaczej Niemiec uznałby go za zbędnego.

Z niemieckimi osadnikami, oględnie mówiąc, przyjaźni nie było. Niemiec to Niemiec, czyli wróg. Oni z kolei traktowali nas jak śmieci. Tolerowali nas, bo byliśmy im potrzebni. Gdy w 1944 roku zbliżał się front, całe ich rodziny wyjechały, a po jakimś czasie wrócili mężczyźni – do tych samych domów, w których zatrudniali tych samych Polaków.

Bali się pewnie, że front może zagrażać ich rodzinom, dlatego je wywieźli. Gdy rzeczywiście nadszedł, znikli i oni.

Polacy tymczasem – ci, którzy przeżyli – zaczęli wracać na swoje. Do niektórych ocalałych domów nie wracały czasem całe rodziny – albo zginęły w Auschwitz, albo przeniosły się gdzieś na stałe. Inni wracali, ale nie mieli już do czego, tak jak my, którzy wróciliśmy pod gołe niebo. Kościół zburzony, szkoła spalona – ta druga na szczęście wkrótce zaczęła odradzać się po chałupach. Nasz dom Niemcy też zburzyli. Chodziły co prawda słuchy, że został przeniesiony do Huszczki, ale skoro i tak należał do wuja i cioci, nie było co dociekać. Ciocia Stefa także wróciła ze wsi rentowej w Sobieniach-Jeziorach pod gołe niebo. Wujek, jej mąż, zginął w Auschwitz. Została sama z czwórką dzieci.

W obejściu zostały tylko spichlerz, stodoła i stajnia, jeszcze po dziadku, a po drugiej stronie obórka, którą tata przed wojną sam postawił. Żaden z tych obiektów nie nadawał się do zasiedlenia. Ciocia zamieszkała kątem w gospodarstwie, które Niemcy zostawili jako swoje zaplecze. Nas przygarnęła żona kuzyna mamy. Po „wyzwoleniu” długo jeszcze wylizywaliśmy się z czyraków, szkarlatyny i świerzbu. Nie było zresztą jak ich leczyć, dlatego na ciałach wielu osób zostały ślady, których do końca życia się wstydzili.

Wszyscy wyczekiwali powrotu bliskich. Jak tylko po wsi rozchodziła się wieść, że ktoś wraca z Niemiec, mama wybiegała na drogę wypatrywać ojca. W końcu wrócił. Opowiadał, że jako jedyny spośród sześciu kuzynów i ich żon, którzy poszli do fabryk, on poszedł do bauera – ten nie rozpieszczał go, ale i nie bił. Tata oporządził mu osiemnaście krów. Dostawał kartofle, mleka trochę wypił – było głodno, ale dało się przeżyć. Kuzyni w fabryce nie mieli jedzenia, za to mogli kupować guziki. Dawali je ojcu, a on przysyłał je mamie, która szyła nam ubrania.

Gdy wrócił w rodzinne strony, nie chciał mieszkać kątem u kogoś, więc któregoś dnia oświadczył:



Pole

26841

KLAUSCHWITZ

*Magdalena Czechyra, siostra mamy Anieli, z obozu
w Zamościu trafiła do KL Auschwitz, gdzie zmarła
w bloku głodowym.*

Fot. Archiwum prywatne Anieli Petz

– Tam wstawię drzwi i okna i zamieszkamy na swoim. – Wskazał na maleńki budynek.

– Tato, przecież to obórka... – próbowaliśmy oponować.

Tata się uparł. Ale czy miał wyjście? Z obórki wywiózł gnój po świniach, a wprowadził rodzinę. Mieszkaliśmy tam do 1956 roku, gdy wyszłam za mąż. Nieraz pytałam brata, czy czuje to samo co ja, a on odpowiadał:



Pole

26840

KLAUSCHWITZ

*Milia Kostrubała, kuzynka Anieli i siostrzenica jej mamy,
Emilii, także z obozu w Zamościu trafiła do KL Auschwitz,
ale jej udało się go przeżyć.*

Fot. Archiwum prywatne Anieli Petz

– Niejedną noc przepłakałem, jak chłopaki szły na zabawę, a ja siedziałem pod stertą słomy.

Miał skończone cztery lata szkoły, ale mądry był z niego chłopak. Chciał się dalej uczyć, ale nie stać nas było na kształcenie go. A tak pięknie pisał!

Po wojnie mama nie wiedziała, czy posłać mnie do pierwszej, czy do drugiej klasy. Poszłam do drugiej, a trzecią i czwartą zrobiłam w rok. Czasem między uczniami jednej klasy były nawet cztery lata różnicy. W szóstej klasie byłam już dużą dziewczyną, a między tymi, co z miasta, i tymi, co ze wsi, zaczęły zaznaczać się różnice. Podobnie jak między wysiedlonymi i tymi, którym dane było tego losu uniknąć. Mama uprosiła, by po szóstej klasie przyjęli mnie od razu do pierwszej licealnej. Znow więc przeskoczyłam o „oczko”, a po małej maturze za namową koleżanki w ogóle rzuciłam szkołę i zatrudniłam się u jej szwagra. Doskwierała mi bieda – miałam jeden fartuszek z odpinanym kołnierzykiem, który codziennie prałam, i jedne tenisówki, które czyściłam proszkiem do zębów; chciałam być niezależna i zacząć zarabiać. Zarabiałam więc, a część pensji przeznaczałam na opłacenie stancji.

W niedalekiej szkole wojsk lotniczych uczyli się chłopcy, wśród których dziewczęta z naszej wsi miały sympatie. Miałam i ja. Pisaliśmy do siebie listy, ale wstyd go było zaprosić do tej naszej obórki. Mimo to byliśmy już po słowie – zakochani byliśmy niemożliwie. Jednak kiedy szedł na przysięgę, zerwałam zaręczyny. Nic nie miałam i uważałam, że

jestem nic niewarta. Szukał mnie potem, nawet namierzył mnie w zakładzie pracy, ale ja już byłam mężatką.

Wyszłam za mąż za naczelnika poczty, dobrego człowieka, ale z rozsądku. Skończyła się wówczas moja praca, bo nie było jak do niej dojeżdżać, a przecież mężatce nie wypadało mieszkać na stacji. Rok później urodziła się córka. Od czasu do czasu mąż zatrudniał mnie na poczcie na zastępstwo, wreszcie, by podjąć stałą pracę, skończyłam zaoczne technikum łączności i pracowałam tam do emerytury. Urodziłam syna, potem pojawiły się wnuki. Życie toczyło się dalej, ale gdy miałam załatwić coś dla siebie, łzy mnie zalewały. My, Dzieci Zamojszczyzny, tak mamy – wystarczy wspomnienie, a płacemy. Całe dzieciństwo, młodość i dorosłe życie tkwiłam w kompleksach.

Wszyscy byliśmy zakompleksieni – nie tylko z powodu materialnego ubóstwa. Iluż to naszych nie widziało nigdy ojca, matki. Moja koleżanka wie o sobie tylko tyle, że pochodzi z Zamojszczyzny. Została wychowana w rodzinie zastępczej. Najmłodsza córka cioci Stefy, z którą dzieliliśmy przed wojną dom w Sadach, do dziś ma żal, że ojca nie zna nawet ze zdjęcia. A kto by w 1942 roku myślał o pakowaniu zdjęć, jak tam *raus!* krzyczeli. Ani zdjęć, ani dokumentów. Potem od nowa życie zaczynaliśmy.

Mąż wiedział o moim wysiedleńczym losie, sam miał nie lepsze wspomnienia. Jego ojca Ukraińcy w powiecie hrubieszowskim żywcem spalili w stodole, a matkę – także żywą – wrzucili do studni. Do dziś ta studnia stoi, bo ma pamiętać. Moja wnuczka od lat pali tam znicze. Mąż więc mnie rozumiał i to on namawiał, bym wstąpiła do Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych w Zamościu. Rzeczywiście, dopiero tam, gdy rzuciłam się w wir pracy społecznej, zaczęłam wychodzić z kompleksu nicości. Przestałam być „dzieckiem nic”. Przejrzałam na oczy i zobaczyłam, że to Niemcy powinni się wstydzić, nie ja.

Niemieckiemu „nadczłowiekowi” ciasno było w jego dotychczasowych kątach, więc rozpychał się na boki. Wymyślił sobie, że zbuduje w Europie Wschodniej nowy ład etniczny, a wdrażać go zaczął przez wysiedlenia – najpierw w 1939 roku na Pomorzu, a potem w Generalnym Gubernatorstwie. Największe rozmiary wysiedlenia przyjęły jednak w dystrykcie lubelskim i przedwojennych powiatach: hrubieszowskim, biłgorajskim, tomaszowskim i zamojskim. To stamtąd miała rozwijać się kolonizacja obszarów, które Niemcy zdobyli w wojnie z ZSRR. Tam też eksperymentowali z wyniszczaniem lub deportacją. Wszak spośród wszystkich podbitych ziem słowiańskich zniknąć miało trzydzieści milionów ich dotychczasowych mieszkańców.

Na początek postanowili, że miejsce stu czterdziestu tysięcy Polaków zamieszkujących siedemset wsi zajmie sześćdziesiąt tysięcy Niemców. Zwożenie osadników uzasadniali obecnością kolonistów sprowadzonych tu w XVIII i XIX wieku, czyli w czasie, gdy Niemcy okupowali tereny państwa polskiego jako zaborcy. Z tym że w 1942 roku mało który z tych kolonistów umiał jeszcze mówić po niemiecku.

Niemców to jednak nie zrażało – przygotowali plan ich regermanizacji i mieli spośród nich wytypować ochotników, którzy sprowadzanym tu etnicznym Niemcom pomogą się zaadaptować. Zaczęli od poszukiwania niemieckiej krwi wśród potomków wspomnianych pruskich osadników. Z zadaniem przeprowadzenia spisu demograficznego wyruszyli etnografowie i historycy. Wspominałam już o spisie ludności, w którym braliśmy udział w listopadzie 1941 roku – w naszych twarzach szukano wówczas cech nordyckich. Wtedy też ruszył pierwszy, próbny etap wysiedleń, o którym także napomknęłam.



*Mapa przedstawiająca niemieckie plany wysiedleń
z Zamojszczyzny w ramach Generalplan Ost.*

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

Jak od Zamojszczyzny zaczął się Generalplan Ost, czyli plan germanizacji Europy, tak na niej się skończył. To, że akcja wysiedleńcza nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, odwrót na froncie wschodnim i działania partyzanckie sprawiły, że zaniechano realizacji planu. Jednak był taki czas, że wokół Zamościa nie istniała ani jedna polska wieś. Każda była już niemiecka, o czym informowały łopoczące na domach flagi ze swastyką. Podobny los czekał sam Zamość.

Jeszcze przed wojną konserwator Jan Zachwatowicz napisał monografię Zamościa jako miasta twierdzy. Od 1938 roku z ramienia miasta przygotowywał też plan urbanistyczny miejscowości na sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców – wówczas zamieszkiwało ją dwadzieścia sześć tysięcy osób. Plan zakładał również wytyczenie

nowego centrum, które odciążąłoby starówkę. Makieta Zamościa, której Zachwatowicz był współautorem, prezentowana była na światowej wystawie w Paryżu 1937 w roku. Wiosną 1942 roku bez słowa wyjaśnienia wywiozło ją z zamojskiego ratusza ośmiu rosyjskich esesmanów, a kilka miesięcy później do owego ratusza Niemcy wezwali z Warszawy samego Zachwatowicza.

Już wcześniej przygnębiająco wpłynęła na niego wieść o zamordowaniu burmistrza miasta, a widok miejscowości opustoszałej po wysiedleniach dodatkowo go dobił. Na koniec zakomunikowano mu, że jego plany zagospodarowania Zamościa są nieaktualne, a jego praca jest skończona. Zamość miał liczyć dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców – wyłącznie członków SS i ich rodzin – i nazywać się miał Himmlerstadt. Miał być odbudowany – tak, tak – jako miasto twierdza. W związku z tym Niemcy wyciągali od Zachwatowicza informacje na temat niektórych bastionów.

W salach ratusza, mijanych przez polskiego konserwatora, esesmani opracowywali plany miasta. W jednej z nich dostrzegł swoją makietę. Po wojnie okazało się, że wszystkie te materiały Niemcy zniszczyli, a z samych planów nic nie wyszło – Zamość był zrujnowany. Niemcom akcja wysiedleńcza na niewiele się zdała, a nas pokaleczyła na resztę życia.



Tak Zamość – z ratuszem w pełnej krasie – wyglądał jeszcze w 1941 roku. Na rynku stoją niemieckie samochody sanitarne.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



W 1944 roku Zamość wyglądał już tak – na zdjęciu widoczne są ruiny tamtejszego dworca kolejowego.

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze uznał działalność wysiedleńczą za zbrodniczą. Cóż z tego, skoro praktycznie żaden z Niemców odpowiedzialnych za nią i za pacyfikację tych terenów nie został ukarany? Nie mówiąc już o załodze obozów w Zamościu i Zwierzyńcu. Kary z kolei nie uniknęli ci Polacy, którzy ratowali małych polskich wysiedleńców: Jan Zamoyski – ten, który z żoną Różą umieszczał zamojskie dzieci w ochronce w Zwierzyńcu – i doktor Zygmunt Klukowski, lekarz ze Szczebrzeszyna. Po wojnie zaangażowali się w działania na rzecz osądzenia winnych wysiedleń. I co wskórali? Władze komunistyczne uznały ich za wrogów, „członków reakcyjnego podziemia”. Zostali skazani na więzienie i pozbawieni praw publicznych.

Dziś Niemcy użalają się nad sobą, jak to padli ofiarą „nazistów”, a Polaków w buty oprawców ubierają: że Żydów bili i domy im odbierali. Owszem, widziałam Żydów kopiących sobie grób. Ci, którzy szykowali się, by ich zastrzelić, mieli niemieckie mundury i mówili po niemiecku. Owszem, w Żelechowie mieszkałam w żydowskim domku, ale nie ja jego mieszkańców wypędziłam. Swojego domu także nie opuściłam dobrowolnie.

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

Główna Komisja
Badania Zbrodni Hitlerowskich
w Polsce

L. dz. Zh. IV/463/31/79

Warszawa, dnia 6. II. 1979 r.

Al. Ujazdowskie 11

Z A Ś W I A D C Z E N I E

Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce
zaświadcza na podstawie akt przechowywanych w tut. archiwum
/sygn. 187z/II s. 307, poz. 225/, że ob. Aniela Pawełco,
c. Kazimierza i Zofii, ur. w 1934 r. i zam. wówczas we wsi
Sady, gm. Skierbieszów, dnia 27.11.1942 r. została wraz z rodziną
wysiedlona do obozu przejściowego w Zamościu.

Innych danych brak.
Powyższe stwierdza się na prośbę ob. Anieli Petz celem
przedłożenia w ZBoWiD.



NACZELNIK WIDZIAŁU ARCHIWUM

Brule
/mgr Maria Bukowska/

*Dokument Głównej Komisji badania Zbrodni
hitlerowskich poświadczający wysiedlenie rodziny Anieli
Petz ze wsi Sady pod Zamościem.
Fot. Archiwum prywatne Anieli Petz*



*Niemcy uprowadzali polskie dzieci m.in. z Zamojszczyzny,
by je zgermanizować i oddać do adopcji niemieckim
rodzicom.*

Fot. Domena publiczna



Wysiedleni z Zamojszczyzny w poczekalni.

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

Jak płachta na byka działała na mnie działalność Eriki Steinbach i jej Związku Wypędzonych. Oni wypędzeni? Oni? Niemcowi w Zawodzie krowy pasłam. Jak się najadły, pilnowałam, żeby do domu wróciły, a sama domu nie miałam. Niemcy wygonili mnie z niego jak bydło, ale w przeciwieństwie do bydła nie miałam co jeść ani gdzie głowy skłonić. Eriki Steinbach nie przeszkadzało, że pieniądze na planowane Centrum przeciwko Wypędzonym brała od byłych „nazistów”, bo z dwustu członków jej Związku Wypędzonych jedną trzecią stanowili właśnie owi „naziści”. Tak samo bezczelnie upominała się o zwrot polskich majątków rzekomym niemieckim właścicielom, choć przecież ci dostali za to odszkodowania od władz niemieckich.



*Część dzieci z obozu w Zamościu znalazła ratunek
w prowizorycznym szpitalu w Mrozach, lata 1943–44.*

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

A poza tym jakie niemieckie majątki? Przecież niemieccy osadnicy przyszli do polskich domów i mogli je zająć tylko dlatego, że niemieccy żandarmi, kierowani niemieckimi rozkazami, wypędzili z nich nas, Polaków, którzy je stawialiśmy. Usiłował jej to tłumaczyć prezydent Niemiec Horst Köhler, który w 2008 roku przypomniał, że dom, w którym urodził się w Skierbieszowie, należał wcześniej do polskiej rodziny. On nie miał wątpliwości, że wypędzani byli Polacy.



Aniela Petz w domu w Radomiu latem 2021 roku.

Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej

Córka, która od czterdziestu lat mieszka w Ameryce, mówi, że tam druga wojna światowa kojarzy się niemal wyłącznie z cierpieniem Żydów. O wysiedleniach takich jak na Zamojszczyźnie mało kto tam słyszał. Nie tylko zresztą w Ameryce. Dlatego trzeba o tym ciągle głośno przypominać.

Aniela Petz

Jurek (ur. 1940)

Z PAMIĘTNIKA CIAŁA



*Edek i Jurek Jeżewiczowie u wujka Ignacego w Mosinie
w 1945 roku.*

Fot. Archiwum prywatne Jerzego Jeżewicza

Najpierw rumor. Otwieram oczy – pokój zalewa wrześnie słońce. Nagle przesłaniają je trzy czarne plamy, z których wyzierają trupie czaszki. Przecieram oczy, plamy przyjmują kształt mundurów: mężczyzna, mężczyzna i kobieta. Krzyczą. Jeden z nich mnie przytrzymuje, ona mnie ubiera. To samo robią z bratem Edkiem. Gdzie rodzice? Powinni spać na łóżku obok. Wrzeszczymy, wołamy ich. Przecież kiedy zasypialiśmy, byli z nami. Dlaczego ich nie ma? W moim dwuletnim życiu zawsze byli obok. Niech przyjdą i zabiorą stąd tych strasznych ludzi – czarnych i skrzeczących niczym wrony.

Nagle wpada ciocia Gabrysia. Ciocia – znam ją, jest duża, na pewno nam pomoże.

– *Name!* – wrzeszczą wrony.

– Jeżewicz – odpowiada ciocia.

Sprawdzili, zgadzało się – to samo nazwisko, co nasze. Całą naszą trójkę w mig wyprowadzili z mieszkania. To był wtorek 10 września 1943 roku. Miałem wtedy dwa lata, dziewięć miesięcy i osiemnaście dni. Brat siedemnaście dni wcześniej skończył cztery lata. Ciocia – siostra mojego taty – miała czternaście. Nie mogła pomóc ani nam, ani sobie. Przed kilkunastoma minutami zdołała uciec z wielkiej sali, w której zebrano dzieci z Mosiny,

aresztowane nad ranem. Gdy przybiegła do swojego domu, jej rodzice wiedzieli już, że nocą Niemcy aresztowali naszych rodziców. Kazali jej do nas biec i przyprowadzić nas do siebie. Nikt nie pomyślał, że okupanci przyjdą także po dwu- i trzylatka. Tego ranka została aresztowana po raz drugi.

Posklejanie obrazów, które składają się na to krótkie wydarzenie, zajęło mi kilkadziesiąt lat. Pierwsze trzy lata po wojnie trwała walka o moje życie. Kiedy okazało się, że wywinąłem się śmierci, zaczęła się walka o normalność. Traумы i choroby wyniesione z obozu koncentracyjnego dla dzieci w Łodzi sprawiły, że nauka w szkole podstawowej była drogą przez mękę. Przed jej zakończeniem nagle odbiłem niczym roślina, która wreszcie zdołała się ukorzenić, i dostałem się do ogólniaka. Naukę w nim znów jednak przerwały mi choroby, poszedłem więc do zawodówki, a potem jeszcze udało mi się skończyć technikum. Zaraz po nim podjąłem pracę, bo w domu było ciężko. W codziennej bieganinie nie było więc możliwości, by wracać do tego, co minęło.

O czym tu zresztą było mówić? Wojna szczęśliwie się skończyła i bolesny rozdział mojego pobytu w dziecięcym obozie koncentracyjnym można było wreszcie zamknąć. Moment aresztowania jest moim pierwszym wspomnieniem z dzieciństwa, długo jednak nie umiałem umiejscowić go w czasie i przestrzeni. Podobnie jak przeżyć, które potem okazały się przeżyciami z jednego czy drugiego obozu.

Sceny z obozu w Łodzi jawią mi się jako impresja, podskórny lęk. Przyczyna, która ten lęk wywołuje, jest nieuchwytna dla pamięci. Do odtworzenia zdarzeń, niezbędnego do wyjścia z traumy, potrzebuję protezy cudzych wspomnień. Zacząłem z niej korzystać dopiero w latach siedemdziesiątych, gdy po raz pierwszy dołączyłem do spotkania Dzieci z Przemysłowej, czyli byłych więźniów łódzkiego obozu dla

młodocianych. Nie znałem tam nikogo, bo oni wszyscy mieszkali w Poznaniu i okolicach, a ja jeden w Lublinie. Nagle ktoś wykrzyknął:



Gesamtansicht

MOSCHIN



*Awers pocztówki z niemiecką nazwą Mosiny – rodzinnej
miejsowości Jurka.*

Fot. Archiwum prywatne Jerzego Jeżewicza

– Jurek z Lublina przyjechał!

Oni więc mnie pamiętali. Oni też stali się moimi przewodnikami po wspomnieniach obozowych. Dzięki nim porozrzucone luzem sceny-puzzle zaczęły się układać w całość.

Wyprowadziwszy nas z domu przy ulicy Tatrzańskiej 14 w Mosinie, Niemcy zaprowadzili nas do sali, z której ciocia wcześniej uciekła, a w której przybywało takich jak my. Wreszcie zapakowali nas na ciężarówkę. Obaj usiedliśmy cioci na kolanach – Edek na jednym, ja na drugim – i całą drogę płakaliśmy. A przecież ciocia także była wtedy dzieckiem, sama była przerażona. Razem z innymi powieźli nas na rampę kolejową w Poznaniu i zapakowali do pociągu. Nie wiem, czy jechaliśmy długo, czy krótko. Dwulatkowi podróż czterogodzinna czy czterodniowa ciągnie się tak samo, a bez rodziców i tak trwa wieczność.

Starsi koledzy obozowi wspominali, że Niemcy przenosili najmłodszych z pociągów do ciężarówek, które powiozły nas ostatecznie do Łodzi, jak szczeniaki – wrzucali ich na pakę. Znajdowało się nas tam tyle, że nie było czym oddychać i jak się ruszyć. Minięcie bramy z napisem w siatce, w ramie zawieszanej na betonowych słupach, sygnalizowało kres naszej podróży. Był 14 września 1943 roku. Ci, którzy umieli czytać, odszyfrowali napis: *Polen Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt*. Ci, którzy znali niemiecki, przetłumaczyli: Prewencyjny Obóz Policji Bezpieczeństwa dla Młodzieży Polskiej w Łodzi.



*Rekonstrukcja graficzna bramy głównej od strony ul.
Przemysłowej.*

Fot. Strona ipn.gov.pl

Znów z relacji kolegów wiem, że zaraz za bramą widać było zieleni, inspekty warzywne, schludne alejki – wszystko utrzymane w idealnym stanie. Dopiero widok wychudzonych dzieci w drelichowych mundurkach i z wygolonymi głowami kazał domyślać się, kto jest w obozie wykorzystywany do utrzymywania tego nieskazitelnego porządku.

Po wyładowaniu z ciężarówek Niemcy ustawili wszystkie dzieci w szeregu, po czym podzielili na grupy wiekowe: od dwóch do ośmiu lat, od ośmiu do dwunastu lat i powyżej dwunastu lat. Nie pamiętam strzyżenia, fotografowania, przebierania w uniformy, zawieszenia na szyi numeru obozowego. Pytają mnie czasem, który miałem numer. A skąd mam wiedzieć? Nie wiedziałem nawet, ile mam lat, tym bardziej nie

umiałbym odczytać kilkucyfrowego numeru. Poza tym numery były przechodnie – ja mogłem dostać swój po zmarłym więźniu, a mój, gdy opuściłem obóz, dostało kolejne dziecko. Tak Niemcy oszukiwali ewidencję, czym utrudnili po wojnie oszacowanie liczby więźniów, a im samym – uzyskanie odszkodowań.

Nie pamiętam też pierwszej nocy: czy spałem, czy – jak większość nowo przybyłych – tłukłem się w zimnie na gołych deskach pryczy. Przykryty jedynie cienkim kocem dzielonym z bratem, oglądałem pewnie zachmurzone niebo obcego miasta przez dziurawy dach i drżałem na wspomnienie brutalności towarzyszącej aresztowaniu i wywózce. Nie pamiętam pierwszego posiłku. Ponoć nowi nie chcieli tknąć zupy, w której pływały piach i robaki, a którą dzieci starsze obozowym stażem pochłaniały ze zwierzęcym apetytem.

Nie mogę też pamiętać, że starszych chłopców z naszego transportu powitał w obozie widok ciała kilkuletniego więźnia rozciągniętego na ogrodzeniu, które chciał on sforsować. Maluchy przebywały bowiem w innej części obozu. Za próbę ucieczki współwięźnia, którego nawet nie zdążyli poznać, chłopcy zostali prewencyjnie ukarani wielogodzinną „gimnastyką”: padnij – powstań i skakaniem żabki z podniesionymi rękami. Omdlałych cucono pod pompą, niektórzy jednak już nigdy nie odzyskali przytomności. Na koniec odmówiono ukaranym nawet przydziałowego nędznego kawałka chleba.

Szybko przyszło mi się przekonać o wartości chleba, nawet tak kwaśnego, gorzkiego i ciężkiego jak ten, którym nas żywiono. Na śniadanie dostawało się go nędzną pajdkę, a do popicia coś, co miało udawać kawę. Raz na długi czas na kromce pojawiła się cienko rozsmarowana marmolada buraczana lub plasterek nadpsutego twarogu. O tym, że wjeżdża obiad, sygnalizował smród zepsutych warzyw, na których gotowano przydziałową zupę: brukwi, liści kapusty, buraków, kiszonej kapusty, szpinaku czy jarmużu. Jeśli z ziemniakami, to

w łupinach pokrytych piaskiem, bo warzywa przed gotowaniem ledwo płukano. Ponoć czasem zupę przyrządzano na nadpsutej koninie albo okraszano znikomą ilością margaryny, ale najeść się tym nie dało. Na kolację było to samo, co na śniadanie, tylko mniej. Mleko w obozie dostawały jedynie świnie, a na dodatkową porcję zupy można było zasłużyć przekroczeniem normy w pracy lub donosicielstwem. To była zupa, której inne dzieci nie dostały za karę.

Bywało, że do kogoś przyszła paczka, ale jeśli trafiała do adresata, to przetrzebiona przez załogę. Permanentny głód nie tylko wyniszczał organizm, lecz także demoralizował – bo dodatkowe racje się kradło – i deformował psychikę. Potrafiliśmy bowiem cieszyć się z nadpsutego buraka, zlizywać z ziemi wylaną zupę, jeść trawę. Byli ponoć nawet tacy, którzy zjedli klej do klejenia skóry przyrządzony w kotle. Z głodu dzieci obgryzały sobie ręce. Polowały na myszy i jadły je. Niczym kurczaki zjadaliśmy okruchy, które na ziemi rozrzucała wachmanka Genowefa Pol, mająca uciechę ze swej trzódki. Raz kolega Janek, który miał akurat dyżur w kuchni, chciał przypiec obierki z ziemniaka. Ledwo położył je na piecu, wachman ściął go z nóg batem do tresury dzikich zwierząt.

Dopiero po wojnie przeczytałem słowa, które podczas procesu norymberskiego wypowiedział marszałek Rundstedt i które wyjaśniły mi cel mojego głodowania w obozie:

My, Niemcy, musimy dwukrotnie przewyższać naszych sąsiadów. Będziemy więc zmuszeni zniszczyć jedną trzecią ludności przyległych terytoriów. Możemy tego dokonać przez systematyczne niedożywianie, które w końcu daje lepszy wynik niż karabiny maszynowe. Wyniszczanie działa efektywniej wśród młodzieży.

Oprócz głodzenia zniszczyć nas miały także anty-sanitarne warunki, atmosfera strachu, znęcanie się nad nami, skłócanie nas, wysiłek ponad miarę. Wszystko przemawia za tym, że był to obóz koncentracyjny. Przy czym w obozie z założenia koncentracyjnym wybawienie przynosiła komora gazowa, tu dopiero „śmierć naturalna”. Umierało się na tyfus, gruźlicę, świerzb, szkorbut czy jaskrę, w przypadku której Niemcy „radzili” przemywać powieki moczem, w wyniku czego dzieci śleply. Wszystko to były choroby uleczalne, ale z powodu braku lekarzy, leków i chęci leczenia – śmiertelne. Śmierć nie była nagła i bezbolesna, ale rozłożona w czasie oraz naznaczona cierpieniami i upodleniem.

Trafienie na izbę chorych czy do ambulatorium oznaczało najczęściej wyrok śmierci. Zarządzająca nimi folksdojczka Sydonia Bayer, wcale nie lekarka ani nawet pielęgniarka, sama rozstrzygała, które dziecko jest chore, a które symuluje. Ona też decydowała o dopuszczeniu do chorych lekarza, odwiedzającego czasem obóz. Ten leków miał tyle, ile zdołał przemycić. Bayerowa „leczyła” gorączkę polewaniem wodą na śniegu, a rany – lizolem. Mój brat trafił raz na izbę chorych. Były w niej dwa pomieszczenia: dla tych, którzy mogli się poruszać, i dla tych, którzy już nie żyli albo mieli umrzeć w krótkim czasie. Po dwóch tygodniach udało mu się ją opuścić, ale mało kto miał takie szczęście.

Ze śmiercią nie zetknąłem się w obozie osobiście. Zgony opisane były tylko w niemieckich raportach, a te zachowały się w szczątkowej formie. Dzieci najczęściej umierały w karcerze, a pogrzebów nie wyprawiano. Raz w tygodniu do obozu przyjeżdżał Żyd wozem i pakował na niego trupy. Zdarzali się wśród nich konający, którzy jęczeli i prosili o pomoc. Umierali wśród rozkładających się ciał. Żyd wywoził ich wszystkich poza obóz, przypuszczalnie na cmentarz żydowski, z którym granaczyliśmy. Dziś w tym miejscu stoi, o ironio, osiedle Słoneczne.

Śmierć zawsze była cichutka. Najlepszym tego przykładem był transport czeskich dzieci z Lidic. Nawet ich nie rozładowano, tylko uduszono spalinami w samochodzie. Była to część ofiar – całą wioskę rozgromiono w odwecie za zabicie esesmana.

W baraku, w którym przebywała setka dzieci w wieku od dwóch do ośmiu lat, było gwarno jak w ulu. Nie był to jednak gwar rozbawionych dzieci, ale jeden wielki jęk i płacz. Wystarczyło jednak, że wchodził „wychowawca”, a wszystkie odgłosy cichły. Chowaliśmy się po kątach, wchodziliśmy pod prycze, dziecięcym sposobem zamykaliśmy oczy, by nas nie widziano. Nauczyliśmy się płakać bez łez, bo za płkanie bili. Na lata zostało mi wyczulenie na każdy szmer, stukanie butów, zgrzyt zamka, jakby do mojego pokoju znów mieli wtargnąć esesmani.

A zabawy były, owszem. Zwłaszcza przy sobotniej pijatyce wachmani byli skorzy do żartów. Stawiali wtedy dzieci w rzędach naprzeciw siebie i kazali wymieniać się koszulami. Za każdą wesz znaną w odzieży kolegi dostawało się chleb, ten od wszy z kolei dostawał baty. Starsi szybko zwietrzyli, że to zwykła polityka szczucia jednych przeciw drugim, i zaraz poszli na układ, że z tym, co zbiera ciągi, drugi dzieli się zdobycznym chlebem. Ale najmłodszy nic z tego wszystkiego nie rozumie. Co rozkazywali, to się robiło. Bo jak nie, to bolało. My, maluchy z Przemyślowej, długimi latami uczyliśmy się potem kontaktowania ze światem. Przyzwyczajeni do rozkazów, nie umieliśmy stanowić o sobie ani sami ocenić efektów swojej pracy. Byłem już wyszkolony, pracowałem w zawodzie, ale każdą czynność musiałem poddać cudzej ocenie. Decydowanie o sobie także przychodziło mi z trudem. W obozie byłem bowiem jak tresowany piesek bez własnej woli.

Całymi dniami kazali nam chodzić trójkami w wojskowym szyku. Jeśli padało, a my próbowaliśmy skryć się pod daszkiem, „wychowawcy” nas bili. Ci, którzy w czasie tych przymusowych

spacerów padali z wycieńczenia, już do baraku nie wracali. Ci, którzy wracali, na dobie skakali żabki. Dodatkową „atrakcją” były wyścigi wokół gruszy. Wybrane dzieci miały biegać naokoło drzewa, a kto dostał zawrotów głowy i wypadł z wyznaczonego koła, zbierał kije od wachmana i musiał biec dalej. Jeśli komuś przyszło do głowy schylić się po gruszkę, która spadła z drzewa, mógł być pewien srogiej kary. Wzdłuż głównej alei rosło wiele drzew owocowych, ale – podobnie jak w przypadku płodów inspektów warzywnych – nie wolno nam było ich dotykać pod karą śmierci. W obozie groziło śmiercią schylenie się po cokolwiek, co można było zjeść.

Spacery maluchów były odpowiednikiem pracy, która dla dzieci powyżej ósmego roku życia była obowiązkowa. Do warsztatu należało przyjść najwyraźniej już z doświadczeniem, bo w obowiązki nikt nie wdrażał, a za nieumiejętne wykonywanie ich bito lub głodzono. Jakość, czas i warunki pracy były ponad możliwości fizyczne i psychiczne dzieci. Przetrzymać ją mogli tylko najsilniejsi, resztę prędzej czy później doprowadziła do śmierci.

Najcięższa praca polegała na utwardzaniu żwirowanej głównej alei przy użyciu kilkutonowego walca. „Wychowawca” zaprzęgał do niego dwudziestkę czy trzydziestkę więźniów i popędzał:

– Wio, świnie!

Jak ktoś padł, a bicie i kopanie nie zmotywowało go do wstania, był wymieniany na kolejnego więźnia. Efekt walcowania utrzymywał się do następnego deszczu. W warsztacie szewskim dzieci reperowały buty dla Wehrmachtu. Komuś zdarzyło się w takim bucie znaleźć odmrożony palec. W rymarskim szyto chlebaki, tornistry, maski przeciwgazowe. Iglarski stanowił postrach obozu – prostowano w nim igły dziewiarskie. Niewłaściwym uderzeniem młoteczka można było popsuć igłę, zamiast ją wyprostować, co traktowane było jako sabotaż i odpowiednio karane.

Za ubrudzenie się naftą, w której zanurzone były igły, groziła kara szorowania ciała pod pompą przy użyciu szczotki ryżowej.

W „łapciarni” wyrabiano obuwie ochronne ze słomy dla strażników, „smolarze” reperowali dachy. W zakładzie koszykarskim wyplatano podkłady pod koła samochodów i koszyki do pocisków i bomb. Były jeszcze warsztaty: samochodowy, stolarski, ślusarski, malarski, elektryczny i szklarski. W „ogrodzie” uprawiano warzywa. Działała też grupa pompująca wodę do kuchni i pralni. Młodsze dzieci, ale już nie maluchy, wyrabiały doniczki, tworzyły sztuczne kwiaty, kleiły torebki, zbierały śmieci. Jak nie było w obozie nic do roboty, kazano dzieciom przewozić taczkami piasek w tę i z powrotem lub przelewać zawartość jednej latryny do drugiej. Pracowało się od siódmej do dziewiętnastej, niezależnie od pogody i stanu zdrowia. Nawet jeśli przy którejś z tych prac ktoś nauczył się konkretnego fachu, to wątpię, by wykonywał go po wojnie.

Dziewczynki sprzątały biura, pracowały w zakładzie krawieckim, szwalni, kuchni i pralni, w której przez stałe moczenie nóg w wodzie z substancjami żrącymi nabawiały się stanów zapalnych, a ostatecznie – kalectwa. W ciepłym okresie dziewczynki wywożono do filii obozu w Dzierżąnej pod Zgierzem. W tamtejszym folwarku ciężko pracowały w polu i przy zwierzętach. Do dziś zachował się staw, w którym wody było po kolana, ale dziewczynki zapadały się w mule do pasa i tak godzinami łowiły ryby.

Ciocia Gabrysia także wyjeżdżała do folwarku, czego dowiedziałem się już po wojnie – od momentu, w którym rozdzielono nas w obozie, już się bowiem tam nie spotkaliśmy. Po wojnie mówiła też, że próbowała podrzucić mnie i bratu kartofle, ale ostrzegli ją, że to grozi śmiercią. Dziewczęca część obozu odgradzona była od baraku numer 36, w którym mieszkały maluchy i którego nie wolno im było opuszczać. Był to budynek jednorodzinny, nieotynkowany, z gankiem i dachem

krytym papą. Wszystkie ściany wewnętrzne zostały wyburzone, by zmieściło się tam jak najwięcej piętrowych prycz, które stały w równoległych rzędach. Na szczęście spaliśmy z bratem na dolnej – kto nie dawał rady wdrapać się na piętro, dostawał baty. Myliśmy się, jeśli tak można nazwać ochlapywanie się w ubraniu przez kilkanaście sekund, pod pompą przed barakiem. Mydła nie było, a za bycie brudnym dostawało się lanie. Podobnie jak za zniszczoną odzież, choć nici czy guzika nie było skąd wziąć.

W sztubie stały dwa wiadra: jedno z czystą wodą, drugie z brudną, które jednocześnie służyło za kibel. Jak ktoś sikał w siennik, to mu go zabierano. Jeśli sikał dalej, szedł do bloku szczyli. Utworzyła go „wychowawczyni” maluchów Sydonia Bayer i kierowała do niego tych, którzy się bezwiednie moczyli. A takich było mnóstwo, bo zimno, zła dieta i napięcie psychiczne powodowały utratę kontroli nad pęcherzem. Ten blok był przedsionkiem trupiarni. Dzieci leżały w przemoczonych i zimnych ubraniach obok dzieci chorych na gruźlicę i wspólnie czekały na śmierć. W Auschwitz nazwaliby ich muzułmanami, jak mówiono o skrajnie wycieńczonych i zubożonych więźniach. Te dzieci umierały we śnie, w kolejce po zupę.

Prócz warunków w Łodzi najgorsze było to, że znajdowały się tam same dzieci. W Auschwitz czy na Majdanku, a nawet w Potulicach, gdzie potem wylądowałem, byli dorośli więźniowie, którzy chronili najmłodszych. Tu jedynymi dorosłymi byli nasi oprawcy. Inspektor obozów koncentracyjnych Heinrich Himmler ocenił załogę obozu w Łodzi jako „odpowiednią do traktowania młodocianych” – byli to sadyści, którzy bez wahania wykonaliby każde zadanie, byle uniknąć pójścia na front. Prześcigali się w wymyślaniu i stosowaniu „metod wychowawczych”. Za złe trzymanie się na baczność przy mijaniu ich, oprawcy bili i kopali dzieci. Za kradzież chleba czy moczenie sienników wymierzali uderzenia kijami – zazwyczaj od pięciu do dwudziestu,

a zasądzone sto rozkładali na części, po dwadzieścia pięć dziennie. Dziewczynki były czasem karane wsadzaniem na noc do szafy w pozycji stojącej.

Edward August był tak okrutny, że nawet esesmani powstrzymywali go przed znęcaniem się nad dziećmi, które bił i kopał w czułe miejsca, wpychał do skrzyń z piaskiem, topił w beczułce wody, wieszał na łańcuchu za nogi i spuszczał głową w dół do kanału ze zużyтыми smarami. Stale był pijany.

Buscha dzieci nazywały kotem w butach, bo nosił bat pogromcy dzikich zwierząt – większy od niego – i nie wahał się nim dyscyplinować. Hausch zanosił zabierany więźniom chleb do domu i dawał królikom lub świniom. To on kazał zbudować karcer, zanim zdążyły powstać łaźnia i parówka – te, nawet gdy już istniały, były wiecznie popsute. Zainicjował blok karny i malowanie dzieciom na mundurkach czerwonych pasów piętnujących je za popełnienie jakiegoś przestępstwa, za które zresztą siedzieli w karcerze. Wymierzał kary skakania żabek i czołgania się w błocie, najbardziej jednak lubił pozbawiać dzieci posiłków.

Erwin Voight przed wojną był sportowcem, nieletnich więźniów bił zawsze w skórzanych rękawiczkach. Jeśli nie padli po pierwszym ciosie, poprawiał: uderzał w głowę i otrzepawszy rękawiczki, kopał do utraty przytomności. Żywność, którą zabierał dzieciom, wymieniał u Żydów z getta na kosztowności i futra. Najczęściej kazał swoim esesmanom odbierać im to jedzenie i ponownie je sprzedawał.

Eugenia Pol vel Genowefa Pohl – na Genowefę przemianowała się na potrzeby pracy w obozie – była prawą ręką Sydonii Bayer. Obie odpowiedzialne były za maluchy i dziewczęta. Z chwilą przyjścia do obozu Pohl miała dziewiętnaście lat i nie wyuczyła się jeszcze zawodu. Podobnie jak Bayerowa, podpisała folkslistę. Biła dzieci bykowcem,

rękojeść pejcza wwiercała w brzuchy i klatki piersiowe. W ten sam sposób jątrzyła rany dziewczynek. Gdy się znęcała nad dziećmi, zaklejała swoim ofiarom usta – to samo czyniła tym, którzy rozmawiali po polsku, choć sama po niemiecku nie mówiła najlepiej. Razem z Bayerową wybierały jasne i ciemne blondynki z niebieskimi i czarnymi oczami, by wysłać je do wojskowych domów publicznych. Po wojnie wróciła do nazwiska Eugenia Pol i przez nikogo nie niepokoiona pracowała jako intendentka w żłobku. Dopiero rozpoznana przez byłego więźnia na ulicy, została postawiona przed sądem. Jej ofiary ciągnano po salach rozpraw niemal przez dekadę i wciąż słyszały one, że to, co opowiadają o Polowej, musiały zmyślić. Ta długo broniła się argumentem, że robiła wiele, by ochronić dziewczynki. Być może chodziło jej o te, które wytresowała sobie na donosicielki, bo takie rzeczywiście traktowała lepiej.

Niemcy nie przyznawali się do morderstw, w aktach zgonu dzieci wpisywali najczęściej gruźlicę, udar serca, zapalenie nerek. W rzeczywistości więźniowie umierali na skutek bicia i wymyślnych tortur nazywanych karami. W obozie nie było jasno określonych zasad – o tym, że jakieś zachowanie jest przestępstwem, dzieci dowiadywały się podczas apeli, gdy wyznaczano karę. Jednak nawet znajomość „niepożądanych zachowań” nie zapewniała ochrony. Jeśli jeden „wychowawca” urządzał karne ćwiczenia w błocie, drugi karał za zabrudzenie ubrania. Jeśli chłopiec ukarany za brudne ubranie uprał je, był karany za chodzenie nago, bo przecież innego na zmianę nie miał. Wyciągano konsekwencje za brak znajomości niemieckiego, brak guzika, przyśnięcie podczas pracy. Repertuar sankcji był nieskończony, zawsze były one jednak niewspółmierne do „przewinień”, często bowiem prowadziły do kalectwa lub śmierci.

Po wojnie usłyszałem o Teresce Jakubowskiej z Poznania, która ukradła obozowej koleżance kawałek chleba. Rzecz w obozie

powszechna. Została pobita i pozbawiona najbliższego posiłku, po czym z głodu znów zabrała komuś chleb. Ponownie ją zbito i ukarano całodzienną głodówką, ale Tereska kradła dalej. Głód był silniejszy niż strach. Przeważano ją więc nałogową złodziejką. Na dźwięk tych słów drżała, ale nadal kradła. Otrzymała wreszcie karę stu batów, po której wykonaniu trafiła do izby chorych. Kradła także tam. Bayerowa kazała ją więc wynieść na śnieg i kilkakrotnie polać wodą. Tereska zmarła.

Perfidią było to, że Niemcy kazali dzieciom wymierzać kary sobie nawzajem, a jeśli któryś z więźniów nie wykazywał się gorliwością, był na własnej skórze instruowany, jak bić należycie. Niemcy bili, aż złamali kij lub się zmęczyli. Karne apele trwały po kilka godzin – „winowajcom” wymierzano chłostę, a reszta stała i patrzyła, jak pośladki bitych zamieniają się w mielone mięso i jak ci na kolanach czołgają się do karceru, w którym głód i wilgoć wieńczyły tortury. Z karceru trafiało się albo do trupiarni, albo do bloku karnego, co w zasadzie na jedno wychodziło.

Karcer był to osobny budynek bez okien, z cementową podłogą, na której stała woda, panowały więc tam przeraźliwe zimno i wilgoć. Więźniowie dostawali jeść raz dziennie, ale za to byli suto obdarzani batami. W czterech z pięciu pomieszczeń karceru siedzieli jeszcze żywi lub już półżywi więźniowie, do piątej co drugi dzień znoszono trupy. Zanim Żyd wywiózł je poza teren obozu, służyły za pożywkę szczurom. W karcerze można było spędzić nawet sześć tygodni, ale nie wyobrażam sobie, by po takim czasie ktokolwiek wyszedł z niego żywy. Słyszałem o chłopcu, który w karcerze musiał zjeść własny kał, i o dziewczynce, którą Niemcy położyli nagą na śniegu i polewali wodą, aż pokryła się kryształkami. Innemu więźniowi dali do wypicia wiadro kawy i zupy z robakami, zamieszanej brudną miotłą.

Poza Bayerową, na którą wydano wyrok śmierci i go wykonano, i Polową, skazaną na odsiadkę, żaden z oprawców nie został osądzony.

Dzieci nie miały się nawet komu poskarżyć. Kontakt z rodzinami, jeśli ktoś z nich jeszcze żył, sam nie został uwięziony, przesiedlony, zesłany na roboty lub się nie ukrywał, był nikły. Widzenia wyłącznie z rodzicami lub rodzeństwem więźnia możliwe były raz na pół roku i pod warunkiem, że rodzice dostali zgodę swojego zakładu pracy na wolny dzień oraz zgodę władz miasta na opuszczenie go. Czasem procedury trwały tak długo, że wyznaczony termin widzenia mijał i należało czekać na następny. Jeśli do widzenia doszło, przebiegało w obecności „wychowawcy”, na odległość i szybko. Opiekun i dziecko mogli się przekonać, że żyją, i tyle. A zdarzało się, że dotarłszy na widzenie, rodzice słyszeli, że dziecka w obozie nie ma. W rzeczywistości było chore, przebywało w karczerze lub nosiło ślady bicia i nie nadawało się do oglądania.

Teoretycznie dzieci mogły poskarżyć się w listach, ale przez cenzurę przechodziły tylko te zawierające treści „jestem zdrow” i „jest mi dobrze” oraz wariacje na ich temat. Należało się streścić w piętnastu liniijkach na obozowym formularzu formatu A5, na którym, rzecz jasna, nie było adresu, a jedynie numer skrytki pocztowej. Kto próbował się skarżyć, mógł zostać ukarany. Inaczej niż w większości obozów, stąd można było pisać po polsku. Cóż z tego, skoro połowa z nas nie umiała czytać ani pisać? Niektórych wyręczały starsze dzieci. Ja nie miałem do kogo napisać. A nawet gdybym miał, nie umiałbym nazwać tego, co się ze mną dzieje.

Listy brzmiały więc tak, jak choćby ten autorstwa Marysi Świeżyńskiej, do którego dotarło łódzkie Muzeum Dzieci Polskich – ofiar totalitaryzmów:

Mamusi pisz podanie do Lagru o widzenie ze mną to może mamusia otrzyma bardzo bym się cieszyła by kto do mnie przyjechał ciekawa jestem jak Jadzia wygląda bo blisko 5 miesięcy jak ją nie widziałam [...] dziękujcie

Bogu że tak szczęśliwie nami kieruje narazie do tej pory tak źle nie mam chciała bym się z mamusią widzieć bo tak to nic mamusia nie zrozumie.

Wiele dzieci pisało bezowocnie, bo na nieaktualne adresy lub do opiekunów, którzy już nie żyli. Początkowo można było wysyłać dwa listy w miesiącu, ale że cenzura miała z tym za dużo roboty, zezwolono na wysyłanie i otrzymywanie jednego listu lub jednej kartki na miesiąc. Paczki wysyłane do więźniów, także maksymalnie raz w miesiącu, musiały zawierać tyle, ile więzień mógłby zjeść przez trzy dni z rzędu. Pisanie do władz obozowych z prośbą o zwolnienie z niego dziecka mogło skutkować przedłużeniem pobytu. Jak mówił regulamin Prewencyjnego Obozu Policji Bezpieczeństwa dla Młodzieży Polskiej w Łodzi, „niestosowanie się rodziców do zarządzeń dowodziłoby, że nie mają pojęcia o prawdziwym wychowaniu i nie mają prawa do kierowania dziećmi”.

W rzeczywistości w „wychowywaniu” w obozie „prewencyjnym” chodziło o deprawowanie – kształtowanie postawy nienawiści do współwięźniów, okrucieństwa wobec słabszych, kultu siły, egoizmu, mściwości. Premiowano lizusostwo, stosowano odpowiedzialność zbiorową. Więźniowie mieli wykańczać siebie nawzajem. Deprawowaniu służyło zmuszanie do kradzieży głodowymi racjami żywnościowymi. Bicie innych nie budziło współczucia, ale ulgę, że tym razem to nie ja jestem bity. Język przesycony był wulgaryzmami zasłyszczanymi od załogi. Więźniowie funkcyjni otrzymywali nieograniczoną władzę, a były to dzieci czternasto-, piętnasto- czy szesnastoletnie, o formującej się dopiero psychice i moralności. Tymczasem decydowały o karach i nagrodach, o życiu i śmierci innych. Nie musiały pracować, otrzymywały więcej jedzenia i cieszyły się względami „wychowawców”, czym u współwięźniów wzbudzały

zawiść. Po wojnie niektóre zdeprawowane dzieci nie umiały funkcjonować w społeczeństwie i popadały w konflikt z prawem.

Ale byli też więźniowie, którzy potrafili się wspierać – ulgę przynosiły słuchanie opowieści o życiu na wolności, dojrzenie czarnego punkciku na niebie, którym był samolot aliancki, ukradkowe słuchanie gry na harmonijce, którą jakimś cudem komuś udało się przemyścić do obozu. Dzieci krzepiły się też śpiewaniem zakazanych piosenek, bo dozwolone były tylko niemieckie pieśni marszowe, które miały śpiewać na rozkaz, głównie przy porannej „gimnastyce”, przypominającej raczej znęcanie się nad nami. Śpiewały więc: *Hej, strzelcy wraz czy Jeszcze Polska nie zginęła*, czym popełniały przestępstwo. Wymyślały także własne piosenki, co pewnie pozwalało dać upust nagromadzonym emocjom. Na melodię *Wszystkie nasze codzienne sprawy* śpiewały cichutko:

O Maryjo, Matko droga,
Proś za nami w niebie Boga,
Proś i czuwaj wciąż nad nami,
Nad biednymi sierotami.
Za dzionek ci dziękujemy,
O szczęśliwą noc prosimy,
Byś nas, Boże, błogosławił
I z nieszczęścia łagrowego nas wybawił.

Dziewczynki sprzątające u załogi lub nowi więźniowie przynosili czasem wieści o walce z okupantem, co dawało nadzieję na odzyskanie wolności. W większości przypadków dzieci orientowały się, że szanse na przeżycie w obozie wznastają nie dzięki egoizmowi, ale dzięki solidarności. To znam jednak tylko z przekazów. Sam byłem za mały, by

ocenić, czy to, co ktoś ze mną robi, jest gestem solidarności. Czy na taką postawę stać w ogóle dwu-, trzy-, cztero-, pięcio-, a nawet sześciolatka? Ja trzymałem się brata, a brat mnie. Po wyrwaniu od rodziców już tylko we dwóch stanowiliśmy nasz mikrokosmos.

Przetrzymywanie w obozie dzieci tak małych jak my – od drugiego do ósmego roku życia – utrzymywano w tajemnicy, bo było to sprzeczne z „prawem”, zezwalającym na zamykanie tu osób starszych niż ośmioletnie. Usytuowano nas w baraku na samym końcu obozu dziewczęcego, do którego nikt z więźniów nie miał dostępu. Dopiero od 1944 roku maluchy miały prawo do opuszczania bloku i widywania się ze starszym rodzeństwem, ale wówczas mnie już w obozie nie było. Cioci Gabrysi zresztą też. Ona została przewieziona do obozu dla dorosłych, jak wszystkie dzieci, które ukończyły szesnasty rok życia, a ja z Edkiem – do obozu w Potulicach.

Jednym z celów utworzenia obozu dziecięcego w Łodzi było prowadzenie w nim selekcji rasowych. Dzieci od drugiego do ósmego roku życia, o blond włosach i niebieskich oczach, znikwały z obozu po wytypowaniu na apel. Te, które wróciły, mówiły, że wysłano je na ulicę Sporną 73 do Rassenamt, gdzie nie zakwalifikowały się do grupy „wartościowych rasowo”. Karmiono ich tam nieco lepiej, ale wciąż bito, kazano mówić wyłącznie po niemiecku, a po powrocie do obozu zakazano opowiadać o Rassenamcie. Dzieci „rasowo wartościowe” wysyłano do kolejnych zakładów germanizacyjnych.

Przy Spornej przebywały dzieci z całej Polski, nie tylko z naszego obozu. Zdarzało się, że te, które były „wartościowe rasowo”, ale odporne na germanizację, odsyłano na Przemysłową. W większości przypadków małe dzieci, które nie wiedziały, w czym biorą udział, cieszyły się, że mają lepiej niż w obozie, i poddawały działaniom okupanta. Plany germanizacji utrzymywano w ścisłej tajemnicy, światło dzienne ujrzały

dopiero podczas procesów norymberskich, gdy wiele polskich dzieci przebywało już w rodzinach niemieckich.

Nadrzędnym celem obozu było jednak wyniszczenie tych dzieci, z których III Rzesza nie mogła mieć pożytku lub które wręcz „zagrozały” jej interesom. Dla poszerzenia swojej „przestrzeni życiowej” Niemcy potrzebowali bowiem nie tylko cudzego terytorium, czyli podbitych państw, lecz także zmian w strukturach społecznych tej swojej idyllicznej Germanii, którą zamieszkiwać mieli przedstawiciele rasy panów i rasy niewolników. Zaczęli od swoich dzieci, które wyrwano z rodzin i oddano pod opiekę państwa – rosło zideologizowane pokolenie. W 1923 roku podziemna organizacja Hitlerjugend liczyła tysiąc członków, a w 1939 roku, gdy przynależność do niej stała się obowiązkowa – już osiem milionów. Jedną z „gier”, które formowały niemiecką młodzież, było zdobywanie flagi; prócz zabijania i okaleczania wszystkie chwytły były w niej dozwolone. Kończyła się zwykle brutalną bijatyką, która – w myśl zasady „zabij i przeżyj” – uczyła odporności na ból, zwłaszcza cudzy, i bezwzględności w wypełnianiu rozkazów dowódców. Członkowie Hitlerjugend przestrzegali nie uniwersalnego, ale własnego kodeksu honorowego, który dawał im poczucie wyższości, a przeciwników kazał traktować jak podludzi. Tak wytresowana rasa panów wkroczyła do Polski w 1939 roku.

W 1940 roku w Moringen w Dolnej Saksonii, w obozie koncentracyjnym dla wrogów ustroju nazistowskiego istniejącym od 1933 roku, utworzono obóz dla młodzieży, która odmawiała wstąpienia do Hitlerjugend i angażowała się w ruch oporu w krajach okupowanych, a także dla młodocianych kryminalistów i prostytuujących się dzieci. To właśnie miejsce stało się wzorem dla obozu dziecięcego w Łodzi. Heinrich Himmler uzasadniał utworzenie Polen Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt w swoim rozkazie z 28 listopada

1941 roku potrzebą zebrania sierot, żebrzących i kradnących, nieuczęszczających do szkół, stanowiących tym samym zagrożenie moralne dla młodzieży niemieckiej. W rzeczywistości realizował on wytyczne programu zagłady polskiego narodu.

Do Łodzi trafiały dzieci głównie z terenów włączonych do III Rzeszy, ale także te z Generalnej Guberni, polskie dzieci z Niemiec, Francji czy ZSRR. Wniosków o „areszt ochronny” nikt nie weryfikował, sąd nie sprawdzał prawdziwości stawianych dzieciom zarzutów. Jednak by zachować pozory legalności działań, w uzasadnieniach pisano o „dzieciach bandytów”, którzy zastrzelili Niemca, dają schronienie kryminalistom, są poszukiwani za bliżej nieokreślone „przestępstwa” albo ze względu na swoje „aspołeczne ustosunkowanie” przebywają w obozach koncentracyjnych. To odpowiednio nastawiało załogę obozu w Łodzi do młodocianych – w razie ich zamordowania oprawcy mogli powołać się na obronę konieczną, co gwarantowało im bezkarność. Po wojnie dowiem się, że w obozie siedziałem właśnie jako „dziecko bandyty”, choć podpadałem także pod kategorię dziecka pozbawionego opieki.

Rodzice, zmuszeni do wielogodzinnej pracy na rzecz okupanta, na całe dni pozostawiali swoje pociechy bez opieki. Wyłapywano je na ulicach, dworcach i w parkach, zabierano ze szkół, a wtrącenie do obozu uzasadniano krótko: „bezdomne”, „ojciec nie żyje, matka przebywa na robotach w Rzeszy”, „żebrze, włóczy się”, „robi niekorzystne wrażenie”, „zastawia łyka na zające i z ich sprzedaży się utrzymuje”, „starał się wzbudzić współczucie u ludności, ponieważ brak mu ręki i nogi”. Moi starsi koledzy trafiali do obozu za kradzież węgla czy mąki z młyna, w którym pracowali, za podniesienie z chodnika jabłka, które spadło z drzewa w ogrodzie, ale także za posiadanie przy sobie zapalek, co „groziło podpaleniem gospodarstwa”, w którym byli wykorzystywani do

pracy. To wszystko pokazuje, z jaką rzeczywistością mierzyły się dzieci w warunkach okupacyjnych.

W pierwszej kolejności do obozu trafiły jednak dzieci z sierocińców i zakładów opiekuńczych, w których przebywały także sieroty niemieckie. W uzasadnieniu pisano, tak jak w przypadku dwunastoletniego Jana Lesika: „Trudno się daje wychować, jest kaleką i trzęsie głową, moczy łóżko”. Inne argumenty brzmiały: „sierota, włóczy się bez środków do życia”, „córka polskiego profesora”, „syn polskiego oficera”, „rodzice nie podpisali folkslisty”. Ale były i bardziej zwięzłe uzasadnienia: „krynbrność”, „aspołeczny charakter”, „bezcelowość dalszego wychowania” .

Do obozu zwożono również dzieci z łapanek oraz te, które handlowały żywnością, by przeżyć. W odróżnieniu od dorosłych szmuglujących jedzenie, miały go tyle, co na użytek rodziny. Aresztowano je jednak jako notorycznych paskarzy i lichwiarzy, działających „na szkodę gospodarki żywnościowej Rzeszy”. Zdarzały się takie, które odmawiały pracy ponad siły lub uciekały z robót w Rzeszy, sporo było małych działających w ruchu oporu. Najwięcej jednak było nas, „dzieci terrorystów”. Uwięzienie nas miało być próbą odwetu, ale i przestrogą dla innych. Stanowiliśmy też przynętę dla ukrywających się rodziców.

Gdy kierowano dziecko do obozu, musiało ono otrzymać zaświadczenie lekarskie, że jest zdolne do przebywania w nim. Otrzymywały je wszystkie dzieci, nawet chore, upośledzone, głuchonieme. Wielu więźniów obozu przy ulicy Przemysłowej w Łodzi nigdy nie poznało powodu osadzenia ich w tym miejscu. Wielu zostało zmuszonych do przyznania się do niepopelnionych czynów.

Wbrew temu, co sugerował człon *Jugend* w nazwie obozu, więziona w nim była nie tylko młodzież, lecz także dwulatki – co pokazuje mój

przykład – a nawet niemowlęta. Tylko teoretycznie obóz był przeznaczony dla dzieci od ósmego do szesnastego roku życia. Do czasu mojego przybycia niemowlęta przywożono do obozu nocą – były to między innymi dzieci urodzone przez więźniarki obozów koncentracyjnych – i nocą je z niego wywożono w niewiadomym kierunku. Jeśli były zdrowe i rokowały rasowo, szły pewnie do adopcji w Rzeszy.

Człon *Verwahr* miał przywodzić na myśl obóz przechowawczy, w rzeczywistości chodziło jednak o kontrolę nad najmłodszymi oraz ich zagładę. Nad wszystkim „czuwała” zaś Sicherheitspolizei in Litzmannstadt – Policja Bezpieczeństwa w Łodzi. Nazwa pozwalała uniknąć kontroli instytucji międzynarodowych. A nawet gdy takie się zdarzały, delegowano najlepiej wyglądających więźniów, których myto i porządnie ubierano. Stawiano ich na pokaz przy zastawionym stole, ale wcześniej uprzedzano, że za ruszenie jedzenia po odjeździe gości będzie kulka w łeb.

W doborze lokalizacji obozu ważne było, by gwarantowała odseparowanie od świata zewnętrznego. Padło na Łódź, na teren należący do żydowskiego getta. Dnia 1 grudnia 1942 roku Niemcy postanowili utworzyć tam Polen Jugendverwahrlager dla chłopców w wieku od dwunastu do szesnastu lat. Kierowanie do niego miało nie wymagać „uciążliwych formalności”, a na przyśpieszenie „ostatecznego rozwiązania przymusowego wychowania młodzieży obcej narodowości” miało wpłynąć Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Rzeszy. Władze opiekuńczych zakładów wychowawczych były zobligowane do przekazywania urzędом policji kryminalnej wszystkich małoletnich polskich podopiecznych i nie przyjmować do nich więcej polskich dzieci. Potem wnioski o ich przekazanie pod nadzór obozu składano przez Krajowy Urząd do spraw Młodzieży w Katowicach. Już po miesiącu działalności rozszerzyła się granica wieku młodocianych

Polaków, mających „zagrozić” ich niemieckim rówieśnikom; rozszerzenie objęło także dziewczęta. Wszystko to było bezprawne nawet w świetle prawa hitlerowskiego.

Obóz podlegał bezpośrednio Policji Bezpieczeństwa (SiPo), w skład której wchodziły Tajna Policja Państwowa (Gestapo) i Policja Kryminalna (Kripo), co miało podkreślać kryminalne konotacje więźniów. Personel w całości należał do SS. Aż do 1975 roku o obozie mówiono – jeśli w ogóle – jako obozie pracy, obozie przechowawczym, obozie internowania. Bezpodstawnie osadzano jego więźniów w roli przestępców zagrażających otoczeniu. W rzeczywistości było odwrotnie: bezprawnemu traktowaniu polskich dzieci nadawano pozory legalności.

Dla utworzenia obozu wydzielono z getta łódzkiego – Marysina – kwartał ulic: Brackiej, Emilii Plater, Górniczej i cmentarz żydowski. W sumie zajmował sześćdziesiąt osiem tysięcy metrów kwadratowych. Tylko na odcinku od bramy głównej, przy ulicy Przemysłowej, obóz graniczył z „wolnym światem”, choć w kontekście znajdującego się tam getta była to pozorna wolność. Ewakuowano znajdujące się tam fabrykę cukierków i resort szewski, a obóz budował wydział budowlany getta: zaczął od postawienia mierzącego trzy i pół metra wysokości parkanu. Na pierwszych więźniów czekały zaadaptowane budynki mieszkalne i użytkowe. Do dalszej rozbudowy obozu Niemcy zatrudnili same dzieci, które reperowały okna, drzwi i podłogi, ustawiały piętrowe prycze, wysypywały ścieżki żuzłem, układały chodniki przy pomocy wspomnianego walca. Karczowały też tereny pod poletka uprawne. Krótko mówiąc: same szykowały miejsce swojej zagłady.



Widok obozu z lotu ptaka wg rekonstrukcji IPN.

Fot. Strona ipn.gov.pl

Wiosną 1943 roku nadano pracom mordercze tempo, by do nowych baraków móc sprowadzić kolejnych więźniów – prawdopodobnie z Zamojszczyzny. Ostatecznie do obozu zwieziono dzieci białoruskie, a trzydzieści tysięcy Dzieci Zamojszczyzny usytuowano w obozie przejściowym w Zamościu, skąd później przeniesiono je do Lublina – ale nie na Majdanek, tylko na ulicę Krochmalną. Te, których rodziców stać było na ich wykupienie, wysyłane były do szpitala Dzieciątka Jezus, a stamtąd po dwóch, trzech tygodniach mogły być zabrane do domu. Te, które nie zostały wykupione, Niemcy podzielili na zdolne i niezdolne do pracy. Pierwszą grupę powieźli do Rzeszy, a drugą – na Majdanek. Tak więc Dzieci Zamojszczyzny nie trafiły do obozu w Łodzi, bo ten

przewidziany był na dwa tysiące osób i chwilowo wypełniały go dzieci białoruskie.

Usytuowanie obozu w obrębie getta, czyli w podwójnym więzieniu, miało także uniemożliwić ucieczkę. Dodatkowym zabezpieczeniem było bezszczelinowe, wysokie ogrodzenie ze sztachet, zakończone wieżyczkami. Mimo to zdarzali się śmiałkowie – czy może desperaci – którzy podejmowali próby wydostania się na zewnątrz. Jednak nawet jeśli komuś udało się sforsować obozowe ogrodzenie, znajdował się na terenie bardzo dobrze strzeżonego getta, a tam nie można było liczyć na niczyją pomoc. Czasem żydowska policja zwracała obozowi zbiega, zanim wszczęto w nim alarm po ucieczce. W nagrodę czekał bochenek chleba. Uciekinierzy ginęli od strzałów lub lądowali w karcerze i bloku karnym. Efekt był ten sam. Ich męczarnie – ku przestrodze – oglądać musieli wszyscy podczas apelu. Wielu przypląciło ucieczkę jeśli nie życiem, to kalectwem. Na palcach jednej ręki można policzyć udane próby ucieczki z Łodzi. Większe szanse powodzenia dawała filia na folwarku w Dzierżąznej.

Dzieci zbiegały, bo wiedziały, że nie mogą liczyć na zwolnienie z obozu. Pierwszą grupę „zwolniono” dopiero w maju 1944 roku – jak poinformowano rodziny, „z powodu nienaganego zachowania”. Kiedy jednak na nazwiska tych dzieci wciąż przychodziły paczki, pozostali więźniowie domyślili się, że to fikcja. W rzeczywistości większość „zwolnionych” trafiła do obozów koncentracyjnych. W tych, które szczęśliwie wróciły do domów, bliscy długo nie mogli rozpoznać własnych dzieci.

Im bardziej zbliżał się front, tym intensywniej Niemcy rozważali likwidację obozu. Przygotowano już karabiny maszynowe na budynku Verwaltung, wzmocniono posterunki policji. Esesmani snuli się po obozie pijani, zaganiali dzieci do kopania rowów przeciwlotniczych. W nocy z 17 na 18 stycznia 1945 roku zaczęła płonąć Radogoszcz –

Hausch ostrzegł, że w razie nieposłuszeństwa dzieci w Łodzi spotka to samo. Słoczono je w dwóch blokach. Po kilku godzinach Niemcy w popłochu powiadali do samochodów i odjechali. Na nasze nieszczęście zdążyli wcześniej zniszczyć większość dokumentacji, która potwierdziłaby ich zbrodniczą działalność przy ulicy Przemysłowej, a jej ofiarom oddała sprawiedliwość.

Gdy obóz opustoszał, 19 stycznia dzieci powoli zaczęły opuszczać bloki. Poszły do magazynów z jedzeniem i odzieżą, ale nie wiedziały, co zrobić z odzyskaną wolnością. Około ośmiuset dzieci zaczęło włóczyć się po mieście. Część przygarnęli mieszkańcy Łodzi – ci, którzy się nie bali, bo większość obawiała się małych więźniów, czy raczej konsekwencji za pomaganie im. Częścią zajęło się miejskie pogotowie opiekuńcze. Inne rozpiezchły się po mieście, nieufne wobec dorosłych, i nocowały w opuszczonych sklepach oraz mieszkaniach. Jeszcze inne podjęły pieszą wędrówkę do oddalonych o setki kilometrów domów. Moja przedwojenna sąsiadka z Mosiny i współobozowiczka Ula Grenda z braćmi i dwoma innymi więźniami dystans Łódź–Poznań przemierzyła na nogach, trasa prowadziła też przez zamarzną Wartę. Dzieci przekazane do domów dziecka zwykle z nich uciekały, bo placówki były dla nich przedłużeniem obozu, tyle że o lżejszym rygorze i z lepszym jedzeniem. Zresztą ich opiekunom nie było łatwo nad nimi zapanować.

Nas – maluchy, które jeszcze nie zmarły „z przyczyn naturalnych” – Niemcy 30 sierpnia 1944 roku odesłali do obozu w Potulicach, by zatrzeć ślady po bezprawnym więzieniu nas w obozie „prewencyjnym” dla „młodzieży”. Przez całe życie prześladował mnie obraz jazdy na jednym z dwóch drabiniastych wozów wyściełanych słomą. Widzę dokładnie, jak siedzę z tyłu, po prawej stronie. Nagle ktoś podchodzi i kładzie mi na nogach ciężki, drewniany kufer. Ryczę, bo nie mogę wyciągnąć nóg. Dopiero na jednym ze spotkań Dzieci Przemysłowej

uświadomiono mi, że musiała to być podróż z Łodzi do Potulic, bo odbywała się ona właśnie drabiniastymi wozami.

Na miejscu okazało się, że panujące tam warunki były jeszcze gorsze niż w Łodzi. W Potulicach bowiem baraki stawiano naprędce: same deski, przez które śnieg i deszcz wpadały do środka, a ludzie, jak ich zabrano wiosną czy latem, tak wciąż chodzili w lekkich ubraniach. Było jednak o tyle lepiej, że przebywali tam również dorośli więźniowie. Prócz dzieci przetrzymywano także całe rodziny wysiedlane z Pomorza.

Przyzwyczajano nas do mówienia wyłącznie po niemiecku – za mówienie po polsku nie dostawało się tego, o co się prosiło, a w dodatku się obrywało. Uczono nas rysowania swastyki – do dziś zrobię to z zamkniętymi oczami i dwoma pociągnięciami ołówka. Jednak sceną z Potulic, która najsilniej wżarła mi się w pamięć, była ta z owczarkiem. Spałem z bratem na dolnej pryczy, głową od strony korytarza. Nagle się przebudziłem. Na wysokości swojej twarzy zobaczyłem ogromne zębiska i poczułem ciepłe powietrze z zięjącego pyska niemieckiego psa. Byłem śmiertelnie przerażony. Nie miałem nawet odwagi wrzasnąć. Natychmiast zaciągnąłem na głowę koc, by nie widzieć potwora, ale o spaniu nie było mowy. Trząśłem się ze strachu do samego rana.



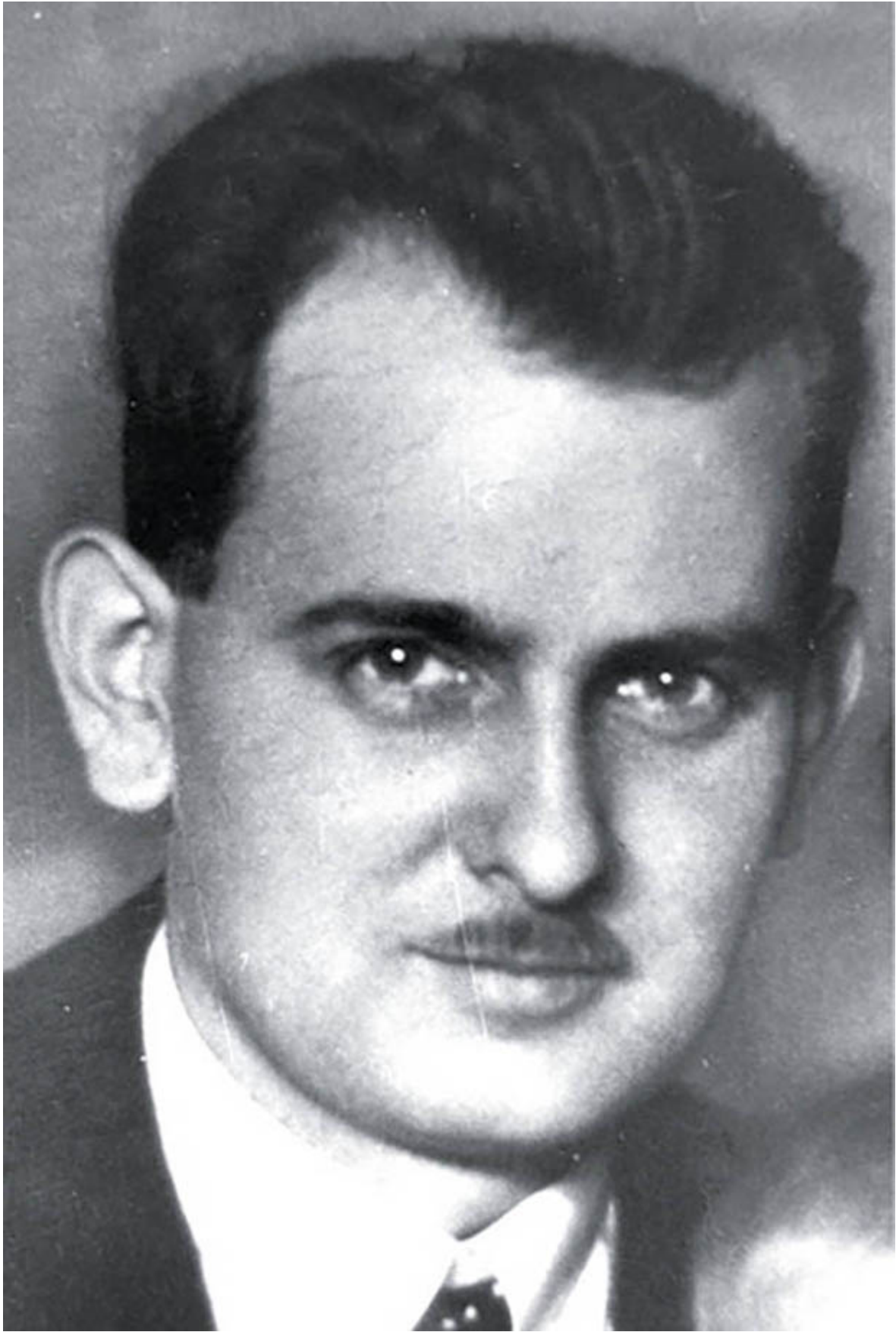
*Ciocia Marysia z mężem Franciszkiem i córką Tereską
w Białce tuż przed wojną.*

Fot. Archiwum prywatne Jerzego Jeżewicza

Przyszedł 21 stycznia 1945 roku. Łódzkie dzieci od dwóch dni cieszyły się wolnością, my dopiero mieliśmy ją dostać. Dzień wcześniej Niemcy wygonili nas z baraków i zagonili na plac. Usiedliśmy w kupie, żeby było cieplej. Szykowali nas do marszu. Mieli plan, by tych, którzy nie mogą iść, spalić w jednym z baraków. Ja z bratem – mali i schorowani – z pewnością byśmy w nim spłonęli. Niemcy nie zdążyli na szczęście zrealizować swoich zamiarów, bo front doszedł nadspodziewanie szybko. Zebrali więc zdolnych do marszu, popędzili przed sobą i zbiegli z obozu. Została grupa chorych, niedołączonych, najmłodszych dzieci. Te, które miały starsze rodzeństwo, odeszły z nim i rozpierzchły się po Potulicach. My zostaliśmy.

Tych, którzy dożyli poranka, zastały wozy Czerwonego Krzyża. Cztery dni później byliśmy już w Mosinie pod Poznaniem. W domu jednak nikt nie czekał. Zresztą gdzie był ten dom, pod jakim adresem? Skąd dwu- i czterolatek mieli to wiedzieć? Trafiliśmy z Edkiem do sióstr zakonnych, skąd zabrało nas bezdzietne małżeństwo Cabańskich. Klócili się przedtem o nas z jakąś panią, ostatecznie przekonali ją, że dadzą radę wychować nas obu. Szczęście w nieszczęściu, że nas nie rozdzielono. Przynajmniej na razie.

Nie wiedzieliśmy jeszcze, że rodzice nie żyją, a ciotki – Gabrysia, siostra taty, która była z nami w Łodzi, i Marysia, siostra mamy – są w obozach. Ciocia Marysia od dawna nie mieszkała już w Mosinie, więc nawet gdyby była w domu, to nie pod tym adresem. Z mężem i córką przenieśli się do Białki koło Krasnegostawu na Lubelszczyźnie, by uciec przed represjami rozpoczynającymi się w Wielkopolsce. Dotyczyły one „sprawy mosińskiej”.



Franciszek Witaszek przewodził konspiracyjnej grupie „witaszkowców”, walczących z Niemcami m.in. za pomocą bakterii. Działał w niej tata Jerzego Jeżewicza.

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

Mieszkańcy Mosiny w ramach sabotażu truli swoje bydło i niszczyli paszę, by nie trafiły w ręce Niemców. Działali w konspiracyjnej grupie mikrobiologa doktora Franciszka Witaszka, stąd ich nazwa „witaszkowcy”. W ramach Związku Odwetu, wojskowej organizacji sabotażowo-dywersyjnej powołanej przez Związek Walki Zbrojnej jeszcze w 1939 roku, grupa zrzeszała blisko trzydzieści osób, głównie lekarzy, inżynierów chemików i laborantów. Ale co pokazuje przykład mojego ojca, który był robotnikiem, miała sympatyków także w mniej naukowych środowiskach. Doktor Witaszek opracował specyfiki, które można by nazwać chemiczno-biologicznymi bombami z opóźnionym zapłonem. Dodane do restauracyjnych posiłków czy leków, w które zaopatrywali się niemieccy dygnitarze, niszczyły serce, nerki, śledzionę. Ale nie od razu. Śmierć następowała po dwóch miesiącach, by nikt nie skojarzył jej z wizytą w danej restauracji czy aptece.

Innym wynalazkiem witaszkowców był preparat, którego dodanie do baku z paliwem powodowało korodowanie, a wreszcie niszczenie silnika. W Zakładzie Bakteriologii Uniwersytetu Poznańskiego, przejętego zresztą przez Niemców, produkowali surowicę do szczepionek, dystrybuowanych później potajemnie do gett i obozów.

Wiosną 1942 roku Niemcy rozpracowali grupę i prawie w całości aresztowali. Byli pod wrażeniem inteligencji doktora Witaszka, dlatego zaproponowali mu współpracę, którą wysoko wycenili. Ten jednak odmówił. Na wszystkich wydali wyrok śmierci, zanim go jednak wykonali, torturowali ich osiem miesięcy w Forcie VII. Przed egzekucją, którą wykonali 8 stycznia 1943 roku, zapewnili, że to samo spotka rodziny witaszkowców. Prócz czterech ciał wszystkie spalono. Czterem

pozostałym odcięto głowy i umieszczono je w słojach z formaliną. Do słoja z głową doktora Witaszka załączono adnotację: „głowa inteligentnego polskiego masowego mordercy”.

Blisko jedna czwarta z setki mosińskich dzieci wywiezionych do obozu koncentracyjnego dla małoletnich Polaków w Łodzi miała mniej niż osiem lat. Wszyscy byliśmy „dziećmi terrorystów”. Najmłodszy z nas, Marek Zakrzewski, miał dwa lata i trzy miesiące.



Rodzina Marchelków od strony mamy Jurka – od lewej: siostra mamy Helena, mama (jeszcze panna), babcia, drugi z prawej dziadek, pierwszy z prawej mąż cioci Heleny Edmund, siedzi brat mamy Ignacy z dwiema córkami. Zdjęcie zrobiono w Mosinie przed wojną.

Fot. Archiwum prywatne Jerzego Jeżewicza

Ale obława na witaszkowców była zakrojona na skalę dalece wykraczającą poza najbliższe rodziny działaczy. Szukano wszystkich,

którzy nosili takie same nazwiska lub byli spokrewnieni z witaszkowcami. W ten sposób dotarli do siostry mojej mamy. Wystarczyło, że nosiła to samo panieńskie nazwisko, co moja mama – żona witaszkowca – i ją także ucapili. A przypomnę, że mieszkała już wtedy nie w podpoznańskiej Mosinie, ale w Białce na Lubelszczyźnie. Zabrali ją więc do lubelskiego zamku. Nie wiem, czy na Majdanku nie byłoby jej lepiej – tam zagazowali i po sprawie. Niemcy układali więźniów na podłodze w okrągłej kaplicy zamkowej baszty głowami do siebie, a nogami na zewnątrz i bili po piętach. Ludzie umierali w męczarniach. Po dwóch tygodniach Niemcy wywieźli ciocię do obozu w Oranienburgu, a stamtąd do Ravensbrück. Szczęśliwie jej męża i córkę zostawili w spokoju. Dzięki temu później miał kto utrzymywać rodzinę, bo ciocia po obozach nigdy nie odzyskała zdrowia i nie mogła pracować.



*Zima w Mosinie przed wojną: na sankach siedzą mama
i tata Jurka. Pierwsza z lewej u góry – ciocia Marysia
Nowak, po prawej dziadkowie od strony mamy.*

Fot. Archiwum prywatne Jerzego Jeżewicza

Z całej naszej rodziny w związku ze „sprawą mosińską” aresztowano osiemnaście osób. Jednego dziadka Niemcy zamordowali w poznańskim Forcie VII, drugiego zatłukli kijami, gdy w obozie w Żabikowie schylił się po marchewkę. Przeżyliśmy: ja, Edek, ciocie od strony taty: Gabrysia, Aniela i Sabina (Sabina jednak zmarła zaraz po wojnie) oraz rodzeństwo mamy – jej siostra Marysia i brat Ignacy. Ignacy też był w Auschwitz. Jako zawodowy stolarz od 1942 roku stawiał pierwsze baraki w Birkenau, dzięki czemu pewnie przetrwał do wyzwolenia obozu, ale po nim nie przypominał już człowieka. Gdy wrócił do Mosiny, dowiedział się, że ja i Edek jesteśmy u małżeństwa Cabańskich. Poinformował ciocię Marysię z Białki, że jak najszybciej należy nas stamtąd odebrać.

U Cabańskich mieliśmy co jeść i dach nad głową, a nawet swój pokój, ale był i rygor. Najwyraźniej było mi tam tak źle, że skłonny byłem odejść z kimkolwiek, kto mnie będzie chciał. Nasi opiekunowie uprzedzili nas, że przyjdzie jakaś rodzina, która chce nas zabrać. Jak tylko zjawili się ciocia Marysia z wujkiem Franciszkiem, przytargałem z przedpokoju stołeczek i usadowiłem się na nim obok ludzi, którzy przecież byli wówczas dla mnie obcy. A jednak czułem, że są bliżsi od tych, którzy się mną zajęli po obozie. Z pozycji stołeczka zadzierałem głowę i przysłuchiwałem się narastającym kłótniom o to, gdzie i z kim mamy się wychowywać. Kłótnie trwały dwa tygodnie. Ostatecznie brat został u Cabańskich, a ja pojechałem z wujostwem na Lubelszczyznę.

Pamiętam potworny strach, gdy wieczorem na stacji w Lublinie, gdzie przesiadaliśmy się do ciężarówki do Białki, nagle zostałem sam przed pojazdem. Ciocia i wujek już się do niego załadowali, ale zanim

wyciągnęli ręce, by mnie wciągnąć, zdążyłem pomyśleć, że po raz kolejny będę rzucony na pastwę losu, bez dorosłych, którzy mieli mi dać poczucie bezpieczeństwa. Rozpłakałem się i długo nie można mnie było uspokoić.

Po przyjeździe do domu ciocia natychmiast złożyła do sądu wnioski o przyznanie Edka jej rodzinie. On tymczasem zbierał cięgi u Cabańskich. Chodził już do pierwszej klasy. Raz przed wyjściem do szkoły opiekunka wysłała go, by zarejestrował kartki na żywność. Nie umiał powtórzyć słowa „zarejestrować” – dla siedmiolatka odwykłego od mówienia po polsku, a wcześniej nawet niewiele po polsku mówiącego, było to nie do przeskoczenia. Sprawy nie ułatwiał brak zębów, które stracił w obozie. Rozwścieczona Cabańska rzuciła w niego nożycami krawieckimi, ponieważ jednak miał iść do szkoły, opatrzyła mu ranę. Na ulicy dostrzegła go córka wujka Ignacego – brata mamy. Zaniepokojona widokiem nasiąkniętego krwią bandaża, zapytała, co się stało, a usłyszawszy poranną historię Edka, podwiozła go do szkoły motorem. Nakazała czekać po lekcjach, bo odbierze go ktoś z rodziny. Edek był przerażony – bał się, że jak Cabańska się o tym dowie, to go zabije. Wujek dał znać do Białki, że Edek jest u nich i że czas go zabrać od Cabańskich. Zanim jednak ciocia Marysia zdołała dotrzeć się pociągiem towarowym do Poznania, co w warunkach powojennych trwało miesiąc, ciocia Gabrysia zadeklarowała, że wyjedzie z nim na dwa tygodnie do swojej obozowej koleżanki. Dwa tygodnie jednak minęły, potem kolejne, i tak na następne dwanaście lat słuch o nich zaginął.

Traf chciał, że nasza sąsiadka z Białki wyszła za mąż za wojskowego i przeniosła się z nim do jednostki w Nysie. Raz w kolejce do kantyny posłyszała rozmowę dwóch pań o pewnym chłopcu, w której padło nazwisko Jeżewicz. Podeszła do nich i powiedziała, że także zna chłopca o tym nazwisku. Od słowa do słowa okazało się, że Edek i ja, Jurek, to

bracia. Zaczęła się korespondencja między Nysą a Białką. W sierpniu 1956 roku Edek przysłał mi list, do którego załączył swoje zdjęcie. Odesłałem mu własne i odpisałem, by przyjechał. Na stacji w Krasnymstawie odszukaliśmy się na podstawie tych zdjęć.

Przez te dwanaście lat u boku cioci Gabrysi Edek skończył szkołę podstawową, ale dalej się nie uczył – po przyjeździe do nas nie miał ani średniego wykształcenia, ani przysposobienia do zawodu. Dlaczego przez te lata ani on, ani ciocia Gabrysia nie dawali znaku życia, pozostanie tajemnicą. Ona nie chciała o tym mówić, a Edka nie dopytywałem. Wystarczyło mi, że go odzyskałem. Podejrzewam, że bawił tam dwójkę jej małych dzieci, był bowiem specjalistą w przewijaniu i kąpaniu niemowląt – najpierw swoich, potem także moich. Z zasady był ostry, ale w relacjach z dziećmi miał gołębie serce. Żaden z nas nie mógł patrzeć na złe traktowanie maluchów – na poszturchywanie, popychanie, pohukiwanie. Na moich Iwonę i Marka nigdy nie podniosłem ręki, choć syn potrafił mocno nabroić.

Po trzech latach u nas Edek poszedł do wojska, ożenił się i wrócił do Poznańskiego. Po roku i ja poszedłem w kamasze, ale zostałem w Lublinie, bo tu poznałem swoją przyszłą żonę.

Kilka miesięcy po tym, jak zamieszkałem u cioci Marysi i wujka Franciszka w Białce, szedłem ulicą, gdy usłyszałem:

– Skąd ty to, gówniarzu, masz?!

Obcy mężczyzna wrzeszczał na mnie, gdy dostrzegł znaczek Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych wpięty w klapę mojej marynarki. Biało-granatowe paski symbolizujące obozowe pasiaki otoczone są na nim drutem kolczastym, a litera „P” na czerwonym trójkącie oznacza Polaka. Nad grafiką widnieje skrót nazwy związku, PZBWP. Do dziś mam ten znaczek. Miałem sześć lat. Mężczyzna słusznie mógł podejrzewać, że identyfikator podprowadziłem jakiemuś

byłemu więźniowi reżimu niemieckiego. Nie czekał na wyjaśnienia, tylko zaprowadził mnie do siedziby związku.

– Zostaw go – powiedział prezes biura. – To nasz członek.

Sytuacja powtórzyła się kilkanaście lat później, gdy przeniosłem się za pracę do Lublina i próbowałem załatwić przeniesienie do innego oddziału związku. Podejrzewali, że wymyśliłem sobie więzienną przeszłość – wówczas o więzieniach i obozach dla małoletnich w Polsce nie wiedział prawie nikt. Do dziś spotykam się z deprecjonowaniem moich wojennych wspomnień: „A co ty możesz pamiętać, miałeś wtedy niecałe trzy lata” – słyszę. A oderwanie od rodziców, wyrwanie z domu to koniec świata dziecka. Ten koniec świata wrasta w psychikę. Na ciele z kolei do dziś noszę „pamiątki” obozu. Przez wiele lat były one jedynym materialnym dowodem istnienia tego miejsca, którego pamięć Niemcy sprawnie tuszowali.

Do związku zapisali mnie w 1946 roku ciocia i wujek. Nie wiem, czy u własnych rodziców miałbym lepiej niż u nich. Ale ciocia i wujek to wciąż ciocia i wujek. Kiedy pod koniec dnia rodzice zwoływali dzieci bawiące się na podwórku, ja wracałem do cioci i wujka, a nie do mamy i taty. Do domu szedłem zresztą sam, gdy tylko zbliżała się szarówka, by uniknąć spotkania z obcym dorosłym w ciemności. W nocy ciocia budziła mnie trzy, cztery razy, by mnie uspokoić. Do dziś budzę się czasem cały mokry.



Nowakowie (z prawej) i Jeżewiczowie (z lewej) podczas pikniku pod Mosiną, jeszcze przed wojną.

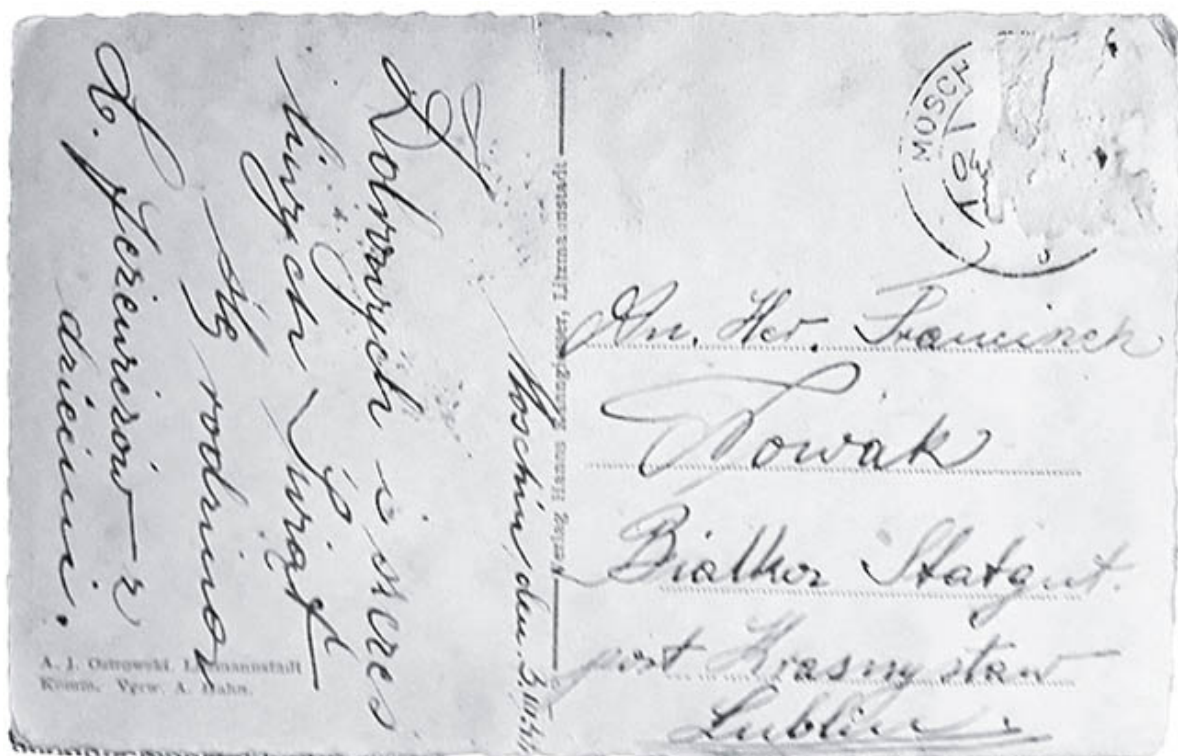
Fot. Archiwum prywatne Jerzego Jeżewicza

Od kiedy zamieszkałem u wujostwa i ich córki w Białce, domyślałem się, że moi rodzice nie żyją. Myślałem jednak, że jestem tam tymczasowo – aż pewnego wieczora podsłuchałem ich rozmowę, że zamierzają dać mi swoje nazwisko. Wskoczyłem z łóżka i spytałem, czemu nagle mam się nazywać Nowak, skoro zawsze byłem Jeżewicz, mam tak nawet w legitymacji kombatanckiej! Wówczas dowiedziałem się, że rodzice nie żyją, a ciocia i wujek mi ich zastępują. Miałem osiem lat.



Zegarek po mamie Jurka. Nie wiadomo, jak z domu w Mosinie trafił do cioci Marysi w Białce. Ciocia przekazała go Jurkowi razem z bransoletką z panięskimi inicjałami mamy, którą teraz nosi córka Jerzego Jeżewicza.

Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej



Pocztówka z życzeniami wielkanocnymi, którą tata Jurka wysłał do cioci Marysi mieszkającej z rodziną w Białce w marcu 1941 roku.

Fot. Archiwum prywatne Jerzego Jeżewicza

Aż dziewięćdziesiąt procent ocalałych z obozu dla dzieci w Łodzi straciło jednego z rodziców, wielu oboje, a bardzo wielu – całe rodziny. Niektóre dzieci, przedwcześnie dojrzałe, musiały stać się opiekunami rodziców, którzy przeżyli swoje wojenne koszmary. Maluchy z kolei zapomniały swoich rodziców. Miały szczęście, jeśli mogły poznać ich na nowo. Ja takiego szczęścia nie miałem.

Śmierci ojca byłem niemal pewien, choć póki się o tym nie usłyszy, całkowitej pewności nie ma, jeszcze tli się nadzieja. Jeszcze większą nadzieję miałem w stosunku do mamy. Od cioci Anieli, siostry taty, dowiedziałem się, że siedziały w jednym bloku w Auschwitz. Podczas jednego z apeli karnych dziesiątkowali barak – za przewinienie jednego z jego mieszkańców wyłaniano z rzędów co dziesiątego i wysyłano do gazu. Mama była dziesiąta. W drodze do krematorium zdążyła krzyknąć do cioci:

– Wiem, że dzieci żyją, zaopiekuj się nimi.

Był 14 stycznia 1944 roku. Jedenaście dni wcześniej, także w Auschwitz, zabito jej mamę, moją babcię. Dawno nie mam już nadziei na odzyskanie mamy, ale tęsknota za nią wraca w snach, wywołuje poczucie bezradności. Został mi po niej tylko malutki ręczny zegarek. A po tacie – pocztówka z Mosiny, którą wysłał do cioci Marysi na Wielkanoc 1941 roku.

Do przeszłości jednak nie było co wracać, dość trosk dostarczała teraźniejszość. Z obozu wyszedłem cały owrzodzony, miałem krzywe nogi, dużą głowę i wydęty brzuch, któremu sam się dziwiłem, a z powodu krwotoków ciągle przyjeżdżały do mnie karetki. Do trzynastego

roku życia miałem golone włosy i zakładaną sztuczną grzywkę. Miała ona przykryć najpierw rany po wszach, które przez kilkanaście obozowych miesięcy wgrzyzały się pod skórę, a potem blizny po nich. Przez trzy lata po wojnie leczyłem wypadanie odbyticy – skutek obozowej diety. Wczesna interwencja pozwoliłaby na szybkie uporanie się z problemem, ale w obozie o szczęściu mogliśmy mówić wówczas, gdy się nie dostało lania. O istnieniu opieki medycznej nie mieliśmy pojęcia. Zaległości w tej materii nadrabiałem przez kilka kolejnych lat po wojnie – tułałem się po lekarzach i szpitalach, wiele razy byłem w stanie krytycznym. Ropa cieknąca z uszu i oczu były drobnostką wobec wrzodów na żołądku i dwunastnicy. W czasie ataków ulgę przynosiło mi siedzenie z podkurczonymi kolanami. Czasem w pracy przesiadywałem tak nawet osiem godzin – koledzy na szczęście rozumieli. Lekarze latami rozkładali ręce. Dopiero w wieku trzydziestu lat trafiłem do takiego, który miał ultrasonograf.

– Tu nic nie jest na swoim miejscu! – powiedział. – Wszystko pokiereszowane.

Wspomniałem mu o obozie i już nic więcej nie musiałem mówić. Wyleczył mnie jednak dopiero zielarz, na którego trafiłem po czterdziestce i który po sześciu latach kuracji wyprowadził mnie z chorób i cierpienia.

Dożyłem osiemdziesiątki, mogę mówić o szczęściu. Z dzieci osadzonych w obozach wolności dożyło co dziesiąte. Co trzecie, może co czwarte, zmarło zaledwie trzydzieści lat po wojnie. Opiekunki z pogotowia opiekuńczego w Łodzi wspominały, że dzieci z obozu różniły się od pozostałych. Przyłgnęła do nich łatka „tych z lagru”. W pierwszym okresie nasycaly długo niezaspokajany głód, w czym były podobne do zwierzątek. Obecnych wychowawców nie odróżniały od tych obozowych i rzucały się na nich. Kradły jedzenie kolegom i z magazynu. Ponoć żaden z opiekunów nie był w stanie wytrzymać z nimi

dłużej niż tydzień. Z czasem otrzymane ciepło, odzież i pożywienie przekonały je co do dobrych intencji zakładu. Długo jednak nie przekładało się to na zaufanie wobec dorosłych. Dzieci źle reagowały na zbiórki, chodzenie parami, dźwięk gwizdków. Wobec podopiecznych bez obozowych doświadczeń miały kompleks niższości – były bowiem zapóźnione w nauce.

Badania psychologiczne w łódzkiej poradni wykazały liczne skrzywienia psychiczne wywołane ciągłą walką ze śmiercią. Wszystkie te dzieci wymagały pomocy, ale jak pomóc skrzywdzonym w sposób, dla którego dotychczasowa nomenklatura psychologiczna nie znajdowała odpowiedniego słownictwa, nie mówiąc o nikłej znajomości materii? Psychologowie, psychiatrzy, pracownicy opieki społecznej sami musieli najpierw nauczyć się pomagać w tej niespotykanej dotąd sytuacji. Było to o tyle trudniejsze, że wojna zdemoralizowała dzieci, należało więc ostrożnie balansować między karaniem a wychowywaniem.

Gdzieś przeczytałem, że niezaspokojona potrzeba bezpieczeństwa, brak miłości i przytulania znacznie obniżają odporność. W połączeniu z biologicznym wycieńczeniem młodego organizmu może to prowadzić do śmierci. Tak więc dzieła, którego nie dokonały karabiny maszynowe, dopełniła bezbrzeżna i nieutulona tęsknota. Tuż po wojnie pedagodzy nazywali to klęską elementarną – elementarną, bo dotyczącą elementarnych potrzeb małego człowieka i podstawy przyszłego społeczeństwa, jaką stanowią dzieci i młodzież. A te pozbawione były najważniejszych praw człowieka, a także prawa do szacunku i bezwarunkowej miłości – przywileju dzieciństwa.

To, z czym się zmagamy, lekarze nazywają kompleksem wojennym. Na najgłębsze urazy, jak twierdzą specjaliści, narażone były dzieci najmłodsze oraz te pozbawione domu i rodziny. Niezależnie od wieku na tych, którzy napatrzyli się na egzekucje, śmierć najbliższych czy walki powstańcze, najbardziej destrukcyjnie wpłynęły oswojenie się ze

śmiercią i przekonanie o małej wartości ludzkiego życia. Ale kompleks wojenny to także: poczucie winy wobec tych, którzy nie przeżyli, drażliwość i skłonność do płaczu, koszmary senne o podłożu lękowym oraz lękliwość na jawie, choroby psychiczne i psychonerwice. Nasza walka o życie nie ustała wraz z wystrzeleniem ostatniego wojennego pocisku.

Mój znajomy Janek Maciejewski, który jako dwunastolatek otrzymał w obozie numer 966, do końca życia, gdy słyszał liczebnik rozpoczynający się od „dziewięćset”, zamierał. Nazywany był też bandytą, polską świnią – wbijano mu to do głowy pałkami, próbowano odebrać mu człowieczeństwo. Do obozu trafił z młodszym bratem i dwiema młodszymi siostrami; o trzeciej siostrze, ośmiomiesięcznej, słuch zaginął. Myśleli, że została zniemczona i oddana niemieckiej rodzinie na wychowanie. Janek widywał dobrze ubrane Niemki, które przychodziły do obozu po swoje przyszłe dzieci. Ciekawe, czy i mną któraś z nich się zainteresowała? Tę najmłodszą siostrzyczkę Janek odnalazł po wojnie – nigdy nie dowiedzieli się, co się z nią w czasie wojny działo. Do końca życia im o tym nie opowiedziała. Mogę się jedynie domyślać, co przeżywała.

Trudna do oszacowania liczba więźniów obozu koncentracyjnego dla małoletnich Polaków w Łodzi oscyluje wokół kilku, kilkunastu tysięcy. Józef Witkowski, autor pierwszej monografii poświęconej obozowi, a zarazem jego były więzień, mówił o dwunastu tysiącach, z których przeżyło dziewięćset osób. Współcześni historycy są ostrożniejsi i mówią o trzech tysiącach więźniów. W połowie kwietnia 1943 roku było ich trzysta pięćdziesięciu, pod koniec tego samego miesiąca już tysiąc siedemset pięćdziesięciu siedmiu, a we wrześniu – pięć tysięcy ośmiuset dziewięćdziesięciu dziewięciu. Numery więźniów z Mosiny, przywiezionych 14 września 1943 roku, zaczynały się od liczby tysiąc. Wiem, że były w nim osoby, których numer zaczynał się od siedmiu

tysięcy... Rozbieżności w tym zakresie jest wiele, i o taki też chaos Niemcom, systematycznym przecież i uporządkowanym do bólu, chodziło.

Niemcy zniszczyli ewidencję transportów, celowo zaniżali też liczbę zgonów, by zminimalizować skalę zbrodni. W obozie odnaleziono siedemdziesiąt sześć aktów zgonu. Lekarz odwiedzający obóz twierdził jednak, że w jednym tygodniu umierało tylko jedno, dwoje dzieci, co już dałoby sto kilkadziesiąt ofiar. A przecież i lekarz nie wiedział wszystkiego – choćby o tych dzieciach, które wyszły do pracy i już z niej nie wróciły. Tych statystyki nie obejmowały, a ich liczby szły pewnie w dziesiątki dziennie.

Wspomnianego Józefa Witkowskiego dziś często się szkaluje, że był ubekiem. Nawet gdyby był, relacji na temat obozu, które zebrał od trzystu byłych więźniów, do których jeździł po całej Polsce, nie powinno to podważać. Mieszkał u mnie prawie miesiąc i widziałem, jak rzetelnie bada temat obozu. Został niejako wywołany do tablicy. Chciał bowiem zapomnieć o przeżyciach okupacyjnych, gdy w 1965 roku wpadł mu w ręce *Reportaż z pustego pola* Wiesława Jażdżyńskiego. Oczy otwierały mu się ze zdumienia, gdy czytał o oprawcach, którzy nie dość, że zostali w nim podniesieni do rangi „personelu”, to jeszcze przedstawieni zostali jako bohaterzy, którzy w obozie dwoili się i troili, by ratować polskie dzieci.

Dowiedział się o „alternatywnym życiorysie” Eugenii Pol, która do Dzierżąznej zabrała rzekomo gitarę, a „dziewczęta śpiewały razem z nią, urządzały zabawy w podchody, berka kucanego”. Ślady tych „zabaw” wielu więźniów nadal miało wypisane na skórze. Niektórzy z nich mogli przedstawić je sądowi na rozprawie Eugenii Pol, po innych zostało tylko świadectwo zgonu, albo nawet nie. Okazało się, że wobec braku materialnych śladów istnienia obozu autor reportażu oparł swoją

opowieść na relacji więźnia, w czasie pobytu w Łodzi ośmioletniego, kilku jego kolegów oraz... Polowej, których posadził przy jednym stole.

Upowszechnianie podobnych kłamstw zmotywowało Witkowskiego do zgłębiania historii obozu na podstawie dostępnych publikacji. Były one jednak rozproszone, a od wojny minęły dwie dekady, postanowił więc czym prędzej stworzyć monografię tego miejsca zagłady polskich dzieci. Oprócz opowieści byłych więźniów zebrał także kilkaset relacji ich krewnych, osób, które o nich słyszały, a także Polaków zatrudnionych w obozowych warsztatach. Znalazł setki listów, fotografii i dokumentów, także niemieckich, których okupant uciekający w popłochu nie zdążył spalić. Tych ostatnich nie należy jednak przeceniać – są niepełne, często sfalszowane. Część dokumentacji w ogóle nie powstała, by nie pozostały ślady zbrodniczej działalności Niemców przy ulicy Przemysłowej w Łodzi. Witkowski zgłębił Archiwa Państwowe w dziesięciu miastach, doprowadził do poddania badaniom lekarskim byłych więźniów. Ich wyniki posłużyły jako dodatkowy akt oskarżenia.

Do lat siedemdziesiątych obóz pozostawał zapomniany, a popełnione w nim zbrodnie podawano w wątpliwość. Na jego terenie powstały w Łodzi dwie szkoły i bloki mieszkalne. Na zapomnienie skazali go już sami Niemcy na etapie tworzenia. Zależało im, by fakt przetrzymywania w nim i zmuszania do pracy dzieci poniżej dwunastego roku życia nie ujrzał światła dziennego. Wiedzieli, że łamią prawo międzynarodowe, a nie mieli ochoty się z tego rozliczać.

W latach dziewięćdziesiątych Helmut Kohl wyraził chęć zadośćuczynienia ofiarom obozu w Łodzi. Pod pretekstem zbierania dowodów potrzebnych do wypłacania odszkodowań przysłał tu niemieckich adwokatów, którzy od byłych więźniów zebrali dokumenty, artefakty, nawet wykonane przez nich krótkie filmy krótkometrażowe.

Wiele osób straciło w ten sposób nie tylko pamiątki rodzinne, lecz także dowody.

Kiedy z bratem upomnieliśmy się o odszkodowanie za pobyt w obozach, w archiwach w Bydgoszczy znaleziono tylko dokumenty potwierdzające nasz przyjazd do Potulic. Potwierdzenia aresztowania 10 września 1943 roku i przywiezienia do obozu w Łodzi cztery dni później nigdzie nie było, więc i odszkodowania za nie być nie może. Co ciekawe, mieliśmy z bratem identyczne dokumenty, bo nasza historia była bliźniacza, ostatecznie jednak komisja Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie w Warszawie przyznała Edkowi odszkodowanie, a mnie nie. Otrzymałem je dopiero po odwołaniach. Nie ja jeden zresztą byłem w takiej sytuacji.

W regulaminie fundacji znajdował się zapis o przyznaniu odszkodowania ocalałym dzieciom rodziców, którzy zginęli w czasie wojny. Na mój wniosek dostałem jednak odpowiedź odmowną. Argumentowano, że moje żądanie nie ma uzasadnienia w regulaminie. Okazało się, że w międzyczasie fundacja pomnożyła liczbę ofiar przez środki, które musiałaby im wypłacić, i... wykreśliła ten punkt z regulaminu.

Pytają mnie czasem, co bym powiedział, gdybym rozpoznał na ulicy jednego z obozowych oprawców. Nic bym nie powiedział, wytoczyłbym mu proces. Tylko czy mógłbym liczyć na poważne traktowanie? Ambasadorem Niemiec w Polsce od 2020 roku jest Arndt Freytag von Loringhoven⁴, syn majora Bernda Freytaga von Loringhova, adiutanta Adolfa Hitlera do spraw wojsk lądowych. Nie wyobrażam sobie, jak może uczestniczyć w rocznicowych wydarzeniach razem z ofiarami reżimu, któremu służył jego ojciec. Rozumiem, że dzieci nie odpowiadają za czyny swoich rodziców, ale czy naprawdę w osiemdziesięcioletnim kraju nie znaleziono na to stanowisko kogoś nieobciążonego historycznym bagażem? Czy w sytuacji, gdy rany

wojenne wciąż się nie zabiżniły, służy to polsko-niemieckiemu pojednaniu? Czy na podobny krok Niemcy zdecydowaliby się wobec Izraela? Niech więc ten komentarz posłuży za podsumowanie sytuacji kombatantów, którym współczesność śmieje się w twarz.



*Ciocia Marysia z mężem Franciszkiem i córką Tereską
w Białce tuż po wojnie.*

Fot. Archiwum prywatne Jerzego Jeżewicza



*Rodzice Jurka z córkami wujka Ignacego – brata mamy –
w Mosinie przed wojną.*

Fot. Archiwum prywatne Jerzego Jeżewicza

A śmieje się tak od 1949 roku, gdy do Związku Byłych Więźniów Politycznych zaczęto wciągać tych, którzy „utrwalali władzę ludową”. Nie musieli oni dostarczać dowodów na represjonowanie, wystarczyło, że trzech świadków potwierdziło taki „fakt” ustnie. W tym samym roku z jedenastu organizacji kombatanckich i zrzeszeń więźniów obozów hitlerowskich, które władze komunistyczne zmusiły do połączenia, powstał ZBoWiD, czyli Związek Bojowników o Wolność i Demokrację. W jednym worku znaleźli się: żołnierze, organizacje zbrojne walczące o wolną Polskę od 1918 roku, organizacje konspiracyjne z czasów drugiej wojny światowej, więźniowie obozów koncentracyjnych oraz... działacze komunistyczni, robotniczy, ubecja i członkowie Milicji Obywatelskiej. Plus wdowy i sieroty po zamordowanych lub poległych. Podczas gdy ja, mały więzień dwóch obozów, w których spędziłem

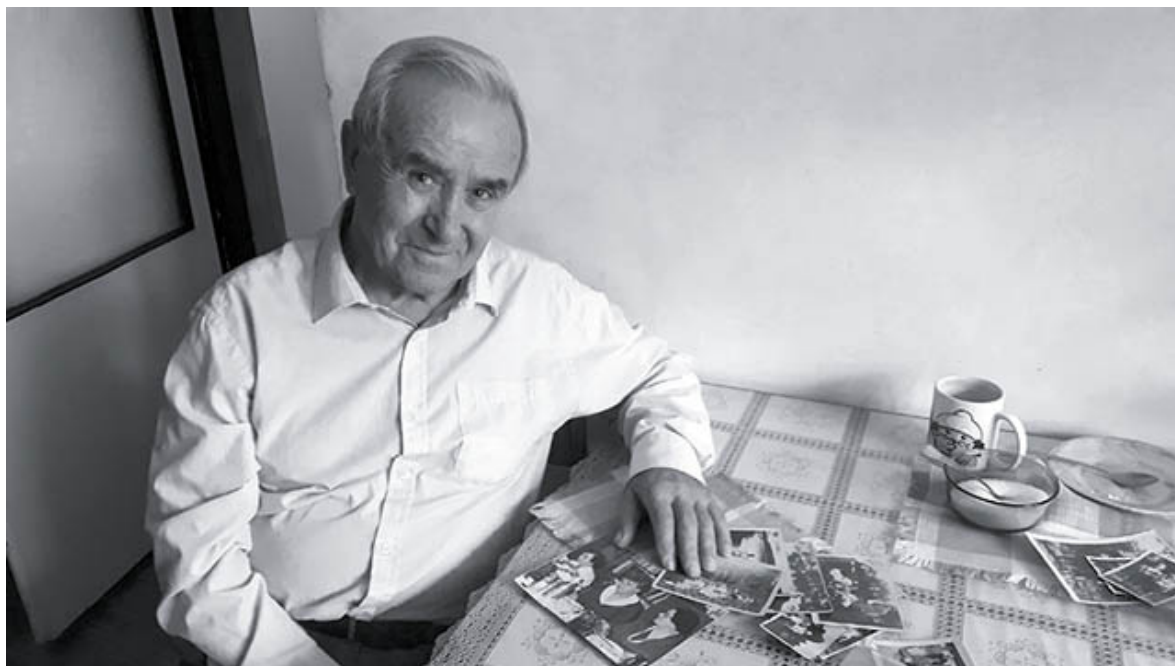
rok i siedem miesięcy, odszkodowanie dostałem za miesiąc Potulic, wdowy po ubekach do dziś czerpią profity za ich antypolską działalność.

Na czele organizacji stał najpierw komendant główny milicji Franciszek Józwiak, a potem: Stanisław Moczar, Józef Cyrankiewicz, Piotr Jaroszewicz, Henryk Jabłoński. Szeregowymi członkami byli zaś Michał Żymierski, Władysław Gomułka, Edward Gierek, generał Wojciech Jaruzelski, generał Czesław Kiszczak, czyli peerelowscy notable. Poza nawiasem tej społeczności znaleźli się żołnierze AK, przez co pozbawieni zostali praw i przywilejów kombatanckich. To bowiem ZBoWiD zatwierdzał i weryfikował wszelkie uprawnienia.

Do dziś w walce o odszkodowania napotykam ubecki mur. Pamiętam, jak premier Leszek Miller wygłosił na Majdanku płomienne przemówienie na temat dzieci represjonowanych w czasie drugiej wojny światowej, po czym bezceremonialnie odebrał nam uprawnienia jako inwalidom wojenno-wojskowym. Miałem legitymację poświadczającą je, ważną bezterminowo. Uprawniała do stuprocentowej zniżki na przejazdy komunikacją. Zamiast tego – zrównani przez premiera z osobami represjonowanymi – otrzymaliśmy trzydziestosiedmioprocentową zniżkę. A przecież szanse przeżycia w obozach koncentracyjnych – czy raczej ryzyko śmierci – było takie samo jak u frontowców. Obozy to nie były zwykłe represje. To była planowa zagłada.

Na mur napotykam także w walce o pamięć ofiar drugiej wojny światowej – żyjących i nieżyjących. Jedną z cegiełek tego muru jest mówienie o „nazistach”. A kiedyż to Niemcy przepoczwarzyli się w ten bezpieczeństwa twór? Otóż było to w 1960 roku, gdy do hotelu Waldorff Astoria w Nowym Jorku premier Izraela Ben Gurion zaprosił kanclerza Niemiec Konrada Adenauera i oświadczył wobec niego, że skoro „dzisiejsze Niemcy nie są Niemcami wczorajszymi”, to w żydowskiej modlitwie za ofiary drugiej wojny światowej będą odtąd występować

jako „naziści”. Tak określano członków NSDAP, czyli Narodowo-Socjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników, a należał do niej – bagatela – co czwarty dorosły Niemiec. Czytałem niedawno, że na pytanie o narodowość owych „nazistów” amerykańscy studenci odpowiadają: „Polacy”...



*Jerzy Jeżewicz nad pamiątkami rodzinnymi w swoim domu
w Lublinie latem 2021 roku.*

Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej

Długo nie mogłem mówić o obozie. Nie tylko dlatego, że trafiłem tam jako niespełna trzylatek i zwyczajnie brakowało mi słownictwa do opisanego tego, co tam przeżyłem. Nawet kiedy mi się śni – a obóz najczęściej wraca nocą – nie śnią mi się konkretne wydarzenia, ludzie czy sceneria. Męczą mnie wówczas te same demony lęku, które narodziły się w obozie i które na długie lata zdominowały moją osobowość. Długo nie mogłem mówić o obozie również dlatego, że trauma odbiera możliwość samego mówienia. U byłych więźniów lekarze często stwierdzali afazję.

Obóz jednak od zawsze we mnie tkwi – z nim kojarzą się wspomnienia najwcześniejszego dzieciństwa. Z mojego ciała, pełnego poobozowych ran, czytać można jak z pamiętnika. Obozu nie mogę z siebie wydrzeć, wrósł we mnie i wciąż się mną żywi niczym nowotwór.

Jerzy Jeżewicz

[4](#) Między rozmową z Jerzym Jeżewiczem a publikacją książki – 30 czerwca 2022 r. – Arndt Freytag von Loringhoven przestał pełnić funkcję ambasadora Niemiec w Polsce.

Staś (ur. 1941)

ZIEMIA ŚWIĘTA, ZIEMIA
PRZEKLĘTA



*Ludność Pomorza najpierw pozbawiono domów na rzecz
niemieckich osiedleńców, a potem osadzono w obozie
przejściowym, który od koncentracyjnego różnił jedynie
brak krematoriów.*

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

Mamo, na co czekamy? – zapytałem.

– Ja nie jestem twoją mamą, Stasiu. Twoja prawdziwa mama właśnie po ciebie przyszła – odpowiedziała ciocia, a w drzwiach stanęła znajoma mi, choć dawno niewidziana kobieta. Rozstaliśmy się, gdy miałem dwa lata, minęły kolejne dwa.

– Poznajesz mnie? – zapytała „prawdziwa mama”.

Wpatrywałem się w nią intensywnie, wreszcie powiedziałem:

– Poznaję.

– A po czym? – chciała wiedzieć.

– Po okach.

W te oczy musiałem patrzeć z ufnością, gdy karmiła mnie jako niemowlę, gdy szedłem do niej, stawiając swoje pierwsze kroki, choć zanim się urodziłem, bała się mojego przyjścia na świat.

– Poczekaj, jeszcze ci się przyda – powiedział jej ksiądz, któremu zwierzyła się ze swych obaw co do kolejnej ciąży.

Jego słowa okazały się prorocze, to u mojego boku bowiem mama dożyła swoich dni.

Mama, podobnie jak tata, pochodziła z okolic Przemyśla. Urodziła się w zaborze austro-węgierskim, uchodzącym za najmniej represyjny, miała więc szczęście pobierać nauki w polskiej szkole. Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, jej tatę zabrano na front, gdzie zresztą spotkał się ze swym najstarszym synem. Jej matka, a moja babka, sprzedała cały majątek Żydowi, ale dostała za niego grosze, bo przyszła inflacja. I tak

została bez męża, bez najstarszego syna, bez pieniędzy i domu, za to z piątką dzieci. Zapakowała manatki, zabrała córki, syna i poszła na dworzec rozpytywać ludzi, gdzie warto się osiedlić, by było spokojnie i do kościoła blisko. Ktoś jej doradził Ślesin – miejscowość niedaleko Nakła nad Notecią – to wsiadła w pociąg i wysiadła dopiero w tym Ślesinie.

Nie było to miejsce marzeń, choć mojej mamie, która liczyła sobie już wtedy dwadzieścia wiosen, udało się tam znaleźć dobrą pracę. Pięć kilometrów za Ślesinem znajdował się majątek hrabiny Potulickiej, w którym zatrudniła się jako pomoc domowa. Namówiła babcię, czyli swoją mamę, do przeniesienia się do Potulic, na co ta przystała, wkrótce jednak zmarła. Z wojny tymczasem wrócili ciężko ranny tata mamy, który także niedługo potem zmarł, oraz najstarszy brat mamy. On również zamieszkał w Potulicach i zatrudnił się w urzędzie. Tamtejsi urzędnicy – w przeważającej większości słabo mówiący po polsku – mieli mu to za złe, bo czuli z jego strony zagrożenie. Ciężko im było o dobrze płatną posadę urzędniczą; gdy ją więc dostali, bali się ją stracić na rzecz dobrze władającego polszczyzną młodziana.



Tak Pałac w Potulicach wyglądał jeszcze w 1941 roku.

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

Rodzina mojego taty także mieszkała w okolicach Przemyśla, ale że mój dziadek pracował przy budowie kanałów na ziemiach polskich i za granicą, mojemu tacie przyszło urodzić się w Białym Kamieniu koło Lwowa, do szkoły zaś chodził w Czechach. Gdy dziadek jechał budować Kanał Bydgoski, także zabrał całą rodzinę, w tym mojego tatę, który był już wówczas dorosły i pracował jako robotnik. Bydgoszcz dzieli od Potulic zaledwie dwadzieścia kilometrów, tacie i mamie nie brakowało więc pewnie okazji do poznania się. Zakochali się w sobie i planowali ślub, ale hrabina Potulicka – pracodawczyni mamy – nie chciała słyszeć o takim mezaliansie. Ostatecznie dała się przekonać argumentem o udziale narzeczonego pracownicy w pierwszej wojnie światowej. W prezencie ślubnym dała im krowę cielną, a mojego przyszłego tatę zatrudniła do osobistej ochrony.

Ród Potulickich herbu Grzymała związany był z Potulicami od XVI wieku. W połowie XIX wieku w miejscu rodzinnej rezydencji hrabia Kazimierz Wojciech Potulicki zbudował neogotycki pałac i otoczył go pięknym parkiem. To był jeden z największych tego typu budynków w Wielkim Księstwie Poznańskim, a składały się nań: dwupiętrowy budynek główny z tarasem i kolumnami oraz jednopiętrowe skrzydło. Razem tworzyły literę „L”. Pośrodku rzucały się w oczy wielkie, półkoliście zakończone okna – za nimi hrabiostwo miało pewnie salon. Jediną spadkobierczynią obiektu była hrabina Aniela Potulicka, najmłodsza z pięciorga rodzeństwa. Jej ojciec wiedział, co robi, gdy zapisywał majątek właśnie jej – była nie tylko świetnym gospodarzem tego miejsca, lecz także patriotką, udzielała się społecznie i charytatywnie. Sytuacja z moją mamą i jej zamążpójściem pokazuje, że hrabinie nie były obojętne losy także tych osób, które u niej pracowały. Wiedziała, że umrze bezpotomnie, dlatego założyła fundację – przychody z majątków klucza potulickiego zasilać miały Katolicki Uniwersytet Lubelski, który powstał wraz z odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Sam pałac z kolei – razem z sześćdziesięciohektarowym parkiem – przekazała na rzecz Towarzystwa Chrystusowego. Na swoje szczęście zmarła w 1932 roku, nieświadoma tego, co z jej spuścizną zrobi niemiecki okupant.

Fundacja Potulicka zarządzała pałacem do 1939 roku, gdy ulokowały się w nim władze niemieckie. Początkowo utworzyły tam one szkołę dla podoficerów SS, potem przekształciły ją w obóz przesiedleńczy dla Polaków, a w 1942 roku – w obóz karny. Trafiłem do niego jako dwulatek. Co zbroiłem? Byłem synem swoich rodziców, a oni byli Polakami. Za to płaciło się wtedy nawet najwyższą cenę. Zaraz po tym, jak zaczęto umieszczać tam pierwszych Polaków z naszej wsi, mama i tata uczestniczyli w przekazywaniu im jedzenia i listów. W wiosce żyło się jak w rodzinie, wszyscy tak robili.

Jak wskazywała na to sama kategoria obozu przesiedleńczego, jego pierwsi „pensjonariusze” zostali wygnani z własnych domów i gdzieś trzeba ich było tymczasowo ulokować. Od listopada 1940 roku do obozu przesiedleńczego trafiały rodziny, które przesiedlano z Pomorza do Generalnej Guberni. W marcu 1941 roku zaniechano przesiedleń, a ludzi zwyczajnie eksmitowano – trafiali oni do rodzin w okolicznych powiatach. Takie działania przynajmniej nosiły znamiona biurokracji, wcześniej bowiem, zaraz po wejściu okupanta na te tereny, wystarczyło, że miejscowi Niemcy wnioskowali o wysiedlenie rodziny z danego gospodarstwa czy mieszkania, by wkrótce sami mogli je zająć. A chodziło o miejsca prestiżowe, luksusowe, dobrze rozwinięte. Przewodowali w tym członkowie Selbstschutzu – paramilitarnej organizacji złożonej z etnicznych Niemców zamieszkujących polskie tereny. Pod byle pretekstem doprowadzali do wyrzucania ludzi z ich własnych domów. Wyganiani dostawali kwadrans na spakowanie dwudziestopięciokilogramowego bagażu, w tym jedzenia, ale nie na dłużej niż trzydzieści sześć godzin. Meble i sprzęty domowe zostawały, rzecz jasna, w opuszczanych lokalach. Transport ludzi odbywał się w warunkach, jakich niektórzy nie przeżyli – żywi kopali groby umarłym podczas postojów.



*Członkowie Selbstschutzu – paramilitarnej organizacji
złożonej z etnicznych Niemców zamieszkujących polskie
tereny.*

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

Niemcy musieli się sprężyć, bo zgodnie z planami z początków wojny z Polski należało usunąć osiem milionów Polaków, by zrobić miejsce rozszerzającemu się imperium niemieckiemu. Na szczęście władze Generalnej Guberni zaczęły protestować, bo nie były w stanie przyjąć takiej masy ludzi, ostatecznie więc wysiedlonych zostało „tylko” milion siedemset tysięcy Polaków. Dotychczasowe dzikie wysiedlenia Niemcy zaczęli regulować, a jedną z regulacji było umieszczanie wysiedleńców w obozach przesiedleńczych, między innymi w Potulicach. Nazwa nikogo nie powinna jednak zwieść, tak samo jak nazwa „obóz pracy” czy „obóz internowania” – to był obóz koncentracyjny tak samo jak ten w Auschwitz, na Majdanku czy

w Treblince. Wszystkie one nastawione były na powolną eksterminację polskiej ludności, tak by jej liczbę ograniczyć z czasem do grupy niewolników. Ci, którzy nie umarli z głodu, zimna, chorób, a zostali przez Niemców uznani za „wartościowych”, kierowani byli do robót przymusowych. Dzieci o wyglądzie aryjskim z kolei przeznaczano do adopcji przez niemieckie rodziny. „Badania rasowe” pod tym kątem prowadzono także w Potulicach.

Do lutego 1941 roku obóz w Potulicach z przesiedleńczego przekształcił się w obóz pracy podległy obozowi w Stutthofie. Nazwa Potulitz zmieniła się na Lebrechtsdorf, a od stycznia 1942 roku więzienie było już obozem karnym. Początkowo więźniowie zamieszkiwali budynek pałacu, który tymczasem wyposażono w prycze – ludzie spali na nich lub na wyłożonej słomą podłodze. Z czasem dostawiono trzy baraki – długie na siedemdziesiąt i szerokie na osiem metrów, sklecone z desek miały szpary, którymi wlażyło robactwo, wlatywał deszcz i śnieg. Zimą ludzie budzili się z ubraniami przymarzniętymi do słomy. Potem obóz rozbudował się – oczywiście rękami samych więźniów – do trzydziestu baraków oraz budynku gospodarczego z kuchnią. Musieli oni wyrównać glinianą powierzchnię ziemi. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety rąbali kilofami twardą glinę, po czym ładowali ją na wózki posadowione na szynach i sami pchali w kierunku doliny.

Materiał na baraki – wielkie kłocze – mężczyźni znosili z lasu na plecach; kobiety z kolei pozyskiwały cegły, belki i deski z budowli rozbieranych kilometr dalej i zносиły je na miejsce nowych baraków – ile takich kursów wszyscy oni robili każdego dnia, trudno zliczyć. Wachmani nie szczędzili przy tym razów osłabionym więźniom, którym zdarzało się zataczać pod ciężarem materiałów czy zemdleć. Do budowy baraków, a także budynków mieszkalnych dla załogi obozu Niemcy zaganiiali również osoby z zewnątrz, które przynosiły więźniom paczki – taka była cena zobaczenia się z bliskimi. Baraki powstawały tam, gdzie

wcześniej pochowano pierwsze ofiary obozu. Cały teren otoczony był płotem z siatki zwieńczonej drutem kolczastym. Niektórzy twierdzą, że ogrodzenie było pod napięciem. Co jakiś czas rozstawione były budki wartownicze, dodatkowo teren osłaniał wał ziemny, by nie dało się z daleka zobaczyć, co się za nim dzieje.



Takimi prowizorycznymi torami i wagonikami więźniowie musieli transportować materiały budowlane.

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

My do obozu trafiliśmy w 1943 roku – rodzice, jako skazani za pomaganie już uwięzionym, plus my: czternaście lat ode mnie starsza siostra Bolesława, osiem lat starszy brat Franciszek i ja. Momentu aresztowania nie pamiętam. Jako że byliśmy miejscowi, uniknęliśmy makabrycznego transportu wagonami towarowymi, podczas którego ludzie umierali na stojąco bez wody i jedzenia, w złych warunkach sanitarnych i w mrozie. Ci, którzy zdołali dojechać do Nakła nad Notecią, szli jeszcze osiem kilometrów do Potulic.

Nie pamiętam też samego wejścia do obozu otoczonego drutem kolczastym. Nie pamiętam krzyjących wartowników – wtedy jeszcze miałem przy sobie rodziców, którzy dawali mi poczucie bezpieczeństwa. Wszyscy dostawaliśmy tabliczki z numerem do zawieszenia na szyi – dorosły miał numer właściwy, jego dzieci miały do tego numeru dopisaną kolejną literę alfabetu. Moja tabliczka się nie zachowała, nie wiem więc, którym byłem numerem, a zapamiętać nie mogłem, bo jako dwulatek nie tylko nie umiałem czytać, lecz także ledwo mówiłem. Swój numer należało jednak znać, bo wyczytywany był on na apelu – po niemiecku, rzecz jasna – i na wywołanie należało reagować bez zwłoki.



*Odwiedzający więźniów włączani byli w roboty na rzecz
powstającego obozu.*

Fot. Instytut Pamięci Narodowej



*Obóz powstał w miejscu zalesionym i zachwaszczonym –
karczowali je sami więźniowie.*

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

Niedługo dane mi było cieszyć się obecnością rodziców, rodziny natychmiast rozdzielano. Dorosłych i dzieci powyżej dwunastego roku życia kierowano do pracy poza obozem. W ten sposób rodzice zostali wywiezieni na roboty – tata do Piły, a potem do Rzeszy, mama do Brus. Obóz przeżyłem dzięki temu, że zostało w nim także moje rodzeństwo. Choć się tam nie pchaliśmy, z założenia traktowani byliśmy jak darmozjady. Dzieci musiały więc na swój „wywczas” za drutami zapracować. Młodzież powyżej piętnastego roku życia pracowała jak dorośli (moja siostra harowała w pralni albo w polu), trochę młodsi kierowani byli do lżejszych prac przy świniach, w szwalni, zbierali buraki cukrowe czy ziemniaki. Jeszcze młodsi – od szóstego do dwunastego roku życia – zmuszani byli do zbierania runa leśnego. To, co zebrali – jagody czy jeżyny – obowiązani byli oddać władzom obozowym, a sami byli sprawdzani, czy nie podjadali z doli Niemców.

Przy bramie strażnicy kazali szeroko otwierać usta – tych, których języki były zabarwione owocami, bili.

Baraki, w których umieszczano więźniów, nazywano „psimi budami” – to daje wyobrażenie, ile miało się w nich dla siebie miejsca. Nie wiem, jak starsi sobie z tym radzili, ale mieli do dyspozycji klaustrofobiczną przestrzeń o wysokości i szerokości metra, czyli od pryczy do pryczy. Mogli tylko leżeć, o siedzeniu nie było mowy. Maluchy takie jak ja umieszczano w obozowej ochronce. Był to osobny budynek na parterze. W dużej sali pokruszono słomę i to nam służyło za posłanie – jak bydłu. Najwięcej było dzieci od roku do sześciu lat. W pomieszczeniu wciąż rozchodziły się płacz i wołanie: „chlebka!”, bo czarny, gliniany chleb, którego bochenek przysługiwał na osiem osób, nie zaspokajał głodu. Głodni chodziliśmy od rana do wieczora i od wieczora do rana. Raz, gdy siostra była w pracy, zjadłem nie tylko swój, lecz także jej przydział. Brat mnie obsztorcował:



Oryginały i kopie numerów obozowych noszonych przez więźniów na szyi.

Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej

– Zobaczysz, dostaniesz za to!

Gdy Bola wróciła i dowiedziała się, że nie ma dla niej już dziś jedzenia, spojrzała tylko na mnie i nic nie powiedziała. O ileż bardziej bym wolał, by na mnie wtedy nakrzyczała! Szczęśliwcom udało się czasem wygrzebać z pojemników na śmieci zielony chleb, zdrapać pleśń i choć trochę nasycić głód. Do picia była kawa zbożowa, raz dziennie cienka zupa – woda, w której pływały liście zgniłej kapusty i robaki – czasem herbata z pokrzywy. Mleka w obozie nie widziałem, tłuszcz dostarczano nam w minimalnych ilościach. Racje żywnościowe były mniejsze niż w obozach koncentracyjnych. Raz na jakiś czas prowadzeni byliśmy do obozowego lekarza, który dawał nam tran, a czasem jakiś zastrzyk. Warunki higieniczne były fatalne – łazienki nie było, nie mówiąc o mydle, ale przynajmniej golono nam włosy, choć wszawica i tak rozprzestrzeniała się w zastraszającym tempie. Podobnie zresztą jak inne choroby: głównie angina, dyfteryt, zapalenie płuc, tyfus, szkorbut. Dzieci przypominały czasem małe zwierzątka – zaniedbane, potargane, umorusane, obszarpane, owrzodzone, pogryzione przez pluskwy, drapały się nieustannie. Zarówno ja, jak i moje rodzeństwo chorowaliśmy jeszcze długo po wyjściu z obozu.

Niektórzy pozostali w nim jednak do śmierci, jeśli nie głodowej, to zadanej przez „opiekunów”. Nie wszyscy kinder kapo byli źli – to, że żyję, jest chyba najlepszym dowodem, że nie trafiłem najgorzej. Wojciecha Jopka – folksdojczka słynącego z okrucieństwa – szczęśliwie znam tylko z opowieści. Jego ulubioną metodą znęcania się nad maluchami było podtapianie. Moja siostra widziała, jak trzymał dziecko za nogi i zanurzał mu głowę w stawie przeciwpożarowym. Wyciągał i znów zanurzał – czasem robił to na oczach bezradnych rodziców. Siostra często ostrzegała, żebym nie chodził samodzielnie po obozie, bym i ja tak nie skończył. By podpaść, wystarczyło „bawić się” na

obozowym trawniku. Raz Niemiec, przechodzący tamtędy z Jopkiem, rzucił pogardliwie: „To taki macie tu porządek!”. Folksdojcz, by dowieść swojej służalczości wobec okupanta, chwycił malca za nogi i roztrzaskał go o ścianę baraku. Dzieci bito kijem, pejczem, gumą i ręką gdzie popadło. W ramach kary pozbawiano je i tak nędznych posiłków; najgorzej było trafić do karceru w podziemiach pałacu potulickiego, gdzie nie dość, że nie dochodziło światło, to stało się w wodzie i dostawało ledwie pół porcji żywnościowej. To nie zwalniało jednak od ciężkiej pracy i dodatkowych tortur.

Gdy jako dorosły patrzyłem na swoje dwuletnie dzieci czy dwuletnią wnuczkę, bawiące się kolorowymi zabawkami, zastanawiałem się, jak też przeżyłem w tym obozie. Miałem jedną aluminiową łyżkę, którą grzebałem w piasku – i to nie w piaskownicy, ale za barakiem. Tyle użyłem tego mojego dzieciństwa.

W 1943 roku – roku naszego przybycia do obozu – zorganizowano w jego obrębie Ostjugendbewahrlager Lebrechtsdorf, czyli miejsce „przechowywania młodzieży ze Wschodu”. Zwieziono ponad pięćset dzieci z terenów ZSRR, których rodzice zostali zabici lub wywiezieni do obozów koncentracyjnych za pomoc partyzantom. Były to głównie dzieci białoruskie z okolic Witebska, które nazywano *Bandenkinder* – „dziećmi bandytów”. Tak samo jak my głodowały, marzły, chorowały, co nie zwalniało ich z obowiązku pracy. To miało sprawić, że gdy skupią się na najprostszyc czynnościach życiowych, popadną w marazm, staną się bardziej uległe i nie w głowie im będzie jakikolwiek opór. Wynarodowienie ich miało być zatem o wiele prostsze, a to był jeden z punktów planu, który wobec nich mieli Niemcy. Podobnie zresztą jak w stosunku do polskich dzieci. Mimo to zdarzało się ponoć, że śpiewały one pieśni ludowe i patriotyczne, przepisywały ich teksty, a karteczki trzymały w materacach. Raz podobno obdarowały delegację

odwiedzając obóz butelką wypełnioną insektami, które męczyły nas nieustająco.

Niemcy przeprowadzali na dzieciach pseudomedyczne eksperymenty, które często kończyły się utratą zdrowia, kalectwem, a nawet śmiercią. Podawano im szczepionki przeciwko chorobom zakaźnym, ale aplikowano również inne zastrzyki: w głowę, szyję, brzuch, czasem nawet codziennie. Były bolesne, a potem puchły od nich powieki, klatka piersiowa była obrzęknięta, pojawiały się guzy, wrzody i ropnie, dzieci gorączkowały, wymiotowały. Do oczu zapuszczano im także krople, po których miały kłopoty ze wzrokiem. A z dzieci białoruskich Niemcy uczynili przymusowych dawców krwi, którą pobierano dla niemieckich żołnierzy nie raz w miesiącu, ale co kilka dni. Miejsca po ukłuciu nie dezynfekowano, a z każdym kolejnym „odcedzaniem” – jak mówiły na to same dzieci – były one tak osłabione, że do baraków trzeba je było prowadzić lub nieść na noszach. Owszem, dostawały za to gorącą herbatę i marchewkę, czasem nawet słodką bułkę, ale potem długo trzeba było przywracać je do zdrowia. O ile przeżyły.

Zarówno dzieci polskie, jak i białoruskie poddawano tak zwanym badaniom rasowym. Badano im krew, mierzono czoło, nos, kąt podbródka, kształt uszu, profil twarzy, macano czaszkę, zaglądano w oczy. Te, które nie przeszły przez to sito, zostawały w Potulicach. A te, które uznano za „pełnowartościowe”, wysyłano na dalszą selekcję do obozu w Łodzi. Niemcy zdawali sobie sprawę, że jest ich za mało, by mogli dominować nad Europą, dlatego już w listopadzie 1939 roku Himmler, komisarz Rzeszy do spraw umacniania Niemczyzny, przedłożył Hitlerowi dokument *Sprawa traktowania ludności byłych polskich obszarów z rasowo-politycznego punktu widzenia*, w którym szczegółowo przedstawił plan zniemczania polskich dzieci. Rozwinął go pół roku później – zakładał wówczas coroczną selekcję dzieci w wieku od sześciu do dziesięciu lat. Te „cenne rasowo” miały być wywożone do

Niemiec, gdzie nadawano by im niemieckie nazwisko i obywatelstwo. W 1943 roku podczas przemówienia w Bad Schachen skwitował wywózki słowami: „choćbyśmy mieli dzieci te zabrać albo kraść”.

Jak postanowił, tak zrobił. O ile do połowy 1941 roku germanizowano dzieci pochodzenia niemieckiego mieszkające na polskich ziemiach lub mające niemieckich przodków, o tyle po agresji na ZSRR dzieci już uprowadzano – między innymi z Potulic. Na trop kidnapingu wpadł kilkanaście lat po wojnie Roman Hrabar, pełnomocnik rządu polskiego do spraw rewindykacji dzieci polskich, według którego Niemcy ukradli dwieście tysięcy polskich dzieci. Odzyskanie ich graniczyło z cudem, hitlerowcy skrzętnie niszczyli bowiem dokumentację, dzieci miały już nowe nazwiska, a nierzadko przywiązywały się do nowych niemieckich rodzin. Znałem chłopca z sąsiedniej wioski Występ, który przez obóz w Łodzi trafił do Rzeszy, gdzie z kolei przeszedł szkolenie o surowej dyscyplinie. Zdarzało się, że bliscy chcieli wyciągnąć z obozu dziecko przeznaczone do zgermanizowania, ale Niemcy, dostrzegłszy w nich rasę nordycką, nie wypuszczali ich z rąk. Opiekunom odpowiadali, że to dzieci bandytów i ich miejsce jest w obozie, czytają: w niemieckiej rodzinie albo w zaświatach.

W latach sześćdziesiątych Polska żyła sprawą Basi, której losy przez dwa lata tropił Edmund Polak, dziennikarz „Expressu Wieczornego”. Dziewczynkę ocalałą z Potulic adoptowało polskie małżeństwo, ale to, jak się znalazła w obozie, nie dawało dziennikarzowi spokoju. Doszedł wreszcie, że była dzieckiem Białorusinki, która trafiła do Auschwitz, gdzie urodziła bliźniaki. Matka po porodzie zmarła, a niemowlętami „zajął się” doktor Mengele. W wyniku eksperymentów pseudomedycznych Witia zmarł, a Katia – bo tak naprawdę miała na imię Basia – ocalała. Jako „rokująca rasowo” została wysłana do Łodzi na badania, w trakcie których postanowiono wysłać ją na podleczenie do

Potulic. Trafiła tam w styczniu 1945 roku. Zajęły się nią pielęgniarki i starsze dzieci, które nazwały ją Basią, a wykarmiła ją więźniarka mająca dziecko w jej wieku. Wkrótce Niemcy zaczęli uciekać z obozu przed nacierającymi Rosjanami, a więźniami, w tym Basią, zaopiekował się Czerwony Krzyż. W marcu, razem z innymi dziećmi, została przewieziona do Będzina. Stamtąd wszystkie prócz dwójki – w tym Basi – zostały odebrane przez swoich rodziców. Adoptowało ją wspomniane polskie małżeństwo. Po latach dziewczynka spotkała się z siostrą mieszkającą na Białorusi.

Z myślą o germanizowaniu dzieci Niemcy wysyłali je do Potulic do ostatnich dni wojny – trafiły do niego między innymi dzieci z powstania warszawskiego. W sumie przeszły przezeń dziesiątki tysięcy osób, jeden z szacunków mówi o dwudziestu tysiącach, nie tylko z Pomorza. Zmarło co najmniej tysiąc trzysta osób, w tym siedemset sześćdziesiąt siedem dzieci – jako pierwszy półtoraroczny Edward Smutek w lutym 1941 roku. Jak widać, ofiarami obozu padały głównie dzieci, lista nie jest jednak pełna. Na potulickim cmentarzu może spoczywać nawet pięć tysięcy osób. Dzieci najpierw cierpiały rozłąkę z rodzicami, a potem patrzyły na śmierć rodzeństwa. Zwłoki chowano w pudłach zbitych z desek. Komu udało się zorganizować trociny, wyściełał nimi prowizoryczną trumnę, komu prześcieradło, ten nakrywał nim ciało zmarłego. Obóz dysponował też kilkoma dyżurnymi trumnami, które umieszczano na dwukołowym wózku. Na miejsce „pochówku” odprowadzić mogła najbliższa rodzina, której jednak nie wolno było oglądać grobu. Bo też żadnych grobów nie było. Trumna miała uchylny spód, który otwierano nad dołem i pozwalano zwłokom do niego spaść. Nie muszę chyba dodawać, że ludzi chowano nago.

Na początku 1944 roku w obozie przebywały trzy tysiące dzieci. Dla niemieckiej administracji okazaliśmy się zbyt dużym kosztem, ale i obciążeniem w obliczu nacierającego frontu. Kierownictwo

postanowiło więc, że te dzieci, które nie nadają się do zniemczenia, a mają za drutami bliskich, mogą zostać przez nich odebrane. Po mnie miała przyjść ciocia Franciszka Głowacka, siostra taty z Bydgoszczy – choć sama miała piątkę swoich dzieci. Brata z kolei miała przygarnąć druga siostra taty, po mężu Szczepaniak. Moja siostra została w obozie, bo była potrzebna do pracy.

Byłem najmłodszy spośród dzieci opuszczających obóz, ale moment przekroczenia bramy pamiętam jak dziś – był bowiem jednym z najszczęśliwszych w moim życiu. Do tej pory świat ograniczał się dla mnie do baraków otoczonych drutem. Widziałem go na szaro, bo wszystko tam było szare. Gdy brama się otworzyła, a za nią rozpostarł się park, uderzyły mnie zieleń i majestat drzew oraz bogactwo kolorów potulickiego parku. Stałem zauroczony i chłonałem tę nową rzeczywistość wszystkimi zmysłami.

Ciocia, wujek i ich córka już na mnie czekali. Stali obok niemieckiego samochodu osobowego i rozprawiali o czymś z Niemcem. W tym momencie wstąpiło we mnie dziecko – bo trudno powiedzieć, bym przez te kilkanaście miesięcy obozowej wegetacji nim był – i wskoczyłem na dach owego samochodu. Wujostwo zamarło, gdy to zobaczyło. Przenieśli przerażony wzrok z czterolatka alpinisty na Niemca, ale ten tylko uśmiechnął się na mój widok i kazał zejść.

Gdy ruszyliśmy w drogę do Bydgoszczy, a czekał nas trzydziestokilometrowy marsz, przez wcześniejszy zachwyty przebił się smutek. W obozie zostało moje rodzeństwo, a ja odchodziłem w nieznane z bądź co bądź obcymi ludźmi. Przecież nawet jeśli kiedykolwiek wcześniej ich widziałem, to nie dane mi było się z nimi żyć. Pocieszała mnie myśl, że już nie wrócę do obozu. W domu ciocia z wujkiem traktowali mnie jak jeszcze jednego syna, a kuzynostwo – jak brata. Tak jak oni, do cioci zwracałem się „mamo”. Aż przyszedł dzień rozłąki, i znów smutek, że coś się kończy, coś trzeba zostawić.

– Mamo, na co czekamy? – zapytałem.

– Ja nie jestem twoją mamą, Stasiu. Twoja prawdziwa mama właśnie po ciebie przysłała – odpowiedziała ciocia, a w drzwiach stała znajoma, choć dawno niewidziana kobieta. Rozstaliśmy się, gdy miałem dwa lata, minęły kolejne dwa.

– Poznajesz mnie? – zapytała „prawdziwa mama”. Wpatrywałem się w nią intensywnie, wreszcie powiedziałem:

– Poznaję.

– A po czym? – chciała wiedzieć.

– Po okach.

Wróciliśmy do Potulic. Dwa lata później, w 1947 roku, dołączył do nas tata. Kiedy wracał z robót w Pile, witała go cała wioska. W Rzeszy razem z dwoma szwagrami dostał się do sektora amerykańskiego, rozważali więc wyjazd do Kanady albo Anglii, nie wiedzieli bowiem, czy rodzina w Polsce żyje. Zaryzykowali i wrócili. Naszego domu już nie było – rozebrano go i postawiono w innym miejscu. Zamieszkaliśmy w ostatnim domu we wsi, za pocztą. Jednak żebyśmy my, Polacy, mogli wrócić do tych domów, to Niemcy, którzy zostali tu przesiedleni w czasie wojny, musieli je opuścić. Ponieważ nie mieli dokąd pójść, nowe polskie władze zdecydowały, by tymczasowo osiedlić ich w obozowych barakach – tych samych, które dopiero co opuściliśmy. Obóz w Potulicach przyjął odtąd nazwę Centralnego Obozu Pracy dla Niemców, a powołany został przez wydział więziennictwa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Po wojennych przejściach mama podupadła na zdrowiu, więc o nasze utrzymanie zadbać musiała najstarsza siostra. Zatrudniła się w centrali telefonicznej obozu – nie chciano jej przyjąć, bo była lichego zdrowia, ale ona się uparła; nie miała wyjścia. Na teren obozu chadzałem po

chleb – tam była bowiem piekarnia, w Potulicach nie było żadnego sklepu. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie odwrotnej sytuacji, mianowicie by w czasie, gdy ja byłem osadzony w obozie, ktoś z zewnątrz przychodził tam się posilić. My trwaliśmy w nim, skazani na śmierć głodową. Niemki mieszkające tam przychodziły do polskich domów pomagać przy pracach. W naszym zawsze zastały miejsce przy stole i dostały jedzenie. Polacy się nie mścili – w powojennym obozie w Potulicach nie byli w końcu przetrzymywani ci, którzy zabijali Polaków, ale rodziny wcześniej przesiedlone tu z Kaszub i Kartuz. Niekiedy dzieciom bawiącym się za obozowym murem niemieckim wypadła piłka – bajecznie kolorowa. Natychmiast zbiegały się do niej polskie dzieci i bawiły jak cudeńkiem. Myśmy nie mieli żadnych zabawek.

Niemniej w obozie zarządzanym przez polskich komunistów w ciągu pięciu lat zginęło trzy i pół tysiąca Niemców. Ich zwłoki wrzucano do dołów na wyrobisku po piasku, które ostatecznie zamieniono później na wysypisko śmieci. Tych, którzy przeżyli, w 1950 roku ustawiono w kolumny i zaprowadzono na dworzec, skąd odjechali do nowo powstałego NRD. Opuszczone baraki niedługo jednak stały puste. Wkrótce zapelnili je więźniowie kryminalni, jak o nich mówiono – głównie ci, którzy źle mówili o towarzyszu Stalinie, czyli tak naprawdę polityczni. Od 13 grudnia 1981 roku z kolei internowano tam działaczy Solidarności regionów bydgoskiego i toruńskiego. W tej chwili jest miejscem odsiadki dla odbywających karę po raz pierwszy.



Niemieckie dzieci w Centralnym Obozie Pracy dla Niemców powołanym przez wydział Więziennictwa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w 1945 roku: Marta (9 lat), Elfie (6 lat) i Adusch (7 lat) Schulz. Zdjęcie wykonano w 1949 roku.

Fot. Domena publiczna

Baraki zlikwidowano kilkanaście lat po wojnie, a w ich miejscu stanęły bloki, postawiono też nowy gmach więzienia. Żałuję, że nie zachował się choć jeden barak, który zobrazowałby warunki, w jakich przebywały polskie dzieci. Jako ofiary niemieckich zbrodni nie doczekaliśmy ani ukarania winnych, ani rekompensaty moralnej. Historię tego miejsca odkryto dwadzieścia lat po wojnie, a dopiero na początku lat pięćdziesiątych XX wieku Urząd do spraw

Kombatantów i Osób Represjonowanych zaliczył go – razem z podobozami w Smukale i Toruniu – do kategorii obozów, których więźniowie byli traktowani na równi z więźniami obozów koncentracyjnych. Dopiero wówczas jego ofiary mogły liczyć na status inwalidy wojennego i świadczenia należne z tego tytułu – oczywiście ze strony państwa polskiego, nie niemieckiego.

Dziś mieszkam w Nakle nad Notecią, ale często odwiedzam cmentarz w Potulicach. Leżą tam moje rodzeństwo, wujek i babcia – to znaczy powinni leżeć, bo stary cmentarz, na którym zostali pochowani, zrównano z ziemią. Trójka dzieci, które moi rodzice mieli po najstarszych siostrze i bracie, zmarła w czasie wojny. Pierwsze – gdy w 1939 roku uciekali przed frontem. Z Potulic dotarli aż pod Kutno, gdy okazało się, że tam z kolei naciera front radziecki. Wrócili więc na Pomorze i łudzili się, że tu będą mogli liczyć na wyższą kulturę okupanta. Śmiechu warte! Mama straciła pokarm i nakarmiła noworodka krowim mlekiem. Umierało w straszliwych boleściach. Nic więc dziwnego, że gdy po śmierci tego i dwójki kolejnych dzieci mama znów zaszła w ciążę, była pełna obaw. Urodziłem się jednak zdrow. Rodzice nazwali mnie Stanisław, ale Niemiec w urzędzie nie chciał mnie zarejestrować pod tym imieniem, bo było zbyt słowiańskie. Wówczas tata wpadł na pomysł, bym był Witem, ale i na to Niemiec nie chciał przystać. W końcu stanęło na Witoldzie, ale w domu i w szkole i tak wołano na mnie Stanisław. Miałem już osiemnaście lat, gdy nauczyciel zapytał:

– A ty, Dziekan, jak właściwie masz na imię?

– Witold.

– To skończ z tym Stanisławem, żebyś biedy sobie nie napytał.

Tak więc przetrwałem – może po to, by dać świadectwo prawdzie? A prawdę o czasie i miejscu, w których dane mi było dorastać, najtrafniej

ujął nasz biskup toruński Wiesław Śmigiel: „To ziemia święta, ale i przeklęta”.

W obozie w Potulicach przetrzymywano: Polaków, później Niemców, a następnie więźniów politycznych. Pamiętać jednak należy, że wzniesiony został rękami zniewolonych Polaków na ich własną zagładę. Dlatego trudno mi się pogodzić z narastającymi dziś tendencjami, by uczynić z niego miejsce niemieckiej martyrologii i polski wyrzut sumienia.

Coraz częściej słyszę o tym, jak to Polacy dokuczali przed wojną Niemcom, jak to ci Niemcy się przez nas, Polaków, nacierpieli. Gdyby opowieści tych słuchać bez znajomości kontekstu zbrodni popełnionych przez Niemców na Polakach, można by pomyśleć, że sami się o tę wojnę i eksterminację prosiliśmy, że dostaliśmy za swoje. Wspomnienia Niemców żyjących przed wojną na polskich ziemiach, utyskujących na relacje z Polakami, nie należą do rzadkości. Ich żale sięgają postanowień pokoju wersalskiego z 1919 roku, na mocy których Prusy Królewskie przypadły Polsce.

Niemieccy obywatele, którzy pokoleniami doprowadzali te ziemie do świetności gospodarczej, wówczas poczuli nagle, że spadli w hierarchii społecznej, głównie z powodu nieznamości języka polskiego. Wśród niektórych Niemców mówi się o tym, że mieszkańcy Polski centralnej przybywający na tamte tereny mieli je polonizować i że było to wymierzone właśnie w Niemców. A przecież te tereny należały do naszego kraju od 1466 roku aż do 1772 roku, gdy na skutek pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej zostały zagarnięte przez Królestwo Prus. Polska odrodzona po pierwszej wojnie światowej i po stu dwudziestu trzech latach niewoli odzyskała więc te ziemie, a nie zabrała.

Nie ma też co przesadzać z upadkiem w hierarchii społecznej, bo w wielu niemieckich gospodarstwach rolnych robotnikami byli głównie

Polacy. Jakiś czas temu wpadły mi w ręce wspomnienia Niemki, która dorastała w Prusach Królewskich, konkretnie w Koronowie, od 1920 roku. Nazwijmy ją Katrin. Opisuje ona, jak na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej ze strony polskich dzieci na dzieci niemieckie leciały kije i kamienie oraz wyzwiska „hitlerowcy”, a na chodnikach widniały napisy typu „Nie kupuj u Niemca”. Jednocześnie wyznała, że w niemieckich domach na ziemiach polskich wisały portrety Hitlera, niekryjącego przecież swych zamiarów wobec Polski.

Katrin z goryczą wspomina, jak to 1 września 1939 roku Polacy wykrzykiwali buńczucznie: „Nie damy się Niemcom!”, wysadzali mosty i zabijali wrogów, a jednocześnie przywołuje obraz niemieckich wojsk, do których biegła jak do uosobienia wolności. Jej oburzenie postawą Polaków przypomina dziwienie się gospodarzowi domu czynnie broniącemu się przed mordercą i złodziejem. To pokazuje, że zamieniły się miejscami role najeźdźców i najeżdżanych, a w efekcie – katów i ofiar. Tych, którzy wywołali wojnę, z pokonanymi w niej, którzy przez pięć kolejnych lat żyli pod obcą okupacją. W łzawym opisie Katrin wspomina, jak Hitlera wizytującego Koronowo obdarowała bukietem kwiatów i chciała mu podziękować, że dzięki niemu Niemcy żyją i będą mogli żyć w Niemczech bez strachu, ale wzruszenie odebrało jej mowę.

W wyniku kampanii wrześniowej, przegranej przez Polaków, na Pomorzu pojawili się Niemcy z Reichu, którzy należeli do pierwszej klasy Niemców. Katrin z rodziną, podobnie jak pozostali miejscowi folksdojczce, dostali drugą i trzecią kategorię. Polacy stali się w tej hierarchii podklasą. „Powstał nowy »kurnik« z nowym porządkiem dziobania” – stwierdza w swych wspomnieniach Niemka. Mieszkańcy „kurnika” musieli nauczyć się nowego pozdrowienia – czy to sklep, czy urząd, nad drzwiami widniał napis „Heil Hitler”, a przekroczywszy próg, należało wykonać salut.

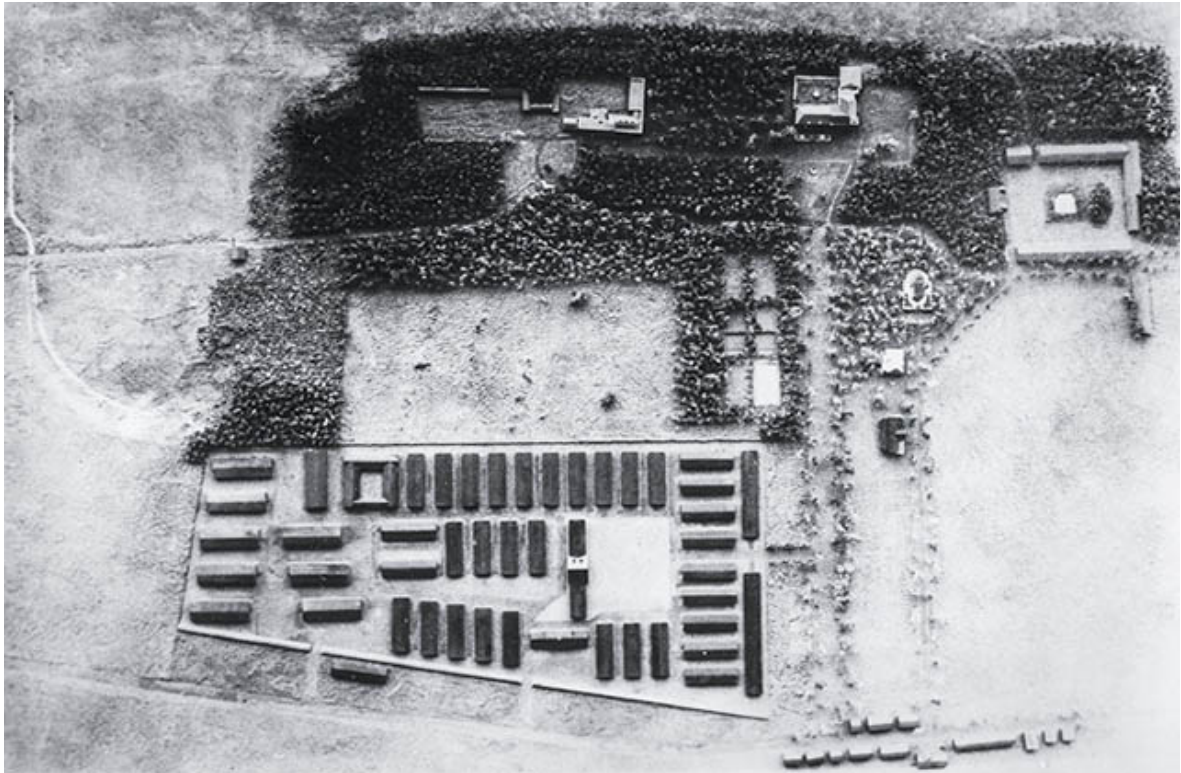
Pierwszym wydarzeniem, które wytrąciło Katrin z błogostanu, był powrót w jej okolice Niemców, którzy przed wojną wynieśli się do Reichu, a teraz przybyli w mundurach mścić się na Polakach, od których kiedyś usłyszeli coś przeciwko Hitlerowi. W mieście zapanował terror także w stosunku do miejscowych Niemców, którzy nie chcieli donosić na Polaków. W rodzicach Katrin narastało rozczarowanie – nie o takim Reichu marzyli. Ojciec dziewczyny popadł w niełaskę funkcjonariuszy partii NSDAP, do której należał, gdy podpisał podania polskich żołnierzy przebywających w niemieckiej niewoli i dowodził ich nienagannego zachowania w stosunku do Niemców przed wojną. Za taki „grzech zdrady” groził nawet obóz koncentracyjny, ojciec popadł więc w marazm. Nawet to jednak nie ostudziło pozytywnych uczuć Katrin do Führera, dlatego już wkrótce zapisała się do Bund Deutscher Mädel, czyli Związku Niemieckich Dziewcząt – „przedsionka” Hitlerjugend, do którego także potem aspirowała. Poszła więc śladem niemieckich koleżanek, które już nosiły mundurki, podczas gdy ją – nieumundurowaną – brano za Polkę, czego nie mogła znieść.

Katrin opisuje, jak chciała pomóc koleżance, która przeprowadziła się do Guberni, i wysłała jej paczkę. Została za to wezwana na pocztę główną w Bydgoszczy i upomniana, że nie wolno tego robić. Przy okazji zaproponowano jej pracę na poczcie w rodzinnym Koronowie oraz możliwość kształcenia się w strukturach Hitlerjugend w obozie HJ i gospodarstwie rolnym koło Susza. Trzy lata później i czterdzieści kilometrów dalej, w Potulicach, moja rodzina zostanie osadzona w obozie karnym Lebrechtsdorf, także za przekazywanie paczki... Niestety żadne z nas nie dostanie w związku z tym intratnej propozycji.

W obozie Hitlerjugend Katrin – wyspana i umyta – dostawała na śniadanie zupełną mleczną i zabierała się do pracy w okolicznym gospodarstwie: dojenia krów, karmienia świń i kur, oporządzania koni, po czym zasiadała do sutego drugiego śniadania. Kiedy niektóre roboty

okazały się dla dziewcząt za ciężkie, w gospodarstwie zatrudniono starszego chłopaka, notabene Polaka. Słabe i wyziębione dzieci z Potulic po tym, jak zwlekły się z brudnej słomy i wypiły lurowatą kawę, zaganiane były do najcięższych prac. Na brak sił nie wolno im było narzekać, a gdy padały, były bite.

Katrin nie mogła przeboleć, że nie udało jej się skończyć żadnej szkoły, o której marzyła, ani wstąpić do Hitlerjugend i że na wsi zwyczajnie zmarnowała trzy cenne lata. Rzuciła się w wir pracy na poczcie i starała się nie myśleć – za Führerem wyznawała bowiem zasadę, że myślenie to czas kradziony pracy, a kradzież winna być karana śmiercią. Wierzyła w praworządność, siłę i zwycięstwo Hitlera nawet po tym, jak z Koronowa znikli jej niemieccy przyjaciele, przesiedleni do Reichu, a miejsce po nich i po wypędzonych Polakach zajęli obcy Niemcy z krajów nadbałtyckich. Nawet po tym, jak stopniała liczba jej polskich koleżanek wywożonych na roboty przymusowe. Wierzyła w Hitlera i wciąż składała przyrzeczenia wierności przywódcy, a dzień po nieudanym zamachu na niego dziękowała Bogu za jego ocalenie. Podobna postawa nie przeszkadzała jej ojcu pomagać Polakom uwięzionym w koronowskim więzieniu, w którym pracował – szmuglował dla nich paczki żywnościowe od rodzin. To pokazuje, że Niemcy nie byli z gruntu źli, ale że ten mały człowieczek z wąsikami mocno namieszał im w głowach.



*Obóz w Potulicach z lotu ptaka.
Fot. Instytut Pamięci Narodowej*



Pomnik ofiar obozu na cmentarzu w Potulicach.

Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej

Jesienią 1944 roku Katrin obchodziła swoje dwudzieste pierwsze urodziny. Świątowała z koleżanką przy kawie i ciastku. Martwiło ją, że nie są w stanie wyczarować miłej atmosfery; nie rozerwała ich nawet wizyta w kinie. To był czas, gdy ja otrzymałem jeden z największych prezentów w swoim życiu: mogłem opuścić obóz i żyć... I wtedy nasze losy zaczęły się odwracać: podczas gdy ja pomału odzyskiwałem spokój, Katrin zaczynała się naprawdę bać – nadchodzili bowiem Rosjanie. W 1945 roku nie załapała się na pociąg do Berlina i ruszyła w żalonym marszu takich jak ona uciekinierów. Towarzyszyły im wrogie spojrzenia rzucone z bydgoskich okien i drzwi. Szła w kierunku Piły – dwa lata później z robót w tym mieście wróci mój ojciec. Losy osób wrogich sobie państw osobliwie się splatają – kto wie, może Katrin i mój tata minęli się kiedyś w tej Pile?

Pod koniec wojny ukrywała się przed Rosjanami razem z Polakami, którzy obiecywali jej ochronę przed żołnierzami Armii Czerwonej, kradnącymi i gwałcącymi na potęgę. Nie udało się – Katrin została pohańbiona, a jej twarz zmiął buciorem radziecki żołnierz i odtąd już była zeszpecona. Jej droga ku upragnionemu kapitalizmowi wiodła przez powojenny głód, którego i ja doświadczyłem. Dopiero trzy lata po wojnie dowiedziała się, że jej mama zmarła w koronowskim więzieniu w 1945 roku, a ojciec został internowany w... obozie w Potulicach – tym, który Niemcy wzniesli polskimi rękami na zgubę Polaków, a w którym komuniści przetrzymywali potem Niemców. Tym, którego traumy także zaznałem.



*Liczba krzyży na potulickim cmentarzu jest o wiele
mniejsza niż liczba rzeczywistych ofiar, które na nim
spoczywają.*

Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej

W jednym z fragmentów swoich wspomnień Katrin ubolewa nad tym, że Niemcy jako kraj zostały pokonane, a ludzie żyjący na terenie okupowanych Niemiec musieli cierpliwie znosić wszelkie upokorzenia. Cóż, po raz kolejny sprawdziła się zasada, że silni i bogaci znajdujący się u szczytów hierarchii społecznej wojują, by stać się jeszcze silniejszymi i jeszcze bogatszymi. Efekt jest zawsze taki, że słabi i biedni stają się jeszcze słabsi i jeszcze biedniejsi.



Witold Dziekan w domu w Nakle nad Notecią latem 2021 roku.

Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej

Nie neguję trudnych przeżyć wojennych ludzi po różnych stronach frontu. Nie ma też co licytować się na cierpienie. Ale gdy słyszę utyskiwania Niemców na Polaków prześladowających ich przed wojną i próby akcentowania polskich przewin wojennych, upominam się o zachowanie proporcji i pamiętanie, kto był sprawcą, a kto ofiarą.

Witold Dziekan

Boguś (ur. 1938)

UNIKNAŁEM RZEZI



Boguś (najmłodszy) z rodzicami i bratem na swojej działce niedaleko przystanku kolejki EKD na rogu ulic

Szcześliwickej i Opaczewskiej, 1941 rok.
Fot. Archiwum prywatne Bogusława Lachowskiego

Właśnie przekroczyliśmy z mamą próg piekarni, którą ojciec wynajmował przy Opaczewskiej 8, gdy wszedł do niej esesman. Płynną polszczyzną zażądał pieniędzy – pewnie folksdojcz. Tata odmówił, bo nie miał. „Dawaj pieniądze!” – nalegał. Ojciec, niewiele myśląc, uderzył go i powalił na ziemię, po czym ostrzegł, że jeśli jeszcze raz się tu pojawi, nie wyjdzie żywy. Działo się to sto metrów od liceum im. Kołłątaja, w którym stacjonowały niemieckie wojska. Esesman był uzbrojony, ojciec nie. Mama, przerażona sytuacją, wyrzucała tacie, że ściągnął na siebie wyrok, a na całą rodzinę niebezpieczeństwo.

Gdy 8 stycznia 1938 roku przyszedłem na świat na warszawskich Szczęśliwicach, nasze życie zapowiadało się – nomen omen – szczęśliwie. Miałem kochających rodziców i brata Leonarda, starszego o dziewięć lat. Wkrótce też przeprowadziliśmy się do budynku przy ulicy Piotrkowskiej 7, jednego z największych i najnowocześniejszych w okolicy. Mieszkały już w nim ciocia i jej rodzina oraz babcia, która była dozorczynią. Sprawowała tę funkcję samodzielnie, była bowiem wdową. Czteropiętrowy dom wyposażony był we wszystkie instalacje prócz wodno-kanalizacyjnej – po wodę chodziło się na róg Opaczewskiej. Tata zainstalował w kuchni węglowej piecyk, w którym wypiekał bułki, a ja potem biegałem z nimi po sąsiadach i je sprzedawałem. Zanim jednak nauczyłem się chodzić, wybuchła wojna. Niektórzy mówią, że w ich życiu zmieniła wszystko. Ja nie znałem innego życia niż okupacyjne.

Miałem dziewiętnaście miesięcy, gdy we wrześniu 1939 roku chroniliśmy się w kinie Atlantyck przed bombardowaniami. Na forcie

szczęśliwickim niedaleko nas stacjonowała niemiecka jednostka – żołnierze Wehrmachtu codziennie maszerowali Opaczewską w kierunku Grójeckiej i śpiewali: „Heili, Heilo, Heila”. W ciepłe dni szliśmy z rówieśnikami wzdłuż ich kolumny, śpiewaliśmy razem z nimi i próbowaliśmy dotrzymać im kroku.

Biegało się też tam, gdzie się coś działo. Raz nad Włochami – musiałem mieć wtedy pięć czy sześć lat – rozbił się niemiecki samolot. Sześciomotorowy, największy. Natychmiast pobiegliśmy tam z kolegami, a od domu były to dwa lub trzy kilometry. Długo wpatrywaliśmy się w kupę złomu. Bliżej nie dało się podejść, bo Niemcy pilnowali gruzowiska. Groza wojny dotarła do mnie jednak dopiero, gdy w 1943 roku zobaczyłem, jak przed dzisiejszym akademikiem przy Grójeckiej niemiecki wartownik zastrzelił mężczyznę. Za nic. Innym razem strzały dotarły do nas z podwórka na rogu Opaczewskiej i Piotrkowskiej. W zabitym, który leżał przykryty papierem, rozpoznaliśmy stryjka naszego dobrego kolegi. Słyszeliśmy też, jak Niemcy wrzucali granaty do ziemianek w pobliskim gospodarstwie ogrodniczym, gdzie ukrywali się Żydzi. Używali też przeciwko nim miotaczy ognia. Z kolei z czasów likwidowania getta warszawskiego w 1943 roku pamiętam potworny swąd unoszący się nad miastem.

Całymi dniami chodziliśmy także śladami mojego szesnastoletniego brata, który należał do Szarych Szeregów. Kiedyś mama odkurzała wnękę w przeszklonej części drzwi naszego mieszkania i natrafiła na dokumenty konspiracyjne, co mogło nas drogo kosztować. Leonard nasłuchiwał się wtedy od niej, ale działalności nie zaprzestał. Biegał na zbiórki na ostatnim piętrze domu przy ulicy Mątwickiej. W 1943 roku Niemcy wpadli na trop kryjówki i wystrzelali sześciu czy siedmiu chłopców, którzy by się ratować, wyskakiwali przez okna. Jego na szczęście wtedy tam nie było. Ćwiczenia odbywali przy stawach szczęśliwickich lub na okolicznych fortach.



*W czasie bombardowań stolicy we wrześniu 1939 roku
rodzina dziewiętnastomiesięcznego Bogusława chroniła
się w kinie Atlantyck.*

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

Wieczory tonęły w mroku – po dwudziestej pierwszej był bowiem obowiązek gaszenia światła. Piotrkowska była ślepą ulicą, za naszym domem stały jeszcze dwa budynki jednorodzinne, a po drugiej stronie drogi rozciągało się pole. Gdy po godzinie policyjnej słyszeliśmy warkot silnika, truchleliśmy – to mogli być tylko Niemcy. W napięciu słuchaliśmy, gdzie samochód się zatrzyma. Jeśli mijał nasz dom, oddychaliśmy z ulgą. Babcia tymczasem jako dozorczyńni czuwała przy drzwiach, by w razie najścia Niemcy ich nie wyważyli.

Dwa albo trzy razy jednak warkot silnika ustał dokładnie pod naszymi oknami. Pamiętam, jak rozległ się łomot do drzwi i tupot oficerów na klatce schodowej, a w mieszkaniu pojawili się mężczyźni

w czarnych, długich płaszczach, z owczarkami. Psy były zdyscyplinowane – miałem w życiu kilka czworonogów tej rasy i wiem, że bez komendy człowieka nic nie zrobią. Jednak już sam ich widok budził co najmniej respekt. Bardzo się bałem, wtuliłem się w mamę, Niemcy tymczasem rozglądali się po naszym pokoju. Nie robili rewizji, najwyraźniej nie o nas im chodziło. W domu ukrywano dwoje Żydów. Kryjówkę mieli w zamurowanej ścianie – wiedziało się o tym. W pewnym momencie zniknęli – nie wiem, co się z nimi stało.

Głodu nie cierpieliśmy, tata zawsze przyniósł coś z piekarni, jedliśmy też prażuchę – rozpuszczony chleb z dodatkiem tłuszczu. Z kolei po żniwach chodziliśmy na pola niemieckiego gospodarstwa Agril przy ulicy Żwirki i Wigury, gdzie zbieraliśmy resztki zboża. Profesja taty dawała nam poczucie bezpieczeństwa od głodu, ale nie zapewniała spokoju pod innymi względami. Zdarzały się bowiem takie najścia jak wspomnianego esesmana folksdojczka żądającego pieniędzy. Z tym ojciec rozprawił się twardą ręką, ale mama bała się konsekwencji. Ja jednak przez cały czas okupacji czułem się bezpieczny – miałem silnego tatę piekarza i troskliwą mamę, którzy jak tylko mogli, chronili mnie przed zagrożeniami.

Nie pamiętam też atmosfery napięcia, gotowania się do zrywu powstańczego, o której po wojnie tyle się mówiło i mówi. Być może towarzyszyła ona środowiskom AK-owskim? Jeśli już, to raczej młodszym rocznikom, w których buzowała gorąca krew. Dorośli musieli zdawać sobie sprawę z tego, jak karkołomnym przedsięwzięciem jest stawanie bez broni do walki z potężnym wrogiem. Pokolenie naszych rodziców było doświadczone przez historię i raczej nie miało złudzeń. W wyniku pierwszej wojny światowej mój tata pochował wszystkich swoich bliskich. Jego ojciec zginął na froncie 1920 roku, a ciała nigdy nie odnaleziono. Z kolei jego matkę i piątkę rodzeństwa zabiła hiszpanka. Miał dziesięć lat, gdy został sam na świecie.

Dzień 1 sierpnia 1944 roku był pogodny. Pamiętam odgłosy samolotów i strzałów. Z naszego domu nie wolno nam się było odtąd ruszyć dalej niż na podwórze: do toalety i śmietnika. Piwnica była już przygotowana na okoliczność nalotów – pamiętano jeszcze te z września 1939 roku. Oczywiście naiwnością było sądzić, że dawała ona bezpieczne schronienie. Zdarzało się, że bomba trafiła w strop, przelatowała przez całą wysokość budynku i wpadała do piwnicy, gdzie wybuchała. Mnóstwo cywili zginęło w takich miejscach, przysypanych gruzami. Niemcy wrzucali do piwnic granaty, ponieważ wiedzieli, że są w nich ludzie. Mimo to schodziliśmy tam, w miarę jak narastały strzały; czasem spędzaliśmy w piwnicy całe noce, ale nie można mówić, że spaliśmy, było to bardziej czuwanie. Nie schodził tylko tata – to był odważny mężczyzna.

Przed siedemnastą w dniu wybuchu powstania zniknął mój brat. Potem się okazało, że poszedł na zbiórkę przy Grójeckiej na rogu Kopińskiej. Miał ze sobą dwie butelki z łatwopalnym płynem, które miał rzucać pod czołgi. Czołgi nie nadjeżdżały, a z butelkami strach się było waleśać, więc wrócił do domu. Tym bardziej że nie starczyło dla niego broni, a tacy byli ze zbiórki odsyłani. Miał szczęście, bo Kopińska przechodziła w Wawelską, a tam Niemcy nieźle młócili.

Ani powstańców, ani walk nie uświadczyłem. Jedyne, co kojarzę, to zniknięcie z naszego domu trzech mężczyzn, którzy pewnie poszli walczyć. Wśród nich był tramwajarz, a wobec tramwajarzy okupant był szczególnie zajadły, stawiali oni bowiem barykady i brali udział w akcjach dywersyjnych. Z powojennych przekazów wiem, że wraz z wybuchem powstania Hitler rozkazał zrównać miasto z ziemią – nie czynił rozróżnienia na powstańców i cywili, każdy był podejrzany i zasługiwał na kulę. Do najkrwawszych masakr doszło na Woli, gdzie Niemcy czynili z ludności cywilnej żywe tarcze osłaniające nacierające oddziały. Głównie w wyniku ulicznych egzekucji zginęło pięćdziesiąt

tysięcy mieszkańców tej dzielnicy. O tym, jak wyglądała ta eksterminacja, wiadomo między innymi z przekazów osób, które przeżyły ją pod zwałami trupów.

Szturm rozpoczął się rankiem 5 sierpnia równocześnie na Woli i Ochocie. W naszych okolicach Niemców wspomagały siły SS RONA (Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej) pod dowództwem pułkownika Bronisława Kamińskiego, który do Polaków miał ponoć mówić: „Najlepiej by było i dla was, i dla nas, by was wszystkich rozstrzelać, ale za dużo was jest”. Dzień wcześniej sztab formacji ulokował się w budynku Wolnej Wszechnicy Polskiej przy ulicy Opaczewskiej, a jeden batalion w liceum im. Kołłątaja przy Grójeckiej. Dla Niemców Ochota była strategiczna, bo główną arterią biegnącą z Warszawy do Radomia przierzucali swoje wojska w stronę mostu Poniatowskiego; infrastruktura nie była więc tak mocno zagrożona jak w innych częściach miasta. Co innego ludzie. Zarówno powstańców, jak i cywilów ronoicy czyścili: najpierw z mienia i mieszkań, wreszcie z ich obecności. Wtedy się o tym nie mówiło, przynajmniej mnie rodzice nie obciążali taką wiedzą. A może sami nie wiedzieli o ofiarach z okolicznych budynków. Na początku Grójeckiej, gdzie był publiczny schron dla siedmiu domów, ronoicy zabili sto sześćdziesiąt osób, przy końcu ulicy – kolejne czterdzieści, nieco mniej w środkowej jej części, gdzie zabijano głównie młodych mężczyzn podejrzewanych o udział w powstaniu.



*Cywile w piwnicy w czasie powstania warszawskiego.
Niemcy, wiedząc o ukrywających się w podziemiach
ludziach, wrzucali do nich granaty.*

Fot. Zbiory Muzeum Powstania Warszawskiego

Wraz z upadaniem kolejnych reduct na Ochocie pojawiały się fale ludzi wyrzucanych z domów. W piątym dniu powstania liczba takich osób była tak duża, że Niemcy zdecydowali o utworzeniu obozu przejściowego, zanim mieszkańcy Ochoty trafią do obozu w Pruszkowie, a stamtąd zostaną wysłani do obozów koncentracyjnych lub na roboty przymusowe. Na miejsce obozu przejściowego wybrano Zieleniak – targ warzywno-owocowy. Był 7 lub 8 sierpnia, gdy do naszego domu wtargnęli „kałmucy”, jak nazywała ronowców moja mama, i rozkazali wszystkim wyjść. Nie mogła ich wpuścić moja babcia, bo od kwietnia 1943 roku już nie żyła – zmarła w szpitalu. Zabronili brać cokolwiek, pięćdziesiątka mieszkańców stawiała się więc na klepisku przed

budynkiem – wszyscy byli lekko ubrani, ewentualnie z torbami podręcznymi, jak moja mama – i zaczęła się selekcja. Czemu miała służyć, nie wiedziałem, ale zauważyłem, że od grupy mieszkańców oddzielono wspomnianego tramwajarza i ustawiono pod ścianą. Broń wycelowana w niego się zacięła i póki tam staliśmy, nie wystrzeliła; nie wiem więc, czy tramwajarz ostatecznie poległ. W niektórych domach rozstrzeliwano jeszcze na klatkach schodowych.

Ronowcy sprawdzili pomieszczenia i gdy byli pewni, że są puste, popędzili nas nie wiadomo dokąd. Szliśmy wolno brukiem Opaczewskiej, patrzyliśmy z przerażeniem na rząd domów opróżnionych z majątku – z balkonów zwisały koce, kołdry, odzież, których żołnierze nie zdążyli jeszcze zapakować na ciężarówki obładowane zrabowanymi sprzętami. Wszystko to stanowiło przygnębiający widok. Po drodze dołączały do nas kolejne grupy ludzi wygnanych z domów. Co jakiś czas rozlegały się pojedyncze strzały – egzekucji nie widziałem, ale z pewnością były, o czym do dziś świadczą tablice na poszczególnych kamienicach. Coraz szerszym potokiem płynęliśmy Grójecką, a przy budynku opatrzonym numerem 104 zatrzymaliśmy się na kilka godzin.



Oddział żołnierzy Wehrmachtu pozuje do zdjęcia na tle zniszczonej siedziby Wolnej Wszechnicy Polskiej przy ulicy Opaczewskiej 2a (obecnie Banacha 2) w październiku 1939 roku.

Fot. Zbiory Muzeum Powstania Warszawskiego

- Mamo, kiedy wrócimy do domu? – zapytałem.
- Niedługo – uspokoiła mnie.

Doskwierały nam już głód i pragnienie, bo z domów nie pozwolono zabrać jedzenia ani picia. Staliśmy w środku tłumu pilnowanego przez Niemców i ronowców, których jednak nie widzieliśmy, słychać było tylko ich krzyki i strzały. Trzeba było uważać, by nie zostać rozdeptanym, jedni pchali się za drugich, chowali się przed żołnierzami. Gdy ruszyliśmy, przeszliśmy jeszcze kawałek i zatrzymaliśmy się pod bramą Zieleniaka – tam ronowcy grabili ludzi z resztek tego, co ci zdołali zabrać z domów. Zieleniak był to otoczony wysokim, ceglanym murem rynek, za którym rozciągały się pola uprawne niemieckiego

gospodarstwa Agril – dziś w tym miejscu stoją Hale Banacha. Powstał kilkanaście lat przed wojną i rozwijał się tak prężnie, że z czasem zasłużył na miano jednego z najnowocześniejszych targowisk, miał bowiem brukowaną nawierzchnię, własne ujęcie wody i kanalizację.

Na nic jednak zdała się taka nowoczesność, gdy plac obsiadło kilkanaście tysięcy osób. Woda szybko się wyczerpała, a do sanitariatów nikt nie chodził, by nie zgubić bliskich. Nie pamiętam, jak się załatwialiśmy, ale w takich sytuacjach ludzie tracą poczucie wstydu. W kulminacyjnym momencie przebywało tam kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców Ochoty i okolic, w sumie przewinęło się przezeń sześćdziesiąt tysięcy warszawiaków. Dla Ochoty był tym, czym dla Woli kościół św. Wojciecha. Usiedliśmy tam, gdzie było wolne miejsce. Nie było żadnych zbiórek, apeli ani prac. Sądzę nawet, że Niemcy nie byli przygotowani na taką masę ludzi – na zapewnienie im wody, wyżywienia i na zaprowadzenie porządku. Podejrzewam, że miał być to tylko punkt zborny, z którego mieliśmy zostać rozesłani, a że było nas tak dużo, wszystko przeciągało się w czasie.

Niemiecka załoga Zieleniaka ulokowała się w budynku administracji, budki dozorców przy bramach zamieniono na wartownie, my zaś spaliśmy na gołej ziemi, na bruku. Brat trzymał mnie i ogrzewał. Rankiem części osób pozwolono udać się do ogródków działkowych po warzywa – wśród nich była moja mama. Wróciła z postrzeloną nogą, widocznie oberwała, gdy ociągała się z powrotem, by nazbierać dla nas jak najwięcej jedzenia. Ta rana przez kolejny rok nie chciała się goić, na razie jednak mama na nią nie zważała, bo udało się jej zdobyć kilka marchewek. Następnego dnia pozwolono nam pójść wybitą w murze dziurą i wykopać sobie ziemniaki. Jak je przyrządzaliśmy, nie mam pojęcia, a nie przypominam sobie, byśmy jedli surowe, od których z pewnością byśmy się pochorowali. Nie wiem, czy przy okazji tych wypraw ktoś próbował ucieczki – jeśli tak, musiał się liczyć

z zastrzeleniem. Tata myślał o tym, by uciec – i z Zieleniaka, i z późniejszego transportu – ale było to wykluczone ze względu na trudności mamy z poruszaniem się. Z pociągu z Pruszkowa na roboty udało się za to zbiec mojej cioci z mężem i dzieckiem, tym, którzy mieszkali w naszym domu przy Piotrkowskiej. Wysiedli na postoju w Skierniewicach, odeszli na bok i zdołali dotrzeć do wsi. Ukryli się w jakimś gospodarstwie, gdzie wytrwali do wyzwolenia. Pracowali tam u polskich gospodarzy.

Chroniony przez rodzinę, nie byłem świadomy gehenny: ronowcy ponoć strzelali do ludzi dla rozrywki, a kobiety masowo gwałcili, po czym zwykle także zabijali, o ile same nie zmarły z wycieńczenia, w wyniku obrażeń lub na skutek zarażenia chorobami wenerycznymi. Podobno gwałcono nawet nieletnie dziewczynki, niektóre z nich rodzice chowali więc pod kocami, na których siadali. Słyszałem, że czasem kobiety szpeciły swoje twarze, by uniknąć gwałtu. Niestety ci zwyrodnialcy nie przepuszczali nawet tym, które dopiero urodziły. Zresztą nowo narodzone dzieci i tak nie miały szans na przeżycie – mówiono, że żołnierze albo je rozstrzeliwali, albo roztrzaskiwali o ściany. Część rodziła się już martwa, część umierała chwilę po narodzinach.

Ciała zmarłych układano pod murem lub pośpiesznie grzebano, palono je także na ruszcie w sali gimnastycznej liceum Kołłątaja. Po wojnie uczęszczałem do tej szkoły, ale nikt tam o tym nie mówił. W ogóle większość tego, co wiem na temat okrucieństw wojny, wyczytałem lub zasłyszałem. Szczęśliwie wszystkich ich udało mi się uniknąć. Zwłoki chorych i rannych ponoć transportowali sami osadzeni na Zieleniaku, w tym czterech harcerzy z batalionu „Gustaw”, których na koniec zabito strzałem w tył głowy. Blisko siedemset osób zmarło z głodu, pragnienia czy wycieńczenia, a trzysta zabili ronowcy, mimo to

Erich von dem Bach-Zelewski wizytujący obóz donosił w raporcie, że w obozie nie widział nic zdrożnego.

Obóz istniał do 19 sierpnia 1944 roku, kiedy zamordowano pięćdziesięciu pacjentów Instytutu Radowego. Gehenna w tym miejscu trwała już od dwóch tygodni. Ronowcy, wtargnąwszy do budynku, ograbili go, a przy okazji także pacjentów. Czego się nie dało ukraść, to zdemolowali. Podpalili bibliotekę, zniszczyli aptekę i zapasy żywności – po pijaku pruli worki z cukrem, tłukli słoje z konfiturami. Początkowo planowali rozstrzelać wszystkich – i dziewięćdziesięciu pacjentów, i osiemdziesięcioosobowy personel z rodzinami – ale ostatecznie zgładzili pacjentów i członka rodziny jednego z lekarzy. Całą noc wałęsali się po instytucie, popijali spirytus denaturowy i eter. Niszczyli, ale i gwałcili – jedną z kobiet także bili i robili jej zastrzyki, co lekarze zeznali po wojnie przed Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Na koniec podpalili budynek i materace, na których leżeli pacjenci. Blisko pięćuset sześćdziesięciu osobom udało się schronić w piwnicy i przewodach kominowych. Jednak gdy żołnierze dostrzegli tych, którzy przeżyli, ponownie podłożyli ogień pod budynkiem, a wspomnianego 19 sierpnia wywlekli przed szpital najciężej chorych i ich zabili. Pozostałych pięćdziesięciu pacjentów wysłali na Zieleniak, gdzie i tak rozstrzelali ich strzałem w tył głowy. Łącznie zginęło około dziewięćdziesięciu osób.

Innymi miejscami zbrodni były domy tworzące reduty: kolonia Staszica, kolonia Lubeckiego i ulice Białobrzeska, Kopińska, Szczęśliwicka. Między 5 a 11 sierpnia żołnierze rabowali, gwałcili, rozstrzeliwali ludzi ukrywających się po piwnicach i podpalali budynki. Od strzału w głowę przy ulicy Filtrowej zginął osiemdziesięciodwuletni malarz Wiktor Mazurowski, który nie nadązał za kolumną pędzoną ku Zieleniakowi. Zginęła też pianistka Jadwiga Zaleska-Mazurowska, jego żona. Z willi przy Jesionowej wywleczono aktora dramatycznego

Mariusza Maszyńskiego z żoną Niną, dwiema siostrami, malarkami Heleną i Stanisławą, oraz gosposią. Z drugiej części domu – architekta Stefana Tomorowicza z żoną. Rozstrzelano ich.

Inni zamordowani na Ochocie przez ronowców to: Zbigniew Rakowiecki – aktor filmowy i teatralny, który walczył nie tylko w powstaniu, lecz także w kampanii wrześniowej; Józef Szuwara – wioślarz, uczestnik olimpiady w Paryżu w 1924 roku; Juliusz Kaden-Bandrowski – pisarz i prozaik, żołnierz Legionów Polskich i adiutant Piłsudskiego, nauczyciel tajnego nauczania. W szpitalu przy Langiewicza żołnierze RONA zabili piętnastu rannych, a sanitariuszki zgwałcili, rozstrzelali też kilku nieuzbrojonych powstańców. Plądrujący żołnierze szukali kosztowności i alkoholu – gdy mieszkańcy kamienicy przy alei Niepodległości 217/223 nie mogli dać im łupów, bo już wcześniej wszystko stracili, zostali zamordowani. Zginęło pięćdziesiąt kobiet, dzieci i starców.

Dowództwo niemieckie postanowiło w końcu wypędzić z miasta ronowców dokonujących zbrodni – między 22 a 25 sierpnia jednostki SS RONA wycofywały się z Ochoty do Kampinosu, gdzie... znów mordowały, rabowały, gwałciły. Ofiarom niewiele dało, że dowodzący nimi pułkownik Kamiński pod koniec sierpnia stanął przed sądem wojennym w Łodzi. O miejscach, w których na Ochocie zamordowano po pięćdziesiąt–sto osób, informuje kilkadziesiąt tablic. A ile jest miejsc, gdzie zginęło mniej ludzi? Do takich zbrodni dochodziło pewnie na każdym podwórku.

Do połowy października Niemcy rabowali jeszcze domy i lokale, a łupy pakowali do pociągów towarowych na Dworcu Zachodnim i wywozili do Rzeszy. Samochodami z kolei wieźli je w kierunku Piotrkowa. Do połowy sierpnia dzielnica była wyludniona. Dzieła dopełniły niemieckie oddziały niszczycielskie, podpalające metodycznie ulicę za ulicą. Szczęśliwie udało mi się uniknąć drastycznych widoków,

ale przekazy świadków mówią o zwłokach kobiet z odciętymi piersiami, o zabijaniu księży niosących pociechę duchową rannym. Kobietom, które podały, że są narodowości rosyjskiej, udawało się ponoć uniknąć grabieży i gwałtów. Ci, którzy wrócili w swoje okolice, wśród trupów na ulicy czy w piwnicach zdołali czasem rozpoznać bliskich – częściej po ubraniach, dokumentach lub rzeczach osobistych niż po rysach twarzy, wiele ciał było bowiem spalonych lub nadpalonych.



Tak wyglądali cywile po kapitulacji powstania warszawskiego – niektórzy spali oparci o mur.

Fot. Instytut Pamięci Narodowej

Dopiero niedawno dowiedziałem się o terminie „rzeź Ochoty”, utworzonym na wzór „rzezi Woli”. W obu tych przypadkach sformułowanie to jest być może przesadzone – na Ochocie zginęło bowiem nie pięćdziesiąt tysięcy, ale dziesięć tysięcy osób, a mnie szczęśliwie udało się wyjść z tego bez szwanku. Niemniej jednak bez względu na liczbę ofiar każdej z nich należy się pamiętać.

Gdy na Ochocie działały się wspomniane okrucieństwa, nas już wówczas na Zieleniaku nie było – kilka dni po tym, jak zostaliśmy tam doprowadzeni, zagoniono nas na Dworzec Zachodni. Udało nam się nie umrzeć z głodu, bo po drodze ojciec znalazł w rynsztoku pół chleba. Wylądowaliśmy w obozie w Pruszkowie, co było o tyle lepsze, że stłoczono nas tam w hali pod dachem. Zdarzało się znaleźć przyrządy do golenia po poprzednich wygnańcach, kręciły się tam też siostry PCK, które opatrzyły mamie nogę, działała kuchnia.

Tam też prowadzono selekcję – ciocia z rodziną trafiła na wieś pod Skierniewicami, a my do Niemiec, w okolice Lwówka Śląskiego i Jeleniej Góry. Jako jedyni z domu przy Piotrkowskiej 7 odbyliśmy tak daleką podróż. Najpierw dwie doby jechaliśmy pociągiem towarowym do Wrocławia – na Psim Polu, które dziś jest dzielnicą tego miasta, urządzony był obóz, w którym spędziliśmy dwa tygodnie. Pamiętam stamtąd więźniów mówiących po rosyjsku, tatę palącego skręty z liści i mamę gotującą fasolę, która i tak była strasznie twarda. Potem wysłano nas do Legnicy i Lwówka Śląskiego, gdzie ojciec pracował w piekarni, a mój szesnastoletni brat w gospodarstwie. Mnie z mamą wysłano jeszcze dalej, do Skorzenic. Z czasem tata z bratem załatwili sobie pracę w naszej wsi, ale i tak mieszkaliśmy oddzielnie.

Jesienią i zimą pracy tu nie było, chyba że przy zwierzętach – nasi gospodarze mieli konia, woły i trzy krowy. Tata zawsze podrzucił jakiś chleb. Jako młodociany robotnik rolny – miałem wówczas siedem lat – dostałem ostatnio od Niemiec dwa tysiące złotych. Kilka lat temu odwiedziłem Skorzenice – nadal stał tam porządny dom, w którym była piekarnia. Żyła jeszcze córka jego właściciela, ale poproszona o potwierdzenie naszego pobytu u nich, stwierdziła, że nic nie pamięta. Jej zeznanie potrzebne było do ubiegania się o odszkodowanie, całą dokumentację Niemcy zniszczyli bowiem w czasie wojny i tuż po niej. Napisałem więc do Niemiec, że dowodów na bycie robotnikiem nie

mam, ale mogę wskazać osobę, która to poświadczy. Wtedy kobieta potwierdziła, że we wsi pracowali robotnicy przymusowi.

Pod naporem wojsk radzieckich idących od wschodu Niemcy uciekali na zachód i z czasem wieś się wyludniła – tata i brat wyszli z niej ze swoimi gospodarzami, ja i mama – z naszymi. Odtąd nie wiedzieliśmy, co się z nimi dzieje – mieliśmy się z nimi spotkać dopiero w czerwcu 1945 roku. Gospodarze jechali na wozie, do którego doczepiony był wózek, miniatuurka wozu chłopskiego, na którym jechały bagaże; my szliśmy obok. Mamie bardzo doskwierała rana w nodze, ledwo szła, ale wyjścia nie miała, nie mogła przecież zostać przy drodze. W trasie gospodarze nocowali u Niemców w domach, Polacy w oborach lub w stajniach. Od wędrowania po Sudetach góra dół po śniegu i lodzie zniszczyły mi się podeszwy u butów, ale na szczęście naprawili mi je Polacy. Jedliśmy to, co mama załatwiła u gospodarzy, bo swojego jedzenia oni też nie mieli.

We wsi pięćdziesiąt kilometrów od Drezna pozostawiono nas, bo byliśmy już balastem dla Niemców uciekających przez Rosjanami. Mnie i mamę ulokowano u samotnie mieszkającej gospodyni, której mąż przebywał na froncie. Jesienią i zimą znów nie było dla mnie pracy, więc Niemka zapisała mnie do szkoły – rzecz jasna niemieckiej. Uczęszczała do niej garstka dzieci, lekcje odbywały się w wolno stojącym budynekczku. Największe wrażenie zrobiły na mnie wszechobecny porządek i wysoki standard domów – mimo że to wieś, z kranu leciała bieżąca woda, wewnątrz było WC, również z bieżącą wodą. W domach stały też piece centralnego ogrzewania, a w oborach poidła dla krów, które zwierzęta same sobie uruchamiały pyskiem. Prowadzono również gospodarkę odpadami. Takich cudów techniki nie oglądałem jeszcze długo po powrocie do Polski. Gdy odwiedziłem te tereny kilka lat temu, zaskoczyło mnie, w jakiej ruinie są te gospodarstwa, tak świetnie niegdyś prosperujące. Zamieszkujący je Polacy nie dbali o nie i nie

unowocześniali ich, bo – jak twierdzili – w każdej chwili Niemcy mogli im je odebrać, wciąż się tam bowiem kręcili. Tymczasem ich wizyty w tamtym miejscu miały charakter raczej sentymentalny.

Przez wiele miesięcy pobytu w niemieckim gospodarstwie nie mieliśmy kontaktu z żadnym Polakiem. Wiosną ruszyły prace w polu, w których pomagałem, wcześniej jednak – 13 lutego 1945 roku – ziemia zadrżała, a z nieba zleciały srebrne płatki. Tak wyglądało bombardowanie Drezna – pod stopami wciąż czuć było dygotanie od spadających pocisków, a owe srebrne paski były to kawałki folii, którą alianci zrzucali, by zakłócać niemieckie radary. Drezno zostało zrównane z ziemią, czuć było, że zbliża się front.

Dzień wyzwolenia był słoneczny. Nie pamiętam, czy do naszej wsi czołgi wjechały 9 czy 10 maja, w każdym razie do dziś wywieszam flagę na dzień zwycięstwa nie 8, ale 9 maja. Razem z innymi dziećmi stałem przy drodze i obserwowałem nadjeżdżający pojazd pancerny. Gdy się zatrzymał, wysiadł z niego żołnierz z czerwoną gwiazdą na czapce i zaczął rozdawać nam cukierki i czekoladę. Rozpytywał, czy nam, polskim dzieciom, nie działa się tu krzywda, a jeśli tak, to prosił, byśmy wskazali winnych. Nie dałem im powodu do zemsty. Po pierwsze, dlatego że umiałem mówić tylko po niemiecku, a oni pytali po rosyjsku, komunikacja była więc utrudniona; a po drugie, dlatego że mi tam naprawdę nie było źle, miałem dach nad głową i mamę przy sobie, miałem co jeść, nie chorowałem, nikt mnie nie bił, nie czułem się człowiekiem drugiej kategorii, co Rosjanie próbowali nam sugerować.

Od czasu wizyty wyzwolicieli minęło kilka dni, w czasie których działacze PCK organizowali nasz powrót do Polski. W końcu wsiedliśmy na ciężarówkę, która powiozła nas na stację kolejową, a tam zajęliśmy miejsca w pociągu towarowym. Na szczęście nie było w nim tłumów i mama mogła się położyć. Nie zliczę, ile przesiadek dzieliło nas od Warszawy – jechaliśmy między innymi przez czeską Pragę.

W Katowicach staliśmy trzy dni, mama bardzo źle się czuła, a pielęgniarka PCK opatrywała jej nogę. Rana wciąż się nie goiła, zresztą mama leczyła ją jeszcze dwa lata po wojnie. Do tej pory to ja byłem bardziej jej opiekunem – szybko opanowałem niemiecki, więc co się dało, to załatwiałem. W tej sytuacji, gdy przez ból nogi mama była unieruchomiona, przynosiłem jej wodę i zupę z dworca, biegałem i dowiadywałem się o dalsze etapy podróży, bo co jakiś czas prowadzono selekcję i rozsyłano ludzi w różne rejony Polski w nowych granicach.

Po mniej więcej dwóch tygodniach jazdy dotarliśmy na Dworzec Zachodni. Z peronów widać było nasz dom przy Piotrkowskiej 7, nie wiedzieliśmy jednak jeszcze, że nie jest już nasz. Przed wojną i w czasie okupacji mieszkanie jedynie wynajmowaliśmy, nic więc dziwnego, że zmieniło lokatorów. W ogóle po wojnie jedna trzecia mieszkańców to byli przyjezdni, głównie ze wsi. Po drodze z dworca mijaliśmy z mamą znajomych ludzi, którzy mówili, że ojciec z bratem już na nas czekają. Do Warszawy wrócili miesiąc wcześniej – najpierw tata, a Leonard kilka dni później. Tata z zachodu wracał konno – na jednym koniu jechał, drugiego prowadził. Nie wiem, czy dostał je od gospodarzy, czy po prostu sobie wziął. Niedługo jednak było dane mu się nimi cieszyć – po drodze co jakiś czas zaczepiały go grupy Rosjan i po kolei odbierały, co miał: jednego i drugiego konia, wreszcie rzeczy, które zabrał z niemieckiego gospodarstwa. Do domu wrócił z jedną walizką – porządną, obitą blachą, długą na metr i przestrzeloną w dwóch miejscach. Miał w niej kilka koszul i zastawę stołową. Walizka służyła nam jeszcze długo po wojnie.

Brat, tak jak ja i mama, wrócił z pustymi rękami – podobnie bez niczego opuściliśmy mieszkanie 8 sierpnia 1944 roku. Na Dworcu Zachodnim widział, jak Rosjanie do ostatniej chwili grabili wracających do kraju Polaków – najbardziej interesowały ich zegarki. Nie mam więc z dzieciństwa ani jednej pamiątki, żadnej zabawki. Ci, którzy wrócili

przed nami, mogli jeszcze coś w swoich domach zastać; my wróciliśmy na końcu, inni zdążyli się już podzielić naszymi dobrami w przeświadczeniu, że pewnie nie żyjemy. Jediną cenną rzeczą, którą mieliśmy, był złoty zegarek mamy, który przez cały czas przechowywała pod dnem torebki. Przetrwał okupację, Zieleniak, Pruszków, zsyłkę, a po wojnie wylądował w piecu – mama nieopatrznie zgarnęła go ze stołu razem z okruchami i wrzuciła w ogień. Nim go wyciągnąłem, zdążył się zniszczyć.

Nie przejmowaliśmy się zbytnio tymi brakami materialnymi, najważniejsze, że wszystkim nam udało się przeżyć i po dłuższej rozłące znów byliśmy razem. Pierwszą noc spędziliśmy na kupie u ciotki w pokoju z kuchnią. Nazajutrz tata wybrał się na poszukiwania naszego własnego lokum – znalazł wolne mieszkanie przy Opaczewskiej, ale mama nie chciała w nim zamieszkać. Samo mieszkanie było w dobrym stanie, ale dom był przestrelony i istniało ryzyko zawalenia. Po sąsiedzku, przy Orzeszkowej, znaleźli mieszkanie z deskami w oknach zamiast szyb, ale za to z piecem, w którym paliliśmy potem drewnem. Do czasu, aż tata z bratem je wykończyli, mieszkaliśmy u cici.

Czas było zacząć normalne życie – tata wrócił do pracy w piekarni, mama dorabiała jako krawcowa, a my z bratem się uczyliśmy. Jeszcze w czerwcu, na chwilę przed wakacjami, rodzice zapisali mnie do szkoły – od razu do drugiej klasy, bo umiałem już czytać, pisać i liczyć. Liczenia nauczyłem się w Niemczech, a polszczyznę przyswajałem razem z bratem, który jeszcze w wojennej Warszawie czytał wiersze i dzieła Adama Mickiewicza z książki w czerwonych, płóciennych okładkach. Jako pięciolatek recytowałem *Redutę Ordona*, jednak później w szkole często brakowało mi polskich słów, wtrącałem więc niemieckie. Początkowo koledzy mnie przez to odrzucali, ale przecież każdy z nas był jakoś naznaczony historią.

Nie przeszkadzało nam to bawić się w wojnę. Ganiałiśmy po gruzach żelbetowej zajezdni tramwajowej, przed wojną najnowocześniejszej w Warszawie, a wysadzonej w powietrze na zakończenie wojny. Sukcesywnie wyburzano jej resztki, a gruzami z niej zasypywano stawy w parku Szczęśliwickim, gdzie niegdyś były kopalnie gliny i fabryka cegły. Wszystko to trwało latami – pamiętam bowiem, jak już po wojnie grałem z chłopakami w piłkę między zabudowaniami cegielnianymi, w których suszyły się cegły. Z gruzów, których nie wchłonęły stawy, usypano górkę, znaną dziś jako Górka Szczęśliwicka, z której przez cały rok można zjeżdżać na nartach albo przejechać się kolejką grawitacyjną.

Nie wszystkie nasze zabawy kończyły się szczęśliwie – raz, gdy w ferie bożonarodzeniowe poszliśmy na łyżwy, jeden z kolegów wpadł do przerębla i się utopił. Po wojnie była to bowiem jeszcze wieś i zwierzęta gospodarskie poiono właśnie wodą ze stawów, w których drażono przeręble. Inni koledzy z kolei odnosili rany podczas zabaw amunicją, którą znajdowaliśmy na terenach zajezdni. Z naboju karabinowych odcinało się czubek, odsypywało się odrobinę prochu, czubek wbijało do środka i z powrotem sypano proch, po czym podpałało się pod nogą i strzelało. Od czasu do czasu słyhać było o śmiertelnych wypadkach podczas takich zabaw.



Boguś w czwartej klasie (w środku pierwszej ławki), rok 1950. Po jego prawej stronie siedzi Jerzy Szcześniak, który mieszkał przy ul. Grójeckiej 102. Jego brat należał do tej samej drużyny harcerskiej co brat Bogusia. Został postrzelony 28 lutego 1944 roku przy ul. Mątwickiej, a potem zamordowany na Pawiaku.

Fot. Archiwum prywatne Bogusława Lachowskiego

Do szkoły średniej poszedłem śladem brata. Skończyłem liceum im. Hugona Kołłątaja – to, w którym za czasów Zieleniaka gwałcono kobiety, a ich zwłoki palono na wielkich rusztach. Była to bodaj ostatnia szkoła w Warszawie, do której nie dotarło powstanie warszawskie. Okoliczni mieszkańcy żyli w niezniszczonych domach, o powstaniu koledzy szkolni dowiadawali się ode mnie. Jeszcze niedawno jeden z nich zapytał, o jakim powstaniu mówię, bo tam, gdzie mieszkał – na Okęciu, na wysokości Instytutu Lotnictwa – nic się nie działo. Ludzie chodzili po ulicach, nikt nie strzelał. Owszem, powstanie zatrzymało się

na linii kolei radomskiej, jak ją nazywaliśmy – wykop, którym biegnie pod Grójecką, znajduje się na wysokości budynku z numerem 204 i był to ostatni dom w Warszawie. Tylko trzy, może cztery kilometry dzieliły mieszkańców dalekiej Ochoty i Okęcia od tragicznych walk.

Po liceum poszedłem na SGGW, gdzie skończyłem kierunek technologia drewna. Ożeniłem się, mam dzieci. Udało mi się urządzić w tej nowej Polsce, nigdy nie myślałem o wyjeździe, choć budowałem fabryki i w Grecji, i w Iraku, podróżowałem do Izraela, byłem w Nowym Jorku. To Polska jest moim domem, tu są groby moich przodków. Tata zmarł w wieku siedemdziesięciu jeden lat – do dziś przypomina mi o nim smak ciepłego pieczywa. Jestem w stanie pójść po nie do sklepu nawet bladym świtem. Brat odszedł w wieku osiemdziesięciu trzech lat, dołączył tym samym do naszego braciszka Leopolda, który urodził się między mną a nim, ale zmarł na szkarlatynę w wieku czterech lat. Najdłużej – jak dotąd – żyła moja mama, która dociągnęła do setki. Do końca nie wierzyła, że żadnej wojny już nie będzie, i czekała na trzecią światową. Ja nie czekam.



*Boguś na wakacjach w Juracie w 1948 roku.
Fot. Archiwum prywatne Bogusława Lachowskiego*



*Bogusław Lachowski w warszawskim mieszkaniu zimą
2022 roku.*

Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej

Bogusław Lachowski

Stefcia (ur. 1944)

URODZONA WIĘŹNIARKA



*Jedno z niemowląt znajdujących się pośród więźniów
wyzwolonych przez Armię Czerwoną w KL Auschwitz-
Birkenau 27 stycznia 1945 roku.*

Fot. Zbiory Muzeum KL Auschwitz (fot. Stanisław Mucha)

Poród trwał trzy dni. Nawet nie wiem, gdzie się odbywał – na pryczy, na przewodzie kominowym czy jeszcze gdzie indziej, w baraku czy na rewirze. Nie wiem, czy ktoś był obok, ale położna Leszczyńska zwykła mawiać, że nawet jeśli nie towarzyszyła więźniarkom, Ktoś zawsze przy nich czuwał. Data moich narodzin, którą mam w dowodzie osobistym, jest umowna. Równie dobrze, co 18 listopada 1944 roku mogłam przyjść na świat 5 listopada albo 13. Kto w Auschwitz miał głowę do kalendarza? Mama kojarzyła tylko, że był listopad, coś koło połowy. Natychmiast zainteresował się mną Mengele. Gdy po jego „badaniach” wracałam do mamy, długo nie mogła mnie uspokoić.

O rodzicach nie wiem prawie nic. Mama Anna Piekarcz pochodziła z Osieka koło Olkusza, tata Stefan mieszkał dwanaście kilometrów dalej, w Czubrowicach. Nie wiem, jak się poznali, może na odpuście? Nie wiem też, ile lat miał tata, gdy się pobrali 27 stycznia 1943 roku. Mama zmarła siedemnaście lat temu, nie żyje też jej rodzeństwo, nie mam więc już kogo zapytać o to, co zaczęło mnie frapować dopiero niedawno, między innymi o okoliczności mojego przyjścia na świat.

Po ślubie mama z Osieka przeprowadziła się do taty, do Czubrowic. To było jak wyprowadzka za granicę, bo Osiek należał do III Rzeszy, a Czubrowice – do Generalnej Guberni. W Guberni było głodno, a w Reichu było nieco łatwiej o jedzenie. Mama wybrała się więc do swojej matki po trochę mąki i cukru. Musiała w tym celu przekroczyć granicę w Zimnodole – dołączyła do grupy piętnastu koleżanek, które często

z powodzeniem szmuglowały tędy żywność. Pomyślała, że skoro im się udaje, to tym bardziej jej, która nic nie miała na sumieniu.

Był 13 kwietnia 1944 roku, gdy wyruszyła w ten ponaddwugodzinny marsz. Była w drugim miesiącu ciąży, ale nie miała wyjścia, jeść trzeba było. Na granicy wyszło do nich dziesięciu Niemców z psami. Nie chcieli słuchać, że mama nic nie przemyca – była wśród szmuglerek, wzięto ją więc za jedną z nich. Wszystkie kobiety zatrzymano, popędzono do Olkusza i zamknięto w tamtejszym areszcie. Temu i tak tragicznemu zdarzeniu towarzyszyły grzmoty burzy i ujadanie psów, jakby dla podkreślenia grozy sytuacji. Nazajutrz aresztantki wypuszczono, ale nie do domów – wsadzone na lory, zostały powiezione do KL Auschwitz. Po czterech latach wojny każdy już wiedział, co się święci za tamtejszymi drutami. W drodze kobiety płakały i modliły się na zmianę. Przy bramie obozu tradycyjnie powitane zostały przez orkiestrę oraz niemiecką kapo, która bez zwłoki je uświadomiła:

– Zuganki, tu jest lagier śmierci, stąd wyjście prowadzi tylko przez komin.



Przekroczywszy „Bramę śmierci”, mama Stefanii nie przyznała się do tego, że jest w ciąży. To byłby wyrok śmierci.

Fot. Zbiory Muzeum KL Auschwitz (fot. Stanisław Mucha)



*Nowych więźniów przy bramie witała obozowa orkiestra.
W 1944 roku nikt już jednak nie miał złudzeń, co się dzieje
za drutami.*

Fot. Zbiory Muzeum KL Auschwitz (fotografia SS)

Mama wiedziała, że dla Niemców kobiety ciężarne były beużytecznymi darmozjadami, z którymi jest tylko kłopot. Nie czekały w kolejce do gazu – albo łądowały w komorze jeszcze w ciąży, albo potem mordowane było tylko dziecko, a one, jeśli nadawały się do roboty, były do niej zaganiane. Gdy nie dawały rady, i tak umierały – czy to z wycieńczenia, czy z powodu zakażenia poporodowego. Do swojego stanu mama więc się nie przyznała. Kobiety zapędzono do łaźni, nie szczędzono im obelg, popychano je. Zdarto z nich całą odzież. Mama miała na sobie ładną bluzkę i łańcuszek, znalazły pewnie nową właścicielkę. Ogolili im głowy i dali pasiaki – mamy drelich był na nią za ciasny i za krótki, ledwo przykrywał pępek, i był aż sztywny z brudu. Najgorsze były jednak drewniaki, które obijały i raniły gołe kostki,

a zimową porą, podczas wielogodzinnych porannych apeli, stopy do nich przymarzały. Na lewym przedramieniu wytatuowali jej numer 79 414 i zagonili ją do baraku numer 11.

Musiła pracować, by ocalić siebie i mnie: kopała rowy, wywoziła odchody z latryn. Raz, gdy w kilka kobiet ciągnęły długą beczkę z gnojówką, mama się przewróciła. Niemka zabiła ją do nieprzytomności. Nikomu nie wolno było jej pomóc, w najlepszym razie groziła za to kulka w łeb, w gorszym – skatowanie i powolna agonía. Nie wiem, jak długo mama leżała nieprzytomna, ale gdy się ocknęła, była obolała i potwornie doskwierały jej pizsczele.



*Ciężarna mama Stefanii pracowała przy kopaniu rowu
odwadniającego – gdy zemdląa, nikomu nie wolno było
jej pomóc.*

*Fot. Zbiory Muzeum KL Auschwitz (fot. Zbigniew
Klawender)*

Więżniarki kobiecego obozu Auschwitz-Birkenau dostawały do jedzenia brukiew, ziemniaki, czarny chleb, w którym więcej było trocin niż mąki, oraz miskę śmierdzącej cieczy, która miała uchodzić za zupę. Mama wytrzymała tak cztery miesiące, a w sierpniu kobiety zaczęto wywozić do Ravensbrück. Tam długo nie ukryłaby ciąży i z pewnością stałaby się jednym z króliczków doświadczalnych, na których przeprowadzano eksperymenty pseudomedyczne. Nie lepszy los czekałby mnie samą: jeśli nawet dane by mi było przyjść na świat, byłabym przetrzymywana z resztą noworodków w osobnym pokoju, do którego matki miały wstęp tylko pięć razy dziennie na karmienie. Robactwo włożyło tam dzieciom do uszu i nozdrzy, a gdy się rozkopywały, leżały nagie. Krzyczały z zimna i głodu, a od niezmiennych pieluszek robiły im się odleżyny. Padały jak muchy.

Koleżanka – jedna ze szmuglerek, z którymi mama przekraczała granicę i która już w obozie organizowała mamie jedzenie, bo miała chody w kuchni – ocaliła ją raz jeszcze. Hela miała jakieś lepsze układy z niemiecką kapo, dlatego wyjawiała jej informację o stanie mamy i poprosiła, by jej nie wywozić. O dziwo Niemka nie tylko na to przystała, lecz także nakazała odtąd dokarmiać mamę zabielaną zupą. Przeniesiono ją na blok 15 i zwolniono z obowiązku pracy. Wierzę, że dobrych ludzi zsyła sam Bóg.

W normalnych warunkach ciężarna kobieta przygotowuje się do przyjęcia dziecka na świat – zdrowo się odżywia, oszczędza się w pracy, szykuje wyprawkę. W obozie trzeba było o tym zapomnieć. Na tysiące ciężarnych więźniarek mało która miała niemowlęce ubranka. Opowiadało się o jednej, która dostała z domu śnieżnobiałe, wyprasowane kaftaniki. Urodziła ślicznego, dorodnego chłopca. Więżniarki, dla których zaraz stał się oczkiem w głowie, oddawały jego matce swoje racje żywnościowe, by tylko mogła chłopczyka wykarmić. Niestety, oboje poszli do gazu. W KL Auschwitz-Birkenau kobieta

spodziewająca się porodu zwykle wymieniała swoje racje żywnościowe na prześcieradło, które dała potem na pieluszki i koszulki dla dziecka. Wypraną dziecięcą bieliznę położnice suszyły na własnych udach lub pod plecami, bo robienie tego na widoku było karane śmiercią. Przed moimi narodzinami mama zorganizowała z innymi więźniarkami pasiak, igłę, nici i uszyła mi poduszeczkę, becik i ubranko. Wszy wychodziły z każdego ich zakamarka.

Mama była wychudzona, ale ja już dawałam o sobie znać – brzusek wyraźnie się zarysowywał i podczas spania, a kobiety leżały po osiem na jednej pryczy, mama nie miała jak się obrócić na drugi bok. Jak się okazało, nie był to jej największy problem. Gdy nadszedł czas, że już zaczęłam pchać się na świat, moja dwudziestosiedmioletnia mama ważyła zaledwie dwadzieścia osiem kilogramów – była niedożywiona, wygłodzona, zziębnięta i nie miała siły rodzić. Jak zaczęła w poniedziałek, tak męczyła się do środy. Bóle porodowe zwykle mobilizują kobietę do parcia, jednak ona była wyczerpana z energii i nie mogła przeć. W środę straciła przytomność, a gdy się ocknęła, ktoś przy niej stał – kobieta i mężczyzna – ale nie była w stanie rozpoznać tych osób. Możliwe, że kobietą była położna Stanisława Leszczyńska, która pod pasiakiem nosiła zawsze zapas bandażu do opatrzenia odciętej pępownicy. Czy mężczyzną obok niej był doktor Józef Mengele?



*Gdy mama rodziła Stefanię, miała 27 lat i ważyła 28 kg –
mogła wyglądać jak widoczna na fotografii kobieta, którą*

*zajął się utworzony po wyzwoleniu na terenie obozu
szpital Czerwonego Krzyża.*

*Fot. Zbiory Muzeum KL Auschwitz (fot. Zbigniew
Klawender)*

Jako datę urodzenia mam wpisany w dowodzie osobistym 18 listopada 1944 roku, ale równie dobrze mógł to być piąty czy trzynasty. Mama była tak słaba, że nie była w stanie się mną opiekować. Przez kolejne dwa tygodnie leżała zresztą ze związanymi nogami, co miało pomóc w gojeniu się rany po porodzie. Przez cały ten czas żyła niemal o wodzie, bo połowę swojej racji żywnościowej oddawała rosyjskiej więźniarce, która się mną zajmowała. To ona umyła mnie w lodowatej wodzie i podawała mnie mamie do karmienia. Aż dziw, że ta wycieńczona kobieta miała tyle pokarmu, że dokarmiła jeszcze jedno dziecko. Zazwyczaj wysuszone głodem piersi położnic tylko drażniły wargi noworodków i potęgowały ich głód.

Jak to w niemieckim systemie, w którym wszystko musi być uporządkowane, natychmiast mnie „skatalogowano”. Noworodki tatuowano na udach, bo na małych rączkach numer się nie mieścił. Dostałam numer 89 136 – mama rozpaczała. Po tylu latach jest już niewidoczny, wygląda jak drobne siniaki, nie udało się go odczytać nawet specjalistom z wrocławskiego Instytutu Wojskowego. Wiem, że niektóre obozowe niemowlęta, kiedy dorosły, próbowały usunąć tatuaż, bo im przeszkadzał, przypominał o traumie. Ja nie zwracałam na niego uwagi, nawet krótkie spódniczki były w stanie go przysłonić, a i mężowi nigdy nie przeszkadzał – on doświadczył rzezi wołyńskiej, też swoje przeszedł, więc niczemu się nie dziwił.

Tatuaż oglądali także lekarze w trakcie rutynowych kontroli – dawniej jeszcze moje dolegliwości zdrowotne wiązali z przeżyciami wojennymi. Widok numeru obozowego był dla nich jedną z ważniejszych podstaw do postawienia diagnozy. Ze względu na

okoliczności narodzin i pierwszych miesięcy życia, które odcisnęły piętno na moim stanie zdrowia, dostałam pierwszą grupę inwalidzką. Dzisiejsi lekarze już z tego „wyrośli”, nie zaprzatają sobie tym głowy. Zdarzyło mi się kiedyś usłyszeć rzucone w stronę kombatanta słowa: „To wy jeszcze żyjecie?”. Nie ma już dziś kategorii „inwalida wojenny”, która gwarantowała pierwszeństwo w kolejce u lekarza czy zniżki u przewoźników. Zmienił się taryfikator, zmieniła się kategoria renty i coś, co było i jest oczywiste, za każdym razem należy udowadniać od nowa.

Ponieważ tata miał na imię Stefan, mama postanowiła nazwać mnie po nim – Stefania. Mówiła do mnie czule: Stefciu, a jak podrosłam: Steniu. Zostałam ochrzczona jeszcze w obozie, z wody. Dzieci, które przychodziły na świat przy asyście położnej Leszczyńskiej, chrzcila ona w ten sposób osobiście. Czy chrześcijańskie, czy żydowskie – chrzcila na prośbę samych matek i jeśli one nie były w stanie, w ich zastępstwie nadawała imiona, najczęściej na cześć patrona dnia, ale także Maria i Józef (z wiadomych względów) czy Ewa, na znak początku nowego życia.



Lekarz SS, doktor Josef Mengele, zabierał Stefanię na eksperymenty pseudomedyczne. Po powrocie z nich mamie dziewczynki trudno było ją uspokoić.

*Fot. Zbiory Muzeum KL Auschwitz (fot. Zbigniew
Klawender)*

Nawet jeśli mężczyzną, który pochylał się nad mamą podczas porodu, nie był Mengele, nie uchroniło mnie to przed spotkaniem z nim. Noworodki, które przeżyły poród w skrajnie trudnych warunkach obozowych, stanowiły szczególny cel jego zainteresowań. Zabierał mnie więc na badania – mama nie mogła odmówić, za to gdy dostawała mnie z powrotem, godzinami nie mogła mnie uspokoić. Krzyczałam, wiałam się, byłam pobudzona. Na pewno mnie tam nie głaskali.

Zgodnie z niemiecką polityką Polaków na „byłych” ziemiach polskich miało zostać tylu, ilu było potrzebnych do niewolniczej pracy. Reszta miała wyginąć albo nie narodzić się wcale. Raporty NSDAP donosiły w 1939 roku, że wówczas w Polsce przychodziło na świat od trzydziestu do trzydziestu dwóch dzieci na tysiąc mieszkańców rocznie. Na wschodnich obszarach Niemiec i w Prusach Zachodnich rodziło się ich zaś dwadzieścia pięć–trzydzieści. Niemcy bali się, że gdyby z obszaru Rzeszy nie dało się przesiedlić wszystkich Polaków, rodziłoby się zbyt wiele „obywateli rodzajowo obcych”, „nienadających się do zasymilowania”. Założenia polityki rasowej kazały utrzymywać Polaków i Żydów na niskim poziomie życiowym.

Zgodnie z tymi założeniami opieka lekarska nad Polakami i Żydami miała się ograniczać do zapobiegania przenoszeniu się chorób zakaźnych na teren Rzeszy, dodatkowo tolerowane, a wręcz popierane miały być wszelkie środki służące ograniczaniu rozrodczości. Spędzanie płodu miało być w Polsce niekaralne, a środki służące do tego procederu oraz środki zapobiegawcze – szeroko dostępne. Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej podobne zarządzenia wydano w stosunku do ludności rosyjskiej. Proponowano kształcenie akuserek, względnie felczerek, w przeprowadzaniu sztucznych poronień. Miały to robić na tyle fachowo, by ludność nabrała do nich zaufania. Poza tym

propagowano dobrowolną sterylizację i nie zwalczano śmiertelności niemowląt. Planowano też zaprzestać uświadamiania matek w kwestii pielęgnacji niemowląt i chorób dziecięcych, ba, wiedza na ten temat miała być niska także wśród rosyjskich lekarzy.

Jak nie aborcją, to głodem chcieli Niemcy brać tych, którzy nie pasowali do ich chorej ideologii. Polityka aprowizacyjna III Rzeszy przewidywała bowiem, że Niemcom należy się sto procent przydziału węglowodanów, Polakom na ziemiach wcielonych (zarówno dzieciom, jak i dorosłym) – siedemdziesiąt sześć procent, w Generalnej Guberni – siedemdziesiąt siedem procent. Podobnie z białkiem: dla Niemców – dziewięćdziesiąt siedem procent, dla Polaków wcielonych – osiemdziesiąt pięć procent, dla tych z Guberni – sześćdziesiąt dwa procent. Ale najgorzej było z tłuszczem: Niemcom należało się siedemdziesiąt siedem procent, a Polakom – odpowiednio czterdzieści dziewięć i osiemnaście procent. Moi rodzice znajdowali się w grupie, która miała „samoczynnie” wyginąć z głodu.

Innym sposobem na pozbycie się niewygodnych obywateli potężnego imperium niemieckiego było doprowadzenie ich do śmierci w obozach koncentracyjnych: z głodu, zimna, chorób, wycieńczenia, w wyniku tortur lub bezpośredniego zabójstwa przez zastrzyk z fenolu, zastrzelenie czy uduszenie w komorze gazowej. Byli wśród nich obywatele, na których wyrok zapadł, zanim jeszcze przyszli na ten świat. W obozach koncentracyjnych ciężarna najczęściej trafiała do krematorium. Jeśli zdołała urodzić, nadal istniało ryzyko, że razem z niemowlęciem pójdzie do gazu. Jeśli Niemcy postanowili zostawić ją przy życiu, po kilku dniach wracała do pracy, ale dziecko i tak wrywano jej zaraz po porodzie.

Maluchy umierały z głodu lub wyziębienia. Matka oglądała potem swoje dziecko rzucone przed blok i szarpane przez szczury. Noworodki o nordyckich cechach przetrzymywane były w osobnym bloku, a potem

wywożone do obozów w Łodzi i Potulicach, gdzie prowadzono na nich badania rasowe. Te, które pomyślnie przeszły selekcję, germanizowano i przygotowywano do adopcji przez niemieckie rodziny. Żydowskie dzieci nie miały żadnych szans – niemiecka położna Klara z pomocą Pfani, w cywilu prostytutki, od razu topiły je w beczułce. Bezradnej matce długo jeszcze dźwięczały w uszach plusk wody i odgłosy szamotaniny – bo topione noworodki z determinacją walczyły o życie.

Taką sytuację zastała w szubie położniczej Stanisława Leszczyńska, położna z Łodzi, która do KL Auschwitz-Birkenau trafiła w kwietniu 1943 roku, a więc rok przed moją mamą. Szubę prowadziła wówczas wspomniana Klara. Jej praca sprowadzała się do aborcji, choć to za ten proceder – tyle że przeprowadzany na Niemkach – trafiła do obozu. Bo Niemki miały rodzić na potęgę i w ich przypadku aborcja była zakazana. Polki przeciwnie – najlepiej, gdyby nie rodziły wcale. Podobnie zresztą kobiety innych narodowości, bo ciężarne zwożone były do obozu z całej Europy. Przybycie Leszczyńskiej za druty zbiegło się w czasie z zachorowaniem Klary na tyfus. Polska położna, dowiedziawszy się o tym, zgłosiła się na zastępstwo.



*Strzykawka stanowiąca wyposażenie szpitala obozowego
w KL Auschwitz.*

Fot. Zbiory Muzeum KL Auschwitz



*Wnętrze krematorium na terenie Auschwitz I w
Oświęcimiu. Fotografie wykonał po wyzwoleniu obozu
(być może w 1946 roku) były więzień Auschwitz Zbigniew
Klawender.*

*Fot. Zbiory Muzeum KL Auschwitz (dolne zdjęcie – fot.
Zbigniew Klawender)*

Podlegały jej dwadzieścia cztery łóżka na rewirze, jak mówiono na szpital, który w żadnym razie nim nie był – nawet z nazwy, jak widać. W bloku długim na trzydzieści metrów leżało tysiąc dwieście kobiet z biegunką. Tak zwana izba położnicza niczym nie różniła się od reszty pomieszczeń, poza ceglana podłogą. Na trzypiętrowych kojach były prycze zajmowane przez trzy, cztery kobiety. Leżały na brudnym sienniku pozbawionym słomy, za to pobrudzonym krwią i kałem, położonym bezpośrednio na desce, która wcześniej służyła za drzwi lub okiennice. Przez blok ciągnął się piec, w którym palono raptem kilka razy w roku, nic więc dziwnego, że zimą z sufitu zwisały sople. Na bloku roiło się od robactwa i szczurów, odgryzających ciężko chorym, niemogącym się poruszać kobietom części ciała. Gryzonie roznosiły infekcje wywoływane brudem. Panował tam niemożliwy smród. Racje żywnościowe więźniarek na rewirze składały się w osiemdziesięciu procentach z rozgotowanego zielska, a w dwudziestu procentach – ze szczurzego kału.



Stanisławę Leszczyńską można uznać za emancypantkę – kształciła się w zawodzie lekarskim w obcym mieście, ale nie zaniedbywała przy tym rodziny.

Fot. Archiwum Archidiecezjalne w Łodzi

To właśnie tam w ciągu sześciuset dni pobytu w obozie Stanisława Leszczyńska przyjęła blisko trzy tysiące porodów – statystycznie trzy, cztery dziennie, w rzeczywistości jednego dnia żadnego, a innego dziesięć naraz. Miała znajomości w „Kanadzie”, skąd więźniarki funkcyjne znosiły jej środki odkażające i higieniczne, materiał na pieluszki, szmaty do krwotoków. Leków było niewiele, na rewir przypadało ledwie kilka aspiryn dziennie. Zdobycie czystej wody oznaczało dla położnej – tylko ona mogła bowiem opuścić rewir – dwudziestominutową wyprawę z wiadrem. Organizowała też skądś szczapki drewna do pieca, by tę wodę podgrzać.



*Położna Stanisława Leszczyńska z mężem Bronisławem
oraz dziećmi: Sylwią, Bronisławem, Stanisławem*

i Henrykiem.

Fot. Archiwum Archidiecezjalne w Łodzi

Pierwsze dziecko, które przyjęła, było dzieckiem Cyganki, jako pierwsze z dzieci urodzonych w Auschwitz pozostało też ono przy życiu. Ponieważ Niemcy ginęli masowo na froncie i postanowili „nie marnować” dzieci rasowo akceptowalnych, wybrane przeznaczali do adopcji, a Leszczyńska robiła im ledwie zauważalny tatuaż pod kolankiem lub na nadgarstku. Wyglądał jak znamię, a niejedną matkę pocieszało to, że kiedyś odnajdzie syna czy córkę. Rzeczywiście, dzięki temu kilkanaścioru tak oznaczonych dzieci udało się wrócić po wojnie z Niemiec do Polski.

Jak wspominała Leszczyńska, porodów było dużo, bo wciąż przychodziły transporty. W latach siedemdziesiątych mówiła w wywiadzie radiowym, że rodziły się śliczne dzieci – żywe i chętne do życia. Obóz przetrwało jednak zaledwie trzydzieścioro. Kilkaset wynarodowiono w Nakle, ponad tysiąc pięćset utopiły Klara i Pfani, ponad tysiąc zmarło wskutek zimna i głodu. Ale co zadziwiające, wbrew przewidywaniom i skrajnie niesprzyjającym warunkom przy asyście polskiej położnej wszystkie dzieci rodziły się żywe i dobrze wyglądały.

Przez pierwsze parę dni niektóre matki karmiły, ale krótko – nie miały pokarmu, same były głodne. Skóra wygłodzonych dzieci przypominała pergamin, przez skórę prześwitywały ścięgna, naczynia krwionośne i kości. Wreszcie umierały. Matki płakały, wyły, skowyczały, głos chyba szedł pod niebiosa – tak mówiła Leszczyńska.

Pilnowała, by kobiety leżały przez dziewięć dni po porodzie. Pewnego razu jednak przyszedł do niej Mengele i zażądał wskazania mu kobiety o konkretnym numerze: to była wilnianka, wysłana do obozu za pomoc partyzantom. Leszczyńska powiedziała mu, że kobieta dopiero

dwie godziny wcześniej urodziła, ale on wrzasnął, że wcale o to nie pytał.

– Ma wstać i wyjść! – rozkazał.

Jak wspominała Leszczyńska, krew się z niej lała, resztką sił wzięła dziecko na ręce, owinęła je w brudny papier i przycisnęła do piersi. Chyba próbowała mu coś zanucić, by czuło się bezpieczne, ale usta poruszały się bezgłośnie i tylko jej łzy kapały na głowę niemowlęcia. Położna narzuciła na nich koc, a Niemiec wsadził kobietę na wóz, który odwiózł ją prosto do krematorium. Leszczyńska potem się zastanawiała, co było bardziej tragiczne: jednoczesna śmierć obu najbliższych sobie istot, przeżywanie śmierci niemowlęcia, które umierało na oczach matki, czy śmierć matki umierającej ze świadomością, że jej dziecko zostaje na łasce losu.

Stanisława Leszczyńska potrafiła pocieszyć rodzące, dawała im poczucie bezpieczeństwa, otaczała je spokojem i wykazywała się cierpliwością; mówiła cichym, kojącym głosem, gładziła je po twarzy, zagadywała tak, że nie czuły bólu. Wbrew zakazowi śpiewała na głos piosenki – religijne i świeckie. Po wojnie przyznała, że intonowała je, gdy dla pacjentki nie mogła zrobić już nic. Z resztek chleba robiła różaniec i odmawiała go z pacjentkami, czym wprowadzała na sztabę namiastkę normalności i poczucie wspólnotowości. Na potajemne nabożeństwa, które organizowała, przychodziły nawet Żydówki. Często mówiła do ciężarnych, rodzących i położnic „dziecko”, dlatego zyskała przydomek „Matka Matek” lub po prostu „Mama”. Nawet Mengele nazywał ją „Mutti”.

Co najbardziej zdumiewające, żadna z kobiet rodzących pod jej okiem nie miała krwotoku czy gorączki. Leszczyńska często musiała zajmować się przypadłościami, które normalnie leżą w gestii lekarza specjalisty, takimi jak odklejone łożysko. Na pomoc niemieckich lekarzy

nie mogła liczyć, dopiero potem korzystała ze wsparcia polskich lekarek Janiny Węgielskiej i Ireny Koniecznej. Mimo tak tragicznych warunków nie zdarzył jej się zgon ani matki, ani dziecka przy porodzie, nie wdało się ani jedno zakażenie. Mengelemu musiała raz na jakiś czas przedkładać raporty, stąd jej dokładna znajomość statystyk. Niemieckiego lekarza drażniło, że takich wyników nie osiągają nawet jego koledzy po fachu w sterylnych niemieckich szpitalach, a tu przecież brakowało wszystkiego. Stwierdził, że być może wyniszczone organizmy są zbyt jałową pożywką nawet dla bakterii...

Mitem jest, jakoby przed Mengelem tupnęła nogą i powiedziała:

– Nie, nigdy nie wolno zabijać dzieci!

Była na to zbyt łagodna. Słowa te pochodzą z jej powojennych zeznań przed komisją lekarską. Jawnie odmówiła jednak uśmiercania żydowskich dzieci, zwróciła się do jednego z lekarzy ze słowami, że zbyt szanuje złożoną przez niego przysięgę Hipokratesa, by postąpić wbrew niej. Mawiała, że nie będzie Herodem. Sprzeciwiała się też eksperymentom pseudomedycznym przeprowadzanym przez Mengelego na noworodkach. Na sztabę położniczą weszła w tym samym czasie, co Mengele przybył do obozu; w tym samym czasie też przyszedł rozkaz zmiany reguł, by nie mordować dzieci innych niż żydowskie.

Nie wiadomo, czy na wybór drogi zawodowej przez Stanisławę Leszczyńską nie miał wpływu przedwczesny poród jej matki na statku płynącym do Brazylii. Czterooosobowa rodzina wybrała się tam w poszukiwaniu lepszych warunków życia niż w Łodzi, zapewniającej marny zarobek i ciężką pracę fabryczną. Towarzyszyły im dwie polskie rodziny. Stasia miała wtedy dwanaście lat i chodziła do progimnazjum. Skurcze porodowe u matki pojawiły się na dwa miesiące przed planowym porodem, a warunki na najniższych kondygnacjach statku, zajmowanych przez biedotę, były okropne: tłok, smród, zaduch.

Kobietom asystującym położnicy udało się wyprosić wszystkich z kajuty, jedna tylko Stasia pragnęła zostać przy matce – zbyt słabej, by oponować. Wówczas to, co działo się z ciałem kobiety podczas porodu, pozostawało tematem tabu. Dwie towarzyszące rodzącej kobiety postępowały intuicyjnie, Stasia też – złapała jęczącą matkę za rękę i przy jej uchu modliła się do Matki Bożej, czym dodawała Henryce otuchy. Gdy urodziła się Marta, kobiety zajęły się wyczerpaną mamą, a powijaki wręczyły Stasi. Miała już młodszego brata, którym się opiekowała, ale świeżo narodzonego noworodka – umazanego wodami płodowym, pomarszczonego i z zamkniętymi oczami – widziała i trzymała pierwszy raz w życiu. Marta niestety zmarła jedenaście dni później, już w Rio, co Stasia szczególnie przeżyła. Kilka lat potem także asystowała przy porodzie, który przebiegał tak szybko, że nie zdążono wezwać zamówionej wcześniej akuszerki.

Między 1911 a 1914 rokiem Stanisława Leszczyńska zdała małą maturę kończącą edukację w progimnazjum. W międzyczasie rodzina wróciła do Łodzi. Jako osiemnastolatka przeżyła wybuch pierwszej wojny światowej w mieście przemianowanym na Litzmannstadt. Ojciec został powołany na front, a matka – mimo samotnej opieki nad dwoma synami – zaangażowała się w działalność Komitetu Obywatelskiego Niesienia Pomocy Biednym. Stanisława działała razem z nią. Tam dziewczyna poznała przyszłego męża Bronisława, za którego wyszła jako dwudziestolatka.

Małżeństwem przyjdzie im cieszyć się osiemnaście lat, bo on zginie w powstaniu warszawskim. W 1917 roku urodził się ich pierwszy syn. Stasia patrzyła na maleńkiego wcześniaka i modliła się do Matki Bożej, by przeżył. I przeżył – zdaje się, że w tych skrajnie trudnych warunkach wojennych stało się to tylko dzięki nieustannym modlitwom młodych małżonków. Potem doczekali się jeszcze dwóch synów i córki. Gdy Bronek skończył trzy lata, a Sylwia rok, Leszczyńska podjęła studia

w Miejskiej Szkole Położnych w Warszawie, gdzie zatrzymywała się u rodziny. W tym czasie urodziła Stasia.

Z zajęć z dyrektorem Jasielwiczem wyniosła przede wszystkim nastawienie do dwojga pacjentów: „po pierwsze, nie szkodzić”, „świętą rzeczą jest chory” i „chorej wszystko oddać mamy”. Do Warszawy jeździła tylko na zajęcia praktyczne, a wiedzę teoretyczną przyswajała z książek, gdy dzieci już spały. Za dyplom w pierwszej kolejności podziękowała Matce Bożej w kościele wizytek przy Krakowskim Przedmieściu w stolicy. Wówczas złożyła obietnicę: „Maryjo, jeśli podczas porodu stracę choć jedno dziecko, zaprzestaną wykonywania zawodu”. I tak przez trzydzieści osiem lat nie zmarło żadne z dzieci przychodzących na świat przy jej asyście.

Nie zdecydowała się na pracę w szpitalu, do domów rodzących kobiet chodziła z torbą pełną narzędzi. Porody odbywały się głównie w nocy, więc by nie budzić męża, nie zapalała światła. Wystarczyło, że znalazła tylko jeden pantofel, już w nim biegła, a po drodze modliła się: „Maryjo, przybywaj choćby w jednym pantofelku, ale jak najprędzej”. Po powrocie entuzjastycznie opowiadała rodzinie o noworodku, akcji porodowej i szczęściu młodej mamy. Jej dzieci o porodach wiedziały tyle, że same mogły je przyjmować.

Z domu rodzinnego, w którym rodzice Stasi wynajmowali parter ubogim Żydom, wyniosła ona ogromny szacunek do nich. Także w domu, który sama stworzyła z mężem, słyszała przez ściany, jak rodzinie i z nastawieniem na naukę żyją jej sąsiedzi Żydzi. Lubiła z nimi dyskutować i zapewne tym, a także własną mądrością zasłużyła na rodzinny przydomek „Rebe”. Sama także modliła się w bożnicy, a gdy ciężko zachorowała, modlili się tam za nią Żydzi.

Żydzi, Polacy i Niemcy żyli w Łodzi w dobrych stosunkach – aż do czasu tuż przed drugą wojną światową. Wówczas, wobec wieści

o agresywnej polityce Niemiec, Polacy i Żydzi zaczęli traktować swoich niemieckich sąsiadów z rezerwą. Ci z kolei czekali w podnieceniu, aż Wehrmacht wkroczy do Łodzi i przywróci niegdysiejszą nazwę Litzmannstadt. Wybuch wojny zastał Stanisławę z dziećmi w ich podłódzkim majątku, w którym spędzali wakacje. Bronek studiował już medycynę we Lwowie, a Sylwia dopiero dostała się na studia medyczne. Gdy 1 września ojciec przywiózł im z miasta wieść o niemieckiej agresji, Bronek i Stach postanowili jechać do Lwowa pomagać w szpitalu, a Heniek z ojcem do Warszawy, by zaciągnąć się do ochotniczej straży pożarnej. Stanisława z Sylwią wróciły do domu w Łodzi.

Dzięki swej profesji, uznanej przez Niemców za potrzebną, Leszczyńska uniknęła Intelligenzaktion, obejmującej tysiąc pięćset mieszczan i inteligentów, rozstrzelanych potem w podgierskich lasach. W ramach akcji Lebensborn, zgodnie z którą Niemki obejmował zakaz aborcji, miały one rodzić na potęgę. Sam poród zaś łódzkie Niemki najchętniej oddawały w ręce Stanisławy Leszczyńskiej. Wystarały się w izbie położniczej o przywrócenie jej uprawnień zawodowych. Zaczął się dla niej czas tak wytężonej pracy, że nieraz nie spała nawet przez dwie doby. Ukojenie w zmaganiach z codziennością i w trwodze o najbliższych znajdowała w modlitwie. Wkrótce wszyscy mężczyźni szczęśliwie wrócili, jednak trzy miesiące później rodzina otrzymała nakaz eksmisji, bo ich dom miał być włączony w obszar łódzkiego getta.

Bronek jako pierwszy wdał się w konspirację, po nim Stach, a działalność ułatwiała im praca bileterów w tramwaju. W ich ślady poszła też Sylwia. Mąż Leszczyńskiej, który już w tym czasie pracował jako zecer, drukował materiały dla konspiracji i fałszywe dokumenty dla Żydów. Stanisława, mająca kenkartę, mogła zbliżyć się do getta, co czyniła, by pomagać zamkniętym w nim zaprzyjaźnionym rodzinom. W mieszkaniu, graniczącym z mieszkaniem Niemców, ukrywali

uciekinierów. Niestety, wsypa kolegi z konspiracji przyczyniła się do wizyty Gestapo w ich domu. Bronkowi synowi udało się uciec, Bronisław ojciec także ocalał. Pozostałych: Heńka, Stacha, Sylwię i ich mamę zabrano. Po wstępnych przesłuchaniach przewieziono chłopców do więzienia, a kobiety – do zakładu penitencjarnego dla kobiet, gdzie dalej ich przesłuchiowano. Ostatecznie męską część rodziny wysłano na roboty do KL Mauthausen-Gusen, a Stanisławę i Sylwię – do KL Auschwitz-Birkenau.

Bronek ojciec i Bronek syn przedostali się tymczasem do Warszawy, gdzie żyli na sfałszowanych dokumentach i skąd Bronek młodszy wyruszył do Lwowa, by wrócić na funkcjonującą wciąż uczelnię. Bronisław senior został ranny w powstaniu warszawskim, a operował go – niestety bezskutecznie – doktor Dreszer, którego ciężarna żona przebywała w KL Auschwitz-Birkenau, pewnie więc znalazła się w dobrych rękach Stanisławy.

Po przybyciu do obozu Stanisława skupiła się na walce o przetrwanie, ale tylko po to, by pomóc chorującej od początku Sylwii. Dwukrotnie uratowała ją przed krematorium. Za drugim razem, gdy była już znana jako położna, której nie przytrafiają się komplikacje okołoporodowe, powiedziała, że jeśli zabiorą na spalenie córkę, to tylko z nią. Niemcy oddali jej Sylwię. Gdy dziewczyna w miarę wróciła do siebie, mama wzięła ją na sztabę położniczą, gdzie – o ile zdrowie jej pozwalało – pomagała w przyjmowaniu porodów.

Historię Stanisławy Leszczyńskiej pięknie opisała jej krewna Maria Stachurska w książce *Położna*. Miałam też przyjemność wystąpić w jej filmie dokumentalnym o tym samym tytule. Na jego obejrzenie czekam z taką samą niecierpliwością, jak na wyniesienie Stanisławy Leszczyńskiej na ołtarze. Mam nadzieję, że opowiadaniem o jej bohaterskich zmaganiach w obozie choć trochę przyczynię się do tego, że będzie powszechniej znana.



*Postać położnej Leszczyńskiej popularyzuje jej
siostrzenica – Maria Stachurska, autorka filmu
dokumentalnego Położna, prywatnie – mama sportsmenki
Anny Lewandowskiej, żony piłkarza Roberta.
Fot. Archiwum Archidiecezjalne w Łodzi*

W dniu wyzwolenia, 17 stycznia 1945 roku, Niemcy wyprowadzili z obozu pięćdziesiąt sześć tysięcy więźniów, których zamierzali wykorzystać do robót przymusowych. Za drutami pozostałyśmy w gronie siedmiu tysięcy osób, w tym pięciuset dzieci, uznanych za niezdolne do ewakuacji. Wśród nas, choć nie musiała i choć był to praktycznie wyrok śmierci, pozostała też Stanisława Leszczyńska, bo czuła się potrzebna matkom i dzieciom. W nocy z 18 na 19 stycznia esesman kazał wyjść wszystkim kobietom, które mogły się utrzymać na nogach. W barakach zostały tylko te, które nie miały siły się ruszyć. Stanisława Leszczyńska umieściła część więźniarek z rewiru u siebie, na sztabie położniczej, było tam bowiem nieco bezpieczniej – w „szpitalu” Niemcy z miejsca rozstrzelali tych, którzy nie nadawali się do ewakuacji. Położna odbierała porody i chrzczyła dzieci do ostatniej chwili, aż do przybycia Czerwonego Krzyża. Ja i mama przebywałyśmy w innej części obozu.

Dwudziestego siódmego stycznia baraki zaczęły się palić – Niemcy niszczyli dokumentację i infrastrukturę, dowody swej zbrodniczej działalności. Brama obozu była otwarta, mama zorganizowała skądś obszerny płaszcz, którym się okryła, mnie także zawinęła w jakiś kocyk. Znalazła też dla siebie buciska, a dla mnie „sanki”, w roli których wystąpił odwrócony do góry nogami taboret – wciąż była osłabiona i nie miała siły nieść mnie na rękach. Umieściła mnie w jego siedzisku, przymocowała do niego sznurek i ciągnąc go po śniegu, przekraczała bramę z napisem „Arbeit macht frei”. Im dalej od niej się znajdowała i zostawiała za sobą tamten koszmar, tym bardziej nie mogła uwierzyć

w owo *frei*. Wolności była pozbawiona na tyle długo i dotkliwie, że wciąż wydawała się jej marzeniem.

Mróz był sążnisty – nie to, co dziś, marne dwa stopnie, ale co najmniej trzydzieści. Szła, ledwo powłócząc nogami, gdy nagle zobaczyła Niemca jadącego saniami zaprzężonymi w jednego konia. Niemców od kilku dni już nie oglądała, ale nie wyzbyła się jeszcze strachu przed nimi.

– Podaj dziecku cukier przez szmatkę, to przestanie płakać – powiedział.

Mama jednak nie zareagowała.

– Przywiąż sznurek od taboretu do moich sań, pomogę ci – nalegał.

Mama tylko patrzyła na mężczyznę.

– Sama dam sobie radę – odrzekła wreszcie po namyśle.

Serce jej kołatało – nie wiadomo, czy bardziej ze strachu przed obecną sytuacją, czy na wspomnienie lęku odczuwanego przez parę długich miesięcy, przywołanego na widok niemieckiego munduru. Być może Niemiec chciał dobrze, ale mama nie potrafiła mu zaufać. Była już tak blisko – udało jej się przeżyć, urodzić mnie i ocalić – nie chciała tego stracić na ostatniej prostej. Szła więc dalej sama. Po dwunastu kilometrach znalazła się w Libiążu. Wstąpiła do sklepu. Jego właściciele natychmiast do niej przystąpili i się nami zaopiekowali: dali nam jeść, wykąpali nas obie i umieścili w pokoju. Przywracali nas do życia przez dwa tygodnie.

Kilka lat temu próbowałam odszukać tych ludzi, a raczej ich potomków. W poszukiwaniu zaangażowali się też kierownik USC w Libiążu i lokalny historyk, niestety na razie bezskutecznie. Wiem, że na osobiste podziękowania jest już za późno, ale gdybym chociaż mogła

zapalić znicz na ich grobie... A może ich dzieci mogłyby mi powiedzieć coś więcej o naszej wizycie u nich?

W czasie naszej rekonwalescencji ktoś poinformował tatę, że żyjemy. Może mama sama przekazała mu taką wiadomość przez woźnicę podwody, a może to gospodarze wysłali mu dokładny adres? Grunt, że taka informacja do niego dotarła, ale on... nie uwierzył! Był pewien, że swojej żony już nie zobaczy, nie mówiąc o dziecku. Wszystkie kobiety zatrzymane na granicy razem z mamą przeżyły, ale żadna z nich nie była w ciąży. Gdy wreszcie po nas przyjechał i przywiózł nas do Czubrowic, ludzie wychodzili na drogę, by oglądać nas jako widoczny znak cudu.

Tata poszedł zarejestrować mnie w urzędzie stanu cywilnego w Jerzmanowicach. Jako miejsce urodzenia podał Czubrowice. Prawdy napisać się nie dało, bo Auschwitz-Birkenau nie jest polską nazwą, a gdyby nawet wpisał Oświęcim, bał się, że Niemcy mogą mnie jeszcze odebrać. Dopiero w 1977 roku sprostowałam to przed sądem w Krakowie i odtąd w dowodzie jako miejsce urodzenia mam Oświęcim-Brzezinka.

Przeżycia wyniesione z obozu mam wdrukowane w psychikę. Trauma z dzieciństwa nie pozostała bez wpływu na moją przyszłość. Do szesnastego roku życia zimą na głowie robiły mi się swędzące strupy przypominające kalafiory. To skutek wyziębienia doświadczonego w niemowlęctwie. Przez całe dzieciństwo i okres dojrzewania musiałam nosić krótkie włosy i chusteczkę. Dzieci w szkole pytały, dlaczego one muszą siedzieć bez nakrycia głowy, a ja nie. Dyrektor, który znał moją sytuację od mamy, pozwolił mi na to i delikatnie dał rówieśnikom do zrozumienia, że mój stan zdrowia tego wymaga. Nie doznawałam przykrości ze strony innych uczniów, ale jak tylko próbowali o coś pytać, zaczynałam płakać. Dostałam za to przezwisko „Płaczek”.

Nauka szła mi średnio – nie było warunków. Miałam pięć lat, gdy tata zginął w wypadku. Wracał z pracy rowerem, oślepił go jadący z naprzeciwka samochód, przewrócił się i uderzył głową w betonowy słupek przy torach kolejowych. Dostał krwotoku wewnętrznego i zmarł. Osierocił mnie i dwóch moich braci. Ten koszmar przyszło mi później przeżywać jeszcze dwukrotnie, gdy pod kołami szaleńca w 2005 roku zginęła synowa, a w 2017 roku śmiertelnemu wypadkowi samochodowemu uległ zięć. Tata umarł 20 października 1949 roku, mój najmłodszy brat urodził się dziewięć dni wcześniej. Mama tak przeżyła śmierć męża, że z piersi zamiast pokarmu leciała jej krew. Tatę pamiętam więc tylko ze zdjęć i z trumny. Na pogrzebie grała orkiestra z Olkuskiej Fabryki Naczyń Emaliowanych, w której pracował. Bardzo mi się to nie podobało – uważałam, że pogrzeb to powinna być żałoba przeżywana w ciszy.



Na rodzinnej fotografii kilkunastoletnia Stefania trzyma na rękach przyszłą panią kardiolog.

Fot. Archiwum prywatne Stefanii Wernik

Do śmierci taty mieszkaliśmy u jego ojca i macochy, ta ostatnia jednak tak uprzykrzała mamie życie, że przenieśliśmy się do Osieka – do babci od strony mamy. Bez ojca to była kłapa, byliśmy w kiepskiej sytuacji materialnej. Mama nie wyszła powtórnie za mąż, za to zmuszona była pójść do pracy. Szkołę rozpoczęłam z rocznym opóźnieniem, bo do ósmego roku życia zajmowałam się braćmi, a nieźle były z nich psotniki. Po ukończeniu szkoły z kolei przez dwa lata bawiłam córkę brata mamy. Dziś to świetna pani kardiolog, nasza rodzinna Doktor Quinn. Mama była dzielną kobietą – całą naszą trójkę porządnie wychowała i sama wybudowała dom. Zamieszkaliśmy w nim w 1955 roku.

W wieku osiemnastu lat zaczęłam pracę w sklepie w Osieku. Nieopodal stacjonowała jednostka wojskowa – niejeden żołnierz zaopatrywał się u mnie, ale tylko jeden przychodził tak regularnie. Zawsze prosił o „winko na rozgrzewkę – to z najwyższej półki”. Potem dopiero mi wyjawiał, że bardziej niż o trunek chodziło mu o widok nóg ekspedientki wspinającej się po niego po drabince. Pobraliśmy się po trzech miesiącach znajomości i zaczęliśmy dorabiać się od zera. Na start mieliśmy jedynie łóżko pożyczone od wujka. Szczęśliwie doczekaliśmy się czwórki dzieci – niestety jedną córkę pochowaliśmy w 2016 roku. Na pociechę jednak obdarowani zostaliśmy wnukami i prawnukami.

Do dziś wspomnianie obozu wywołuje we mnie stres i podniesione ciśnienie, przeszłam depresję. Jeden z lekarzy powiedział, że młody płód, jakim byłam z chwilą przybycia mamy do obozu, chłonie emocje matki. A przecież mama patrzyła, jak trupy wywozili stertami – wiedziała, że do pieca, do gazu, a niektóre z ciał jeszcze się ruszały. Ona sama przez całe życie niechętnie wracała do tego tematu, nawet gdy we dwie jeździłyśmy do Oświęcimia. Ale pół roku przed śmiercią wróciły do niej wszystkie lęki. Przeżywała senne koszmary, krzyczała do mojego

męża: „Janie, idzie Mengele, zabierze mi moją Stenię! Zobacz, jakie mam zimne nogi, po kolana stoję w wodzie”. Raz jeszcze przez to przechodziła. Mengele musiał mi wstrzyknąć jakieś potworne świństwo, skoro zarówno ja, jak i wszystkie moje trzy córki mamy te same choroby kobiece. Urządził nas na kilka pokoleń w przód.

Choć to dla mnie trudne, jeżdżę na spotkania do Oświęcimia, rozmawiam z młodzieżą, wywiady ze mną transmitowane są nawet w austriackich szkołach. Ta historia musi żyć i dawać świadectwo prawdzie. Bo prawdy nie wolno zakłamywać. Każda ideologia, która próbuje to robić, wprowadza zamęt i prowadzi do kolejnych ludzkich tragedii.



Po wojnie Stanisława Leszczyńska kontynuowała pracę położnej. Dochowała przysięgi i udało jej się nie stracić ani jednej matki i ani jednego dziecka podczas porodu.

W obozie uratowała 3 tysiące noworodków.

Fot. Archiwum Archidiecezjalne w Łodzi

Pytają mnie często, czy po obozowych przejściach wierzę w Boga. A dlaczego mam nie wierzyć? To przecież dzięki Niemu przeżyłam, tylko On mógł mnie wyciągnąć z tego piekła na ziemi. Piekło zgotowali konkretni ludzie – wbrew hasłu „Gott mit uns”, z którym obnosili się na opaskach, to nie On, *Gott*, popychał ich do zbrodniczej działalności. Żli ludzie rodzą się i odchodzą, to samo z ideologiami, nawet z wojnami – wybuchają, a potem przychodzi pokój. W tym wszystkim tylko Bóg jest niezmienny. Był, jest i będzie.

Mimo wielu przykrości, jakich zazналиśmy z mężem od wczesnego dzieciństwa, dostaliśmy też wiele szczęścia. Nasza najbliższa rodzina liczy trzydzieści osób – czwórka dzieci, dziewięć wnuć i jedenaście prawnuków przyszło na ten świat dzięki temu, że mnie dane było się narodzić. W drodze są kolejne dwie prawnuczki, i z pewnością nie będą ostatnie. To się nazywa zwycięstwo życia! Nawet jeśli w chwili porodu nad moją mamą nie czuwała położna Leszczyńska i tak jestem pewna, że to jej zawdzięczam życie. To ona bowiem postanowiła walczyć o każdą matkę i każde dziecko, a swoją postawą odmieniła los ciężarnych w obozie.



*Mimo obozowych cierpień i chorób wywołanych
wstrzykniętym jej tyfusem, Stanisława Leszczyńska nie
pozwalała oceniać esesmanów, by tym ocenianiem nie
zarażać.*

Fot. Archiwum Archidiecezjalne w Łodzi



Stefania Wernik (pierwsza z prawej) z mamą (pierwsza z lewej) i jedną z koleżanek, z którymi w 1944 roku Anna Piekarz przekraczała granicę i trafiła do KL Auschwitz (w podomce).

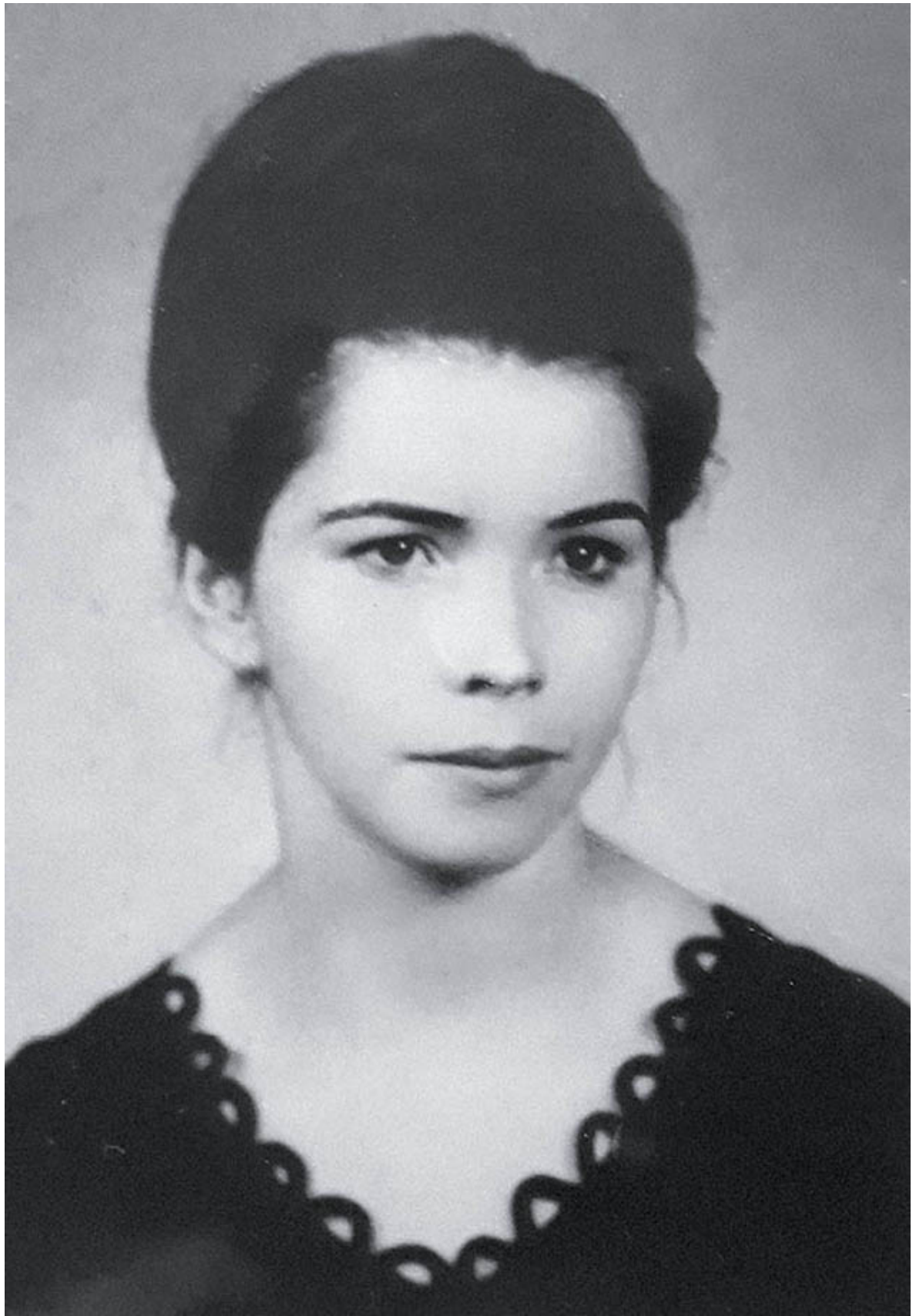
Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej



*Na jednym ze zdjęć z 2000 roku Stefania Wernik ogląda
wytatuowany numer obozowy na ręce mamy.*

Fot. Archiwum prywatne Moniki Odrobińskiej

Wierzyła, że to dzięki temu, iż nie pozwoliła umrzeć żadnemu z dzieci rodzących się pod jej okiem, jej córka i synowie ocalili z wojennej zawieruchy. Po wojnie ze wszystkich jej pociech tylko Heniek nie studiował medycyny, ale pobierał nauki w państwowym konserwatorium muzycznym. Sylwia została pediatrą, Bronek – kardiologiem i internistą. Stanisława Leszczyńska ofiarowała mu cytrę za świetny dyplom i oświadczyła, że nie wierzy, by kiedykolwiek dopuścił się aborcji, ale gdyby się to stało, przestałby być jej synem.



*Siedemnastoletnia Stefania Wernik.
Fot. Archiwum prywatne Stefanii Wernik*



Zdjęcie Stefanii Wernik do dowodu osobistego.

Fot. Archiwum prywatne Stefanii Wernik

W 1974 roku na łożu śmierci w szpitalu, gdzie walczyła z rakiem, rozmyślała o wszystkich dzieciach, którym pomogła przyjść na świat, a najbardziej o tych z KL Auschwitz-Birkenau. Odszkodowania za choroby, których sama się tam nabawiła – między innymi z powodu wszczepionego jej tyfusu – nigdy nie otrzymała. Mimo to nie pozwalała

oceniać esesmanów, by tym ocenianiem nie zarażać. Ich także uważała za ofiary. Dla niej wynagrodzeniem za cierpienia było blisko tysiąc dzieci żegnających ją na cmentarzu, w tym kilkanaścioro ocalałych z Auschwitz.

Po wojnie złożyła przed komisją lekarską zeznanie – jak to określiła – w imieniu tych, którzy o swej krzywdzie nie mogli powiedzieć światu, w imieniu matki i dziecka. Podsumowała je stwierdzeniem, że jeśli w jej ojczyźnie – mimo smutnego doświadczenia wojny – miałyby dojrzewać tendencje przeciwko życiu, to wierzy w głos wszystkich położnych, wszystkich uczciwych matek i ojców, wszystkich uczciwych obywateli, w obronie życia i praw dziecka. Mój głos jest jednym z nich.



Stefania Wernik w swoim domu w Osieku zimą 2022 roku

Stefania Wernik

Podziękowania

Książka, którą Czytelnik trzyma w ręku, jest owocem zaangażowania wielu osób – ponieważ nie sposób wszystkich ich wymienić na okładce, pragnę wyrazić im swoją wdzięczność w tym miejscu. Pierwsze słowa kieruję do Bohaterów moich reportaży – dziękuję za zaufanie, jakim mnie obdarzyli, gdy wpuścili mnie do swych domów i otworzyli przede mną najskrytsze zakamarki swych wspomnień, zwłaszcza tych bolesnych. Mogę się jedynie domyślać, ile musiało ich kosztować ponowne przeżywanie koszmarów z dzieciństwa. Z tym większym pietyzmem starałam się przekazać ich opowieści kolejnym pokoleniom.

Basi Sułek-Kowalskiej – za warsztat dziennikarski, kibicowanie pracy nad książką i wszelkie sugestie. Panu Waldemarowi Kowalskiemu z Muzeum II Wojny Światowej, pani Annie Tyrakowskiej z Muzeum Powstania Warszawskiego, pani Annie Kołacińskiej-Gałazce z portalu zapispamieci.pl, pracownikom Stacji Muzeum oraz pani Ewie Bazan z Muzeum Auschwitz-Birkenau – za pomoc w dotarciu do świadków historii.

Pani Annie Schulz-Kraińskiej z Izby Pamięci w Szkole im. Dzieci Potulic w Potulicach oraz panu Mariuszowi Gratkowskiemu z Muzeum Ziemi Krajeńskiej w Nakle nad Notecią – za podzielenie się bezcenną wiedzą na mało rozpowszechniony temat obozu w Potulicach i za umożliwienie spotkania z jego więźniami. Pani Patrycji Śliwińskiej z biblioteki Muzeum II Wojny Światowej – za kolejne tomy poświęcone

szkolnictwu w Gdańsku donoszone mi na biurko. Basi Wiśniowskiej i Michałowi Pietruszce – za zaangażowanie w poszukiwanie kolejnych świadków historii.

Dziękuję także mojemu Wydawcy za chęć opublikowania niełatwych przecież wspomnień i jak najlepsze zaprezentowanie ich Czytelnikowi. *Last but not least*, dziękuję mojemu Mężowi i Dzieciom za wyrozumiałość wobec moich częstych wyjazdów i za to, że byli wdzięcznymi pierwszymi słuchaczami opowieści zawartych w książce.

Bibliografia

Dzieci Potulic, oprac. Mariusz Gratkowski, cz. 1–3, www.muzeum.naklo.pl, dostęp: 26.07.2022.

Grochowina Sylwia, *Szkolnictwo niemieckie w Okręgu Rzeszy Gdańsk – Prusy Zachodnie w latach 1939–1945 (obszar II RP)*, Toruń: Mado, 2008.

Hrabar Roman, *„Lebensborn”, czyli źródło życia*, Katowice: Wydawnictwo „Śląsk”, 1980.

Jaczyńska Agnieszka, *Sonderlaboratorium SS. Zamojszczyzna – „pierwszy obszar osiedleńczy w Generalnym Gubernatorstwie”*, Lublin: IPN, 2017.

Jastrzębski Włodzimierz, *Okupacyjne losy ziem polskich wcielonych do III Rzeszy (1935–1945)*, Bydgoszcz: Wydawnictwo Wyższej Szkoły Gospodarki, 2017.

Kaliński Dariusz, *Bilans krzywd. Jak naprawdę wyglądała niemiecka okupacja Polski*, Kraków: Znak, 2018.

Kossak Zofia, *Z otchłani*, Warszawa: Instytut Wydawniczy PAX, 2019.

Narodzona po raz drugi, reż. Michał Nekanda-Trepka, TVP 2003.

Niemyska-Hessenowa Maria, *Dzieci z „Lagru” w Łodzi*, „Służba Społeczna” 1946, nr 1, s. 79–85.

Rembierz Marek, *Nazistowska zbrodnia totalna – o antropologiczno-pedagogicznych aspektach eksterminacji, rabunku, zawłaszczania i zniemczania polskich dzieci. (W przedpolu badań biograficznych)*, w: *Zbrodnia bez kary... Eksterminacja i cierpienie polskich dzieci pod okupacją niemiecką 1939–1945*, red. Janina Kostkiewicz, Kraków: Uniwersytet Jagielloński, Biblioteka Jagiellońska, 2020, s. 16–50.

relacjebiograficzne.pl, dostęp: 26.07.2022.

Sowińska-Gogacz Jolanta, Torański Błażej, *Mały Oświęcim. Dziecięcy obóz w Łodzi*, Warszawa: Prószyński i S-ka, 2020.

Stachurska Maria, *Położna*, Warszawa: Burda Książki, 2020.

Świadkowie epoki – historie mówione zgromadzone przez Instytut Pileckiego.

Stanisława Leszczyńska: matki strasznie płakały, wyły, skowyczały, www.polskieradio.pl, dostęp: 26.07.2022.

Theiss Wiesław, *Sieroctwo wojenne polskich dzieci (1939–1945). Zarys problematyki*, „Przegląd Pedagogiczny” 2012, nr 1, s. 79–95.

Witkowski Józef, *Hitlerowski obóz koncentracyjny dla małoletnich w Łodzi*, Wrocław: Ossolineum, 1975.

Wojna i dziecko, red. Helena Boczek, Eugeniusz Boczek, Jacek Wilczur, wyd. II, Warszawa: Nasza Księgarnia, 1979.

Zamojszczyzna – Sonderlaboratorium SS, zbiór dokumentów polskich i niemieckich z okresu okupacji hitlerowskiej, red. Czesław Madajczyk, t. 2, Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1977.

„Zeszyty Oświęcimskie” 1958, nr 2.

Zeznania Henryka Koczerskiego w archiwach izby pamięci obozu
w Potulicach.

Projekt okładki

Marcin Słociński / monikaimarcin.com

Fotografia na pierwszej stronie okładki

Bundesarchiv, Bild 101I-012-0012-13 / fot. Falk

Koloryzacja zdjęcia okładkowego

Marcin Słociński / monikaimarcin.com

Opieka redakcyjna

Karolina Pawlik

Wybór ilustracji

Monika Odrobińska

Karolina Pawlik

Adiustacja

Kinga Kosiba

Korekta

Irena Gubernat

Małgorzata Matykiewicz-Kołodziej

Łamanie

Edycja

Copyright © by Monika Odrobińska

Copyright © for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2022

ISBN 978-83-240-8802-7

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105
Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Błaszczuk